

Scholes Katherine

Kamienny anioł

Stella Boyd jest wziętą dziennikarką, która pisze reportaże z niebezpiecznych zakątków świata. Pewnego dnia dostaje wiadomość, że jej ojciec zaginął na morzu. Młoda kobieta natychmiast wyrusza do małej rybackiej wioski położonej na pięknym wybrzeżu Tasmanii, gdzie się wychowała. Nie była w Halfmoon Bay od lat i z niepokojem myśli o czekających ją tam wspomnieniach. Czy będzie potrafiła wybaczyć swoim bliskim? A może jeszcze nie jest za późno na szczęście?

1

Addis Abeba, Etiopia, 1990

Negatu omijał dziury w jezdni, z wprawą obracając kierownicą, i jechał szybko po prawie opustoszałych ulicach śródmieścia. Stella wsparła głowę o zakurzoną szybę land-rowera. Patrzyła na swoją twarz odbijającą się w bocznym lusterku. Kosmyki włosów, które wymknęły się z warkocza, przylegały do spoconej skóry, tworząc długie czarne linie na bladym policzku. Wargi miała suche, a spieczony przez słońce nos zaczynał się łuszczyć. Oczy... Przyglądała się swoim oczom, zbyt błyszczącym, zbyt jasnym. Jak to możliwe - zastanawiała się - że nie widać w nich blizn, że to, co widziały, nie pozostawiło na nich żadnego piętna...

Obraz zachybotał, samochód gwałtownie zwolnił. Stella podniosła wzrok i ujrzała zaporę z metalowych beczek i gałęzi ułożonych w poprzek drogi. Negatu zaklął pod nosem.

- Wyjmij dokumenty - powiedział, trzymając kierownicę jedną ręką, a drugą sięgając do kieszonki koszuli.

Gdy landrower zjechał na pobocze i zatrzymał się, podszedł do nich żołnierz. Stał przy drzwiach pasażera, opierając kolbę karabinu maszynowego o udo. Stella otworzyła okno.

- Pokażcie dokumenty - zażądał.

2

Mówił powoli, starannie wymawiając angielskie słowa. Wsadził rękę do samochodu, tuż przed twarzą kobiety. Na różowej dłoni widniała długa, głęboka blizna.

Stella podała mu legitymację dziennikarską. Gdy ją oglądał, kobieta patrzyła w dal, na ptaki krążące nad szarym kamiennym posągiem.

- Co to jest? - spytał żołnierz, stukając palcem w złożony karton, pokryty różnokolorowymi stemplami i napisami. - „Świat Kobiet”?

- Pismo, dla którego pracuję. - Wskazała na plakietkę przypiętą do koszuli.

Żołnierz pochylił się, włożył głowę do środka, rozsiewając zapach starego potu i dymu z węgla drzewnego. Stella patrzyła, jak studiuje plakietkę: fioletowe obramowanie, motyw stokrotki oraz słowa napisane ładnymi, ozdobnymi literami. Wiedziała, że ten damski styl przypomni mu, iż jest nie tylko dziennikarką, ale także kobietą. Może zacznie traktować ją jak siostrę albo dziewczynę - jak kogoś, kim należy się opiekować. Wyraz jego twarzy złagodniał na chwilę, lecz zaraz powróciła podejrziwość.

- Po co tu pani przyjechała? Pisać o sukniach?

Omiótł Stellę spojrzeniem. Z wyraźnym niedowierzaniem patrzył na jej znoszoną koszulę, pokrytą czerwonym pyłem, i na wymiętą spódnice.

- Piszę reportaże o kobietach - wyjaśniła. - Wracamy z północy. Z Welo. W tamtym rejonie matki nie mają czym karmić dzieci. Deszcz jeszcze nie spadł. Sytuacja jest bardzo poważna.

- Welo? - powtórzył.

- Tak. Niedaleko Kobo. Mężczyzna skulił się w ramionach.

- To moje strony. Moi bliscy tam mieszkają. Stella pokiwała głową. Cóż mogła powiedzieć?

- A więc - żołnierz patrzył na nią przenikliwie - napisze pani o tym w swoim piśmie. Wszyscy się dowiedzą. Nadejdzie pomoc.

- Mam nadzieję - odparła.

Promyk nadziei, który pojawił się w jego oczach, szybko zgasł. Zdawało się, że mężczyzna nagle osłabł. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, jakby mięśnie były zbyt zmęczone, by wykonywać swoje zadania. Stella czuła, że on wie - sprawa nie jest aż tak prosta.

Odwrócił się, machnął ręką i przeszedł na drugą stronę drogi. Ukucnął przy błotnistej kałuży i zaczął myć buty - nabierał dłonią czerwono-brunatną wodę i polewał nią zniszczoną skórę.

Negatu wyprowadził samochód na jezdnię i dodał gazu. Stella usłyszała, jak odetchnął z ulgą, gdy blokada drogi została w tyle.

- Do hotelu? - spytał.

- Tak - odpowiedziała. Obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Powinnaś mieszkać w Hiltonie, razem z innymi cudzoziemcami. Tam jest znacznie bezpieczniej. Stella kiwnęła głową, nic nie mówiąc. Nigdy nie zatrzymywała się w tak dobrych hotelach. Nawet gdyby chciała, nie byłoby jej na to stać. Płacono jej tylko za napisane artykuły, za przerwy w pracy nie dostawała wynagrodzenia. Od dziesięciu lat odrzucała propozycje stałego zatrudnienia w agencjach prasowych, nie przyjmowała nawet zaliczek. Szła ścieżką wytyczoną przez Daniela. „Bądź niezależna” - radził. Pamiętała, kiedy powiedział to po raz pierwszy, wręczając jej swój aparat fotograficzny - leicę z ledwie słyszalnym klikiem i wszystkimi lśniącoymi elementami oklejonymi czarną taśmą, by nie zwracały na siebie uwagi. „Niezależność to wolność” - mówił, usuwając kurz z powierzchni szkła obiektywu specjalnym przyrządem. Starzejące się dłonie Daniela były niezdarne, ale jego głos brzmiał donośnie. „Swoboda w mówieniu prawdy”. Spojrzał na nią, a blask jego oczu wypełnił przestrzeń między nimi. „To tylko masz robić. Mówić prawdę”.

Kierowca odwrócił głowę do pasażerki i uśmiechnął się zachęcająco.

- W Hiltonie mogłabyś się dobrze bawić. Jest tam basen, fryzjer, centrum biznesowe. Widziałem to wszystko. Mogłabyś poznać nowych przyjaciół.

Przebiegł wzrokiem po jej ciele, zatrzymując spojrzenie nieco dłużej na biuście. Zrozumiała, co miał na myśli - że przepuszcza okazję na znalezienie mężczyzny, męża. Przeglądał jej paszport na jednym z punktów kontrolnych w Welo, sądziła więc, że wie, ile ma lat. Trzydzieści jeden. Jej czas już prawie minął.

- Nie szukam nowych przyjaciół - odpowiedziała. - Jestem tu po to, żeby pracować.

To prawda. Całą energię poświęcała wytyczonym sobie zadaniom. Podczas długiej podróży powrotnej na południe zdążyła przemyśleć, które z przeżyć opowie w swoim tekście. Jak zawsze najpierw dopuszczała do siebie obrazy, pozwalała im wypełniać głowę i rywalizować o jej uwagę. Potem zaczynały się zbierać słowa... Jak tylko wejdzie do pokoju, wyjmie maszynę do pisania. Najtrudniej będzie zacząć, ale potem wszystko pójdzie gładko.

Samochód zatrzymał się przed Hotelem Etiopskim, którego białą fasadę zdobiła odrapana kolumnada. Dzieci obstąpiły pojazd. Przyciskały twarze do okien, plamiąc szyby i przyglądając się kobiecie wyciągającej z kieszeni zwitki banknotów. Zamierzała sownie wynagrodzić Negatu. Niełatwo znaleźć kogoś, kto byłby gotów opuścić miasto, a i sceny, które widział w obozie dla głodujących, niełatwo dadzą się wymazać z pamięci. Stella wiedziała, że wspomnienie co najmniej jednej lub dwóch takich scen pozostanie na zawsze w głębi jego duszy.

Choćby to dziecko, które widzieli pierwszego ranka...

Przerwała liczenie banknotów.

Znów stanął jej przed oczami jasnoskóry, niebieskooki chłopiec stojący w tłumie, w namiocie, gdzie wydawano żywność. Z początku myślała, że to syn któregoś z pracow-

ników albo misjonarza, choć nie pojmowała, co on robi w tym miejscu. Potem spostrzegła, że jest ubrany w łachmany, że jego ramiona to sama skóra i kości, że ma brzuch wzdęty głodem. Stella rozglądała się za kimś z personelu. Co to dziecko tu robi? - zapyta. Gdzie są jego rodzice? Ogarnęła ją panika. Uświadomiła sobie, że choroba i głód były niczym wobec grozy osamotnienia, oddalenia od miejsca, do którego się należy...

- Dziecko, na które patrzysz - powiedział wówczas Negatu - to *zeru zeru*. Mogą być dwa powody: albo został poczęty podczas miesiączki, albo złe duchy zabrały dobre dziecko, a zostawiły takie. Stella patrzyła na chłopca, nie rozumiejąc słów Negatu. Uczucie przerażenia nie ustępowało. Oddychała z trudem. Wtedy pojawił się urzędnik.

- Chce pani sfotografować tego albinosa? - spytał. Pokręciła głową. Chłopiec patrzył jej w oczy. Wszystkie dzieci w namiocie przyglądały się cudzoziemce, ale spojrzenie tego dziecka głęboko penetrowało jej wnętrze.

- Mogę go zawołać - zaproponował urzędnik.

- Nie - zaprotestowała. - Nie chcę go fotografować. Próbowала zapomnieć tę twarz.

I wiedziała, że nie zapomni jej nigdy.

Spojrzenie chłopca podążało za nią. Nawet teraz, gdy siedziała w landrowerze i liczyła pieniądze dla Negatu, czuła je na sobie. Prześladowała ją myśl, że zostawiła chłopca tam, gdzie nie powinien był zostać, że go porzuciła.

Chyba nie czuł się tam zagubiony - tłumaczyła sobie -nie różnił się od innych...

Negatu grzecznie skinął głową, gdy Stella wręczyła mu zwitek podniszczonych banknotów.

- Dziękuję - rzekł. - Wszystkiego dobrego!

- Mogę na ciebie liczyć? - spytała. Wiedziała, że musi dobrze wykorzystać czas, póki jeszcze można wyjechać z miasta. Nie jest za wcześnie, by planować następną podróż. - Zamierzam wybrać się na południe.

Mężczyzna wzruszył ramionami. - Może. Kto wie?

Wysiadła. Zarzuciła plecak na ramię i odwróciła się, by pomachać kierowcy. Niebawem dostrzegła zmierzającego ku niej odźwiernego. Trzymał jedwabną parasolkę w kolorach tęczy, obrzeżoną złotymi frędzlami. Gdy się zbliżył, dzieci zniknęły. Zostało jedynie dwóch małych czyścibutów, którzy z rezygnacją spoglądali na tenisówki Stelli.

Ruszyła w stronę hotelowych drzwi. Odźwierny podążał za nią, trzymając parasolkę nad gościem. Niósł ją w takim skupieniu, jakby Stella była księżniczką, skarbem, który za wszelką cenę należy uchronić przed złem. Jego zachowanie dodało dziewczynie otuchy. Miała wrażenie, że przynajmniej tutaj jest ktoś, kto wie, przez co przeszła i jaka potrafi być dzielna. Potrzebowała zaledwie kilku chwil czyjejś troski, by dojść do siebie.

Pokonała skrzypiące drzwi obrotowe i weszła do foyer. Chociaż mieszkała tu zaledwie od miesiąca, czuła, że wraca do domu. Rozejrzała się. Ogarnęła wzrokiem porysowaną podłogę z lastryko w ciapki z kolorowego marmurowego grysu, dostrzegła kłębki kurzu leżące pod wysiedzianą kanapą i różowawe promienie słońca przenikające przez szczeliny w ciężkich brokatowych zasłonach. Dziś nad zwykłym dla tego miejsca zapachem prażonych przypraw i stęchłego tynku dominował aromat świeżo mielonej kawy. W powietrzu unosiła się też delikatna woń kadzidła. Szukając jej źródła, dojrzała wąską smużkę dymu wydobywającą się z pieca na węgiel drzewny.

Minęła hol i stanęła pod sklepionym przejściem prowadzącym do hotelowej restauracji. Kiedy przyjechała do hotelu po raz pierwszy, uderzył ją kontrast między restauracją a foyer. Teraz bez zdziwienia patrzyła na żółtozielone winylowe przepierzenia, pomarańczowe ławy i dobrane kolorystycznie nakrycia.

Na widok karty dań wyłożonej na stole poczuła głód. Od czasu śniadania, które zjadła w wiejskiej gospodzie, minęło wiele godzin. Przypomniała sobie czerstwe bułki i gorzką kawę, twarde kromki

zmiękczono tłustą, czarną breją, których nie mogła przełknąć. Straciła apetyt, odwróciła się i poszła w stronę recepcji. Recepcjonista wstał, by ją powitać.

- Pani pokój czeka - rzekł, podając jej klucz na ciężkim mosiężnym breloczku. - Zatrzymaliśmy go dla pani.

- Dziękuję. Jestem bardzo wdzięczna - odparła. Wiedziała, że na piętrze są całe tuziny cichych, pustych

pokoi. Turyści nie przyjeżdżają tu od lat.

- Przyszła wreszcie poczta - dodał mężczyzna. - Są trzy listy do pani.

Stella patrzyła, jak wydobywa listy z jednej z wielu ciągnących się długim rzędem przegródek.

Rozpoznała fioletową kopertę Lorny, szefowej „Świata Kobiet”. Fakt, że poczta działa w krajach takich jak ten - będących w stanie wojny, na skraju upadku - wydawał się cudem. Lorna mogła wysłać list z Londynu na podany przez Stellę adres i wcześniej czy później list dochodził. Faksy zdawały się jeszcze bardziej nieprawdopodobnym sposobem komunikowania się. Gdy Stella stała przy faksie, wkładając powoli kartki swojego maszynopisu - czy to w lobby hotelowym, czy w urzędzie pocztowym, czy w biurze organizacji humanitarnej w odległym zakątku świata - często wyobrażała sobie, jak jej tekst opada powoli na miękki fioletowy dywan w londyńskim biurze Lorny.

Wręczając Stelli listy, recepcjonista zaoferował jej także srebrny nożyk do papieru. Pokręciła głową. Wiedziała, że w zamian za tę drobną przysługę będzie oczekiwał hojnego napiwku, gdy jej pobyt w hotelu dobiegnie końca. Była to jedna z tych rzeczy, które, żyjąc wśród cudzoziemców, uważała za męczące - przeliczanie każdej przysługi na odpłatę.

Powoli wspinała się po marmurowych schodach prowadzących wdzięczną krzywizną na pierwsze piętro. Ciężar plecaka na ramieniu przypominał jej o zmęczeniu, o tym,

że potrzebuje długiego, mocnego snu. Zerknęła na trzymane w dłoni listy. Na wierzchu była koperta od Lorny. Kolejny list został wysłany z hotelu, w którym mieszkała w Nairobi. Nazwisko i adres napisano niezdarkim, dziecięcym pismem. Trzeci był w kopercie Hotelu Etiopskiego. Domyśliła się, że zawierał uprzejmą prośbę o uregulowanie rachunku, o czym zapomniała przed wyjazdem na północ.

Zatrzymała się w drzwiach pokoju, spojrzała na małą, pustą przestrzeń. Pod jej nieobecność ktoś uporządkował prześcieradła, poskładał po swojemu pozostawioną skromną garderobę i zmył podłogę między dwoma łózkami. Wszystko inne było jak przed wyjazdem.

Rzuciła koperty na stół, a obok wysypała zawartość plecaka. Notatnik, notes z adresami, radio, aparat fotograficzny i rolki z filmami. Potem wypadły koszula i bielizna na zmianę - teraz, oczywiście, brudne - kosmetyczka i apteczka pierwszej pomocy. Na samym końcu wyslizgnął się przedmiot wielkości dłoni owinięty w starą jedwabną chustkę. Zniosła go na nocną szafkę, odwijając po drodze z materiału.

Była to kamienna figurka przedstawiająca klęczącą postać ze skrzydłami, postać anioła. Trzymała go przez chwilę w ręce, by nacieszyć się znajomym kształtem. Potem postawiła na odrapanym fornirowanym blacie szafki nocnej, tuż obok obtłuczonego, przypalonego papierosami spodka. Kamienna twarzyczka zwrócona była w stronę poduszki, na której Stella miała ułożyć głowę do snu.

Letnia woda spływała po ciele kobiety, zmywając pot i kurz. Natarłszy włosy kawałkiem jasnoniebieskiego mydła, Stella wdychała jego tani aromat, próbując przegnać zapach obozu - latryn, szpitala, w którym nie mieli środka odkażającego, ciał leżących pod białymi przykryciami na słońcu. Urzędnik wręczył jej gałązkę ruty - zioła, które

Etiopczycy dodają do kawy - i ruchem ręki zachęcił, żeby przytknęła gałązkę do nosa, by zabiła jeden zapach drugim. Pomogło tylko na chwilę.

Stella zamknęła oczy i uniosła twarz ku cienkiemu strumieniowi wody. Strzępy widzianych scen przemykały jej przez głowę. Ręka starego człowieka delikatnie dotykająca pięknej twarzy małej dziewczynki, która wyglądała tak, jakby tylko spała. Muchy żerujące na ranach, które nigdy się nie zagoją. I jej własna ręka sięgająca po jedzenie, o którego istnieniu nikt nie wiedział, i spożytym wyschniętymi ustami w zielonkawym mroku zamkniętego na suwak namiotu...

Poprzez szum wody dobiegał głos spikera czytającego w radiu wiadomości: spokojny i wiarygodny, z brytyjskim akcentem. Stella nasłuchiwała nowin z miejsc, w których mieszkała, oraz głosów dziennikarzy, których poznała w terenie - i może czegoś na temat sytuacji tutaj, w Etiopii. Może dowie się, czy rebelianci dotarli już tak blisko Addis Abeby, jak ludzie mówią.

Po wyjściu spod prysznicza uformowała na włosach turban z jedynej, jaki miała, starego ręcznika. Usiadła na łóżku okrytym szorstkim, drażniącym nagą skórę kocem i spojrzała na listy. Najpierw wzięła kopertę Lorny, rozdarła ją i wyciągnęła plik papierów, wycinków z jej artykułami. Przejrzała je, obrzucając wzrokiem fragmenty fotografii i tekstów, obok których zamieszczono reklamy szminek do ust, kremów przeciw zmarszczkom i przepisów na nisko-tłuszczowe potrawy. Czytała tytuły. Zawsze wybierała je Lorna - lubiła, gdy tytuł wprost odnosił się do tematu.

„Kobiety, które chronią swoje córki, ubierając je po męsku. Opowieść z górskich wiosek na Wschodnim Timo-rze...”

„Bojowniczkę, które noszą wokół szyi pojemniki z trucizną. Opowieść z dżungli na północy Sri Lanki...”

Za ostatnim wycinkiem Stella spodziewała się znaleźć

czek. Był przyczepiony do firmowego papieru listowego. Przyglądała mu się przez chwilę. Niewiele kupi za te pieniądze, bo utrzymanie w Addis Abebie było drogie. Musiała też podróżować. A więc i tym razem, po opłaceniu wszystkich należności, nie zdoła niczego odłożyć. Powinna poprosić szefową o podwyżkę. Nie może zwlekać. Będzie musiała sobie wyobrazić, że Lorna jest politykiem, wojskowym albo komisarzem. Dopiero wtedy będzie umiała zadawać pytania i wymagać działań - jakichkolwiek - bez oporów.

Sięgnęła po niechlujną, odręcznie zaadresowaną kopertę i przebiegła wzrokiem znajdujący się w środku list. Napisał go ktoś, kogo prosiła ostatnio o wywiad w południowej Kenii.

Chcę panią poinformować i prosić o pomoc. Mój mąż został aresztowany, zabrany z domu. Moje dzieci...

Stella złożyła list i schowała go z powrotem do koperty. Wiedziała, że nie należy do niego więcej zaglądać. O napisanej historii trzeba zapomnieć. Zawsze dokładała starań, by w porę przeciąć wszelkie więzy z przeszłością. W przeciwnym razie ludzie i miejsca, czyjeś losy zaczęłyby ją wciągać. A wtedy nie mogłaby spokojnie pracować.

Gdy wzięła do ręki ostatnią kopertę - tę z nadrukiem: Hotel Etiopski - zebrała siły. Zaraz się dowie, do jakiej kwoty urósł rachunek za pokój. Wyciągnęła kilka złożonych kartek. Ale nie były to rachunki uzupełnione starannym, odręcznym pismem, lecz cienkie, lśniące strony faksu. Spojrzała na pierwszą z nich, tę z logo „Świata Kobiet”.

Do: Stella Boyd, Hotel Etiopski, Addis Abeba W załączeniu pilna wiadomość osobista i poufna. Proszę o przekazanie.

Wzięła drugą kartkę. Prześlizgnęła się wzrokiem po oficjalnym nagłówku i przeczytała wiadomość.

STELLA BOYD, MAGAZYN ŚWIAT KOBIET.

POLICJA TASMAŃSKA PROSI O PILNY KONTAKT Z POSTERUNKIEM W HALFMOON.

NUMER TELEFONU: 63247789.

PANI OJCIEC ZAGINAŁ NA MORZU.

Stella przyglądała się faksowi. Znaczenie słów jeszcze do niej nie docierało. Miała wrażenie, że są napisane w nieznanym języku.

Zaginał na morzu... Policja tasmańska...

Utkwiła spojrzenie w drukowanych słowach - czarno-białych kształtach...

Pani ojciec...

To nie mogła być prawda. William był najostrożniej-szym spośród miejscowych rybaków. Nie wypływał przy złej pogodzie, niezależnie od tego, jak wielkie było zapotrzebowanie na połów. Nigdy nie zmieniał zasad postępowania podczas pracy. A jego łódź, „Lady Tirian”, była budowana z myślą o bezpieczeństwie, a nie o prędkości.

Ale faks leżał na kolanach Stelli - prawdziwy kawałek papieru, prawdziwe słowa, wysłane do niej z drugiego końca świata. Miejscowy policjant, Spinks, musiał skontaktować się z redakcją pisma. A sekretarka Lorny natychmiast przesłała faks dalej.

Stella podniosła się wolno i sięgnęła po ubranie. Treść zwięzłej informacji zaczynała przenikać do jej świadomości. Zdawała sobie sprawę, że „zaginał na morzu” często znaczy „utonął”. Nieopodal pirsu w Halfmoon Bay stał pomnik Żeglarzy, a widniejące na nim mosiężne tabliczki układały się w długą listę miejscowych tragedii - rybacy zmyci z pokładu, zatopione łodzie, zaginione załogi. Zabrani przez morze...

Niezdarnymi ruchami naciągnęła koszulę i uporała się z zamkiem džinsów. Potem zaczęła szukać na podłodze butów.

Zmuszała się do zachowania spokoju. Chwyła faks

i sprawdziła datę. Przyszedł wczoraj, gdy była w obozie. Pewnie już go odnaleźli - pomyślała. Wyobraziła sobie, że ojciec jest już w domu, owinięty kocami. Matka krząta się wokół niego, podaje gorący rosół. Są w kuchni Grace, przytulnej i czystej, pachnącej tanim mydłem Velvet i dymem z drewnianych bierwion. Świeżo upieczone herbatniki stygną na blachach, a „morskie ciasta” Williama leżą w rzędzie wokół pieca, owinięte w folię.

Dyrektor właśnie wchodził do hotelu, gdy Stella zjawiała się w recepcji.

- Panno Stello! - zawołał, zbliżając się szybkim krokiem. - Wróciła pani! Przyszła do pani jakaś pilna wiadomość. Włożyłem ją do koperty. Nie mogłem się powstrzymać, by nie przeczytać... - ściszył głos.

- Obawiam się, że to zła wiadomość.

Stella skinęła głową i wskazała na telefon. Pan Berhanu pospieszył za ladę i popchnął stary, czarny aparat w jej stronę.

- Działa - stwierdził. - Ma pani szczęście.

Spuścił wzrok, zażenowany. Słowo „szczęście” przez chwilę wibrowało w powietrzu.

Stella wybrała numer kierunkowy do Australii, potem numer podany w faksie i czekała na sygnał.

Obliczyła, że w Halfmoon Bay jest teraz środek nocy. Wyobraziła sobie telefon dzwoniący w ciemności opustoszałego posterunku - usłyszała sygnał przekierowania rozmowy do znajdującego się po sąsiedzku domu Spinksa. Podejrzewała, że klnie, podnosząc się z łóżka. A może - pomyślała i poczuła ciarki na plecach - może go nie ma, może nadzoruje poszukiwania. Przerwali pracę na noc - zastanawiała się - czy szukają z lampami...?

- Spinks, słucham.

Głos brzmiał ostro. Te dwa krótkie słowa wskazywały, że żarty nie będą tolerowane.

Słowa kobiety z trudem wydobywały się z zaciśniętego gardła.

- Mówi Stella.

- Stella! Chwała Bogu! Już myślałem, że cię nie znajdziemy. Gdzie jesteś?

- W Addis Abebie, w Etiopii. Dostałam faks - wyjąkała. - Podobno zaginał. Tata zaginał. Stella usłyszała, jak po krótkiej ciszy mężczyzna zaczerpnął powietrza.

- Tak. Na razie nie mamy żadnych dobrych wiadomości. Ale o brzasku wznowimy poszukiwania. - Spinks odchrząknął. - Posłuchaj mnie. Musisz przyjechać do domu. Natychmiast. Jesteś tu potrzebna. Patrzyła na aparat, ciemny i pękaty, z tłustymi śladami palców. Przyjechać do domu. Proste zdanie. Krótkie. Jakby Halfmoon Bay leżało za rogiem. Jakby to było miejsce, do którego mogła wrócić jak do każdego innego...

- Stella? Słyszysz mnie? - Nagle Spinks zamienił się w gliniarza, który złapał dziecko na paleniu papierosów albo wypisywaniu brzydkich słów na zakurzonej boku policyjnego wozu. A ona stała się małą dziewczynką, która nie wie, jak postąpić.

- Tak - odparła. W jej głowie urywane myśli krążyły wokół szczegółów: terminy lotów, papiery na wyjazd, lotnisko okrążone przez jednostki wojska gotowe podjąć ostatni wysiłek na rzecz jego obrony. - Dobrze. Przyjadę najszybciej, jak się da - przyrzekła.

- W porządku - zapewnił Spinks. - Rodzice nadal nie mają telefonu. Powiadomię Grace, że jesteś w drodze.

Odłożył słuchawkę, połączenie zostało przerwane. Kładąc słuchawkę na widełki, Stella napotkała wzrok pana Berhanu.

- Tak mi przykro. Nie odnaleziono ojca? - spytał.

- Muszę tam pojechać - powiedziała. - Natychmiast. Słuchała własnych słów, odnosząc wrażenie, że wypo-

wiada je ktoś obcy. Odrętwiała, nie mogła się skoncentrować. Ale wiedziała, że musi się spieszyć. Do Dubaju był tylko jeden lot dziennie. Za pięć godzin. Żeby opuścić Etiopię, trzeba dostać zaświadczenie z Ministerstwa Informacji, z miejsca, gdzie urzędnicy siedzą nad plikami papierów i przyglądają się bezmyślnie rzędom gumowych pieczętek. Będzie musiała wydać sporą sumę, by ich przekupić, by zechcieli sięgnąć po pióro i coś napisać.

Odwróciła się i wbiegła po dwa stopnie na górę. Jej myśli były szybsze niż stopy. Planowała, co wrzuci do plecaka - aniołka owiniętego bezpiecznie w chustkę, wyprane pospiesznie ubrania włoży mokre do plastikowej reklamówki, paszport jest schowany w zewnętrznej kieszeni. Najpierw pójdzie do biura linii lotniczych, potem do ministerstwa... Plan układał się gładko. W ten sposób działała najlepiej - umysł ze spokojem wybierał strategię, ciało, pobudzone do działania, stawało się silne - nie było miejsca na niepotrzebne uczucia.

Gdy zeszła na dół, taksówka wezwana przez pana Berhanu już czekała. Wraz z należnymi pieniędzmi wręczyła mu maszynę do pisania. Była to przenośna maszyna marki Olivetti należąca do Daniela. Miała pokrowiec na zamek błyskawiczny i zacinające się trzy klawisze t, q i 6. Stella poczuła, że wraz z nią zostawia w hotelu część samej siebie.

- Proszę ją przechować - powiedziała. - Im mniej będę miała rzeczy, tym szybciej przejdę przez odprawę celną.

- Co mam z nią zrobić, jeśli pani nie wróci? - spytał niepewnie mężczyzna.

Stella spojrzała na niego. Nie wybiegała myślami poza obecny plan.

- Wrócę - odparła stanowczo. - I to wkrótce. Poproszę o ten sam pokój.

Pan Berhanu uśmiechnął się lekko.

- Naturalnie. Nie damy go nikomu innemu. - Po krót-

kim milczeniu położył dłoń na jej ramieniu, bardzo delikatnie. - Modlę się, by zastała pani ojca żywego.

Te słowa sprawiły, że poczuła się nagle jak małe dziecko, zagubione, bezradne, przestraszone.

- Dziękuję - wyszeptała.

Odwróciła się i odeszła. Patrzyła w dół, na płyty lastryko pod stopami. Trzy, cztery, pięć - liczyła w myśli - sześć, siedem... Jeśli wypadnie liczba parzysta, gdy dojdę do drzwi obrotowych - powtarzała sobie w duchu - zostanie uratowany. Będzie cały i zdrowy.

Wysiłkiem woli podniosła wzrok, zanim zbliżyła się do drzwi.

Samolot z mozołem przecinał powietrze, wznosząc się stromo nad lotniskiem. Stella siedziała z brodą wspartą na ramieniu i wyglądała przez zakurzoną plastikową szybkę. W dole, na końcu pasa startowego, leżał rdzewiejący wrak samolotu zestrzelonego przed dziesiątkami lat, gdy wojna domowa dopiero się zaczynała. Wpatrywała się w niego, póki nie zniknął z pola widzenia. Potem zaczęła przyglądać się wsioom na obrzeżu miasta, przypominając sobie miejsca, przez które zaledwie wczoraj przejeżdżała. Wkrótce jednak nie było widać nic, czym mogłaby zająć umysł i trzymać myśli na wodzy.

Zamknęła oczy. Próbowała przywołać wizerunek Williama, czułego, silnego ojca, który kiedyś tak bardzo był dumny z jedynaczki...

Ale twarz, którą zobaczyła, miała nieprzyjazne, zimne oczy i usta zarysowane wąską, nieubłaganą kreską. Stella zacisnęła dłonie na poręczy fotela, czując, jak narasta w niej napięcie. Przeżywała wszystko na nowo: żelazny upór ojca, ciężar jego słów, zwięzłych i stanowczych, gdy przedstawiał swój plan dotyczący jej osoby.

Plan, który rozdzierał jej serce...

Wezbrał w niej dawny gniew i rozlał się trucizną po

całym wnętrzu. Mieszał się z bólem i niezłomną miłością córki do ojca. Tak jak przez wiele minionych lat uczucia płynęły w niej dwoma osobnymi strumieniami: miłość i gniew, serdeczność i głuchy żal.

Spojrzała w dół na surowy krajobraz.

Strach ścisnął ją za gardło. Wiedziała, co ją czeka. Będzie musiała zmierzyć się nie tylko z uczuciami wobec Williama, ale też wobec matki, Grace...

I z samym miejscem, z Halfmoon Bay. Ze starym domem na cyplu i ogrodem graniczącym tylko przez płot z dziką naturą. Będzie musiała zmierzyć się ze skałami, wiatrem, niebem, morzem.

A przede wszystkim z tajemnymi zatoczkami. I wspomnieniem o Zefie.

Zef. Jego potargane od wiatru włosy we wszystkich odcieniach piasku. Jego zielone oczy połyskujące błękitem niby powierzchnia oceanu. Zef wracał do niej jak objawienie niosące promyk radości, choć i jego spowijał ból, najdotkliwszy.

Zakryła twarz dłońmi.

- Nie mogę tam wrócić - wyszeptała. - Nie mogę.

Słowa odbijały się echem w jej głowie, pozbawione znaczenia. Słyszała pomruk silników samolotu, w całym ciele czuła siłę ich drgań, gdy nieustępliwie ciągnęły maszynę w dal przez puste niebo.

2

Tasmania, Australia

Szosa wiała się między pagórkami pastwisk, na których roilo się od świeżo ostrzyżonych owiec. Na odgłos toczącego się z wolna autobusu jedna lub dwie unosiły głowy, reszta gryzła niewzruszenie bujną wiosenną trawę. Stella patrzyła na przesuwane się przed jej oczyma widoki. Za

20

ogrodzeniami wyrastały wysokie, niebieskoszare drzewa gumowe i akacje. Zaslaniały wybrzeże, ale czuło się bliskość oceanu, jego surową obecność czającą się za lasem drzew.

Wychyliła się w fotelu i spojrzała na drugą stronę, za przejście między siedzeniami. Strome, zalesione wzgórza sięgały w głąb lądu, aż po skraj urwistych, skalistych gór. Na horyzoncie stały pionowe kamienne bloki - mroczne słupy napierające na szare niebo. Widok był złowieszczy, ponury. Stella wróciła wzrokiem na pobocze szosy.

Gdy zbliżali się do kolejnej farmy, rozpoznała dużą groblę i opuszczoną stodołę otoczoną pasterskimi szalaszami. Wiedziała, że za następnym zakrętem zagrody ustąpią miejsca pasowi dziewiczego buszu, a wkrótce potem będzie skręt na drogę prowadzącą do Halfmoon Bay. Wzięła bagaż i przeszła między siedzeniami do drzwi.

Autobus zwolnił, gdy ukazała się wąska żwirowa droga odbijająca w lewo.

- Jesteśmy - powiedział kierowca.

Zatrzymał się na poboczu, obok drewnianego drogowskazu. Stella spojrzała przez mętną szybę drzwi na rząd czarnych liter wymalowanych na białym tle - „H” od Halfmoon było upstrzone dziurami po kulach.

- Na pewno nie chce pani, żebym podjechał na miejsce? - spytał kierowca.

Zerknęła na niego przez ramię. Zobaczyła, że patrzy na jej potargane włosy i pomięte, nieświeże po podróży ubranie. Uśmiechnęła się z trudem.

- Nie, dziękuję. Chętnie się przejdę.

Mężczyzna poprawił się w fotelu i sięgnął do drażka.

- Ja bym nie szedł. Nieźle wieje - pokiwał głową. - Nie znoszę wiosennej pogody. Z taką pogodą nigdy nic nie wiadomo.

Drzwi otworzyły się z sykiem. Stella kiwnęła kierowcy ręką i zeszła na żwir. Zimny wiatr smagał ją po twarzy i przenikał cienki żakiet. Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła

w drogę, otuliwszy ciało ramionami. Autobus tymczasem nabierał prędkości, plując spod opon drobnymi kamykami.

Droga przypominała wąską wstążkę w szarym kolorze. Prowadziła przez gęsty busz. Krzewy boobyalla i banksji sięgały skraju drogi. Ich liście były pokryte białym nalotem kurzu wzniesianego przez przejeżdżające pojazdy. Kobieta szła równym krokiem - w dół wzgórza i wzdłuż łuku szerokiego zakrętu. Potem droga niespodziewanie pozostawiała zieloną gęstwinę w tyle.

Stella przystanęła i oderwała wzrok od rozległych wrzosowisk. W dali rozciągało się morze, bezmiar falującej szarości poproszonej bielą. Ołowiana tafla odbijała się w niebie jak w lustrze tak wiernie, że linia horyzontu była prawie niewidoczna. Niebo i morze stanowiły jedno - ogromny, zimny bezkres. Poczula ciarki na plecach.

Niesiony wiatrem zapach wodorostów i soli wnikał do jej wnętrza z każdym oddechem. Pospieszyła dalej, ledwie zwracając uwagę na różnorodność barw mijanych krzewów, znajomych odcieni zieleni, brązu i czerwieni. Tymczasem droga skręciła w prawo i zaczęła opadać ku morzu. Za parę minut będzie pirs, pub, sklep. Wszystko.

Po wyjściu zza zakrętu Stella zwolniła, gdy jej oczom ukazało się mrowie jaskrawopomarańczowych plam. Pełno ich było na parkingu nieopodal pirsu. Pomarańczowi ludzie, pomarańczowe pojazdy... Widok, który znała z miejsc katastrof w różnych zakątkach świata - trzęsień ziemi w Turcji i Japonii, powodzi w Bangladeszu, zamachów bombowych w Irlandii. Zagryzła wargi, zacisnęła pięści w kieszeniach.

Nadal szukali.

Nadal był „zaginiony”.

Stanął jej przed oczami obraz połamanych kawałków drewna, drzazg unoszonych przez fale,

splątanych lin, postrzępionego płótna. Cisnęły się do głowy pytania. Czy znaleźli łódź? Tratwę ratunkową? Cokolwiek...

Chciała biec, dowiedzieć się, ale panowała nad sobą siłą woli. Trzeba się przygotować. Szukała we wspomnieniach głosu Daniela. „Jak w harcerstwie. Bądź gotowa. Zanim zaczniesz działać, zdaj sobie sprawę, co może cię spotkać. Przygotuj się na najgorsze. Dopiero potem - spokojnie i z dystansem - patrz i słuchaj, gromadź fakty”.

Zaczęła od morza. Teraz, z bliska, widziała, jak jest rozkołysane. Długie, wysokie fale rozbijały się o skały oddzielające głębokie rozlewisko od otwartego morza i rozpryskiwały w powietrzu białą pianę. Małe rybackie łodzie cumowały przy pirsie - trącały jedna drugą, kołysząc się na falach. Nie było natomiast dużych kutrów do połowu tuńczyków ani stateczków przystosowanych do pływania po głębszych wodach. Uczestniczyły w poszukiwaniach - domyślała się Stella. Jedynym wyjątkiem był zanedbany kecz Joego, „Grand Lady”. Stał pośrodku pirsu, tam gdzie zawsze, zawadzając innym. Stella dostrzegła stary niebieski ponton Micka uwiązany do boi cumowniczej i podrygujący na falach. Wyobraziła sobie rybaka stojącego na mocnym stalowym pokładzie kutra, przeczesującego wzrokiem morze w poszukiwaniu jakiegoś śladu „Lady Tirian”. Uświadomiła sobie, że ostatni raz była tu przed piętnastu laty. Nie wiadomo więc, czy Mick nadal pracuje na morzu. Rybacy czasami stawali się farmerami albo podejmowali pracę w St Louis. Łodzie kupowano i sprzedawano, kutry niszczały i rozbijały się. Po tak długim czasie nie mogła być niczego pewna...

Przeniosła wzrok z morza na ląd. Ujrzała ze dwa tuziny postaci ubranych w pomarańczowe stroje - a może i więcej. Mieszały się z mniejszą liczbą mężczyzn ubranych w robocze ubrania koloru khaki. Tu i ówdzie widać było oliwkowe twarze rybaków. Patrząc na nich, Stella poczuła przeszywający ból. Każdy przypominał wyglądem jej ojca. Pośrodku stała przyczepa, a przed nią duża biała tablica. W pobliżu parkował samochód policyjny. Obok niego rozstawiono na kozłach stół, na którym widniały wielkie garnki ustawione na przenośnych kuchenkach gazowych

oraz sterty misek i kubków. Przy stole zebrała się grupa kobiet - wiatr rozwiewał im włosy i tarmosił spódnice, gdy rozmawiały zwrócone do siebie twarzami. Uwagę Stelli przykuła wysoka, smukła postać. Stała niby z innymi, a jednak osobno. Stella głęboko nabrała powietrza. To była Grace. Widząc matkę tu, przy nabrzeżu, uświadomiła sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ruszyła szybkim krokiem w dół, ku parkingowi.

Zmierzała do przyczepy, przechodząc niepostrzeżenie wśród ochotników służb ratowniczych. Potem jednak zaczęła napotykać ludzi, których знаła. Znajome twarze pojawiały się tuż przed nią - starsze, lecz niezbyt zmienione. Pani Barron nadal miała ognistoczerwone włosy. Joe - pomarszczoną od wiatru twarz. Rodzice Laury. Lenny. Ned... Na widok Stelli ich oczy stawały się wielkie ze zdziwienia. Rzucali spojrzenia pełne sympatii i troski, podszyte żywą ciekawością. Nie zatrzymując się, odpowiadała na pozdrowienia.

Nagle ktoś złapał ją za ramię.

- Stella! To ja!

- Paulina.

Ledwie zdążyła wymówić imię, gdy znalazła się w objęciach pulchnych ramion.

- Moja kochana.

Stella wdychała delikatny zapach kobiety - przyjemny, dający poczucie bezpieczeństwa zapach matki, która całowała stłuczony palec, robiła chleb z masłem posypany różnokolorowymi cukrowymi paciorkami i która nigdy nie kazała dzieciom wkładać butów.

Matki Jamiego.

Stella znieruchomiała, a potem odsunęła się, lecz dłonie Pauliny pozostały na jej ramionach. Wciąż czuła ich ciężar. Na twarzy kobiety dostrzegła zmarszczki, wryte przez jej uśmiech.

- Robią, co mogą - powiedziała Paulina. - Wszyscy robimy, co możemy. Brian był na morzu cały dzień. Jamiego

nie ma, nadal jest w Terytorium Północnym. - Jej głos załamał się. Pociągnęła nosem, lecz zdołała się uśmiechnąć. -Dobrze, że jesteś, mała. Tęskniłam za tobą przez te wszystkie lata.

Próbowała odwzajemnić uśmiech. Przyglądała się badawczo twarzy Pauliny, ale nie znalazła na niej nawet śladu wyrzutu za cierpienie, którego sama jej przysporzyła.

- Chodź, chcę z tobą porozmawiać.

Paulina pociągnęła Stellę za łokieć i poprowadziła ją za pomarańczową przyczepę. A kiedy już były same, zaczęła mówić.

- Martwię się o Grace. Wszyscy się o nią martwimy. Stoi tu, na dworze, całymi dniami. Potem idzie do domu i -sądząc po tym, co przynosi rano - gotuje przez pół nocy. Każda z nas robiłaby, naturalnie, to samo na jej miejscu. Ale Grace ostatnio niedobrze się czuła.

Stella patrzyła na nią pustym wzrokiem. Paulina wyglądała na zmieszaną.

- Pani Barron mówi, że piszesz od czasu do czasu, więc sądziłam, że wiesz.

Pokręciła głową.

- Zaczęło się od tamtych dolegliwości kręgosłupa - kiedy zrezygnowałaś ze szkoły, żeby ją pielęgnować. Ale jedna choroba sprowadza drugą. Od tamtej pory stale podupadała na zdrowiu.

Prawie jej nie widywaliśmy. Najczęściej nie czuła się dość dobrze, by opuścić dom Pod Siedmioma Dębami. Biedny William. Był święty...

Stella przyglądała się swoim dłoniom. Cóż mogła powiedzieć? Tamtego lata padło tyle kłamstw.

Choroba kręgosłupa Grace była jednym z nich. Stella i William rozpowiadali, że Grace jest obłożnie chora, że córka musi zostać w domu, by się nią opiekować, podczas gdy matka przez cały czas była zdrowa jak ryba.

Może raz wypowiedziane kłamstwo - myślała Stella -jest jak ziarno zasiane w ziemi. Z upływem czasu rośnie i krzepnie, by wreszcie stać się czymś rzeczywistym...

- Ale przynajmniej teraz tu jesteś - powiedziała Paulina. - Grace tak bardzo się ucieszy. Jest tam, nalewą zupę.

Wskazała na Grace stojącą obok stołu i popchnęła Stellę w jej kierunku.

Gdy Stella zbliżała się do stołu, ludzie schodzili z drogi, jakby uważali ją za bardzo kruchą albo niebezpieczną, jakby nie wolno było jej dotknąć albo zmienić kierunku, w którym się poruszała.

Wreszcie stanęła obok stołu. Rozpoznała trzy inne zajęte pracą kobiety. Skinęły głowami, ale się nie odezwały. Stella wyczuwała, że nie chcą witać się z nią, zanim zrobi to matka.

Grace pochylała się nad garnkiem z chochlą w dłoni i mieszała zupę. Prowadziła łyżkę powolnymi, okrężnymi ruchami, wiedząc, że skupia na sobie uwagę otoczenia. Wydawało się, że mogłaby tak mieszać przez okrągły dzień.

Jasne włosy kobiety pokryte były siwymi pasmami, a na dłoniach uwypuklały się węzły żył. Cere miała nadal gładką, prawie bez zmarszczek - pewnie z powodu głębokiego spokoju, który tak często malował się na jej twarzy. Nawet teraz wyglądała pogodnie. I nie sprawiała wrażenia chorej.

Stella dotknęła ręki trzymającej chochlę. Zaskoczona Grace szarpnęła głową. Spojrzała na stojącą przed nią postać. Świadomość, kto to taki, zdawała się docierać do niej powoli, jakby filtrowana przez wiele warstw gazy.

Aż wreszcie opadła ostatnia zasłona. Grace spojrzała córce w oczy. Przez ułamek sekundy nie mogły niczego ukryć. Połączyła je iskra nadziei. Stella wstrzymała oddech, poczuła, jak ogarnia ją fala radości. Była tu, z matką, po tak długim czasie... Zaraz jednak odezwał się ból, zaczął narastać gniew. To samo wzburzenie widziała w oczach Grace, zanim ta odwróciła wzrok. Jej twarz stała się maską -grzeczną i zdystansowaną. Równie dobrze córka mogła być gościem, który niespodziewanie wpadł na herbatę.

Stella cofnęła się pół kroku, ręce opadły jej bezwładnie wzdłuż tułowia. Grace ostrożnie oparła chochlę o rondel.

Wytarła ręce w ścierkę do naczyń i poprawiła spódnicę. Potem wyszła zza stołu i zbliżyła się do córki. Stella postawiła plecak. Zbierała siły na przyjęcie dotyku matki - dotyku gęstych włosów Grace na jej skórze, i na zapach talku różanego - jedyne zapachu, który William lubi...

Matka unikała jej wzroku. Twarz miała bladą, tylko na policzkach widniały różowawe smugi. Stella wcisnęła ręce w kieszenie.

- Dostałam faks - zaczęła - i od razu ruszyłam w drogę. Miałam szczęście, że udało mi się wyjechać. Grace spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- To znaczy?

- Tam wszystko jest na krawędzi upadku. Tam, gdzie byłam... - Stella zamilkła. Tamten świat wydał się jej niesłychanie daleki od miejsca, w którym teraz stała.

- Dobrze, że przyjechałaś - powiedziała Grace. - William się ucieszy.

Zapadła krótka cisza. Słowa wypowiedane przez matkę z wyrafinowanym angielskim akcentem, niezmiennym mimo dziesiątków lat spędzonych na Tasmanii, zdawały się trwać w powietrzu, klarowne i stanowcze. Inne kobiety z zakłopotaniem odsunęły się na bok.

W chwilę później Stella dostrzegła w tłumie błękit policyjnego munduru. Przesunęła się nieco, by lepiej widzieć, rozpoznała siwe włosy i wyprostowaną sylwetkę Spinksa. Przypomniała sobie wszystkie pytania, które odsuwała od siebie podczas podróży. Zostawiła Grace i ruszyła w jego kierunku.

Podeszła do mężczyzny i dotknęła jego ramienia.

- To ja. Właśnie przyjechałam.

Na dźwięk jej głosu Spinks odwrócił się. Lustrował wzrokiem jej twarz.

- Miło cię widzieć, Stello.

- Co się dzieje? Proszę mi powiedzieć. Spinks zmarszczył brwi.

- Musimy porozmawiać.

Zaprowadził ją z powrotem do stołu, przy którym stała matka. Uniósł dłoń, by dotknąć Grace, lecz nagle zrezygnował z tego pomysłu.

- Chodźcie obie do przyczepy - zakomenderował. Ruszył w stronę metalowych schodków, zerkając przez

ramię do tyłu, żeby się upewnić, czy kobiety podążają za nim.

W przyczepie pachniało smażonym mięsem burzyka, dym[^]rn papierosowym i wilgotną wełną.

Wnętrze tchnęło atmosferą dawno przebrzmiałych wakacyjnych wygod, nie-pasującą do obecności policjanta w mundurze.

- Usiądźcie, moje panie - powiedział.

Sam stanął sztywno nieopodal. Stella wiedziała, że policjant oraz jego siostra, która mieszkała z nim, byli najbliższymi przyjaciółmi rodziców, mimo że w celach towarzyskich spotykali się zaledwie parę razy do roku. Spinks zawsze chlubił się swoim profesjonalizmem, więc nawet teraz w czterech ścianach przyczepy starał się zachować ostrożną neutralność.

Czekał, aż obie kobiety wcisną się za stolik, na którym wały się jednorazowe kubki, mapy i pineski. Stella dostrzegła leżącą w tym bałaganie gazetę. Znieruchomiała. Z fotografii spoglądał na nią William. Serce ścisnęło jej się z bólu. Ojciec patrzył dumnym wzrokiem, który tak dobrze znała - z tym samym wyrazem twarzy prowadził córkę przez szkolne boisko każdego pierwszego dnia nowego semestru... Przyglądała się jego oczom, spojrzeniu uwiecznionemu w czerni i bieli. Fotografia była niewyraźna, jakby zrobiona teleobiektywem przez kogoś nieproszonego.

William Birchmore - napisano w nagłówku - ***prezes Stowarzyszenia Rybaków w Halfmoon Bay.***

Stella przebiegła wzrokiem tekst. ***...zasłużony dla społeczności nadmorskiego miasteczka... zaginął przed czterema dniami na morzu... odwołano poszukiwania z powietrza...***

Fotografia zniknęła Stelli z oczu. Spinks zabrał gazetę,

złożył ją i wsunął pod pachę, po czym stanął na niewielkiej wolnej przestrzeni między drzwiami a piecykiem.

- Przez dwa dni prowadzono poszukiwania z powietrza. Niczego nie znaleziono, żadnego śladu „Lady Tirian” czy tratwy ratunkowej. - Spojrzał na Stellę. - Wczoraj musiałem je odwołać.

Stella powoli skinęła głową. Czuła obecność siedzącej obok Grace, która nerwowo obracała w palcach długopis.

- Teraz skupiamy uwagę na przeszukiwaniu lądu -ciągnął Spinks.

Wskazał mapę przypiętą do drzwi szafy. Na morzu narysowane były czarne linie prowadzące od zatoki na południe. Stella od razu je rozpoznała - trasy połowów Williama, trasy, spośród których wybierał kierunek rejsu, zależnie od pogody. Wybrzeże było podzielone na sektory, zacienione różnymi kolorami.

- Moi ludzie są we wszystkich sektorach - mówił Spinks. - Szukają też w głębi lądu. Kłopot polega na tym, że chociaż wiemy, gdzie szukać, bo znamy jego trasy, i chociaż określiliśmy strefy, gdzie mogło go znieść, biorąc pod uwagę wiatr i prąd, to dotychczas niczego nie znaleźliśmy.

Stella ze stoickim spokojem przyjmowała jego słowa.

- Więc co się stało? Gdzie jest błąd?

Grace odłożyła długopis i bacznie wpatrywała się w twarz poliq'anta, jakby miała nadzieję, że usłyszy jakąś nowinę.

Spinks pokręcił głową.

- Sam chciałbym wiedzieć. Był sztorm. Nad wybrzeżem szalał huraganowy wiatr. Ale to w końcu nic nadzwyczajnego. Inne łodzie wróciły bez kłopotu albo znalazły schronienie na wysepkach. Dobrze wiecie, jakie tu mamy morze. Wielka fala jedną łódź rozbija, a drugą zostawia nietkniętą. Cokolwiek się stało, musiało stać się niespodziewanie. Nie było ani sygnału SOS, ani rac. A twój tata nigdy nie wpływał z niesprawnymi urządzeniami. Nie tak jak niektórzy...

Stella patrzyła na Spinksa w milczeniu. Mówił zbyt szybko. Wyczuwała, że wypełnia powietrze słowami, by nie powiedzieć najgorszego.

- Ile miał czasu, by się ratować? Oto jest pytanie - ciągnął. - W takich warunkach... nigdy nie wiadomo. Jeśli był na morzu, to obawiam się... - Mężczyzna zawiesił głos. - Jeśli był na tratwie ratunkowej, to znowu co innego. Powinni ją byli dostrzec z powietrza, choć na morzu trudniej bywa cokolwiek zauważyć, niż się ludziom wydaje. Przy dużej fali można nie dostrzec nawet sporej jednostki. Tak czy owak możemy jedynie żywić nadzieję, że udało mu się dotrzeć do brzegu. Ale muszę szczerze powiedzieć, że sytuacja jest poważna.

- Nie umarł.

Głos Grace przeszył powietrze, ostry i czysty. Gwałtowny podmuch wiatru uderzył w drzwi przyczepy.

Stella odwróciła się i spojrzała na nią. Podbródek kobiety był buńczucznie uniesiony.

- Nie umarł - powtórzyła. - Wiedziałabym, gdyby nie żył.

Stella przeniosła wzrok na Spinksa. Powoli kiwał głową, jakby przyznawał, że jej matka może mieć rację. W końcu wszyscy wiedzieli, jak małżonkowie byli sobie bliscy. Byli jak jedna osoba.

- Przypomnij sobie te łodzie - mówiła dalej Grace - których zdjęcia są w pubie...

- Tak. Cuda się zdarzają - przyznał Spinks. - Na przykład „Briar Rose” w 1974. Trójka ocalałych natknęła się na obóz piechurów wędrujących po buszu dopiero po dziesięciu dniach od katastrofy. Albo wrak „Ella Jane”. Albo stary Joe. Straciliśmy już przecież nadzieję, że kiedykolwiek zobaczymy i jego, i „Grand Lady”.

Stella wpatrywała się w swoje palce podążające śladem słoików drewna na blacie stolika. Ten człowiek snuł miejscowe opowieści, traktując ją, jakby była obca. A przecież ona stała na nabrzeżu, gdy przyszła wiadomość o „Ella Jane”.

Czyżby zapomniał? Czy może chce jej uświadomić, że nie należy już do tej społeczności, że zbyt długo przebywała daleko, odwróciła się od wszystkich?

Spinks podszedł do okna i wyjrzał na dwór.

- Chyba potrzebują twojej pomocy - powiedział do Grace, dając Stelli znak, by została.

Grace wydostała się zza stolika. Sprawiała wrażenie zadowolonej, że może już wyjść - niczym uczennica, której pozwolono opuścić gabinet dyrektora szkoły. Gdy wyszła, delikatnie zamykając drzwi, Spinks oparł się o piecyk. Ważył słowa, które miał teraz wypowiedzieć.

Stella patrzyła w okno. W pobliżu pubu dostrzegła jaskrawe światło neonu. Słowa, pętelki liter, świeciły czerwono na tle szarego nieba: Hotel Halfmoon Bay.

- Muszę z tobą porozmawiać o Grace - zaczął Spinks. - Martwię się o nią.

- Wiem - przerwała mu. - Paulina już mi mówiła. Ale mama z pewnością sama potrafi zdecydować, czemu może podołać.

- Nie tylko o to chodzi - powiedział Spinks. - Przyjeżdża tu furgonetką.

Stella zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. Matka nigdy nie prowadziła samochodu. Birchmore'owie mieszkali daleko, na cyplu, i Grace zawsze musiała prosić męża o podwiezienie, ilekroć chciała pojechać do Halfmoon Bay albo stamtąd wrócić.

- Kiedy się nauczyła prowadzić? - spytała.

- Nie nauczyła się - oświadczył policjant. - Widziałem, jak jechała dziś rano, ledwie potrafi zmieniać biegi. Podczas parkowania omal nie wpadła na przyczepę do transportu łodzi. Trzeba temu położyć kres.

- Dobrze. Porozmawiam z nią.

Poczuła ciężar spoczywającej na niej odpowiedzialności.

- W porządku - rzekł Spinks. - Idź teraz, pomóż matce. Zrobiła krok w stronę drzwi, ale mężczyzna powstrzymał ją ruchem ręki.

- Zaczekaj. Chcę ci coś jeszcze powiedzieć. Wiem, że wykonujesz ważną pracę dla tego pisma. Moja siostra, Mary, ma album z wycinkami twoich artykułów. Dwa albumy. Ale dobrze zrobiłaś, że przyjechałaś do domu. - Zamilkł i spojrzał jej w oczy. - Przykro mi, że sprowadziło cię do domu akurat coś takiego. Nie zrozum mnie źle, Stello, ale myślę, że o wiele za późno. Gdy ktoś jest tak daleko przez całe lata i nie przyjeżdża w odwiedziny, to znak, że coś trzeba naprawić.

Stella patrzyła w ziemię. On nie wie - mówiła sobie w duchu - nie może wiedzieć. William i Grace nigdy by mu nie powiedzieli. Czuła jednak, jak budzi się w niej cień wątpliwości. Spinks miał zdolność odgadywania rzeczy, o których nie powinien był wiedzieć. Coś w rodzaju szóstego zmysłu. Uniosła głowę i spojrzała policjantowi w oczy.

- Nie zostanę tu długo - powiedziała stanowczo. Mężczyzna chwilę milczał, potem sięgnął do kieszeni.

- Pozwoliłem sobie to zabrać. - Podał jej klucz. Koniec wkładany do zamka lśnił, reszta była skorodowana od soli. - Od furgonetki - wyjaśnił. - Niełatwo było go wyjąć. Teraz ty go miej. Stella poczuła, jak kształt klucza odciska się na jej skórze. Wiedziała, że klucz jest symbolem dokonanej transakcji. Ona będzie teraz opiekować się Grace - i tak ma pozostać, póki... póki William się nie odnajdzie.

A może nie odnaleźć się nigdy.

Wzięła głęboki oddech. Ból niósł z sobą wiele pytań: Co by to oznaczało dla Grace?... I dla niej samej?... Podobne obawy były wypisane na twarzy policjanta. Wsunęła klucz głęboko do kieszeni i wyszła za nim z przyczepy.

Grupa wolontariuszy otoczyła stół z jedzeniem, prawie zupełnie go zasłaniając. Stella przepychała się przez tłum w kierunku miejsca, gdzie stała Grace, ale dostrzegłszy jej siwe włosy, zawahała się. Miała wrażenie, że nie da rady spojrzeć matce w twarz. Czuła ucisk w żołądku na myśl

o tym, co może zająć między nimi, na myśl o potężnych, powstrzymywanych emocjach. Potrzebowała samotności, by na to się przygotować.

Zawróciła i długim krokiem ruszyła w przeciwnym kierunku, przez parking, lawirując między pojazdami i przyczepami do przewożenia łodzi. Patrzyła wprost przed siebie, by sprawić wrażenie, że się spieszy i nie należy jej zatrzymywać. Zmierzała w stronę rozpadających się murów z piaskowca, w stronę starej stacji wielorybniczej. Wiedziała, że tam znajdzie schronienie przed cudzymi spojrzeniami. Tam, gdzie nastolatki całowały się, paliły papierosy i wydrapywały swoje imiona w miękkim kamieniu. Imię Stelli także tam było. ***Jamie kocha Stellę. 1972. A może: Stella kocha Jamiego?*** Nie pamiętała.

Gdy dotarła do otwartych na oścież drzwi starego budynku, wślizgnęła się do środka. Część murów od strony morza już nie istniała i wiatr bez przeszkód hulał po wnętrzu. Smagał Stellę po twarzy, gdy przywarła plecami do muru i oparła głowę o piaskowiec. Patrzyła w dół - ponad skarłowaciałe od wiatru trawy łąk - na głązy okalające morski brzeg. Fale uderzały w nie z całą mocą, a potem stawały dęba, wzbijały się w powietrze. Przeniosła wzrok na przyładek wysunięty w cieśninę i jeszcze dalej, ku wyspom, przycupniętym na horyzoncie.

Śledziła wzrokiem zarys dalekich, skalistych wzgórz. Ich kształt znała tak dobrze, jakby był wyryty w jej duszy. Bez trudu rozpoznawała zapachy, dźwięki, barwy - jakby wyjechała stąd zaledwie wczoraj. Zbyt późno zorientowała się, że popełniła błąd, przychodząc tutaj i pozwalając sobie na spotkanie z morzem sam na sam...

Stała wyprostowana z ciałem przyciśniętym do muru, jakby chciała się w niego wtopić. Wiatr dmuchał jej w twarz i wpychał końce włosów do oczu. Wargi miała suche, a dłonie obolałe z zimna.

Ale nie zwracała na to wszystko uwagi, zasłuchana w krzyk mew i ryk zachodniego wiatru, który trzymał ją w uścisku, obezwładniał, otulał i unosił w odległą przeszłość...

3

Piętnaście lat wcześniej

Halfmoon Bay, Tasmania, 1975

Była dopiero dziewiąta rano, ale słońce grzało już bardzo mocno. Stella jechała rowerem po piasku odsłoniętym przez odpływ. Pedalowała powoli, rozglądając się po plaży. Ciemne brunatnice kołysały się na płyciznach, popychane lekko przez leniwe wody. Mewy kroczyły majestatycznie po piasku, pozostawiając za sobą długie linie tropów. Morze wyglądało jak niezmierna jasnobłękitna równina ciągnąca się aż po horyzont.

Gdy nadmorski szlak się skończył, Stella pojechała wyboistą łąką, by dotrzeć wreszcie do żwirowej drogi prowadzącej w dół wzgórza, do Halfmoon Bay. Widziała domy skupione wokół pirsu i głębokiego rozlewiska oddzielonego od otwartego morza skałami. Cynowe dachy, pomalowane na różne odcienie zieleni i czerwieni, połyskiwały w słońcu widocznymi tu i ówdzie płatami nagiego metalu. Nabierając prędkości, dziewczyna uniosła podbródek i jej długie włosy płynęły za nią jak strumień.

Ledwie wyjechała z za ostrego zakrętu, ujrzała niebie-sko-białą markizę sklepu. Z oddali przy drzwiach majaczyła kolorowa plama. Gdy Stella się przybliżyła, spostrzegła, że to pani Barron, właścicielka sklepu. Kobieta stała na składanej drabinie i wyciągniętymi ku górze rękami usiłowała podtrzymać wielki brązowy kształt wycięty z dykty. Bożonarodzeniowy renifer zdobił fronton sklepu od pierw-

31

szych dni listopada - teraz, odczepiony z jednego końca, zwisał skośnie ze srebrną lametą dyndającą u rogów.

- Kto to?! - zawołała pani Barron, nie odwracając głowy, gdy Stella zatrzymała rower.

- To ja, Stella.

- Przytrzymaj mi drabinę, kochanie. Ten przekłety wiatr znowu narobił kłopotu.

Stella zsiadła z roweru i podbiegła bliżej. Śmiała się w duchu. Pani Barron nieustannie walczyła z wiatrem. Wiatr nie tylko ściągał sklepowe dekoracje, ale też opryskiwał szyby słoną mgiełką, rozdzierał plakaty i przewracał czarną tablicę z ogłoszeniami o „szczególnych okazjach”. Słońce było równie złe - z jego powodu płowiały towary na wystawie, psuły się owoce i więdły warzywa.

Stella oparła się o ścianę sklepu i mocno trzymała drabinę, gdy pani Barron wbijała cztery wielkie gwoździe, by przymocować figurę z dykty do zewnętrznej okładziny budynku.

- Teraz nie spadnie - powiedziała kobieta, kiwając z zadowoleniem głową. - Rudolf nie może nam sprawić zawodu w wigilię Bożego Narodzenia. - Spojrzała bacznie na dziewczynę. - Przyjechałaś obejrzeć zdjęcia?

- Jakie zdjęcia? - zdziwiła się Stella.

- Z przyjęcia dla absolwentów.

Pani Barron wskazała dłonią na tablicę ogłoszeń umieszczoną na ścianie tuż przy drzwiach, gdzie wisały w rzędzie kolorowe fotografie przypięte nad pisanymi odręcznie ogłoszeniami „Na sprzedaż”.

- Przysłał je wczoraj fotograf z St Louis. Obejrzyj sobie. Zaraz przyjdę, tylko odstawię drabinę.

Stella precyzyjnie się obok pani Barron i stanęła przed fotografiami. Pierwsze ze zdjęć przedstawiało grupę dziewcząt z dziesiątej klasy, ustawionych szeregiem jedna obok drugiej. Wszystkie miały długie suknie z pastelowych materiałów w kwiatki ozdobione koronkami i falbankami, włosy spięte wysoko lub spływające na ramiona wymyśl-

nymi lokami, twarze jaśniejące cieniami do powiek, po-madkami i różem.

Jedna z postaci zdecydowanie się wyróżniała. Ciemnowłosa dziewczyna ubrana w sukienkę w zuchwale pomarańczowym kolorze - prostą, bez koronek, falbanek czy szarf. Jej makijaż był prawie niezauważalny, a włosy opadały luźno na plecy.

Wyglądała pięknie.

Patrząc na nią, Stella otworzyła ze zdumienia usta. Nie mogła uwierzyć, że to ona sama, Stella Birchmore.

Odtworzyła w pamięci moment, gdy zjawiała się w szkolnej sali gimnastycznej z Jamiem u boku, gdy szła wzdłuż drabinek udrapowanych muślinem i serpentynami ku scenie, na której zajmował miejsce zespół muzyczny, a gdzie zazwyczaj stał dyrektor szkoły. Zdawała sobie sprawę i ze spojrzeń płynących ku niej ze wszystkich kątów sali, i z błysków zachwytu w oczach Jamiego. Przyjaciółki witały ją wzrokiem pełnym zazdrości. Wszystkie tak bardzo się starały, by na tę jedną, szczególną noc przeobrazić się w istoty nieprzypominające w niczym dawnych koleżanek, które od przedszkola dzieliły się kanapkami i zawierzały sobie sekrety. Ale udało się tylko Stelli.

Przesłała ojcu nieme podziękowanie, bo jemu wszystko zawdzięczała. To on wiedział lepiej niż ona, co dla niej dobre...

Inne dziewczęta wybrały się z mamami po suknie do Hobart. William nalegał, by suknia jego córki została uszyta w domu. Daremnie protestowała.

- Nie chcesz chyba wyglądać jak wszystkie - oświadczył. Stał w jej pokoju. Wśród sprzętów dziecinnej sypialni wydawał się jeszcze wyższy niż w rzeczywistości. Stella otworzyła usta, by się sprzeciwić, lecz ojciec wyszedł z pokoju, dając wyraźnie do zrozumienia, że dyskusja została zakończona.

Nieco później tego samego dnia Grace przyniosła sztukę pomarańczowej satyny, złożonej i opasanej wstążką.

- Przywiozłam ją z Anglii - powiedziała. Gdy rozłożyła materiał, w powietrzu rozszedł się zapach środka przeciw-molowego. Jej dłonie zawisły nad materiałem, jakby nie była pewna, czy nie lepiej zabrać go i z powrotem schować. Rzuciła Stelli szybkie, nieśmiałe spojrzenie. - Wiem, że jest stary, ale bardzo dobry jakościowo. Myślę, że będzie ci w tym kolorze do twarzy.

Stella rzuciła okiem na pas tkaniny i odwróciła głowę.

Podczas następnych tygodni pomarańczowa satyna pojawiała się w różnych punktach domu w postaci sporych kawałków, skrawków, długich nitek. Stella nadal ubolewała, że nie może kupić sobie sukienki w sklepie, tak jak inne dziewczęta, ale zarazem czuła, jak uwodzi ją tajemne piękno tkaniny. Wyobrażała sobie tę materię na orientalnym bazarze, prezentowaną przez kupca z zakrzywioną szablą u biodra i turbanem na głowie - połyskliwy refleks zmieszanych z sobą barw mandarynki i przypraw... Gdy suknia była gotowa, włożyła ją i pełna obaw udała się do sypialni rodziców, żeby przejrzeć się w dużym lustrze. Odetchnęła z ulgą. Nie od razu pojęła, jak wspaniała była ta sukienka. Wiedziała tylko, że nie wygląda w niej najgorzej...

Stella patrzyła na zdjęcia przez zakurzone szkło tablicy ogłoszeń. Za jej plecami zaszeleściła wisząca w drzwiach zasłona z kolorowych pasków i pani Barron weszła do środka.

- Nie mogłam uwierzyć, że to ty! - powiedziała. - Wyglądasz jak aktorka. Skąd masz tę suknię?

- Mama mi ją uszyła.

Usłyszała nutę zdziwienie we własnym głosie. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że Grace, która nigdy nie siadywała z innymi mamami, by przejrzeć czasopisma z modą, potrafiła zrobić taką sukienkę.

- Nie wiedziałam, że umie szyć - rzuciła pani Barron. Zapadła cisza. Przez lata Stella stykała się z tym rodzajem ciszy - nie tylko ze strony właścicielki sklepu, ale i in-

nych osób. Grace uczestniczyła w spotkaniach towarzyskich, takich jak zebranie Stowarzyszenia Żon Rybaków, tylko wtedy, gdy William był w domu i mógł ją na nie zawieźć. I zawsze musiała wcześniej wychodzić, bo - jako rybak - jej mąż lubił kłaść się spać wkrótce po podwieczorku. Czasami tylko, jeśli potrzebowała czegoś ze sklepu, a William był na morzu, Grace jechała do Halfmoon Bay rowem. Zabierało jej to jednak tyle czasu, tyle czasu musiała zmarnować, że zwykle kończyło się wysłaniem po zakupy córki. W rezultacie członkowie miejscowej społeczności nie znali Grace tak dobrze jak innych kobiet. Pani Barron wskazała na kolejną fotografię.

- Na tej podobasz mi się najbardziej.

Było to jedno ze zdjęć przedstawiających „pary”, podobiznę Stelli stojącej obok Jamiego. Zostali uchwyceni w chwili, gdy z czegoś żartowali, patrzyli na siebie, uśmiechnięci.

Jamie wyglądał równie imponująco jak Stella. Ciemne włosy znakomicie pasowały do wypożyczonej ciemnej marynarki. Zęby chłopca były białe jak jego nowiutka koszula. A ciemnooliwkowy odcień skóry wspaniale łączył obie te skrajności.

- Piękna z was para - stwierdziła pani Barron. - Wystarczyłoby zmienić kolor sukni, a wyglądalibyście jak państwo młodzi. - Mamy dopiero po szesnaście lat - zaprotestowała Stella, ale uśmiechnęła się z dumą. - Jak miałam szesnaście lat, byłam już zaręczona - odrzekła pani Barron. - Wiem, że teraz są inne czasy. Teraz młodzi muszą wyjeżdżać, żeby uczyć się tych różnych rzeczy. - Przeszła w drugi kraniec sklepu. - Jest do ciebie poczta. Dziewczyna ruszyła za nią. Gdy podeszła do lady, pani Barron przeszukiwała koperty w przegródce oznaczonej literą „B”. Po chwili wyjęła kartkę pocztową.

- Od Laury - powiedziała, wręczając Stelli pocztówkę. - Wygląda na to, że dobrze się bawią.

Stella rzuciła okiem na obrazek przedstawiający dziewczyny w kostiumach kąpielowych przy basenie w tropikach i poczuła dotkliwą stratę. Następnego dnia po przyjęciu dla absolwentów rodzina Laury

wyjechała do Gold Coast, pozbawiając Stellę najlepszej przyjaciółki na całe wakacje. Propozycję, by pojechała razem z nimi, Stella odrzuciła, nie pytając nawet rodziców. Wiedziała, że William nigdy by się na to nie zgodził - uważał, że rodzice Laury nie są dość surowi. Poza tym Stella nie mogła sobie wyobrazić Bożego Narodzenia Williama i Grace, niemających w okolicy żadnych krewnych, bez jedyne dziecko.

- Popatrz, co przyszło dzisiejszego ranka.

Pani Barron położyła paczkę na ladę. Stella obrzuciła wzrokiem brązowy papier pakowy i uśmiechnęła się, rozpoznając staranne pismo swego ojca chrzestnego. Od kiedy pamięta, zawsze dostawała od Daniela na Gwiazdkę prezent. Był to jedyny rodzaj kontaktów, jaki z nim miała, i zawsze z niecierpliwością wyczekiwała nadejścia prezentu w listopadzie lub na początku grudnia. W tym roku, gdy mijały tygodnie, a podarunku nie było, zastanawiała się, co też mogło się stać z paczką albo z Danielem...

- Już myślałam, że nie zdąży - ciągnęła kobieta. - Trochę się spóźnił z wysyłką.

Stella zacisnęła usta. Nie przeszkadzało jej, że kobieta przeczytała pocztówkę od Laury, ale paczka od chrzestnego to coś specjalnego, bardzo osobistego. Miała ochotę powiedzieć pani Barron, że nic wielkiego by się nie stało, gdyby paczka od Daniela się spóźniła albo nie przyszła wcale, ale wzięła tylko pakunek i przycisnęła go do piersi.

- Masz listę zakupów? - spytała pani Barron. Dziewczyna sięgnęła do kieszeni i wyjęła kawałek papieru zapisany starannym pismem Grace.

Pani Barron przyglądała się kartce przez chwilę, po

czym zaczęła krążyć po sklepie, biorąc produkty z różnych półek i ustawiając je rzędem na ladzie. - Proszę bardzo - powiedziała, sprawdzając kolejne punkty z listy. - Miód z koniczyny, wanilia, w laskach, a nie esenq'a, mąka, cukier i tak dalej. Nie mam tylko jednej rzeczy. Wołowiny. Zajrzę jeszcze do innej zamrażarki, ale jestem prawie pewna, że mam jedynie mięso kangurze. -Uśmiechnęła się porozumiewawczo, zmierzając ku wspomnianej innej zamrażarce. - A takie mięso, naturalnie, Birchmore'ów nie zadowolili!

Stella nie odpowiedziała. Gdy odwiedzała domy przyjaciół, chętnie jadała potrawy z mięsa kangurów, burzyków, dzikich gęsi, ryb, czegokolwiek. Ale w domu Pod Siedmioma Dębami Grace podawała wyłącznie jagnięcinę, kurczaki albo wołowinę, i to konkretne kawałki mięsa, wymienione w przepisach kulinarnych, którymi się posługiwała.

Wszystkie przepisy pochodziły z jednej książki kucharskiej - ręcznie zapisanego notatnika oprawionego w ciemną tkaninę. Ilekroć Grace zamierzała upiec ciasto, przygotować potrawkę albo nawet sporządzić listę zakupów, zawsze sięgała po notatnik leżący na kominku. Zanim położyła go na kuchennym stole, przeciągała dłonią po powierzchni blatu, żeby sprawdzić, czy jest czysta. Notatnik traktowano jak świętość, nie wolno było zachlapać kartek mlekiem czy pobrudzić kakao.

Przepisy zostały zebrane przez matkę Williama. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy był małym dzieckiem. Ciotka Jane przechowała notes dla przyszłej żony Williama i w rodzinie często wspomniano, jak starsza pani wręczyła Grace ten cenny dar owinięty w biały muślin w dniu ślubu. Ciotka Jane wytłumaczyła później Grace, że zrobiła to, by William zawsze mógł jeść dania, które jego matka, a potem ciotka dla niego przygotowywały.

Sumienne wykonywanie zadania powierzonego Grace przez ciotkę Jane stało się bez mała legendą. William lubił opowiadać córce, jak jej matka ćwiczyła przygotowywanie

potraw według przepisów teściowej, póki nie osiągnęła absolutnej perfekcji. Kluczem do sukcesu było ponoć skrupulatne trzymanie się wszystkich wytycznych: dokładne odmierzanie składników, zamiast dodawania ich na oko, wykonywanie wszystkich czynności we właściwej kolejności, i niezastępowanie wskazanych składników innymi... Pani Barron wracała z pustymi rękami.

- Mam tylko dziczyznę i kangura - oznajmiła. - Muszę zamówić mięso w St Louis.

Razem spakowały wiktuały do kartonowego pudła. Gdy skończyły, pani Barron zerknęła w stronę pirsu.

- Tata jeszcze nie wrócił - stwierdziła. Rzuciła chłodne spojrzenie za siebie, na otwarte drzwi prowadzące do salonu jej mieszkania. - Potrafi ciężko pracować - dodała głośno. - W przeciwieństwie do niektórych.

Stella dostrzegła siwą głowę pana Barrona i odblask ekranu telewizora.

- Przy takiej pogodzie zostanie na morzu tak długo, jak się da - powiedziała. - Teraz, przed Nowym Rokiem, ceny są bardzo dobre.

Mówiąc o ojcu, czuła wzbierającą w niej dumę. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy uważają Williama za jednego z najlepszych rybaków w Halfmoon Bay. Jego dokonania liczyły się tym bardziej, że nie był urodzonym rybakiem. Sprawność w żeglowaniu i łowieniu zyskał dzięki ciężkiej pracy.

Pani Barron przytrzymała karton, by jej klientka mogła włożyć do niego paczkę z prezentem.

- Zamówisz jakieś fotografie? - spytała.

Ton jej głosu był niby obojętny, lecz dziewczyna wiedziała, co się pod nim kryje.

Wzruszyła więc ramionami, chcąc sprawić wrażenie niezainteresowanej.

- Nie jestem pewna.

- Wypisz tylko numery. Robię listę dla fotografa. - Pani Barron zamilkła na chwilę, sprawdzając spis zamówień le-

żący przy kasie. - Popatrzmy... Jamie zamówił zdjęcie, na którym jesteście oboje. I to śliczne, na którym jesteś sama. Poprosił, by je powiększyć.

Stella uśmiechnęła się wdzięcznie. Wyobraziła sobie Grace, zadowoloną ze swej dobrze ułożonej córki, już prawie dorosłej, która potrafiła ukryć swoje uczucia.

- Życzę pani wesołych świąt - powiedziała.

Odwróciła się i wyszła ze sklepu.

Wśród drzew herbacianych na tyłach sklepu Stella postawiła karton obok roweru i usiadła na ziemi z paczką w rękach. Oparła plecy o cienką jak papier korę pnia i przeczytała adres napisany znajomym, ozdobnym pismem.

Adresat:

Sklep w Halfmoon Bay (dla panny Stelli Birchmore) Halfmoon Bay, Tasmania

Odwróciła paczkę i przeczytała: ***Nadawca:***

Daniel Boyd ul. Willowdene 125 Melbourne, Australia

Ojciec chrzestny przyjechał z Anglii przed czterema laty, lecz Stella nigdy się z nim nie spotkała - mimo że jako kuzyn Grace był jedynym krewnym Birchmore'ów w Australii. Jego podpis widniał na metryce chrztu, ale nie było zdjęć z uroczystości, nie mogła więc sobie wyobrazić, jak Daniel wygląda. Poznawała go poprzez prezenty - prezenty niezwykle, gromadzone i przechowywane w drewnianym pudle. Kiedy była mała, dostawała od niego zabawki kupione w sklepie, w pudełeczkach i pakietkach, z drukowanymi etykietami i instrukcjami. Gdy dorosła, zaczął przysyłać niepospolite przedmioty pochodzące z różnych stron świata - wybrane, jak sądziła, spośród posiadanych przez niego rzeczy. Znalazły się wśród nich jedwabne buci-

ki z Chin, zbyt małe, by je nosić, pozytywka z rzeźbionym wieczkiem grająca *Edelweiss*, malowana maska z Kenii. Prezentom zawsze towarzyszyła kartka napisana takim samym pismem jak adres na opakowaniu paczki. Na kartce znajdował się opis prezentu i zazwyczaj data. *Lata 30., 1955* albo *Sprzed drugiej wojny światowej*.

Czasami Daniel opisywał, skąd ma prezent.

Transakcja wymienna z arabskim kupcem na bazarze w Ade-nie, 1967 albo *Pamiątka z Egiptu*.

Stella uwielbiała te prezenty, egzotyczne przedmioty, skarby będące jej własnością, nienależące ani do Williama, ani do Grace, tylko do niej...

Drzewo herbaciane rzucało cętkowany cień, gdy obracała paczkę w dłoniach, szukając węzełka na sznurku. Jak na swoje rozmiary paczka była ciężka, a jej kształt nie dawał wskazówek co do zawartości. Rozsuplując sznurek i odrywając paski taśmy klejącej, próbowała odgadnąć, co może być w środku. Starła się nie myśleć o Danielu, nie zastanawiać się po raz kolejny, jaki popełnił błąd. Wiedziała, że musiało to być coś poważnego, bo unikano wymawiania jego imienia, a w każdy bożonarodzeniowy poranek przy odpakowywaniu prezentu w pokoju zalegała niezręczna cisza. Wtedy z przerażeniem myślała o tym, do czego może dojść między ludźmi - nawet między członkami rodziny, o tym, że można kogoś wykluczyć, odciąć, jak gałąź drzewa gumowego, która jest niebezpieczna, bo zagraża oderwaniem się albo zasłania światło.

Spod brązowego papieru wyłonił się pakiecik owinięty różową bibułą i związany złotą wstążką. Prezenty od Daniela zawsze były pięknie opakowane - nigdy w papier z nadrukiem płatków śniegu, choinek czy świętych Mikołajów. Stella zastanawiała się, czy wybierał opakowania samodzielnie, bo nie pasowały do mężczyzny. Pod miękką bibułą jej palce wyczuły twardą bryłkę wielkości dłoni. Do kolejnej warstwy opakowania, zwykłego białego papieru, przyklejona była mała karteczka:

Dla kochanej Stelli z wyrazami wielkiej sympatii ojciec chrzestny, Daniel

Co roku pisał te same słowa, jakby nie chciał ryzykować nawiązania z nią bardziej osobistego kontaktu albo jakby -tak sądziła - było to zakazane... Odwróciła kartkę i przeczytała:

Anioł, posązek z francuskiego ogrodu. Ma co najmniej sto lat.

Rozwinąwszy papier, zobaczyła klęczącą postać wyrzeźbioną w białym kamieniu. Spokojną twarz zdobiła szeroka aureola, delikatne dłonie były złożone do modlitwy. Westchnęła z zadowoleniem. Aniołek wyglądał łagodnie, a zarazem tchnął odwagą. Był piękny. W rzeźbionych rysach zdawało się pulsować życie, a kamień, z którego wykonano figurkę, sprawiał wrażenie kolorowego. Stella widziała złoto aureoli, błękit sukienki, rumieniec policzków kontrastujący z bladą buzią. Wyobrażała sobie, że aniołek ma ciemne włosy, gęste brwi i brązowe oczy okolone czarnymi rzęsami. Obróciła figurkę i dostrzegła złożone skrzydła. Wyglądały na zadziwiająco mocne, przyczepione do ramion aniołka silnymi mięśniami. Gdyby tylko chciał -myślała - w każdej chwili mógłby je rozłożyć i odlecieć.

Siedziała jeszcze chwilę, patrząc na posązek leżący w kołysce jej dłoni. Potem starannie zapakowała paczkę z powrotem, by nikt nie podejrzewał, że była otwierana.

Stella jechała rowerem drogą wzdłuż wybrzeża w kierunku domu. Słońce stało teraz wyżej na niebie i grzało jeszcze mocniej. Na ogrodzonym pastwisku sąsiadującym z drogą owce zbiły się w gromadkę, starając się skorzystać z cienia paru ocalałych drzew gumowych. Dyszały ciężko od gorąca, przygniecione ciężarem grubej warstwy wełny. Kiedyś było tu więcej cienia, teraz zagrodę zdobiły pojedyncze martwe drzewa. Szkielety gałęzi, białe, pozbawione liści, sięgały nieba, jakby wciąż miały nadzieję na ocalenie. William mówił, że osadnicy, którzy wykarczowali tę ziemię, nie wiedzieli, iż drzewa gumowe muszą rosnać w skupiskach, bo nie przetrwają samotnie. Nie wiedzieli też, że nadmorska gleba, pozbawiona pokrywy lasu, stanie się płytka i kamienista. Patrząc na łaty gołej ziemi

- tam gdzie trawa została wyjedzona do czysta i wypalona słońcem - Stella prawie czuła jej mękę. Dlatego wolała skierować wzrok w stronę morza, które było spokojne, błękitne i tak rozległe, że z pewnością nic nie mogło mu zagrozić.

Pot perlił się na twarzy rowerzystki, a koszula przywarła do pleców, gdy wreszcie dotarła do miejsca, gdzie zjechała z drogi. Na bramie przed posesją Birchmore'ów wisiała schludna zielono-biała tablica. Widniał na niej napis wykonany wielkimi literami w czarnym kolorze POD SIEDMIOMA DĘBAMI. Stella omiotła wzrokiem napis, odsunęła zasuwkę i otworzyła bramę. Zawsze czuła się nieswojo na widok tych słów, sugerujących, że za bramą rośnie siedem potężnych dębów, gdy tymczasem rósł tylko jeden. William zasadził go, ledwie kupił posesję i wybrał dla niej nazwę. Działo się to w czasach niemowlęstwa córki. Dąb jednak wciąż był mały - widać, podobnie jak drzewa gumowe, nie mógł dobrze rozwijać się w samotności, mimo że podlewano go każdego dnia.

Stella znowu wsiadła na rower i pojechała polną dróżką, wijącą się pośrodku wąskiego cypla. Po obu stronach ciągnęły się łąki, schodzące w dół ku granitowym głazom na brzegu morza. Pasło się tu sześć rdzawobrazowych krów Williama. Wokół nich kręciły się tuziny kangurów i królików, które zdecydowały się opuścić busz, by korzystać z dobrodziejstw słonego pastwiska. Gdy dziewczyna zbliżała się do nich, odskakiwały w popłochu, kryjąc się w gęstwinie pobliskich drzew herbacianych. Jeszcze jeden zakręt i oczom Stelli ukazał się dom. Podjeżdżając do niego, wpatrywała się w znajomą linię, surowy kształt na tle morza i nieba.

Dom leżał na skraju cyplu, tuż za skałami, nieopodal

brzegu. Niewielki w gruncie rzeczy budynek, stojąc samotnie, wyglądał na potężny i dostojny. Otoczony był, wraz z dużym ogrodem, białym płotem. Pyszniły się tu drzewa owocowe Grace, rosnące bezpiecznie poza zasięgiem dzikich zwierząt, czubki kukurydzianych łodyg i jagodowe krzaczki. W pobliżu drzwi frontowych stał samotny dąb -jego cienkie gałęzki zdobiła świeża zieleń. Stella zostawiła rower w szopie i weszła do ogrodu, kierując się w stronę bocznych drzwi przy kuchni. Minęła grządkę lilii, zachwycając się mocnym zapachem dochodzącym z białych kielichów. Były to ulubione kwiaty Grace. Grządka została ostatnio powiększona, by pomieścić wszystkie cebulki, których liczba pomnażała się z każdym rokiem. W ogrodzie zwracały uwagę równiutko obsiane i oczyszczone z chwastów polećka warzywne; bambusowe pędy w szeregach, niczym maszerujący żołnierze; rząd gęstych krzewów koprosmy, osłaniających uprawy przed wszędobylską mgiełką morskiej wody.

Dziewczyna przystanąła przy zbiorniku na deszczówkę i uderzała w najwyżej umieszczone klamry, póki nie usłyszała zmiany tonu wskazującego, jaki jest poziom wody. Było jej dużo. Gdyby wody brakowało, dopompuwałyby jej z zapasowego zbiornika. Pod nieobecność ojca czuła się odpowiedzialna za takie drobiazgi. Sprawdzała też, czy nie obluzowały się sztachety w płocie, i wypatrywała węży w ogrodzie. Opiekuj się matką - mawiał zwykle William, gdy przygotowywał się do wypłynięcia w morze. Tak jakby czyhające na niego niebezpieczeństwa - zmienne prądy i ruchome mielizny, zdradliwe fale i gwałtowne szkwały -były niczym wobec zagrożeń związanych z pozostaniem w domu.

Ściągając buty przy drzwiach, zajrzała przez okno do kuchni. Dostrzegła głowę matki pochyloną nad misą do wyrabiania ciasta. Gęste, jasne włosy kobiety były, jak zwykle w kuchni, spięte w koński ogon. Grace pilnowała, by żaden pojedynczy włos nie dostał się do jedzenia. Przy wszyst-

kich kuchennych czynnościach często sięgała rękoma do głowy i sprawdzała, czy włosy są dobrze upięte. Matka uniosła głowę, ledwie Stella, na bosaka, weszła do domu. Stała przez chwilę nieruchoma, jakby wyrwana ze snu. Potem się uśmiechnęła.

- Cześć, kochanie. Miła była przejażdżka?

- Tak, dziękuję.

- Masz zakupy? To dobrze.

- Nie było wołowiny.

Grace kiwnęła głową bez słowa. Sprawiała wrażenie roztargnionej.

- Jest jakaś poczta? - spytała po chwili.

Stella wyjęła paczkę z kartonowego pudła. Dostrzegła wyraz ulgi i zadowolenia, który przemknął po twarzy matki. Niezależnie od tego, co Daniel nabroił - pomyślała Stella - Grace nadal się o niego troszczy. Matka zajęła się znowu ciastem. Stella chciała zapytać o Daniela wprost, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Grace powiedziała już kiedyś, że William nie życzy sobie rozmów na ten temat. Rodzice uważali, że powinni trzymać wspólny front - nie tak jak mama i tata Jamiego, którzy sprzeczekali się na oczach dzieci - nawet w obecności gości. Stella podejrzewała, że reszta rodziny również jest uwikłana w powstanie owej ciemnej chmury wiszącej nad Danielem. Ale o reszcie rodziny Grace też mówiła niewiele. Na zadawane pytania odpowiadała wymijająco. Wspominała tylko, jak to trudno wyemigrować do obcego kraju, a potem spędzać czas na spoglądaniu wstecz, na życie, które się zostawiło. - Co robisz? - spytała Stella.

Grace wskazała umoczonym palcem na książkę z przepisami. Stella zerknęła na otwartą stronę, na zgrabne, lekko pochylone, niebieskie litery.

„Pudding kuzynki Elizabeth na specjalne okazje”.

Ciężkie, słodkie ciasto, które William szczególnie lubił. Grace robiła je setki razy, a mimo to nadal zaglądała do przepisu, przygotowując poszczególne składniki. Stella

obserwowała, jak matka wbija jajko do mąki. Posługiwała się ulubioną, starą łyżką z herbem wygrawerowanym na ręczce. Pochodziła zapewne ze stoiska Stowarzyszenia Rybaków, z którego dochód przeznaczano na cele charytatywne. Reszta domowych sztuców - należących do jednego kompletu - za jedyną ozdobę miała zwykły, ząbkowany brzeg. Stella patrzyła, jak Grace dodaje do ciasta drugie jajko. Ostrożność, z jaką to robiła, dawała dziewczynce szczególny rodzaj poczucia bezpieczeństwa. Stella podejrzewała, że gdyby matka pozwoliła sobie na wprowadzenie choćby niewielkich zmian, wszystko mogłoby się zacząć toczyć w niepożądanym kierunku. Ponadto pewnie wiedziałyby natychmiast o tym wszystkie kobiety, których przepisy zgromadzono w notatniku: stara ciotka Cecylia, ciotka Eliza, babcia Józefina, ciotka Jane. I naturalnie nieboszczka matka Williama, której receptury miały dopisek: „według mojego własnego przepisu”.

Czy były daleko, czy nie żyły, wiedziałyby.

- Musisz być głodna. - Grace skinęła ręką w stronę placka z rodzynkami stygnącego na blasze w drugim końcu stołu. - Piekł się trochę za długo, ale chyba będzie dobry. Ukroić ci kawałek?

Stella zerknęła na placek - miał idealny miodowozłoty kolor.

- Najpierw położę to pod drzewko.

Odwijając brązowy papier, wiedziała, że matka zerka na wyłaniający się, pięknie opakowany pakieeik.

- Ciekawe, co dostaniesz w tym roku - powiedziała Grace.

Córka wzruszyła ramionami. Złożyła szary papier w zgrabny kwadracik i wsunęła go do jednej z kuchennych szuflad, gdzie Grace trzymała kawałki sznurków i starych papierowych toreb.

Trzymając przy piersi aniołka owiniętego w bibułę, poszła korytarzem do długiego pokoju zajmującego większość tylnej części domu. Na jednej ze ścian znajdowały się wysokie okna, przez które rozciągał się widok na morze. Woda była tak blisko, że siedząc w pokoju, w ogóle nie widziało się ziemi. Można by nawet sądzić, że jest się na statku, gdyby podłoga nie była tak stabilna.

Birchmore'owie nazywali to pomieszczenie pokojem morskim. Jadali w nim posiłki, siedząc przy jednym z końców mahoniowego stołu, albo odpoczywali na kanapie lub w fotelach otaczających kominek: czytali, rozmawiali, szyli lub oglądali telewizję.

Bożonarodzeniowe drzewko, jak co roku, stało w rogu wypoczynkowej części salonu. Była to nieduża, niezbyt wysoka, wyhodowana na plantacji sosenka w kształcie idealnego trójkąta. Koniec pnia tkwił w kubie z piaskiem, na którego powierzchni leżały morskie kamyki. Gałęzie przystrojone były kunsztownymi ozdobami przywiezionymi z Anglii. Choć stare i nieco wyblakłe, przypominały Williamowi dzieciństwo. Stella próbowała kiedyś ubrać choinkę zabawkami, które zrobiła w szkole, ale zabawki psuły tylko wygląd pozostałych ozdób.

Teraz uklękła przy drzewku i wdychając świeży zapach sosnowych igieł, wsunęła pakiet od Daniela pod rozłożyste gałęzie. Własne prezenty Birchmore'owie kładli pod drzewkiem dopiero w dzień Bożego Narodzenia rano, pod choinką znajdowało się więc zaledwie kilka podarków. Na honorowym miejscu leżała paczka od ciotki Jane. Każdego roku ciotka przysyłała książkę owiniętą w kosztowny papier i przewiazaną aksamitną wstążką. W należytej odległości stała puszka cukierków toffi - doroczny dar przetwórci ryb dla żon rybaków. Dalej leżało miękkie zawiniątko, które Laura podrzuciła pod drzewko tuż przed wyjazdem, małe pudełeczko od matki Jamiego, Pauliny, i wielki prezent opakowany w jaskrawy papier w paski. ***Dla Stelli od Jamiego*** - informowała karteczka na tym właśnie prezencie. Adresatka przyglądała się jego kształtowi, próbując odgadnąć zawartość paczki. Jamie zawsze kupował jej coś szczególnego. Stella przypuszczała, że w wyborze pomaga

mu Paulina, ale chłopak płacił za prezent własnymi pieniędzmi, zarobionymi sprzątaniem w przetwórci ryb w soboty. Patrząc na ten podarek, Stella doznawała mieszanych uczuć: była wzruszona hojnością Jamiego, ale miała wyrzuty sumienia. Nie pozwalano jej podjąć pracy. William nie widział też potrzeby dawania jej kieszonkowego - wołał sam za wszystko płacić, a zarazem kontrolować potrzeby córki. W tym roku Stella zrobiła Jamiemu stoliczek z kawałka drewna, który znalazła na plaży. Jamie z pewnością doceni wykonane przez nią dzieło, ale wiedziała, że bardziej podobają mu się eleganckie przedmioty o gładkich krawędziach. Było jej przykro, że nie może kupić mu prawdziwego prezentu w sklepie.

Stella odsunęła prezent Jamiego na bok i postawiła opakowanego aniołka za puszką z cukierkami. Nie chciała nawet myśleć, że o poranku rzeźbę trzeba będzie odwinąć. Zrobiony z kamienia aniołek łatwo mógł znieść deszcz, słońce, nawet mech, ale Stella wołała nie myśleć, że trzeba go będzie wyjąć i narazić na zimne spojrzenie Williama.

Stała przy oknie i wsparła głowę o szybę. Stąd mogła patrzeć w dół, na brzeg. Coś czerwonego zamigotało między skałami. Przyjrząwszy się lepiej, rozpoznała resztki boi. Nieopodal widniała podeszwa gumowego sandałka zaplątana w wodorosty. Stella przypomniała sobie szalejący przed tygodniem, późnowiosenny sztorm. Zajęta końcowymi egzaminami, a potem przyjęciem dla absolwentów, nie miała nawet czasu, by zejść na plażę i zobaczyć, co wyrzuciło morze. Teraz morze odsunęło się daleko. Wyobrażała sobie skarby rozrzucone wzdłuż brzegu, odsłonięte przez wodę, tylko dla niej...

Wróciła do kuchni i już od drzwi zaczęła mówić:

- Jeśli teraz nakryję do stołu i wszystko przygotuję, mogę pójść do zatoczek?

Grace spojrzała najpierw na nią, a potem przez kuchenne okno na morze. W jej oczach czaił się niepokój.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedziała. - Wil-

liam niedługo wróci. Spodziewa się, że będziesz czekać na pirsie.

- Będę patrzeć, czy płynie - obiecała matce. - Zobaczę go stamtąd.

Mówiąc, podążała za wzrokiem Grace wypatrującej na południowej linii horyzontu widoku „Lady Tirian”. Nigdy nie wiedziały, kiedy mają spodziewać się powrotu rybaka. Porozumiewał się wprawdzie drogą radiową z przetwórnią i podawał szacunkowy czas przybycia, by pracownicy wiedzieli, kiedy spodziewać się połowu, ale ta wiadomość nie mogła zostać przekazana Grace, bo Birchmore'owie nie mieli telefonu. William uważał, że nad pożytkami płynącymi z możliwości komunikowania się przez telefon przeważają niedogodności wynikające z nieuzasadnionego zakłócania prywatności rodziny przez obcych. Kiedy więc William wypływał, kobiety przywykły nieustannie spojrzeć na morze, by po pogodzie odgadnąć, którego dnia i o jakiej porze powróci.

- Wolałabym, żebyś go nie przegapiła - powiedziała Grace.

Stanowczy ton matka podkreślała angielskim akcentem. W odczuciu córki starannie wymawiane słowa tworzyły barierę niemożliwą do pokonania. Starła się nie okazywać przygnębienia, ale miała już przecież szesnaście lat, nie była dzieckiem potrzebującym zezwolenia na każdy drobiazg.

- W pół godziny dotrę tu z powrotem - przekonywała. - Tylko tyle czasu mi potrzeba. A do przystani dojadę w ciągu dwudziestu minut.

Grace nie wyglądała na przekonaną.

- Nie możesz pójść gdzieś bliżej?

Stella pokręciła głową. Po sztormie najlepiej było pójść do zatoczek. Tamtejsze skały w szczególny sposób współdziałały z prądami, a może ważny był kąt, pod którym woda zatoczek wcinała się w ląd. Tak czy inaczej właśnie tam znajdowała więcej wyrzuconych przez fale rzeczy niż

gdziekolwiek indziej. Nikt też tam nie chodził. Żeby podjechać w pobliże zatoczek samochodem, trzeba było okrążyć całe Halfmoon Bay, a potem droga nagle się urywała. Nikomu nie chciało się jechać tak daleko, jeśli nie miał zamiaru naciąć drewna do kominka albo postrzelać.

- Nie wróci wcześniej - powiedziała Stella. - Spójrz tylko, jaki piękny dzień.

Wskazała ręką za okno, na czyste niebo i gładką powierzchnię wody.

Matka patrzyła na nią niepewnie. Zaczęła wyrabiać kawał ciasta na blacie posypanym mąką.

Ugniała ją starannie ze wzrokiem utkwionym w dłoniach, jakby ta czynność wymagała skupienia całej uwagi. Córka obserwowała ją w milczeniu. Jasna bryła, tu i ówdzie podbarwiona brązem, znakomicie pasowała do matczynej piegowatej cery.

- Weź zieloną serwetę - powiedziała w końcu Grace. - I świąteczne talerze.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Dzięki.

Odwróciła się powoli, czekając na koniec instrukcji.

- I sprzątnij tam.

Stella wiedziała, co Grace ma na myśli. Należało ułożyć obie poduszki równiutko na kanapie, wygładzić materiałowe ochraniacze na poręczach foteli, upewnić się, czy zasłony zebrane i związane po obu stronach okien wiszą równo i, co najważniejsze, odkurzyć kredens, nie zapominając o żadnym zakamarku i żadnej krawędzi. Ten antyczny mebel był najcenniejszym z posiadanych przez Williama przedmiotów - należał do ciotki Jane, a wcześniej do jego matki. Po każdym powrocie do domu William kierował pierwsze kroki do kredensu, by położyć na nim dziennik pokładowy przyniesiony z „Lady Tirian”. A wtedy zawsze rozglądał się po pokoju. Pewnie chciał widzieć wszystko na swoim miejscu. Ojciec ciężko pracował na morzu i miał prawo oczekiwać, że dom, do którego wraca, jest spokojny, uporządkowany i czysty.

Stella zostawiła rower w krzakach, by nie był widoczny z drogi, i ruszyła przez wrzosowisko do miejsca, gdzie zaczynała się jej tajemna ścieżka. Początkowy odcinek przetrzebiła sama - aż do szlaku wydeptanego przez kangury, wąskiego pasa ziemi uwolnionego od roślinności wysiłkiem niezliczonych małych stopek. Potem szlak łączył się z następnym, prowadzącym na sam skraj lasku rzewni.

Wchodząc pod pierwsze z drzew, pochyliła głowę. Miało długie i cienkie, różgowate pędy z drobnymi łuskami zamiast liści, podobne do nadmiernie wyrośniętych sosnowych igieł, lecz nie tak gładkie. Rzewnie były jej ulubionymi drzewami. Z zewnątrz korony wyglądały jak czupryny z niestrzyżoną grzywką, od wewnątrz - jak namiot pozostawiony przez nomadów. Podłogę pokrywał gruby dywan z opadłych gałązek, leżących tu od stuleci. Chrzęściły lekko pod stopami.

Dotarłszy na skraj lasku, wychyliła się zza welonu ostatniej rzewni. Wielkie igły omiotły policzki Stelli i jej oczom ukazał się rozległy brzeg. Ogromne sine głazy obrzeżały ląd niczym naszyjnik z gigantycznych koralów. Patrzyła ponad łańcuchem skał w stronę maleńkiego cypla. Za nim dostrzegła pierwszą z białych plaż. Dalej leżały jeszcze niewidoczne następne trzy - każda w kształcie idealnego półksiężyca. Jej tajemne zatoczki.

Skuszona widokiem wodorostów rozrzuconych po plaży, zbiegła w dół, skacząc zwinnie z jednego głazu na drugi. W ciągu paru minut znalazła się na dole, na piasku, i ruszyła wzdłuż brzegu, bacznie obserwując linię, do której sięgnęły wody przyływu.

Przystanęła i pochyliła się nad ciałem morskiego ptaka. Leżał zaplątany w wodorosty. Coś zdążyło mu już wyjść oczy, zostały tylko małe puste otwory. Pazury miał zagięte, jakby chciał uchwycić nimi ostatnią nadzieję na ocalenie. Stella spojrzała ku wyspom na horyzoncie. Tam, w jednej

z ptasich kolonii, znajduje się rodzinne gniazdo tego ptaka. Schronienie puchatego pisklęcia. O zmroku powróci do niego wierny partner. Wyobrażała sobie, jak ta dwójka wyczekuje powrotu zaginionego ptaka, by dopełnił się trójkąt: matka, ojciec, dziecko. Przewróciła zdechłego ptaka czubkiem buta. Od spodu między piórami roiło się od robaków.

W połowie drogi podniosła z piasku kawałek drewna. Fragment pokładowej deski. Wiedziała, że drewno dryfowało po morzu przez wiele lat, końce były zaokrąglone, a ranty wygładzone. Idąc dalej, nacięła finką warstwę farby. Pod niebieską powłoką znalazła pomarańczową. A pod nią ciemnozieloną. Badała kolory, starając się odgadnąć losy łodzi. Czy ostatnim kolorem był niebieski? Czy wtedy łódź rozbiła się i zatonała? Czy może pokład został odnowiony, a stara deska wyrzucona? Nigdy się nie dowie. To właśnie lubiła najbardziej w spacerach wzdłuż wybrzeża. Każda znaleziona rzecz miała swoją historię - nawet kilka historii - i każda z nich mogła być prawdziwa.

Szła dalej plażą. Piasek był teraz czysty, wolny od kęp wodorostów dających nadzieję na ukryty w nich skarb. Szła ku małemu skalistemu cypłowi oddzielającemu tę zatokę od następnej. Dzisiejsze znaleziska rozczarowały Stellę, ale jeszcze nie traciła nadziei. Plaża, do której zmierzała, była węższa i miała głęboki kanał biegnący od morza ku ujściu słodkowodnego strumienia. Wszystko, co się tam niechcący znalazło, musiało pozostać w pułapce. Butelki, boje, liny, drewno dryftowe - wszystko to zalegało w miejscu, gdzie strumień napotykał piasek podczas odpływu. Tam właśnie znajdowała najcenniejsze rzeczy.

Pewnego razu znalazła but na wysokim obcasie, który spadł, jak się domyślała, z pokładu któregoś z luksusowych jachtów wpływających czasami do zatoki Halfmoon Bay. Pantofel był różowy, miał cienkie paseczki, złote sprzączki i etykietę z napisem „Wyprodukowano w Mediolanie”. Włożyła pantofel na nogę, mimo że była ubrana tylko w opalacz. Obcas zapadł się głęboko w piasek. Kąt ułożenia stopy sprawił jednak, że jej opalona na miodowy brąz noga wydawała się dłuższa i wyglądała

bardzo elegancko. Jak noga księżniczki ubierającej się na bal albo noga Kopciuszka - skoro pantofel był tylko jeden... Innym razem znalazła fajkę z bambusa z chińskim napisem. Wszystkie te skarby -wraz z innymi drobiazgami - zostały wyeksponowane na tablicy wykonanej z kawałków drewna, które przyniosła z plaży i zbiła gwoździami ubiegłego lata. Tablica była wielka jak brama wjazdowa, może nawet wyższa, a wszystkie eksponaty zostały przymocowane kawałkami lin. Stella nazywała tę tablicę morską ścianą. Wyglądała bardzo ładnie oparta o mur szopy, ale było na niej jeszcze mnóstwo wolnego miejsca.

Dotarłszy do spiętrzonych kamieni cypla, Stella, świadoma szybko upływającego czasu, przyspieszyła kroku. Niebo wciąż było czyste. Wyobrażała sobie Williama wyciągającego na powierzchnię ociekające wodą kosze, liczącego langusty.

Najpierw usłyszała muzykę, niesioną wiatrem, przeplatającą się z głosami ptaków. Przystanęła i słuchała, przechylając głowę. Ktoś tam był! Głośno nastawił radio... Skrzywiła się. Ktoś wtargnął w jej plany i na jej terytorium. Gdy tylko zobaczy, kto to taki, postanowiła zarzucić poszukiwania i wrócić do domu.

Ruszyła w stronę miejsca, z którego dochodziła muzyka, przeskakując z głazu na głaz, ale zbyt szeroka do pokonania szczelina zmusiła ją do zawrócenia w głąb lądu. Muzyka stawała się coraz głośniejsza - męski głos na tle dźwięków gitary. Na pół śpiewał, na pół mówił, i w niczym nie przypominał muzyki nadawanej zwykle w radiu.

Wspiąwszy się na najwyższe kamienie cypla, spojrzała ku następnej zatoczce. Gęsta korona rzewni zasłaniała widok plaży, ale pomiędzy gałęziami dostrzegła plamy jaskrawych barw. Żółty.

Pomarańczowy. Fioletowy. Podeszła jeszcze parę kroków i znieruchomiała ze zdumienia, patrząc w dół.

Na piasku porozrzucone były ubrania, pudełka, liny, żagle.

Wrak, katastrofa - pomyślała. Ogarnięta paniką, zaczęła szybko schodzić w dół. Przypomniała sobie telewizyjne informacje o wypadkach, kiedy to radia grały nadal w samochodach, choć nie było w nich żywych, którzy mogliby ich słuchać. Tam, na dole, mogli być topielcy, leżący, już bez oczu, wśród szczątków łodzi...

Wtedy zobaczyła maszt - ciemny kształt, przecinający niebo, prosty i wysoki.

Zatrzymała się, pochyliła do przodu, by lepiej widzieć. W kanale stał jacht. Lina biegła od dziobu przez plażę do grubego pnia drzewa gumowego, rosnącego obok strumienia. Jacht był przywiązany, zacumowany.

Mierzyła wzrokiem kadłub, kabinę, takielunek. To był oceaniczny jacht, miał co najmniej dziewięć metrów długości, może nawet dwanaście. Drewniany jacht w starym stylu - taki, jaki spodobałby się Williamowi - a nie wykonana z jaskrawego włókna szklanego łódź z alkoholowymi barkami i kręconymi stołkami na pokładzie. Na maszcie powiewały dwie flagi: jedna żółta, druga australijska. I ani śladu załogi.

Stella przesunęła się nieco bliżej. Teraz mogła zobaczyć, że rzeczy leżące na piasku nie są po prostu porozrzucone, lecz rozłożone do wyschnięcia. Pomarańczowa kamizelka ratunkowa. Żółte ubranie sztormowe - góra i dół. Niebieski śpiwór z rozpiętym zamkiem. Podkoszulek. Bluza...

Te rzeczy należały do samotnego żeglarza - domyślała się - po jednej sztuce każdego ubioru.

Kamizelka była dość duża, chyba męska, ale długie kawałki materiału w kolorowe wzory to już własność kobiety.

Zaczęła schodzić po skałach ku plaży. Cierniste krzaki wyrastające ze szczelin raniły jej nogi. Musiała jednak zobaczyć, kto tam jest. Jacht dał się zapewne zaskoczyć niesprzyjającej pogodzie, wszystko zostało zalane słoną wodą.

Może żeglarz nie wie, że jest tak blisko portu, może potrzebna mu aprowizacja albo lekarz, cokolwiek...

Dotarłszy do miejsca, skąd mogła zeskoczyć na piasek, zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała na żaglowiec. Zastanawiała się, czy zawołać, czy podejść bliżej i czekać, aż ktoś pojawi się na pokładzie. Nagle, tuż za sobą, usłyszała szelest. Ogarnął ją strach. Stała jej przed oczyma twarz matki, usłyszała słowa ostrzeżenia: „Dziewczynka w twoim wieku nie powinna krążyć po okolicy sama. Nigdy nie wiadomo, na kogo się natkniesz...”.

Sięgnęła po nóż przy biodrze. Odwróciła się - i zamarła. Na płaskiej skale na poziomie jej twarzy leżał czarny wąż. Widziała drgający język, gdy wąż unosił głowę, gotując się do ataku.

Krzyknęła i odskoczyła w bok. Upadła na piasek i zaczęła cofać się na czworakach. Wąż podążał za nią, owinał się wokół wystającej gałęzi, a potem zsunął po skale.

Podniosła się i zaczęła biec. Coś jej mówiło, że wąż zmierza swoim zwykłym szlakiem do strumienia, by się napić. Ale wiedziała też, że niektóre węże ściągają ludzi, kłusują i człowiek umiera od trucizny. Po kilku sekundach obejrzała się przez ramię - akurat wtedy wąż wślizgnął się w skalną rozpadlinę i zniknął. Zatrzymała się i odetchnęła głęboko. Spojrzała w stronę żaglowca.

Na pokładzie, obok wejścia do kabiny, spostrzegła postać, zwróconą w jej kierunku. Sposób, w jaki stała ta osoba - z rozwartymi ramionami - wskazywał, że była równie zdziwiona widokiem Stelli, jak ona sama widokiem jachtu cumującego w zatoczce.

Nie było innego wyjścia, musiała zbliżyć się do przybysza.

Ruszyła z wysoko podniesioną głową, dając do zrozumienia, że jest u siebie. Podchodząc bliżej, skupiła uwagę

na łodzi, na żeglarza rzuciła jedynie przelotne spojrzenie -wysoki, smukły, z włosami spiętymi z tyłu głowy. Twarz stanowcza o regularnych rysach. Wypłowiwała dzinsowa koszula z rękawami zawiniętymi do łokci.

- Nic ci nie jest? - doszedł ją głos mężczyzny.

Szła przed siebie, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia Grace. Nie bała się. Przy biodrze miała nóż. Była silna i szybka.

Przeszła plażą do skał stojących najbliżej jachtu.

- Przyszłam zobaczyć, czy nie potrzebuje pan pomocy.

Muzyka grała głośno, współzawodnicząc z jej głosem.

Mężczyzna sięgnął do kabiny i piosenka przycichła. Potem stanął na krawędzi pokładu, skoczył na skałę wystającą ponad powierzchnię i brodząc w wodzie, ruszył w stronę Stelli.

Patrzyła, jak się zbliża. Postrzępione nogawki krótkich spodni zanurzały się w morzu. Luźne kosmyki sztywnych od soli włosów okalały opaloną twarz. Stella uświadomiła sobie, że jest młody, zaledwie kilka lat starszy od niej. Bardziej chłopak niż mężczyzna. Spojrzała znowu naabinę. Był za młody, by podróżować samotnie, i to taką dużą i wiele wartą łodzią...

Stanął obok niej. Woda ściekała mu z nogawek.

- Co się tam stało? - Mężczyzna, chłopak, wskazał ręką miejsce, z którego Stella zeskoczyła na plażę.

- Wąż mnie gonił - powiedziała. Uniósł brwi.

- Do licha! Nic dziwnego, że skoczyłaś.

Ich spojrzenia się spotkały. Roześmiali się jednocześnie. Pełen ciepła dźwięk wypełnił przestrzeń między nimi. Stella widziała, że chłopak przygląda się jej twarzy. Jego zielone oczy pokropione błękitem przypominały barwy wody morskiej, marszczącej się na tle białego piasku na płyciźnie. Stali bez słowa. Nadal słychać było muzykę, unoszącą się w powietrzu wokół nich, zmieszana ze szmerem fal.

Dziewczyna słyszała słowa piosenki - mówiły coś o wietrze...

- Bob Dylan - powiedział chłopak. Stella kiwnęła głową.

- Stella.

Przybysz popatrzył zdziwiony, a potem znów się roześmiał.

- Nie, to nazwisko piosenkarza - wyjaśnił. - Ja mam na imię Zef.

Stella zerknęła na swoje buty, grzebiące w piasku. Potem potarła nos rękawem.

- Co tutaj robisz?

Mówiąc, przeniosła wzrok na żaglowiec. Był pięknie utrzymany. Starannie zwinięte liny leżały na pokładzie dziobowym. Kadłub był oczyszczony z wodorostów na linii wody. Drewno błyszczało świeżym lakierem. Stella spojrzała na maszt i lśniące metalowe okucia. Zatrzymała wzrok na australijskiej fladze, zdziwiona widokiem Krzyża Południa. Brakowało mniejszych gwiazd.

Uświadomiła sobie, że nie jest to prawidłowa flaga, raczej imitacja, ręcznie namalowana czerwienią i błękitem na żółtym żaglowym płótnie.

- Złapał mnie sztorm - powiedział. - Zepsuł mi się sa-moster. Wszystko miałem mokre. Przypląnąłem tu, żeby się trochę ogarnąć.

Mówił powoli, bez mała leniwie. W niezwykle sposób wypowiadał słowa. Nie mówił ani jak Amerykanin, ani ktoś z Anglii czy z innego znanego Stelli miejsca. Dopiero po paru chwilach uświadomiła sobie, że on mówi z przedziwnym akcentem, wręcz miesza rozmaite akcenty ze sobą.

- Nie masz map? - spytała. - Niedaleko jest port. Half-moon Bay. Tam mogłeś popłynąć. - Jego spokojny sposób bycia sprawiał, że chciała udzielić mu wyczerpującej informacji. - Jest tam pub, sklep. Możesz kupić posiłek na wynos albo zatelefonować...

- Chciałem przypląć tutaj - wyjaśnił. - Wolę być sam.

Słyszając to, zamilkła. Ona też lubiła być sama. Kiedy spacerowała wzdłuż plaży z Laurą, złościło ją, że musi uczestniczyć w niekończącej się rozmowie, zamiast tylko patrzeć i myśleć...

- Poza tym tu jest pięknie - dodał.

Wskazał ręką na morze, skały, niebo. Stella spojrzała wokoło jego oczyma. Barwy dla malarza: mlecznoszare skały pokryte pomarańczowym mchem; biały piasek omywany morską wodą, która na płyciznach miała odcień turkusowy, a w kanale - ciemnogrnatowy. Rosła z dumy, jakby to wszystko, na co patrzyli, było dziełem jej rąk.

- Nikt tutaj nie przychodzi - powiedziała - poza mną. Mam swoją ścieżkę, która tutaj prowadzi.

Zef kiwnął głową.

- Rzeczywiście nikogo nie widziałem. Ani na lądzie, ani na morzu.

- Od jak dawna tu jesteś? - spytała.

- Od paru dni. Muszę wysuszyćabinę. I rzeczy wypłukane w strumieniu. Poreperować co trzeba. Ale jesteśmy już prawie gotowi.

Stella znow spojrzała w stronę kabiny.

- A gdzie są inni?

- Jestem tylko ja i Carla, mój kot. Jest w środku. Śpi jak zwykle. - Zef zmarszczył nos. - No i „Tailwind”*. Łódka. Traktuję ich jak ludzi. Spędzam z nimi tyle czasu.

Uśmiech zabawił dłużej na twarzy mężczyzny, unosząc kąciki jego ust. Mówił jak dziecko o swoich zabawkach. Stella chciała spytać, czy nie czuje się samotny, mając za towarzyszy tylko kota i łódkę, i jak było podczas sztormu. Czy się bał? Wiedziała jednak, że nie powinna pytać o tak osobiste sprawy człowieka, którego poznała dopiero przed chwilą.

- Skąd jesteś? - spytała.

* **Pełny wiatr, wiejący od strony rufy (przyp. tłum.).**

Zef ze zmrużonymi oczami śledził lot mewy na tle tarczy słońca.

- Trudno powiedzieć.

Zerknęła na niego ze zdumieniem. Trudno wyobrazić sobie zwyklesze pytanie - może poza pytaniem o imię.

- Urodziłem się w Goa, w Indiach. Mieszkałem w wielu miejscach. A teraz mieszkam... tutaj.

Omiótł spojrzeniem plażę. Porozrzucane dokoła rzeczy zdawały się potwierdzać prawdziwość tych słów.

Stella uśmiechnęła się. Jeśli mówi prawdę - pomyślała -nie ma prawdziwego domu, tylko taki, który się stale przemieszcza...

- A ty jesteś stąd? - zainteresował się.

- Tak. To znaczy nie całkiem. Rodzice przyjechali tu z Anglii, gdy byłam małym dzieckiem, ale tutaj przeżyłam większą część mojego życia. Miejscowi mówią, że rodzina rzeczywiście jest stąd, jeśli ma kogoś urodzonego w miejscowym szpitalu i kogoś pogrzebanego na miejscowym cmentarzu. - Nagle zamilkła. Już kiedyś wypowiedziała identyczne słowa, ale tutaj, teraz, zabrzmiały oryginalnie, staroświecko. - Zresztą niedługo wyjeżdżam. Jadę skończyć szkołę. W najbliższym mieście, w St Louis, jest tylko dziesięć klas. W lutym pojedę do Hobart. Razem z wszystkimi przyjaciółmi.

Nagle od strony jachtu dobiegł ich gwizd.

- Woda się gotuje - wyjaśnił Zef. - Zaparzę nam czaj. Stella spojrzała niepewnie. Powiedział „nam” tak naturalnie, jakby znali się od lat.

- Mam dwa kubki - dodał.

- Muszę już iść - powiedziała Stella, ogarniając wzrokiem morze.

Wiedziała, że William łowi w pobliżu wysp na południu, ale nie mogła odsunąć od siebie myśli, że ojciec pojawi się nagle i zobaczy ją rozmawiającą z obcym, z dala od domu...

- Nie, proszę. Zostań - odparł Zef.

Popatrzyła na niego. W jego oczach dostrzegła ulotny, widoczny tylko przez moment wyraz smutku. Jak długo był na morzu - zastanawiała się - i z nikim nie rozmawiał?

- Dobrze.

W końcu uprzejmie jest przyjąć zaproponowany poczęstunek.

Gdy została sama, zaczęła przechadzać się między rzeczami Zefa rozłożonymi na piasku niczym między eksponatami w muzeum. Kolorowe ubrania - domyśliła się - pochodziły z Indii albo z jakiegoś innego egzotycznego miejsca, które odwiedził. Było też kilka skarpetek, z których niewiele miało pary. Na skałach leżały otwarte książki, wilgotne, pozwijane kartki wystawiono umyślnie na działanie słońca. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła kilka bajek dla dzieci z ilustracjami. Pochyliła się nad kolorowym obrazkiem wróżki - delikatną istotą z pięknymi włosami i połyskującymi skrzydłami. Tekst nie był napisany po angielsku. Przyglądając się mu uważnie, rozpoznała kilka słów z etykiety znajdującej się na spodzie pozytywki od Daniela. Niemiecki...

Na innej skale zobaczyła jeszcze więcej książek. Jedna z nich mogła być indyjska, sądząc po rysunku na okładce. Na jej stronach widniały ślady pomarańczowego barwnika kamizelki ratunkowej.

Nieopodal leżała gruba powieść. Tytuł od razu rzucał się w oczy. *Anna Karenina*. Ulubiona książka Grace. Stella też bardzo ją lubiła, choć nie wiedziała, dlaczego. Życie bohaterki, choć tak tragiczne, budziło zazdrość czytelnika. Niezwykła miłość, której zaznała - nawet jeśli ostatecznie wszystko przepadło - zdawała się wynagradzać cały ból.

Usłyszała, że wraca Zef, suchy piasek chrząścił pod jego stopami. Podał jej niebieski, poobtłukiwany kubek. Mokry z zewnątrz - umyty, lecz niewytarty. Nad kubkiem unosiła się pachnąca para.

Zef zamknął oczy i wypił łyk z siostrzanego naczynia.

- Muszę się nią nacieszyć, bo zużyłem już prawie cały zapas.

Usiedli na skale jedno obok drugiego. Stella wyciągnęła nogi obok nóg Zefa. Delikatne włoski na jej gołeniach zaczynały już nabierać złotej barwy, rozjaśnione od słońca i soli. Paznokcie stóp, pomalowane na przyjęcie dla absolwentów, lśniły różowo. Nogi Zefa były bardziej brązowe, stopy wyglądały na twarde, nawykłe do zimna i chodzenia boso.

Stella sączyła napar, mający kolor jasnego miodu. Pierwszy łyk wydał jej się słony od resztek morskiej wody na rancie kubka, ale drugi był już aromatyczny i słodki.

- Co to jest? - spytała.

- Kardamon, cynamon i czarna herbata, naturalnie. Jest tam też tajemny składnik Bakti - wanilia.

Niezgodnie z tradycją, ale ona zawsze jej używała, jak sięgnę pamięcią.

- Bakti? - Stella powtórzyła dziwnie brzmiące w jej ustach imię, złożone z dwóch niepasujących do siebie dźwięków.

- Moja mama - wyjaśnił Zef. - Przysyła mi paczki z herbatą, jeśli wie, gdzie jestem. Staram się, żeby wiedziała.

Powiedział to tak zwyczajnie, jakby nie był nastolatkiem, lecz dorosłym człowiekiem, który żyje własnym życiem.

- Jutro Boże Narodzenie - przypomniała nagle Stella. - A ty będziesz z dala od niej.

- Od lat nie spędzam z nią Bożego Narodzenia.

W jego głosie nie było ani smutku, ani radości. Po prostu stwierdził fakt.

- To co będziesz robił? - spytała. - Powinieneś pójść do... pubu w Halfmoon Bay. Dopłyniesz tam w ciągu dnia. Przygotowują trzydaniowy obiad z pieczeniem z indyka.

- Mam jeszcze puszkę z owocami. I resztkę ryżu. Może uda mi się złowić rybę na naszą ucztę. Carla byłaby zachwycona.

Stella zerknęła na Zefa. Odgadła, że mimo pewnego siebie tonu czuje się samotny. A może jedynie nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś nie czułby się w takiej sytuacji samotny.

- Niewiele złapiesz na linkę - powiedziała. - Masz harpun?

Pokręcił głową.

- Nie. Zapłaciłem nim za cumowanie łodzi na Bali.

- Ale nóż chyba masz? Zef spojrział na jej finkę.

- Taki sam jak ty.

Zarumieniła się na wspomnienie, że tak niedawno była gotowa go użyć.

- Wobec tego wyłów parę uchowców. Podczas odpływu nie będziesz nawet potrzebował maski.

Dostrzeżesz je z łatwością w przybrzeżnych rozlewiskach, o, tam. - Wskazała ręką na skały po drugiej stronie jachtu.

Odwróciła się do Zefa. Nie patrzył tam, gdzie można znaleźć uchowce. Patrzył na nią, wodząc oczami po jej twarzy, włosach, ciele. Przyglądał się jej bez zażenowania, jakby miał prawo patrzeć na dziewczynę, tak samo jak na morze, niebo czy piękną muszelkę leżącą na piasku.

Stella wbiła wzrok w kubek. Pod spojrzeniem Zefa miała ochotę odgarnąć włosy z twarzy i przygryźć wargi, by stały się bardziej czerwone. Zdawała sobie sprawę, że pod rozpiętą koszulą widać górę starego kostiumu Laury - wycięty, skąpy top, który pozwalano jej nosić jako bieliznę.

Po powierzchni herbaty pływał maleńki płatek. Uwięziony w mikroskopijnym wirze, pływał w kółko i w kółko. Stella wdychała aromat naparu. Myślała o jego matce, o Bakti, o tym, że gdzieś daleko sporządza mieszankę przypraw i herbaty, wsypuje ją do plastikowych woreczków dla syna.

Wyobraziła sobie drobną kobietę z długimi czarnymi włosami i czerwonym znakiem na czole.

- Nie wyglądasz na pół Hindusa - powiedziała, patrząc na Zefa.

- Bo nim nie jestem, o ile wiem - odparł. - Mama przyjęła imię Bakti, gdy wstąpiła do aśramy. Jest Francuzką. A mój ojciec... Niewiele o nim wiemy. Ale ona uważa, że był Anglikiem.

Stella zaczęła skubać wyszczerbiony brzeg kubka, starając się pojąć sens jego słów. Było jej przykro, że nie przewidziała, do czego mogła doprowadzić jej uwaga. Powiedzenie tego wszystkiego musiało być dla niego bolesne i żenujące.

- Przepraszam, nie zamierzałam o to pytać.

Zef wzruszył ramionami. Nie wyglądał na niezadowolonego. Patrzył na wodę. Stella spostrzegła, że śledzi wzrokiem zarys wysp, co i ona tak często robiła.

Zapadła cisza, przerywana jedynie ruchami rąk i kubków, łykaniem herbaty. Trwali w pogodnym milczeniu, jakby nie byli nieznajomymi, lecz starymi przyjaciółmi, którzy po latach rozłąki znów są razem. Nad ich głowami przeleciała mewa grubodzioba, zatoczyła koło nad wodą i pofrunęła w stronę Halfmoon Bay. Tor jej lotu skierował wzrok Stelli na południe. I wtedy zobaczyła - punkcik na oceanie, maleńki krzyżyk na ciemnej belce kadłuba. Tylko jedna łódź mogła wyglądać w ten sposób. „Lady Tirian”.

- Muszę już iść - powiedziała, wstając. - Muszę wracać. Zef popatrzył na nią zaskoczony.

- Co się stało?

- Tata wraca z morza. Jest rybakiem, łowi langusty. Muszę być na pirsie, gdy przyplynie. To znaczy - chcę tam być. Lubię na niego czekać.

Umilkła. Jak ktoś taki jak Zef, kto żegluje samotnie po morzach, może zrozumieć, co by to dla niej znaczyło, gdyby przegapiła przybycie ojca, zwłaszcza w okresie wakacji, gdy nie miała nic ważnego do roboty. Powinna stać na pirsie gotowa, gdy w oddali pojawi się „Lady Tirian”.

- Stello... - Wypowiedział jej imię powoli. Patrzyła na jego usta. - Muszę cię o coś poprosić.

Czekała, starając się odgadnąć, o co chodzi. Czy poprosi, by przyniosła mu prowiant? Trochę herbaty albo ryżu?

Mogłaby to dla niego zrobić, ale nie jutro. Nie w Boże Narodzenie...

- Nie mów nikomu, że tu jestem.

Dłoń Stelli zacisnęła się na kubku. Spojrzała na zacumowany jacht, schowany w ustroniu. Zbyt wartościowy, by mógł należeć do kogoś, kto ma zaledwie siedemnaście czy osiemnaście lat...

- To nic takiego - powiedział szybko, jakby domyślał się wątpliwości rodzących się w jej umyśle.

Wskazał na maszt. - Wywiesiłem flagę mówiącą o kwarantannie, na wypadek gdyby ktoś mnie zobaczył. Nie łamię prawa. To znaczy łamię, ale tylko dlatego, że poczęstowałem cię kubkiem herbaty.

Utkwiła wzrok w „Lady Tirian” majaczącej na horyzoncie.

- Mógłbym wejść do portu. Dokumenty mam w porządku. Nie byłoby z tym problemu. Chodzi o to, że nie chcę się tu dłużej zatrzymać. Nie chcę zawracać sobie głowy cłem i takimi rzeczami, meldowaniem się na policji. Zwłaszcza w Boże Narodzenie.

Wolno pokiwała głową. Rozumiała, że niektórzy nie znoszą formalności. William zawsze wszystko załatwiał tak, jak trzeba, świecił przykładem, licząc się z wszystkimi miejscowymi i ogólnymi przepisami. Ale inni rybacy darli listy, które im się nie podobały, wrzucali urzędowe postanowienia w szpary między deskami pirsu i nie występowali o pozwolenia na broń. Doprowadzali Spinksa do szaleństwa. Myśląc o policjancie, uśmiechnęła się. Próbowała sobie wyobrazić, co powiedziałby Zefowi: „A gdzie są twoi rodzice, młody człowieku? Bakti? Co to za imię? Gdzie? Indie?”.

- Nikomu nie powiem. Obiecuję. - Wręczyła mu kubek. - Dziękuję za...

- ...czaj - dokończył.

Stella stała niezdecydowana. Chciała spytać, czy może wrócić. Czy on jeszcze tu będzie?

Czy spotkają się jeszcze kiedykolwiek?

- Do widzenia - powiedziała.

Skinał głową.

- Wesołych świąt!

- Wzajemnie.

Ruszyła w drogę. Zastanawiała się, jak wygląda w jego oczach - biodra kołyszące się lekko z każdym krokiem, ciemne rozpuszczone włosy sięgające do połowy pleców.

Nie wiedziała, czy patrzy. Ona patrzyła na wprost, przed siebie. Z kabiny dobiegała piosenka, cichy głos wędrował za nią wzdłuż całej plaży, by wreszcie zaniknąć.

*

Pomnik Żeglarzy był brzydkim kawałkiem muru z kremowej cegły, obwieszonym mosiężnymi tabliczkami. Stał przy samym pirsie, ostrzegając wszystkich wyprawiających się w morze, że ta część wybrzeża należy do szczególnie niebezpiecznych. William wyjaśniał Stelli, dlaczego tak jest: Między tym miejscem a Ameryką Południową nie było żadnego lądu, który osłabiłby siłę przyboju. Całą przestrzeń zajmował ogromny Ocean Południowy, najbardziej niebezpieczne wody na naszej planecie.

Stella przysiadła przy dalszym krańcu muru, gdzie nie było jeszcze wygrawerowanych słów, nie było nazwisk. Nogi bolały ją od pedałowania. Gdy opuściła zatoczki, pojechała do domu, żeby powiadomić matkę, iż widziała zbliżającą się „Lady Tirian”. Potem udała się do przystani. Większość drogi prowadziła w dół, ale i tak musiała ciężko się napracować. Teraz, w końcu, dotarła na miejsce...

Próbowała nie myśleć o Zefie. Czuła, że on staje się zbyt... ważny. Jak na kogoś, kogo więcej może nie zobaczyć. By zająć czymś uwagę, przypatrywała się ścianie z tabliczkami. Wymyśliła zabawę polegającą na odtwarzaniu z pamięci treści wszystkich epitafiów po kolei. Jeśli żadnego nie zapomni, ci, których kocha - rodzice i przyjaciele - będą zawsze bezpieczni.

Pierwsze w rzędzie tabliczki zostały umieszczone przez Towarzystwo Historyczne z St Louis. Krótkie informacje,

napisane wypukłymi metalowymi literami, dawały świadectwo najdawniejszym tragediom. Żona kapitana i jej pięcioro dzieci, którzy zatonęli nieopodal brzegu. Załoga kutra płynącego do Afryki Południowej, która zginęła w pobliżu wyspy Standaway. Katastrofy statków „Birmingham”, „Valiant” i żaglowca „Enrico”...

Następne w kolejności były wypadki mniej odległe w czasie. Związane z nimi tabliczki, umieszczone pośrodku muru, choć bardziej zróżnicowane pod względem wielkości i kształtu - bo wybrane przez pogrążone w żałobie poszczególne rodziny - zawierały podobne słowa, wyrażające ten sam bolesny żal.

James Maitland

rybak z Halfmoon Bay. Wypadł za burtę „Ellen” podczas zarzucania kosza na langusty. Morze daje i morze zabiera.

Michael Maitland, ojciec Jamesa Maitlanda rybak z Halfmoon Bay. Zmyty z pokładu „Sandra Lee” podczas sztormu.

Morze nie zna litości.

David Grey

rybak z Halfmoon Bay, syn zmarłej Mary Grey Zabrało go morze.

Stella przerwała wyliczankę przy tabliczce Davida Gre-ya. Do niedawna zawsze były obok niej świeże, ogrodowe kwiaty - lilie, róże, niezapominajki - wetknięte w ozdobne otwory w sąsiednich ceglach. Dziewczyna patrzyła na ostatnie łodygi i płatki, zwiędłe i suche. Nikt w Halfmoon Bay nie znał kobiety, która co tydzień przynosiła kwiaty. Nigdy z nikim nie rozmawiała. Wysiadała z samochodu, wkładała kwiaty i odjeżdżała. Gdy kwiaty przestały się pojawiać, Laura powiedziała, że wielka miłość Davida Greya zwró-

ciła swe uczucia ku komuś innemu. Stella uważała, że kobieta umarła.

Stella wstała i ruszyła wzdłuż parkingu ku pirsowi, ale zaraz się zatrzymała, dostrzegłszy kątem oka postać wychodzącą ze sklepu i zmierzającą w tym samym kierunku. To był Jamie. Poznała go po chodzie - przy każdym kroku podrygiwał na brzuścach stóp - i po koszuli w biało-niebieską kratkę. Stella towarzyszyła mu podczas zakupów w St Louis, gdy zobaczył tę koszulę na wystawie sklepu rolniczego. Była bardziej elegancka niż zwykle koszule do pracy - końcówki kołnierzyka miała przypięte guziczkami. Jamie kupił od razu trzy sztuki, żeby zawsze mógł nosić ulubiony strój. Szybko skręciła w lewo i skryła się za starą stacją wielorybniczą, z nadzieją, że jej nie dostrzeżł. Jamie natychmiast wyczyta w jej oczach, była tego pewna, że w jej głowie roi się od obrazów, myśli i marzeń związanych z Zefem. Nieważne, że wszystkie te głupstwa nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Po prostu nie powinny były istnieć. Stella należała do Jamiego i wszyscy to wiedzieli. Należała do niego, odkąd sięgała pamięcią, a może i jeszcze wcześniej.

Jego rodzice, Brian i Paulina, zostali pierwszymi przyjaciółmi Birchmore'ów po ich przyjeździe z Anglii na Tasmanię. Brian uczył Williama, jak obsługiwać łódź do połowu langust kupioną od emerytowanego rybaka z St Louis. W tamtych czasach okoliczne wody obfitowały w skorupiaki, a rybacy nie współzawodniczyli między sobą, tak jak ostatnio. Brian nie skąpił Williamowi swojej wiedzy, a ten był mu wdzięczny za pomoc. Opowiadał córce, że szczerzy i bezpośredni sposób bycia Briana zrobił na nim tak wielkie wrażenie, iż zachęcił obie żony, by się zaprzyjaźniły.

Paulina była równie niezorganizowana i impulsywna, jak Grace ostrożna i schludna. Różnice między nimi najwyraźniej liczyły się mniej niż fakt, że obie po raz pierwszy były matkami i miały dzieci w tym samym wieku. Gdy William nie wypływał w morze, często zawoził żonę i córkę

do domu Pauliny i zostawiał je tam, podczas gdy sam odwiedzał przetwórnę ryb i załatwiał różne sprawy. Grace i Paulina piły herbatę i uciwały pogawędkę, bawiąc się z dziećmi.

Stella i Jamie wychowywali się razem, dzielili się zabawkami, ubraniami, ospą wietrzną i przyjęciami urodzinowymi. Część wspólnej historii, której Stella nie pamiętała, ożywała dzięki dziesiątkom fotografii robionym w ciągu tych wszystkich lat obojgu dzieciom przez Paulinę. Najbardziej ulubione z tych zdjęć Stella powiesiła na ścianie swojego pokoju. Zostało zrobione podczas jednego z przyjęć barbecue Briana. Stella i Jamie mieli po osiem lat -tak samo się uśmiechali i brakowało im tych samych zębów. Trzymali w rękach identyczne wiaderka i łopatki kupione w sklepie w Halfmoon. Paulina miała już wtedy trójkę następnych dzieci, samych chłopców. Zbite w gromadkę, otaczają na zdjęciu brata i jego przyjaciółkę. Grace także na nim była - stała z tyłu i wyglądała bardzo elegancko obok umorusanych maluchów.

Gdy dziewczynka była dość duża, by mogła sama jeździć do miasteczka, odwiedzała Jamiego prawie w każdą sobotę, a Grace zostawała Pod Siedmioma Dębami i pracowała w ogrodzie. W tamtych czasach nie tylko przyjaźń przyciągała Stellę do tamtego domu. Po prostu lubiła gwar i nieład panujący w powiększającej się rodzinie. Lubiła oglądać telewizję i jeść jednocześnie. Lubiła gotować w zabałaganionej kuchni Pauliny, pewna, że nikt nie zauważy nieporządku, który po sobie zostawia. Lubiła wolność domu pełnego ludzi.

Latem Paulina pozwalała, by Stella i Jamie chodzili na plażę sami. Nie śledziła każdego ich kroku, tak jak Grace, nie ostrzegała, by uważali na rekiny i nie zapuszczali się zbyt daleko w morze. Pływali i nurkowali razem przez cały dzień, siedzieli w wodzie, póki skóra się im nie pomarszczyła i póki nie tracili czucia w palcach stóp. Gdy zgłodnieli, odgryzali kawałki z tej samej rozmięklej i zapiaszczonej

kanapki. Rozpinali jedno drugiemu zamki błyskawiczne kombinezonów i pomagali sobie uwolnić ręce z oblepiających ciało, mokrych rękawów. Leżeli jedno przy drugim w słońcu i opalali się, by po paru dniach zrywać sobie wzajemnie długie, przypominające papier paski skóry schodzącej z pleców. Ich ciała były wówczas zabawką lub bronią, potrzebowali ich do stania na rękach, skakania do wody na proste nogi, do zapasów albo rzucania do celu.

Gdy ciała zaczęły się zmieniać, jej ciało wcześniej niż jego, gdy jej piersi stały się większe i wrażliwsze - z początku nawet tego nie zauważyli. Aż pewnego lata, po zimie, podczas której nagość była schowana pod ubraniami, zaczęli kryć ją przed sobą, przebierać się za drzewem lub skałą. Nowe ciała stały się tajemnicą, nowością dla nich samych i dla siebie nawzajem.

Pierwszy raz całowali się podczas grupowej zabawy. Butelka puszczonej w ruch na piasku, krótkie zetknięcie warg, zamknięte oczy... Kiedy nadszedł czas dobierania się w pary, chodzenia ze sobą, leżenia razem na wydmach, pierwsi znaleźli partnerów. Ale po pewnym czasie wrócili do siebie. Teraz on był jej chłopcem, a ona jego dziewczyną, lecz przede wszystkim byli przyjaciółmi. Nawet gdy się całowali, wyśmiewali romanse i kpili ze scen pełnych namiętności. Takie rzeczy były dobre dla innych, tych z telewizyjnych seriali. Nie dla takich jak oni, którzy łowili razem skorupiaki, wkładali palce do środka ryb i jak haczykiem wyciągali wnętrzności. Tymi samymi palcami poznawali sekrety swoich dojrzałych ciał... Ona wciągała brzuch, żeby zrobić miejsce jego dłoniom wsuwającym się do jej dżinsów. Wstrzymywała oddech, by nie musiał przestać. Pochylała się do przodu z rozpiętym stanikiem, by jej piersi swobodnie zwisały pod koszulą.

Nigdy nie zdejmowali ubrań. Taka była niepisana zasada. Dzięki niej Stella mogła iść do domu i spojrzeć Willia-

mowi w twarz, wiedząc, że nadal jest grzeczną dziewczynką. Jego grzeczną dziewczynką, która wracała do niego cała i zdrowa.

Stella wyjrzała zza walącego się muru, by zobaczyć, gdzie jest Jamie. Stał na pirsie, patrząc w dal. Podążyła za jego wzrokiem - poza skalistą wyspę osłaniającą rozlewisko, na otwarte morze. Zza spiętrzonych skał pokrytych białymi ptasimi odchodami wyłaniał się czubek masztu „Lady Tirian”. Potknęła się na nierównym gruncie, biegnąc do szczeliny w murze, a potem na parking.

Jamie odwrócił się i zobaczył Stellę spieszącą po pirsie. Uśmiechnął się radośnie na jej widok. Tym samym uśmiechem co zawsze, szerszym z jednej strony. Ona także się uśmiechnęła - może zbyt pospiesznie, podejrzewała, zbyt serdecznie. Ale chyba niczego nie zauważył.

- I ja po niego wyszedłem - rzekł Jamie. - Może się na coś przydam.

- To dobrze - odpowiedziała Stella. - Już prawie piąta. Będą zadowoleni, jeśli szybko wyładuje połów. Spojrzała w stronę przetwórci ryb. Obok wejścia siedziały Sharon i Noel i dzieliły się puszką piwa, już w świątecznych nastrojach.

Jamie objął Stellę ramieniem, gdy szli dalej po pirsie. Jego ramię ciążyło jej, uciskało, znalazła pretekst, by się oswobodzić.

Podbiegła do miejsca, gdzie cumował stary, zardzewiały kecz. Napis „Grand Lady” tworzyły łuszczące się litery wymalowane na powgniatanym kadłubie. Przez otwarte drzwi sterówki widać było rzucony byle jak na podłogę śpiwór. A więc Joe znowu tu mieszka. Nie wolno mu było tego robić, Spinks co pewien czas wydawał stosowne ostrzeżenia. Ale w kwaterze starego żeglarza, w nieużywanej skutni po drugiej stronie zatoki, nie było ani kuchni, ani łazienki.

Stella poszła za Jamiem w stronę najdalej wysuniętego

w morze odcinka pomostu. Dotarli do miejsca, gdzie cumowała „Cassandra”, łódź Briana. Wyglądała dość schludnie, gdy stała samotnie. Ale Stella wiedziała, że ledwie „Lady Tirian” wejdzie do portu, „Cassandra” wyda się bardzo sfatygowana.

Jamie przeszedł obok łodzi ojca, nie rzuciwszy na nią okiem, i zatrzymał się przy wolnym miejscu, gdzie miała zacumować „Lady Tirian”.

Stella stanęła nieco dalej. Wypatrywała Williama - czekała na moment, gdy i on ją dostrzeże. Zawsze machał jej ręką. Potem, gdy był już blisko, uśmiechał się, a ich spojrzenia spotykały się. Nawet gdy na pirsie panował ruch, gdy pogoda nie była najlepsza i łodzie z innych portów szukały tu schronienia, pod jego spojrzeniem zawsze czuła się tak, jakby była tu jedyną osobą.

- Przy pływa - powiedział Jamie.

„Lady Tirian” wpłynęła do rozlewiska. Słońce odbijało się w jaskrawej, czerwono-zielonej farbie kadłuba i w czysto wyszorowanym drewnianym pokładzie.

Gdy łódź się zbliżyła, Stella utkwiała wzrok w ojcu. Stał w sterówce, wyprostowany, ubrany w żółty nieprzemakalny kombinezon. Sterczące na wszystkie strony włosy były sztywne od soli. Twarz miał rumianą, oczy jasnoniebieskie. Córka poczuła się dumna. Wyglądał jak przystojny aktor grający rolę bohaterskiego żeglarza, a nie jak zwykły rybak.

Ujrzawszy ją, uniósł rękę. Ona odwzajemniła się uśmiechem. Z wyrazu jego twarzy czytała, że wyprawa była udana, a połów spory. Sprawiał też wrażenie zadowolonego, że oczekują go dwie osoby - specjalne bożonarodzeniowe powitanie.

Stella ruszyła do przodu, by złapać linę cumowniczą, ale Jamie ją wyprzedził, już czekał z wyciągniętymi rękoma. Chwycił linę i nałożył pętlę na pachołek. Stella przesunęła wzrok po linie, aż na jej drugi koniec przywiązany mocno do „Lady Tirian”. Domyśliła się, że jej ojciec nauczył

Jamiego tej samej zasady, którą wpajał i jej: możesz przywiązać linę do łodzi, ale nie do nadbrzeża, musisz mieć pewność, że w razie potrzeby, zdołasz szybko odpłynąć...

Jamie dał szyprowi znak głową, gdy łódź była zabezpieczona. William odwzajemnił skinienie. Patrząc na nich, Stella poczuła nagły przyływ zazdrości. Te gesty miały w sobie więcej intymności niż skinienie ręką na powitanie. Dotyczyły wyłącznie ich obu. Były poufnym pozdrowieniem między mężczyznami.

William wszedł do sterówki i wyłączył silnik. Potem pojawił się z przenośną chłodziarką, w którą Grace wkładała jedzenie przed każdym wyjściem kutra w morze. Wysłuzone metalowe pudło miało powgniatane boki, a wzór w kratę prawie całkiem się wytarł. Chłodziarka kołysała się lekko w jego ręce - wszystkie paszteciki, ciasta i gulasze zostały zjedzone.

- Trzymaj - powiedział William, wręczając pudło córce.

To zawsze była pierwsza czynność, którą robił po powrocie, ale teraz, w obecności Jamiego, Stella poczuła się urażona. Ten gest łączył ją z Grace, z obowiązkiem siedzenia w domu i przygotowywania posiłków, pozbawiał ją miejsca na „Lady Tirian”. A przecież podczas każdych wakacji, od czasu, gdy była dość duża, by pomagać, wypływała z Williamem, niezależnie od pogody, i ciężko pracowała. Potrafiła wyznaczyć kurs na wyspę Standaway i z powrotem tak, by kuter nie osiadł na mieliźnie. Skrobała, pokostowała i malowała drewno. Tak często towarzyszyła Williamowi przy naprawach silnika dieslowskiego, że wiedziała, jakie powinna podać narzędzie, zanim o nie poprosił.

- Jest równie dobra jak chłopak - powiedział kiedyś Joe, a ojciec przyznał mu rację.

William pochylił się ku Stelli. Tym razem wręczył jej wiadro z rybami i mały, owinięty w folię, pakunek.

- Zanieś to Joemu. Ucieszy się z dobrego obiadu -rzekł.

To był jej kolejny obowiązek - rozprowadzenie jedzenia, które zostało po podróży, i ryb, które William złowił na przynętę. Darów morza nigdy nie zabierano do domu Pod Siedmioma Dębami. William ich nie lubił, nie lubił nawet zapachu, który towarzyszył ich gotowaniu.

Idąc w stronę starej keczy, Stella słyszała, jak William i Jamie gawędzą ze sobą. Wspięła się po trapie, zostawiła kubek i ciasto w sterówce, po czym wróciła do miejsca, gdzie cumowała „Lady Tirian”. Sarta przeciwdeszczowych ubrań leżała teraz obok chłodziarki. Jamie był na pokładzie z Williamem, stali obaj na dziobie obok koszy do łowienia langust. Stella czekała, aż ją zauważą, ale byli bardzo zajęci rozmową. W końcu jedną ręką zgarnęła ubrania, w drugą wzięła chłodziarkę i odeszła. Pudło obijało się jej o nogę, gdy szła długim krokiem w stronę parkingu, gdzie pod drzewem czekała furgonetka Williama.

Szarpięciem otworzyła drzwi i postawiła chłodziarkę na siedzeniu. Ubrania upchnęła obok niej.

Oparła łokcie o wyblakły dach, omijając odchody mew, i patrzyła w stronę kutra.

Jamie i William stali obok siebie, przyglądając się badawczo połowowi. Obaj mieli szeroko rozstawione nogi, przygotowani - mimo że łódź cumowała na spokojnych wodach - na niespodziewaną wielką falę. Stella widziała, jak William wyciąga rękę i dotyka ramienia Jamiego.

Chłopak roześmiał się, białe zęby zaślniły w ogorzałej twarzy, a starszy mężczyzna mu zawtórował. Dziewczyna odwróciła głowę. Trzasnęła drzwiczkami auta, aż odpryski zardzewiałej blachy posypały się na ziemię, i poszła, obok pomnika, po rower.

*

Stella rozsiadła się wygodnie w fotelu. Zastłony okien pokoju morskiego były zaciągnięte, a w powietrzu nadal unosił się smakowity zapach pieczonej jagnięciny. William

pisał przy swoim biurku - rozkładanym blacie kredensu ciotki Jane. Ołówek skrzypiał cicho, gdy mężczyzna przepisywał notatki z dziennika pokładowego do grubego zeszytu w twardej oprawie. Grace siedziała przy kominku, na którym leżały bożonarodzeniowe szyszki, i cerowała granatowy, ulubiony pulower męża. Pochyliła głowę nisko nad robótką, a lekko zmarszczone brwi wskazywały na skupienie. Spokój i ciszę burzył jedynie szum morza i jednostajne brzęczenie radia dochodzące z kuchni.

Stella trzymała na kolanach zniszczony egzemplarz *Anny Kareniny*. Przebiegła oczami długą listę rosyjskich nazwisk i tytułów wydrukowaną na pierwszych stronach, przypominając sobie bohaterów, kto z kim był związany i skąd pochodził...

Po chwili zarzuciła studiowanie zawilej genealogii. Jej wzrok powędrował przez pokój i zatrzymał się na Williamie. Ojciec odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, koncentrując uwagę to na jednej, to na drugiej księdze. Podczas wypraw na morze zapisywał w dzienniku pokładowym wszystkie informacje wymagane przez władze: liczbę złowionych langust i ryb, lokalizację zarzucania koszy, całkowity ciężar połowu. Robił też inne notatki, związane z obserwacją warunków pogodowych. Opisywał kierunki wiatrów, pływy, ruchy fal, chmury, temperaturę powietrza. Tajemnice morza i nieba były dla niego nieustannym wyzwaniem. Wiedza jest potęgą - mawiał. A wiedział tak wiele o miejscowej pogodzie, że ludzie często prosili go o prognozy. Rybacy uważnie słuchali jego szczegółowych przewidywań. Stella słyszała, jak mówili, że gdyby nie wymowa Williama, gdyby nie jego „okrągłe” angielskie samogłoski, można by pomyśleć, że się tu urodził.

Po każdej podróży ojciec przynosił dziennik pokładowy do domu i wieczorem przepisywał wszystkie informacje do zeszytu przechowywanego bezpiecznie w zamkniętej na klucz szufladzie kredensu. W grubej niebieskiej księdze było więcej miejsca na komentarze. Stella czasami stawała

obok niego i czytała, co napisał - te notatki były zwykle dłuższe i bardziej szczegółowe niż w dzienniku.

Cumulus przemieszczający się na północny wschód - częste zjawisko o tej porze roku. Wskazania deszczomierza: jeden i pół.

Opisywał widziane delfiny, wieloryby i ptaki morskie. One także są częścią zagadki - wyjaśniał. Prowadząc zapiski dotyczące absolutnie wszystkiego, i to przez dłuższy czas, można odkryć pewne prawidłowości.

O brzasku rodzina delfinów przepłynęła po stronie sterburty od wyspy Standaway.

Towarzyszył mi albatros. Nie był to przedstawiciel miejscowego gatunku, lecz albatros wędrowny.

Wychyliwszy się z fotela, Stella obserwowała spracowane dłonie Williama trzymające ołówek. Wyobrażała sobie staranne, proste pismo zapełniające kartki. Przemyśliwała, jak uważny i kompetentny jest ojciec we wszystkim, co robi. Wiedziała, że to właśnie pociągało Jamiego. Jeśli nawet poczuła się wykluczona na przystani, nie mogła winić swojego chłopaka o to, że chciał zająć jej miejsce. W towarzystwie Williama każdy czuł się ważny, każdemu wydawało się, że on troszczy się tylko o niego... Jego obecność dawała poczucie bezpieczeństwa. Było też coś szczególnego w jego sposobie mówienia - każde ze słów, wypowiedzianych powoli i miarowo, zdawało się podarunkiem, i w jego oszczędnych ruchach - nawet podczas sztormu nigdy nie krzyczał i nie wpadał w popłoch, zawsze nad sobą panował.

Stella wstała i podeszła do okna. Na dworze było już ciemno, ale widziała białą pianę fal rozbijających się na skałach.

Obserwowała ich nieustanny ruch. Dzień i noc napływały z południa. Lubiła wyobrażać sobie, że są to te same fale - albo dzieci fal - które bujały górami lodowymi i omywały grzbiety ogromnych wielorybów. Te same fale, które przyniosły tu nieznanego przybysza. Chłopca z łodzi, która ukryła się w zatoczce Stelli...

Wyobraziła go sobie leżącego w zacisznej kabinie jachtu w niebieskim śpiworze. Rozpięty zamek błyskawiczny - bo przecież jest ciepło - odsłania żółte wnętrze okrycia. Zef czyta *Annę Kareninę* przy świetle świecy. Ma na sobie podkoszulek z napisem „Bali” na piersiach... Obraz zaskoczył Stellę szczegółowością. Nie zdawała sobie sprawy, że tak dokładnie zapamiętała wygląd rzeczy Zefa rozrzuconych na plaży. Zastanawiała się, co jadł, gdy Grace podawała „jagnięcinę pieczoną w miodzie według mojego własnego przepisu”, a potem „pudding »pół godziny« ciotki Jane”. Otworzył konserwę czy ugotował garść ryżu? Stella żałowała, że na spacer do zatoczek nie wzięła ciasta lub czegoś innego, co mogłaby mu zostawić. Miała nadzieję, że udało mu się złowić rybę. Niewiele mu pomogła, wskazując, gdzie można znaleźć uchowce, ale nie wyjaśniając, jak je przyrządzić. Czy myślał o niej? Zastanawiała się nad znalezieniem sposobu, by do niego wrócić, może nawet jutro. Uśmiechnęła się do siebie. Jeśli pomyślał o dziewczynie, która zakłóciła mu dzisiaj spokój, to pewnie tylko dlatego, że martwił się, czy dotrzyma danego słowa i nie zdradzi nikomu, że on tam jest. William odłożył ołówek i wstał. Stella usłyszała cichy brzęk kryształu, gdy sięgnął do kredensu po kieliszki do sherry na wysokich nóżkach.

- Czas na bożonarodzeniowego drinka - obwieścił. Napełnił kieliszek złotą ciecżą i podał go Grace.

Drugi

kieliszek podał córce. Stella zdumiała się. Zawsze dostawała jedynie odrobineczkę, a ten kieliszek był pełen po brzegi.

- Masz już szesnaście lat - powiedział wspaniałomyślnie William. Spojrzał na Grace, jakby spodziewając się sprzeciwu z jej strony. - Najlepiej, gdy młodzi uczą się pić z umiarem, w domu.

Wiem, że możemy mieć do niej zaufanie.

Uśmiechnął się do córki. Czując na sobie jego ciepłe

spojrzenie, zastanawiała się, co by pomyślał, gdyby zobaczył ją dzisiaj z Zefem. Samą, w odosobnionym miejscu, z chłopakiem, którego nikt nie znał. Gdy ojciec odwrócił się, zlizwała kroplę ciekącą po zewnętrznej ścianie kieliszka.

- Wesołych świąt! - William uniósł kieliszek.

Stella i Grace także uniosły kieliszki, powtarzając jego słowa. Potem w pokoju znów zapadła cisza. Z kuchennego radia dochodził cichy śpiew chóru. Słowa unosiły się w powietrzu, niezakłócone, niczym anielskie głosy płynące z ciemności.

W szopie na rozstajach, na pościeli z siana, Paniąteczko Jezus wdzięczną główkę składa...

Stella spojrzała ku szopce stojącej na obramowaniu kominka i dzielącej to poczesne miejsce z wielką kartką świąteczną o pozłacanych brzegach od ciotki Jane. Mędracy, pastuszkowie, aniołki i zwierzęta, w dwóch grupkach, otaczali przestrzeń, gdzie stał Józef, wyprostowany i silny, a u jego boku klęczała Maria z wyrazem łagodności i spokoju na twarzy. Przed nią znajdował się żłóbek z Dzieciątkiem Jezus, owiniętym w pieluszki i machającym nogami, krągłymi ramionkami. Uśmiechnęła się. Kiedy była młodsza, wierzyła, że Święta Rodzina jest odzwierciedleniem jej własnej rodziny. Ojciec, matka i ukochane dziecko.

4

Wypchana torba przewieszona przez ramię obijała się o biodro Stelli, gdy dziewczyna przeskakiwała ze skały na skałę. Brakowało jej tchu, pot ściekał po plecach, ale nie pozwoliła sobie nawet na krótki przystanek. Za półtorej godziny musi być znowu w domu Pod Siedmioma Dębami. Wyobraziła sobie Williama i Grace, gdy po powrocie zastaną kartkę w drzwiach, na której napisała: „Czuję się lepiej. Poszłam na spacer, żeby zaczerpnąć świeżego po-

76

wietrza". Już sama myśl o tych słowach, tak jednoznacznych, sprawiała, że czuła się zdenerwowana i winna.

William najbardziej nie lubił kłamstw.

Stella wiele razy decydowała się na niepowiedzenie prawdy: nie przyznała się, że rodzice Laury pozwalali im wracać do domu po północy, nie wspominała, że koledzy i koleżanki za dużo pili... Ale to, co zrobiła dziś, było czymś zupełnie innym. Spinks i jego siostra zawsze zapraszali Birchmore'ów w dzień Bożego Narodzenia na popołudniowego drinka. Członkowie obu rodzin czuli się w Halfmoon Bay ludźmi z zewnątrz, nie mieli krewnych, z którymi mogliby spędzać święta. Dziś Stella udąła, że jest chora. Położyła się na kanapie, budząc współczucie Williama. Cichym głosem zapewniła Grace, że nic jej nie będzie, gdy rodzice szykowali się do wyjścia. Ale kiedy odjechali, poczuła w sobie dziwny chłód. Jak łatwo jest kłamać... Nie kłamała jednak samolubnie. Chciała zanieść trochę jedzenia przybyszowi, który przyplłynął z daleka i którego jedynym towarzyszem był kot. Z pewnością nie robiła nic złego. Przeciwnie, w jej postępkach było coś z bożonarodzeniowej tradycji.

Gdy wspięła się na spiętrzone skały, jej oczom ukazał się wierzchołek masztu. Na tle nieba powiewały dwie flagi - żółta oraz czerwono-biało-niebieska. Odetchnęła z ulgą. Zef wciąż tu był, w kryjówce jej zatoczki.

Pospiesznie ruszyła ku miejscu, gdzie napotkała węża, i tam zeskoczyła na piasek. Morze cofnęło się daleko, odsłaniając szeroki łuk plaży. Wszystkie porzucane wczoraj ubrania i przedmioty zniknęły. Na piasku nie było odcisków stóp. W powietrzu nie rozbrzmiewała piosenka. Dało się jedynie słyszeć delikatne pobrękiwanie metalowych części o maszt, plusk spokojnych fal i kwilenie ostry-gojada. Stella kierowała się do punktu, gdzie linia brzegu biegła najbliżej jachtu. Uświadomiła sobie, jakie to znakomite miejsce na zacumowanie łodzi - głęboki kanał prawie dotykał rzędu głazów o bez mała pionowych ścianach. Zatoczka

była tu bardzo wąska. Liny z obu stron kadłuba utrzymywały łódź w stabilnej pozycji.

- Hej, hej! - zawołała.

Czuła się niezręcznie, jakby naruszała czyjąś prywatność, mimo że znajdowała się na „swojej” plaży, a Zef i jego łódź byli tylko przejezdnymi gośćmi.

Długie ramię wysunęło się z kabiny, a za nim głowa z poczochronymi włosami. Zef zmrużył oczy na słońcu, a potem szeroki uśmiech przegonił sen z jego twarzy.

- Stella!

Wspiął się na pokład. Przeciągnął się, patrząc na nią. Miał na sobie jedną z kolorowych tkanin, owiniętą luźno wokół pasa. Stella zrzuciła torbę z ramienia i sięgnąwszy do wnętrza, zaczęła grzebać wśród paczuszek z jedzeniem. Jej pamięć tymczasem rejestrowała obraz Zefa: ospała powolność ruchów, szczupłe ramiona rzeźbione muskularni, ułożenie tkaniny opasującej biodra. Gdy znów uniosła wzrok, patrzył jej prosto w oczy.

Czuła, że jest zaskoczony, ale i zadowolony z wizyty. Widziała to w jego oczach, ustach, nawet w rękach. Uśmiechnęła się do niego.

- Wesołych świąt!

- No tak... - Zef zdawał się nie pamiętać o tym szczególnym dniu. - Chodź.

Wskazał miejsce, gdzie mogła stanąć - kamień, ledwie zakryty wodą, z którego mogła wskoczyć do małej szalupy. Sam stanął na rufie, gotowy pomóc jej przy wejściu na pokład.

Stella wiedziała, że Zef ją obserwuje. Sposób, w jaki człowiek wchodzi do szalupy, wiele mówi o jego doświadczeniu z łodziami. Ktoś, kto nigdy przedtem tego nie robił, trzyma się kurczowo krawędzi nadburcia i idzie bokiem, jak krab. Ona natomiast stała wyprostowana, nie tracąc równowagi, mimo że łódeczka kołysała się pod jej stopami.

Sięgnęła ku wyciągniętej, oczekującej ręce, która zacisnęła się, mocna i ciepła, na jej ramieniu.

Pociągnął ją ku so-

bie. Stała drugą stopą na pokładzie, ale potknęła się i wpadła na niego. Chwytał ją za ramiona, by nie upadła, i trzymał przez chwilę. Potem zwolnił uścisk. Nagle wydał się bardzo młody, niepewny swego. Nie był wilkiem morskim, lecz dzieckiem, jak ona... To dodało Stelli odwagi, opanowała nerwy. Ruszyła wzdłuż jachtu.

- Dopiero się obudziłeś? - spytała, spoglądając do tyłu przez ramię. - Już po trzeciej.

Zef szedł za nią.

- Już wcześniej nie spałem przez jakiś czas. Sypiam krótko, lecz często. Jak się jest samemu na morzu, nie można sobie pozwolić na wielogodzinny sen, zwłaszcza gdy się człowiek znajdzie na szlaku dużych statków. Frachtowiec najechałby na mnie, nawet tego nie zauważywszy. A ostatniej nocy księżyc świecił tak jasno... Poszedłem na długi spacer. - Stella zatrzymała się i odwróciła do Zefa. - Myślałem, że śnię. Wszystko było niebieskie i srebrne.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Doskonale wiedziała, jak to mogło wyglądać - blask księżyca kładł się na morzu, które wyglądało niczym szeroka autostrada prowadząca do innego świata. A każda fala miała obwódkę ze srebrnej koronki.

Podchodząc do niej, Zef wskazał dłonią dwie poduszki. Leżały obok siebie na pokładzie rufowym jak w oczekiwaniu gościa. Poszewki były wykonane z jaskrawożółtego jedwabiu, haftowanego dopasowaną kolorystycznie nitką i ozdobione maleńkimi, okrągłymi szkiełkami, lśniącymi w słońcu. Stella usiadła, kładąc torbę obok siebie. Z bliska spostrzegła biały wzór krystalicznej soli pokrywający rysunek na jedwabiu. Na poduszce widać było czarne i pomarańczowe kocie włosy. To poduszka Carli - domyśliła się - to kot siadywał blisko Zefa na pokładzie, by podziwiać zachód słońca...

- Przyniosłam ci trochę jedzenia - powiedziała.

Zef uniósł ze zdziwienia brwi. Potem utkwiał wzrok

w torbie. Wygląda raczej na kogoś bardzo głodnego - pomyślała - niż na kogoś, kto oczekuje wykwintnego poczęstunku.

Zacząła wyjmować przyniesione smakołyki. Zef przyglądał się im bacznie, kiwając przy każdej sztuce głową. Paczka herbaty, trochę ryżu, konserwowe buraki, ser, jabłka. Stella czuła się jak czarodziej wyciągający z kapelusza różne dziwne przedmioty. Wydobyła opakowane w folię ciasto.

- „Krój i wróc” według przepisu ciotki Elizy - obwieściła.

Zef patrzył zdumiony.

- Jak się nazywa?

- „Krój i wróc” - powtórzyła - tak się nazywa to ciasto. - Zamilkła i patrzyła na Zefa. - Nie martw się, mama nawet nie zauważy, że zniknęło. Zawsze robi sześć takich ciast naraz, zamraża je, a potem daje ojcu na wyprawy w morze. - Wyjęła kilka pomarańczy i paczkę herbatników. - Puszka tuńczyka dla Carli.

Jakby na dźwięk swojego imienia moregowaty kot wysunął pyszczek z kabiny. Podszedł posuwistym krokiem do Stelli i bez wielkiego wahania wskoczył jej na kolana.

Zef przyglądał się zwierzęciu.

- Przecież ona nie znosi obcych - rzekł.

Carla ugniatała łapami uda Stelli, przebijając ostrymi pazurami dżinsowy materiał spodni. Wreszcie obróciła się wokół własnej osi i zwinęła w kłębek na kolanach dziewczyny. Stella uśmiechnęła się z zadowoleniem, poczuła, że jest kimś wyjątkowym. Pochyliła się nad kotem, by sięgnąć do torby po ostatnie rzeczy. Były w niej jeszcze trzy słoiki ciemnozłotego miodu.

- Mamy go mnóstwo w szopie. To miód z kwiatów z buszu. My używamy tylko miodu z koniczyny, który kupujemy w sklepie. Ale Joe i tak daje nam swój miód, a my nie mówimy mu, że go nie chcemy.

Zef otworzył jeden ze słoików, zanurzył palec w mio-

dzie i włożył go do ust. Oblizwał wargi, delektując się smakiem.

- Czego mu brakuje? - Znowu sięgnął palcem do słoika. - Jest smaczny.

Podsunał słoik Stelli. Ona też umoczyła palec i zaczęła ssać słodki syrop. Udzielił się jej entuzjazm Zefa. Miód smakował jej jak nigdy dotychczas. Miał głęboki aromat dobrze przyrządzonego karmelu z nutą dymu.

Oboje sięgali do słoika, na zmianę zanurzając palce i przenosząc lepki maź do niecierpliwych ust. Długie nitki miodu snuły się w powietrzu, złote krople spadały na poduszki. Odrobina spłynęła po brodzie mężczyzny, Carla oblizywała lepkie ramię Stelli ostrym, różowym językiem.

Gdy słoik był w połowie pusty, podzielili się pomarańczą, cierpki sok wyparł nadmiar słodczy. Oblizując wargi, Stella spojrzała na wysoki maszt. Wystarczająco dużo wiedziała o jachtach, by docenić jakość olinowania. Nie żałowano wydatków na przygotowanie łodzi do żeglowania po oceanach. I znów zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że łódź należy do Zefa.

- Piękny żaglowiec - powiedziała.

Nie dodała nic więcej, czekając, dokąd zaprowadzi ta uwaga.

Zef uśmiechnął się z dumą.

- O, tak. I wspaniale go się prowadzi. Te dwie rzeczy zwykle idą w parze w przypadku jachtów. Jeśli proporcje są właściwie zachowane, można być prawie pewnym, że będzie się dobrze żeglowało. Mam zaufanie do „Tailwind” przy każdej pogodzie. - Wskazał na maszt. - Spójrz na tę drugą prowadnicę idącą do jednej trzeciej masztu. Dzięki niej mogę wciągnąć żagiel sztormowy w pięć minut. Popatrz na salingi - aż cztery. Ten maszt wszystko wytrzyma. - Wskazał ręką na kabinę. - Widzisz, jaki ma kształt? Na wielkich morzach fale po prostu się po niej przetaczają.

Zamilkł, wodził wzrokiem po jachcie.

- Nie jest, naturalnie, mój. Zajmuję się nim na prośbę przyjaciela. On sam go zaprojektował...
Głos Zefa ucichł. Stella próbowała wyczytać coś z jego twarzy. Wyglądał na zadumanego, prawie smutnego.

- Przygotuję herbatę - powiedział, wstając.

- Nie. Nie mogę zostać dłużej. Muszę wracać. Spojrzał na nią wzrokiem bez wyrazu.

- Nie było mi łatwo wymknąć się z domu - wyjaśniła. Skinął głową.

- Nie mówiąc, że tu jestem - dokończył za nią. Milczała chwilę, po czym powiedziała:

- Tak. Dochowałam sekretu.

Powiedziała to tak, jakby bez najmniejszego trudu mogła poinformować Williama o Zefie: „Wiesz, tato, poznałam żeglarza z Indii. W tej zatoczce, której nie odwiedza nikt poza mną. Pójdę tam teraz, żeby się z nim zobaczyć...”.

Wstała i zarzuciła torbę na ramię. Chciała zapytać: „Jak długo tu zostaniesz? Kiedy odpłyniesz?”. Ale nie powiedziała nic. Czuła, że jeśli wypowie słowo „odpłyniesz”, to tak się stanie. Zef podniesie kotwicę, jacht zniknie za horyzontem.

- Zaczekaj - poprosił.

Przeszedł po pokładzie i wślizgnął się do kabiny. Stella patrzyła za nim, starając się zajrzeć do jego „domu”, ale zasłonki musiały być zasunięte, bo w środku panował mrok, widziała tylko niewyraźne kształty. Zef pojawił się po paru sekundach z małą paczuszką w ręce, owiniętą w kawałek wypłowiałej bawełny odcięty z jednego z kolorowych ubrań. Nie była związana sznureczkiem czy wstążką, tylko długim pasmem świeżego wodorostu. Końce rośliny zaczynały wysychać, zwijając się w dekoracyjne esy-floresy.

- Rozpakuj - polecił.

Pociągnęła za wodorostowy sznurek. Tkanina opadła, ukazując mały koszyczek upleciony z traw. Stella wiedziała, że zdobiące go pióra, muszelki i cienkie witki różowych

i żółtych roślin zostały zebrane w okolicy. Spojrzała na Zefa. Oto ktoś - pomyślała - kto tak jak ona lubi zbierać takie skarby i wykonywać z nich różne przedmioty mimo że nie jest już dzieckiem.

- Piękny - powiedziała.

- Zrobiłem go dla ciebie.

Stella zagryzła wargi. Skąd wiedział, że przyjdzie? Czy przywykł do tego, że wszystkie nowo poznane dziewczyny stawały się do razu jego przyjaciółkami?

- Zamierzałem go tu zostawić - ciągnął. - Tam, gdzie gromadzą się kawałki drewna wyrzucanego przez morze, przy rozlewisku. Z karteczką „Dla Stelli. Z życzeniami wesołych świąt od Zefa i Carli”.

- Chciałabym mieć tę karteczkę - uśmiechnęła się. Chwila zwątpienia minęła, Stella poczuła beztroską ulgę. Oddała mu koszyczek. - Przyjdę po niego jutro.

Wyciągnął rękę gotową do uścisku.

- Umowa stoi.

Podawała mu dłoń. Nie chwycił jej tak mocno jak wtedy, kiedy pomagał wejść na pokład. Pozwolił miękko spoczywać w swojej dłoni, jakby to nie była ręka dziewczyny umiejącej filetować tak dużą rybę jak płaskogłów tygrysi w ciągu dziesięciu sekund albo trzymać rumpel, póki palce nie zeszywnieją i nie zrobią się sine z zimna, ale jakby ta ręka była czymś delikatnym i cennym.

Zostawiwszy Zefa obok żółtych poduszek, Stella wyskoczyła na brzeg i przeszła po kamieniach na piasek. Oddalała się plażą. Tym razem była pewna, że chłopak za nią patrzy. Jej ramiona kołysały się z gracją. Wyprostowana szyja podtrzymywała wysoko podniesioną głowę. Zaokrąglone biodra poruszały się zalotnie poniżej wąskiej talii. A włosy, świeżo umyte na świąteczny poranek, falowały na plecach niby jedwabna peleryna, błyszcząca w słońcu.

Zapach pieczenia wpełzł do pokoju, gdy poranne światło zaczęło przeciskać się przez szczeliny w zasłonach. Stella leżała w łóżku. Słuchała szmeru rozmów i odgłosu kroków krzątających się po kuchni rodziców - dreptania Grace i ciężkiego stąpania Williama - znajomych, krzepiących dźwięków.

Wszystko było tak, jak trzeba.

Wodziła wzrokiem po pokoju, po różowych ścianach, zasłonach w baletnicy i po starej szafce, na której boku wisały sportowe wyróżnienia ze szkoły: kilkanaście niebieskich wstęg na pierwszym planie, a dalej kilka czerwonych. Spojrzała na kamiennego aniołka stojącego na półce w towarzystwie lalek. Była tam lalka niemowlę, o miękkich, wyglądających na prawdziwe, rączkach i nóżkach, lalka aborygeńska z czarnymi włosami i ciemną buzią i ukochana Miranda, chodząca lalka z długimi, rudymi włosami.

William kupił Mirandę, gdy Stella, jako uczennica czwartej klasy, wygrała ogólnostanowy konkurs na wypracowanie. W sklepie z zabawkami w St Louis można było dokupić dla Mirandy dodatkowe ubranka i kilkakrotnie - kiedy Stella zrobiła coś, co cieszyło ojca - przynosił jej w nagrodę kolejne kreacje.

Stella spojrzała na dolną półkę, gdzie ułożone równo na kupce leżały lalczyne ubrania: para dżinsów, strój tenisowy z kremowej bawełny, garnitur z paskiem ze złotego łańcuszka, granatowy sweterek podobny do tego, który Grace zrobiła na drutach Williamowi, i najpiękniejsze ze wszystkich - suknia ślubna. Matka uszyła ją, wykorzystując resztkę jedwabiu ze swojej własnej sukni ślubnej.

Patrząc na otaczające ją rzeczy i sprzęty, Stella poczuła w piersiach bolesny strach. Niedługo będzie musiała to wszystko zostawić, wyjedzie do miasta, do znacznie większej szkoły. Wprawdzie Jamie, Laura i inni także tam będą, ale trzeba będzie zmierzyć się z tyloma nowymi i nieznanymi sprawami... I znów przypomniał jej się Zef. Wyobraziła go sobie, jak

stawia żagle, samotny - jeśli nie liczyć kota - i nie oglądając się za siebie, wyrusza ku nowej przygodzie. Oto odpowiedź - pomyślała. Powinna być bardziej podobna do Zefa, odważna, nielekająca się ryzyka. Uświadomiła sobie, że takie podejście do życia jest całkowitym przeciwieństwem postawy Williama. Odepchnęła od siebie tę myśl, poczuła się winna, złapana na gorącym uczynku, jak dziecko, które zabazgrało podręcznik długopisem i teraz nie może wytrzeć tuszu gumką.

Skupiła uwagę na odgłosach dochodzących z kuchni. Pobrząkiwanie metalu oznaczało, że Grace myje rondle. Stella wiedziała, w jakiej pozie stoi matka, potrafiła nakreślić obraz jej wysokiej postaci pochylonej nad zlewem... I znów ogarnął Stellę niepokój. Jak Grace da sobie radę bez córki, gdy ojciec wypłynie w morze? Czy podejmie kolejną próbę nauki jazdy samochodem, by mogła częściej opuszczać dom? Stella wiedziała, że przed wielu laty William starał się nauczyć żonę prowadzenia samochodu, lecz bez rezultatu. Z tyłu furgonetki nadal widoczne jest wgniecenie po tym, jak Grace uderzyła w słupek bramy. Trudno sobie wyobrazić, by zechciała ponownie rozpocząć naukę jazdy. Stella przekręciła się na drugi bok, otuliła kołdrą i wróciła myślami do Zefa. Wyobraziła go sobie w zatoce, rozpartego wygodnie na żółtej poduszce obok Carli, czekającego na powrót Stelli. Widziała jego długie włosy, lśniące w słońcu, zwisające luźno na ramionach. Widziała kamienny wisiołek, który nosił na szyi na skórzanym rzemyku - czerwona łezka na tle spalonej na brąz skóry. Ale spodnią część ramion miał nadal jasną - przypominała sobie - a więc to słońce zabarwiło skórę, która od urodzenia była jasna, taka sama jak jej...

Rozległo się krótkie stukanie do drzwi, które prawie natychmiast się otworzyły. Do pokoju wkroczył William i odciągnął zasłony.

- Marnujesz dzień - rzekł. - Pora na śniadanie.

Na krańcu stołu przygotowano trzy miejsca: dla Williama u szczytu, dla Grace po jego prawej stronie i dla córki po lewej. Wszystko było przygotowane do świątecznego śniadania Birchmore'ów w drugi dzień Bożego Narodzenia. Wykwintny dzbanek do herbaty stał na korkowej podstawce obok filiżanek i spodeczków do kompletu. Zrolowane lniane serwetki, tkwiące w srebrnych pierścieniach, leżały obok błyszczących sztućców.

Stella postawiła na środku stołu dwa - jeden obok drugiego - słoiczki z dżemem. William siedział w fotelu przodem do morza. Wydawał się zamyślony, jakiś nieswój. Stella poczuła niepokój, który powoli zaczął zamieniać się w strach. Czyżby ktoś widział, jak pedałowiała wczoraj pospiesznie, jadąc drogą ku swojej tajemnej ścieżce, i wcale nie wyglądała na chorą? A może ktoś, płynąc po morzu, dostrzegł zacumowany jacht i zobaczył ją przez lornetkę z Zefem.

Zdarzało się już, że przyłapywano Stellę w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze, ale nigdy nie można jej było obwinie o to, że kłamie w żywe oczy.

W milczeniu patrzyła na bożonarodzeniowe drzewko. Wyglądało już mniej atrakcyjnie, ozdoby nadal na nim wisały, ale nie było prezentów. Wydawało się, że jego magiczna moc osłabła, ledwie zegar wybił dwunastą o północy w Wigilię. W świetle poranka Dzieciątko Jezus z szopki stojącej na kominku zdawało się blade i zmarznięte.

Grace przyszła z kuchni, niosąc talerz „naleśników według mojego własnego przepisu” i trzeci słoik domowego dżemu. Zatrzymała się przy swoim krześle, omiatając stół wzrokiem i sprawdzając po raz kolejny, czy wszystko jest na swoim miejscu.

Stella patrzyła na złociste naleśniki, połyskujące rozpuszczonym masłem. Wiedziała, że William je uwielbia - podawano mu je każdego drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia od czasu, gdy był dzieckiem. Ale dziś zdawał się ich nie zauważać. Córka zerknęła na niego, zdenerwowana.

Wreszcie przemówił.

- Jeśli pogoda się utrzyma - zwrócił się do żony i córki - wypłynę jutro o brzasku.

Stella udawała, że przygląda się swojemu talerzowi. Jutro! William zawsze zostawał w domu między świętami a Nowym Rokiem. Nigdy nie pracował przed pierwszym stycznia.

A gdy to robił, zabierał ze sobą córkę. Zaciśnęła wargi. Chciała powiedzieć: „Nie! Jutro nie mogę. Przrzekłam przyjacielowi...”.

- Pomyślałem, że jednak - ciągnął - zabiorę cię w morze kiedy indziej. Mama chciałaby pewnie, żebyś została z nią w domu.

Stella wstrzymała oddech. To zbyt piękne, by było prawdziwe, jak spełnione życzenie, jak czary...

Spojrzała na Grace, ofiarowując jej milczące podziękowanie.

Ale ona patrzyła na męża ze zdziwieniem. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale tylko odwróciła głowę.

- Poza tym... - William zamilkł na chwilę i odchrząknął... - zabieram Jamiego. Poprosił mnie, bym go zabrał, a ja uważam, że dobrze mu to zrobi.

Dziewczyna zerknęła na ojca, ale on nie odwzajemnił spojrzenia.

- Wrócimy przed sylwestrem, żebyśmy wszyscy się wybrali na kolację z tańcami, jak co roku.

Stella milcząco kiwnęła głową, bo nie była pewna, czy nie usłyszeliaby w jej głosie rozczarowania.

- Wiedziałem, że się zgodzisz - dodał. - Przy okazji, Jamie prosił, żeby cię od niego pożegnać. Dziś, naturalnie, mają rodzinne barbecue w Nautilus Bay. Wieczorem musi się przygotować, bo wyruszamy przed świtem. A więc nie będziecie mieli okazji się zobaczyć.

- W porządku - powiedziała Stella. - Ja też chcę jutro wcześniej wyjść. Obiecałam Joemu, że sprawdzę, czy morze nie wyrzuciło jakiegoś drewna.

Kolejne kłamstwo - jak łatwo...

William zatarł ręce, spojrzął z uśmiechem najpierw w lewo, potem w prawo.

- A więc załatwione. A teraz, Grace, podaj mi naleśnika i trochę dżemu. Wyglądają bardzo apetycznie!

Stella patrzyła na twarz ojca. Spodziewał się, że córka okaże niezadowolenie, miał więc się z czego cieszyć. Jego plan został zaakceptowany. Poczowała gniew - nie na Williama, lecz na samą siebie.

Wiedziała, że oczekiwano od niej, by się z nim zgadzała, że jej uczucia są kształtowane przez niego.

William wskazał na podkoszulek Stelli.

- To twoja bożonarodzeniowa koszulka? Ładnie w niej wyglądasz.

Ciepło pochwały rozlało się po jej wnętrzu.

- Dziękuję.

- No to jedźmy. Ty też, Grace - powiedział William.

Stella spojrzała na matkę. Grace siedziała, patrząc w talerz na ledwie napoczęty naleśnik. Mimo wielkiego zainteresowania gotowaniem nigdy nie jadła dużo. Nagabywania Williama zawsze zbywała stwierdzeniem, że jest najedzona. Ale nigdy nie mówiła, czym zdążyła się najeść.

Stella patrzyła, jak Grace podnosi do ust niewielki kęs, a potem żuje go wolno. Na jej policzkach, przy obu kącikach ust, rysowały się cienkie bruzdy. Przyglądając się matce, Stella uświadomiła sobie nagle osobliwą, lecz nieuniknioną prawdę: Grace była zła na Williama.

Wypełniał ją skrywany gniew.

Stella odwróciła się do ojca. Nakładał sobie drugiego naleśnika. Dostrzegłszy spojrzenie córki, puścił do niej oko.

Ręka Stelli wydawała się duża i blada w podwodnym świetle. Pasma włosów falowały przed maską. Dziewczyna przytrzymała się skały, gdy nadeszła fala przybojowa, kłębiąc wodorosty. Zaczekała, aż morze się uspokoiło, i wyciągnęła finkę z pochwy przymocowanej do uda. Sięgnęła

ku jednej z różowo-brązowych muszli uchowców okalających krawędź skały. Włożyła koniuszek szerokiego ostrza pod muszlę, przekręciła ją zdecydowanym ruchem i oderwała muszlę od podłoża, przytrzymując ją mocno. Działała szybko. Wiedziała, że uchowiec błyskawicznie wykorzysta każdą szansę ponownego przyczepienia się do podłoża, a wtedy nie będzie można go oderwać.

Nie miała ze sobą torby, tylko maskę i fajkę do nurkowania, dlatego za każdym razem wypływała na powierzchnię i podawała zdobycz Zefowi. On stał na skale z wiadrem i ilekroć podpływała z łupem, wyciągał do niej rękę. Za każdym wypłynięciem Stellę rozpierała duma. Trzeba było nie lada umiejętności, by schwytać uchowca i go nie wypuścić. Instynktownie wyczuwała, że Zef zdaje sobie z tego sprawę. Wyłowiwszy sześć dużych uchowców, podpłynęła do plaży.

Usiadła, rozkoszując się słońcem. Czuła, jak jej skóra rozgrzewa się i schnie. Góra od kostiumu zamieniała się w dwa wilgotne, chłodne trójkąty zakrywające piersi. Zef szedł ku niej z kołyszącym się wiadrem w ręce. Miał na sobie tylko kawałek materiału owinięty w pasie. Zaledwie dwa dni temu - przypomniawszy sobie Stella - widok mężczyzny w spódnicy wydałby się jej dziwny, teraz był czymś normalnym. Pewne rzeczy zmieniają się tak szybko.

- Co teraz z nimi zrobimy? - spytał Zef.

Usiadł obok niej, zaglądając do wiadra. Uchowce wychylały się z muszli, szukając znajomego dotyku skał, ale trafiały jedynie na gładki plastik wiadra oraz muszle i ciała towarzyszy.

- Lepiej nie wiedzieć - roześmiała się Stella.

Trzeba było odciąć je od muszli, wypatroszyć, zeszkrobać z nich czarny szlam i dopiero potem pociąć na cienkie plastry i usmażyć.

Zef szybko nauczył się oprawiania uchowców. Wkrótce pracował tak wydajnie, jakby to robił od lat. Stella patrzyła, jak jego dłonie chwytają muszle i jak trzyma nóż. Próbo-

wała wyrzucić z pamięci obraz rąk Jamiego wykonujących te same czynności dokładnie w taki sam sposób. Miała wrażenie, że dopuszcza się zdrady, jakby czyszczenie i krojenie w plastry uchowców były intymnym rytuałem, do którego nie powinna była dopuścić nikogo obcego.

Zef trzymał jednego z mięczaków w ręce, obserwując, jak ślimak wije się w muszli, lśniąc wilgocią i zmieniając kształt. Stella poczuła, że oblewa się rumieńcem. Chłopcy często żartowali, że uchowce wyglądają jak dziewczęca cipka. „Skąd oni to wiedzą? - pytała wówczas Laura. - Przecież nigdy jej dobrze nie widzieli”. Taka była prawda, chłopcy bardziej czuli, niż widzieli ciała swoich dziewczyn, wkładając rękę do ich spodni i zakradając się między miękkości. A jeśli już ktoś posunął się tak daleko, by się rozebrać, zawsze robił to w ciemności.

Zerknęła na Zefa. Wyobraziła sobie, że stoi nagi w jasnym świetle dnia, nie czuje potrzeby ukrycia czegokolwiek i nie spodziewa się, by dziewczyna cokolwiek przed nim ukrywała...

- Najlepiej przyrządzić je na ogniu - powiedziała, chcąc wypełnić ciszę słowami - smażyć parę minut na gorącym ogniu. Ale zastanawiam się, gdzie mielibyśmy go rozpaścić. Jak dostrzegą dym, zaraz się tu pojawią.

Wiedziała, że może pojawić się nawet cała jednostka ochotniczej straży pożarnej dowodzona przez wujka Jamiego, Billa.

- Mam kuchenkę spirytusową - powiedział Zef. - Czasem się przydaje. Przyniosę ją. I patelnię. Co jeszcze będzie nam potrzebne?

Wtedy ona wskazała ręką swoją torbę.

- Mam masło, cytrynę, sól i pieprz. Niczego więcej nie trzeba.

Zef skinął głową i odwrócił się. Gnany głodem, puścił się biegiem w stronę jachtu. Sposób, w jaki wiązał sarong, sprawiał, że nogi mogły poruszać się swobodnie. Stella patrzyła na napinające się mięśnie jego łydek i pleców. Miał

ciało mężczyzny, nawet jeśli rozwiane włosy i niedbały sposób poruszania się sprawiały, że wyglądał na chłopca.

Gotowali w cieniu, pod rozkołysanymi gałęziami rzewni. Płatki białego mięsa zwijały się i podskakiwały na rozgrzanym maśle. Morskie powietrze nasyciło się zapachem cytryny i spalanego spirytusu.

- Jak długo tu zostaniesz? - Musiała o to zapytać. Chciała wiedzieć, kiedy przyjdzie czas pożegnania.

- Powiniennem wkrótce odpłynąć - odparł. - Naprawiłem już samoster. Mam spotkać się z Bakti w Nowej Zelandii. Muszę się tam dostać.

- Ile czasu zajmie ci ta podróż? - Stella starała się, by jej głos brzmiał bez troski i naturalnie.

- Muszę wyruszyć jutro. Najdalej pojutrze.

Milczeli oboje. Tłuszcz skwierczał na patelni. Wreszcie Zef powiedział:

- Może pojedziesz ze mną? Bakti nie miałyby nic przeciwko temu. Potem cię tu przywiozę - za kilka tygodni. Akurat zdążysz do szkoły.

Stella roześmiała się.

- Mówię poważnie.

Pokręciła głową. Czy on naprawdę myślał, że mogłaby po prostu wyruszyć z nim na morze jego jachtem? - zastanawiała się.

- Mam sporo rzeczy do zrobienia. Muszę się spakować...

Spojrzała na niego. Pewnie myśli, że jestem starsza - powiedziała sobie w duchu. Ludziom często tak się wydaje, bo jestem wysoka.

- Mam dopiero szesnaście lat.

- Szesnaście... - powtórzył Zef. - Ja w tym wieku już mieszkałem sam. Bakti przeniosła się do innej

aśramy. A ja zostałem w Goa. - Popatrzył na jacht. - Wtedy właśnie poznałem Wolfganga. Szukał kogoś, kto zaopiekowałby się jego dziećmi. Jego żona, Lotte, miała zapalenie wątroby. Była poważnie chora. Zamieszkałem z nimi. Mieli sześcioro dzieci. Trzy dziewczynki i trzech chłopców. Najmłodsze, Nina, było całkiem małe.

Mówiąc to, przesiewał piasek między palcami. Kiedy wspomniał imię dziecka, ucichł, jego ręka zawisła w powietrzu. Uśmiech na sekundę pojawił się na jego ustach, ale szybko znikł.

- Coś się wydarzyło w Niemczech i pewnego dnia wyjechali. Opiekowałem się łodzią, na wypadek gdyby wrócili. Wolfgang mówił, że wrócą. Miałem nadzieję, że wrócą, bo było mi z nimi dobrze. Naprawdę tęsknię za dziećmi. -Jego głos stał się miękki. Stella wyobraziła sobie Zefa otoczonego gromadką jasnowłosych dzieci, z niemowlęciem na ręku. - Czekałem prawie rok. Mieszkałem na łodzi. Ale nie przyjechali. Więc wypłynąłem. Dlatego tu jestem...

- Nie odpływaj jutro. - Słowa same wymknęły się z jej ust. - Chcę tu przyjść jeszcze raz.

- Będziesz musiała - rzekł Zef. - Jeszcze nie napisałem pożegnalnej kartki.

Stella uśmiechnęła się. Ogarnęła kolana ramionami i przyciągnęła je do ciała. Jeszcze jedna wizyta - powiedziała sobie - a potem wszystko się skończy. Będzie taką samą dziewczyną jak do tej pory.

Dziewczyną Jamiego. Dziewczynką Williama.

Jeszcze jedna wizyta.

To niewiele.

Ale jednocześnie - wiedziała o tym - bardzo wiele, wszystko. Dar, który pozostanie z nią na zawsze, szept jej serca przypominający szum spokojnego morza.

5

Promienie słońca odbijały się na wypolerowanym kuchennym stole, gdzie obok dymiącego dzbanka z herbatą leżała otwarta, oprawiona w tkaninę książka z przepisami.

92

Ostre poranne światło uwypuklało starannie napisane słowa na pożółkłych stronach. Grace siedziała na stołku, pochylając się nad zapiekanką z mięsa, owiniętą w plastikową torebkę, i trzymaną w ustach słomką odsysała ostatnie pęcherze powietrza. W końcu zakleiła torebkę taśmą, napisała datę i nazwę potrawy na karteczce i przykleiła ją na paczce. Wszystkie te czynności powtarzała przy pięciu kolejnych zapiekankach. Stella patrzyła na nią od drzwi, czekając, aż ostatnia paczka będzie gotowa. Potem ułożyła zawiniątka na tacy i ruszyła w stronę szopy.

Otworzyła wielkie drewniane drzwi i weszła do środka, wdychając zapach oleju i sosen. Podeszła do rogu, gdzie stała wielka zamrażarka - biała, lśniąca w mroku. Uniosła pokrywę i zajrzała do środka. Zamrażarka była prawie pełna - nawet gdyby Grace przestała gotować, starczyłoby jedzenia na sześć lub siedem morskich podróży. Ale Stella wiedziała, że matka nigdy nie przestanie gotować. Pewnego razu przed laty Grace była tak bardzo zajęta pracą w ogrodzie, że gdy William miał wypłynąć w morze, okazało się, że jedzenie nie jest przygotowane. Musiał wyruszyć z połową bochenka chleba, torbą cebuli i ziemniaków oraz paroma słoikami pikantnego sosu. Stella pamiętała, że ogrom jego rozczarowania niczym wielki całun spowijał domostwo jeszcze długo po zniknięciu „Lady Tirian” za horyzontem. Nic więc dziwnego, że Grace nie chciała, by podobna sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła.

Stella poczuła na twarzy mroźny podmuch, gdy pochyliła się, by umieścić paczki we właściwym miejscu. Grace nalegała, by wytyczne instrukcji zamrażarki były skrupulatnie przestrzegane. Produkty należało wkładać w określonym porządku, żeby najstarsze można było znaleźć i spożyć jako pierwsze.

Zerknęła w stronę drzwi, upewniając się, czy nie widać matki, i zaczęła wyjmować zamrożone paczki dla Zefa. Nic się nie stanie, jeśli weźmie jedną lub dwie zapiekanki, kilka porcji potrawy i zup oraz parę ciast, co wystarczy, by za-

opatrzyć go w świeże jedzenie na pierwszy tydzień podróży.

Wybrawszy mrożone produkty, podeszła do starego regału pod ścianą. Na półkach były ustawione rzędy pojemników z przetworami, dżemami i marynatami oraz słoiki z miodem od Joego. Wybrała kilka, a pozostałe poprzestawiała tak, by nie było między nimi przerw. Potem zaczęła szukać czegoś, w co mogłaby to wszystko spakować.

Szopa Williama była schludna i uporządkowana. Na blacie warsztatu stolarskiego nie było śladu trocin, a wszystkie narzędzia wisiały na ścianie, podobne do czarnych cieni. Po krótkich poszukiwaniach Stella znalazła w kącie kilka płóciennych worków ułożonych w zgrabny stos na poskładanych brezentowych płachtach. Chwyciła jeden z worków i szarpnęła ku sobie. Poruszony worek pociągnął za sobą następny i cała sterta worków i brezentowych płacht rozsypała się. Oczom Stelli ukazało się prostokątne pudło z mosiężnymi uchwytami, obciążone skórą, połyskujące w ską-pym świetle ciemną czerwienią. Pochyliła się, by lepiej mu się przyjrzeć. Nigdy przedtem go nie widziała.

Podeszła bliżej, odsuwając rozrzucone worki, i stanęła obok pudła. Wyglądało na solidne i ciężkie. Chwyciła mosiężne uchwyty obiema rękami i wyciągnęła pudło z kąta; skorki i rybiki natychmiast rozpierzchły się w poszukiwaniu kryjówki. Ułożyła pudło płasko na ziemi. Uklękła i odpięła metalowe klipsy skorodowane od słonego powietrza i trzeszczące w zawiasach. Uniosła wieko. Zobaczyła długie rzędy łyżek do zupy, widelców, noży, łyżeczek do herbaty i łyżek do sosów, rozmieszczonych pięknie na wyściółce z ciemnoniebieskiego atłasu. Wielki komplet sztućców był ułożony w kilku warstwach, musiał składać się z co najmniej dwudziestu sztuk każdego z przyborów. Stella od razu zorientowała się, że komplet pasował do stołu w pokoju morskim. Stół, w obecnym ustawieniu, nie był duży, ale miał osiem dodatkowych blatów. Gdyby wy-

korzystać je wszystkie, stałby się dostatecznie długi, żeby pomieścić znaczną liczbę osób.

Albo dużą rodzinę. Z siódmką dzieci, z „siedmioma dębami”.

Spojrzała na zakurzone drewniane płyty oparte o ścianę nieopodal zamrażarki. Wiedziała, że zostały przywiezione z Anglii, bo William wyobrażał sobie, że będzie siedział u szczytu długiego stołu, po którego bokach zajmą miejsca jego dzieci. To Paulina powiedziała Stelli, że marzył o wielkiej rodzinie, tu, w nowej ojczyźnie. Grace powierzyła kiedyś przyjaciółce tę tajemnicę, czego później żałowała, bo przecież była to osobista, rodzinna sprawa. Paulina dała więc Stelli do zrozumienia, że ojciec nie powinien wiedzieć

O ich rozmowie.

Istniał też inny dowód, potwierdzający te zamiary. Szkic, który Stella znalazła w kabinie „Lady Tirian”, plan powiększenia domu Pod Siedmioma Dębami, który nigdy nie został zrealizowany. Ponadto wkrótce po przybyciu na Tasmanię William kupił miejsce na rodzinny grób na cmentarnym dziedzińcu kościoła anglikańskiego. Wybrał starannie kawałek ziemi z widokiem na morze, dość duży, by pomieścić wiele grobów.

Ale jego marzenia nie spełniły się. Grace nigdy więcej nie zaszła w ciążę. Stella podejrzewała, że matka nie przejmowała się tym zbyt - zawsze unikała lepkich paluszków najmłodszego dziecka Pauliny. W ich domu wszystko świadczyło o zamiłowaniu gospodyni do porządku i spokoju właściwego dorosłym. Nie należała do matek, które rozkoszowały się przytulaniem małych dzieci i sprzątaniami po nich - to nie pasowało do jej surowych angielskich manier. William natomiast lubił zajęcia należące zazwyczaj do ojcowskich obowiązków. Chętnie udzielał ludziom rad i uczył ich pożytecznych umiejętności. Stella współczuła mu, że ma tylko jedno dziecko, i to córkę. Wyjęła jeden z widelców i uniosła go ku oknu, by lepiej widzieć. Na uchwycie wygrawerowany był herb. Przy-

glądała mu się zaskoczona. Taki sam herb widniał na łyżce, której Grace używała podczas gotowania. Przedstawiał kota, kwiat i gwiazdę... Uniósłszy pojemnik z wierzchnią warstwą sztućców, Stella spostrzegła, że rzeczywiście brakuje jednej z dużych łyżek. Tam, gdzie powinna leżeć, było puste miejsce, z odcisniętym na atłasie zarysem jej kształtu.

Komplet musiał należeć do rodziny Grace - domyśliła się - bo stół z pokoju morskiego był jedyną rodzinną pamiątką, która nie pochodziła z rodziny Birchmore'ów. Obróciła widelec w ręce. Ciężkie srebro i herb wskazywały, że stanowił własność zamożnej rodziny. Może właśnie dlatego srebro zostało schowane w szopie. William nie lubił ludzi, którzy chełpili się swoim bogactwem. Był to jeden z jego zarzutów stawianych ojcu Laury, gdy ten zbił majątek na łowieniu uchowców.

Stella odłożyła widelec na wyściełane aksamitem miejsce. Już miała zamknąć wieko pudła, gdy spostrzegła coś interesującego. Wiedząc, że komplet jest związany z rodziną Grace, udało jej się rozpoznać w herbowym kwiecie lilię. Przyjrzała się jej uważnie. Wyglądała tak samo jak te, które rosły w ogrodzie. Nigdy by się nie domyśliła, że Grace miała powód, aby uważać lilie za swoje ulubione kwiaty.

Rozejrzała się wokoło, zaciekawiona, czy coś jeszcze, choć wydaje się zwykłe i normalne, wcale takie nie jest...

Znów spojrzała na lilię. Naprzeciw niej znajdował się kot. Choć mały, wyglądał na zucha. Carla. Stella przypomniała sobie ciepły ciężar zwiniętego w kłębek kota na jej kolanach. I jego mruczenie, które nie tylko dało się słyszeć, ale też czuć.

Ostatnia wizyta.

Zerwała się, zamknęła pudło, wsunęła je w kąt i ponownie nakryła. Wróciła do zamrażarki, włożyła jedzenie do płóciennego worka i postawiła worek przy wejściu do szopy.

Pobiegła do domu. Przy drzwiach natknęła się na Grace wychodzącą z kuchni z wiadrem pełnym mydlin.

- Nic już nie widzę przez kuchenne okno - powiedziała matka. - Pajaki znowu zrobiły swoje. Podeszła do okna i zaczęła przecierać szybę mokrą gąbką. Potem wysuszyła szkło szmatką, a następnie przetrła je gazetą zwilżoną spirytusem.

- Teraz lepiej - orzekła, odsuwając się nieco od okna, by ocenić rezultat.

Szyba błyszczała w słońcu, po pajęczynach nie było nawet śladu. Grace zawsze dawała sobie radę bez rozmaitych środków czyszczących, których używały inne kobiety. William był zdania, że kupowanie chemikaliów to strata pieniędzy. Lubił, gdy żona wykorzystywała najprostsze produkty: ocet winny do czyszczenia toalety, zwykłe mydło, sodę oczyszczoną zamiast detergentów, olejek eukaliptusowy zamiast odplamiaczy. I zawsze ją chwalił. Wiedział, że podłoga w jego domu, szyby w jego oknach, pościel w jego łóżku są czystsze niż podłogi, okna i łóżka w domach większości mężczyzn w Halfmoon Bay.

Grace pochyliła się ku szybie, chuchnęła na plamkę i wypolerowała szkło. Stella patrzyła na odbicie twarzy matki w nieskazitelnie czystej szybie. Po wykonaniu swojej pracy zrobiła krok do tyłu z uśmiechem satysfakcji na ustach.

- Pójdę na trochę nad zatoczki - powiedziała zwyczajnym tonem Stella.

- Możesz tam zostać cały dzień - usłyszała.

Gdy William wypływał w morze, Grace zabierała się do wykonania napiętego planu gotowania i sprzątania i wręcz była rada, gdy Stella zostawiała ją sam na sam z robotą. W gruncie rzeczy cieszyło ją, gdy córka dobrze się bawiła. Dziś dziewczyna mogła więc uniknąć wymyślania misternych kłamstw dotyczących swych zamiarów. Rano, jadąc po zakupy, przywiązała do roweru kilka kawałków drewna wyrzuconych przez morze. A gdy wróciła bez drewna, po-

wiedziała, że Joe prosi, by przywiozła mu go więcej. Matka przygotowała jej na południowy posiłek kilka owoców i ciasto daktylowe.

Stella pomachała na pożegnanie i poszła do szopy po worek. Kiedy Grace zajęła się kolejnym oknem, Stella wymknęła się na ścieżkę. Przy bramie zatrzymała się i zerknęła na morze. „Lady Tirian” z Williamem i Jamiem na pokładzie majaczyła na horyzoncie.

Wkrótce potem zniknęła jej z oczu.

*

Czubek patyka tkwił w piasku. Stella prowadziła go z łatwością, znacząc długą, krętą linię. Najpierw narysowała wielką literę S. Potem pozostałe litery tworzące jej imię. STELLA. Wręczyła patyk Zefowi, który też napisał swoje imię. Jego litery były większe i głębiej wyrzeźbione w piasku. Patrząc na niego, Stella owijała jedwabny sarong pożyczony od Zefa wokół głowy i ramion, by osłonić się przed słońcem. Choć południe dopiero się zbliżało, było bardzo gorąco.

- Już - powiedział Zef, gdy napis był gotowy. - Teraz plaża należy do nas.

W odpowiedzi na te słowa zza skały wychynęła Carla. Przemknęła przez napis, zostawiając delikatne ślady. Potem usiadła pomiędzy wypisanymi imionami i zaczęła lizać łapę.

Stella patrzyła, jak różowy język śmiga po czarnym futrze. Carla sprawiała wrażenie tak bardzo zadomowionej na plaży, że aż trudno było sobie wyobrazić, iż wkrótce odjedzie, by nigdy nie wrócić. Podobnie jak „Tailwind”. I Zef.

Zef.

Stella podążała wzrokiem za kształtem liter jego imienia.

- Nigdy nie spotkałam nikogo, kto nosiłby takie imię jak ty - powiedziała.

101

- To skrót od słowa „zefir”, czyli „zachodni wiatr” -odrzekł.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Dziwiło ją, że jakaś matka mogła tak nazwać swoje dziecko.

Zachodnie wiatry były zimne i porywiste, przeganiały po morzu ogromne, bryzgające pianą bałwany i zamieniały niebo w skałę podobną do łupku.

- Bakti zawsze mówiła, że jestem taki jak moje imię -ciągnął - spokojny i łagodny.

Stella zmarszczyła brwi z niedowierzaniem.

- Gdy u nas wieją zachodnie wiatry, to wcale nie jest tak, jak mówisz - przerwała.

- Bo jesteście na południu - wyjaśnił. Pochylił się, by podrapać za uchem Carlę, która ocierała się o jego nogi. -Zefir był greckim bogiem. Na półkuli północnej wszystko jest na opak.

Przyglądała mu się uważnie. Czy to prawda? Czy zima może być ciepła, a lato mroczne i chłodne?

- Tak jest - upierał się Zef. - Gwiazdy też wyglądają zupełnie inaczej. Wszystkie konstelacje ułożone są do góry nogami i w innym miejscu na niebie.

Te słowa ją poruszyły. Wpatrywała się w swoje stopy. Wydawało się jej, że piasek pod nimi może się osunąć.

- Można zabłądzić, jeśli się nie jest ostrożnym - dodał.

- Zabłądziłeś kiedyś?

- Mnóstwo razy. - Roześmiał się.

- I co wtedy robiłeś? - Stella patrzyła w twarz swojego towarzysza, wyobrażając sobie koszmar zagubienia się na bezkresnym oceanie.

Zef wzruszył ramionami.

- Dopływałem do innych miejsc, niż planowałem. W ten sposób odkryłem Samoa. I cieszę się z tego. Bardzo mi się tam podobało.

102

Mewa krzyknęła donośnie, przelatując nad ich głowami. Stella spojrzała w górę, śledząc wzrokiem jej lot. Nieskazitelnie niebieskie niebo było jak pusta tablica, na której można było napisać, co się chciało. Poczwała podniecenie towarzyszące wielkiej niewiadomej, nietroszczeniu się o nic, pozostawianiu spraw swojemu biegowi.

Zef odszedł kilka kroków, przystanął i przyglądał się wodzie. Po powierzchni tańczyły promienie słońca, ale pod nią morze wydawało się zimne i nieruchome.

- Chodźmy popływać przed jedzeniem.

Odwrócił się do Stelli. Jego oczy przypominały maleńkie jeziora o takim samym jak ocean, szmaragdowym kolorze, jego włosy miały barwę piasku.

Zbliżając się do linii wody, rzucił sarong na skałę. Zatrzymał się, stojąc przodem do morza. Jego nagość wydawała się zupełnie naturalna. Na równo opalonym ciele nie było jasnych plam, zakazanych obszarów skrywanych zwykle pod kąpielówkami czy szortami.

Wbiegł do wody. Krzyknął, gdy zimna toń zetknęła się z rozgrzaną skórą. Odwrócił się, uśmiechnął szeroko i kiwnął zapraszająco ręką. Stella spojrzała w stronę jachtu, gdzie na żółtej poduszce Carli leżała jej torba, a w niej kostium zawinięty w ręcznik. Zrobiła dwa kroki w stronę łodzi i zatrzymała się. Miała iść na jacht tylko po to, by wziąć kostium, gdy Zef nie ma nic na sobie? Wydało jej się to wręcz niegrzeczne. Fałszywa skromność granicząca z zarozumiałością. Wahała się chwilę, różne myśli przelatywały jej przez głowę. Wstydziła się swojego ciała? Nie chciała, by na nie patrzył? Tak czy siak ukrywanie go mogło ich od siebie oddalić, podkreślić dzielące ich różnice.

A ona przecież chciała stać się podobna do Zefa. Chciała żyć w takim świecie jak on. W świecie, w którym zachodni wiatr może być ciepły, a gwiazdy tańczą po niebie.

W świecie, w którym wszystko może się zdarzyć. Zdjęła ubranie i owinęła się w pożyczony sarong. Kiedy się poruszała, miękkie fałdy muskały jej biodra. Nad brzegiem wody zdjęła tkaninę i rzuciła ją obok sarongu Zefa, jedwab zaszepotał na kamieniu.

Wchodząc do morza, spojrzała na swoje nagie piersi -jasna skóra, nigdy nieopalana, kontrastowała z resztką zeszłorocznej opalenizny, podkreślając zarys kostiumu. Brodawki stwardniały od zimna.

Uniosła ręce do szyi, okrywając się ramionami - lekki brąz odbijał się na bieli.

Patrzyła w dół. Woda najpierw sięgała do łydek, potem do kolan i jeszcze wyżej, do ud, by wreszcie dotknąć czarnego trójkąta włosów.

Uniosła wzrok, Zef patrzył na nią. Był blisko, na wyciągnięcie ręki, stał po pas w wodzie. Trwał nieruchomo, jak dzikie zwierzę osaczone światłem latarki myśliwego. Jego spojrzenie, w którym strach ustępował miejsca zdziwieniu i uwielbieniu, sprawiło, że poczuła się silna i wolna. Roześmiała się i chlapnęła wodą w jego stronę.

Natychmiast poczuła deszcz słonych kropel na swojej twarzy. Obiema rękami zaczęła uderzać w wodę, kuląc się, gdy on, w odpowiedzi, pryskał na nią. Zachłystując się, ze śmiechem odpłynęła w bok. Zmierzała w stronę kanału. Pokonywała dystans długimi, płynnymi ruchami.

Gdy Zef pojawił się obok niej, zwolniła tempo. Unosząc się na głębokiej wodzie, spojrzała w dół. Morze było przejrzyste. Rozmywało zarys jego ciała, lecz niczego nie skrywało. Wiedziała, że i on na nią patrzy. Ich ciała były blisko. Jej noga otarła się o jego nogę, skóra dotykała skóry. Ich spojrzenia spotkały się na długą chwilę. Stella roześmiała się, chcąc przerwać rosnące napięcie.

- Kto pierwszy do brzegu!

Zanurkowała i popłynęła pod wodą ku plaży. Zef pospieszył za nią bok przy boku wpłynęli na płyciznę.

Położyli się, wsparli podbródki na ramionach i przyglądali się imionom wypisanym na plaży. Ciała zapadły się w kontur wyrzeźbiony w miękkim, gruboziarnistym piasku. Ciepła woda niskich fal biegnących ku zatoczce wirowała w przesmyku między nimi. Unoszone prądem kosmyki wodorostów zdobiły im skórę.

- Mogłabym tu zostać na zawsze - powiedziała Stella.

Zef uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, nigdzie nie można zostać na zawsze.

- Nie zamierzasz kiedyś zamieszkać w zwykłym domu? - spytała.

- Któregoś dnia pewnie tak zrobię - Zef patrzył na jacht, kołyszący się lekko na cumie - ale jeszcze nie wiem, gdzie.

- Opowiedz mi o najpiękniejszych miejscach na świecie, w których byłeś. - Mówiąc to, Stella ściszyła głos.

Czuła, że jest nielojalna wobec połyskującego piasku, omszałych skał, pomarańczowych zachodów słońca i głębokiego lazuru oceanu. Z pewnością nigdzie nie było tak pięknie jak tutaj.

- Uwielbiam plaże Pacyfiku - zaczął. - Palmy rosnące tam wzdłuż piaszczystych brzegów pochylają się nad wodą. Wyglądają jak ludzie, wysocy i eleganccy... Możesz sięgnąć po zielony kokos, odciąć czubek nożem i wypić sok. - Przesunął językiem po wargach, jakby wspomnienie smaku było całkiem świeże. - Kocham też Indie. Z różnych powodów.

Stella z przejęciem słuchała opowieści o ładach, gdzie Zef spędził większość swego życia. Opisywał, jak wygląda pustynia widziana z rozkołysanego grzbietu wielbłąda. Opowiadał, jak sypiał na murach starożytnych warowni, patrząc w gwiazdy.

Czuła się wpisana w malowane przez niego obrazy. Ojciec powiedział jej kiedyś, że nie musi trudzić się podróżami. On już rozejrzał się dokładnie po świecie i doszedł do wniosku, że najwspanialsza jest Tasmania.

Ale w opowieści Zefa Indie wydawały się miejscem magicznym, pełnym barw i światła. Opisał aśramę w Goa, gdzie mieszkał jako dziecko - było to rozległe miejsce usytuowane w pobliżu morza. Potem opowiadał o niemieckiej rodzinie, o Wolfgangu, Lotte i ich dzieciach. Najwięcej mówił o niemowlęciu, o Ninie.

- Nosilem ją na piersi, w nosidełku zrobionym z ka-

wałka tkaniny. Hinduski wyśmiewały się ze mnie. Mówiły: „Gdzie jest twoja żona? Gdzie siostra? To nie jest zajęcie dla mężczyzny!” - Na to wspomnienie roześmiał się, ale zaraz spoważniał. - Nie przejmowałem się. Wiedziałem, że Nina jest ze mną bezpieczna.

Stella pokiwała głową. Wyobrazila sobie smukłego chłopaka przeciskającego się przez tłum z jasnowłosym maleństwem w ramionach.

Napłynęła kolejna fala, troszkę większa niż poprzednie. Sięgnęła im po ramiona. Stellę przebiegł dreszcz - woda, która wydawała się ciepła, gdy wpłynęli na płytcinę, teraz sprawiała wrażenie zimnej. - Zmarzłaś - powiedział z troską Zef. - Powinnaś wyjść z wody i położyć się na słońcu.

Uśmiechnęła się. W jego oczach była delikatną, cenną istotą. Mogła zanurkować pięć metrów pod wodę, czy biec szybciej niż inne dziewczęta w szkole, ale nie wolno jej było się przeziębć.

Razem poszli w stronę skały, na której leżały oba saron-gi. Zef podniósł je i jeden podał Stelli.

Wprawnie owinał pas materiału wokół talii. Potem patrzył, jak ona owija się swoim, pod pachami, by zakryć piersi. Poczowała zapach Zefa w tkaninie, ostry zapach kardamonu z leciutką nutą świeżego potu.

- Jesteś piękna - powiedział, gdy skończyła. Jakby dopiero teraz mógł to powiedzieć bezpiecznie.

Patrzył na jej twarz ciemnozielonymi oczami. Wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy jej teraz dotknie, czy ją pocałuje. Ale on wyciągnął tylko rękę ku jej twarzy, uniósł kosmyk słonych włosów, który opadł na oczy, i odsunął go delikatnie.

Czuła się uwięziona w pułapce jego spojrzenia. Miejsca, których dotknęły jego palce - czoło i policzek - wydawały się zmienione, rzecz by można: został na nich trwały ślad, odcisk na skórze.

Leżeli na plaży ogrzewani piaskiem od spodu i promieniami słońca od góry. Kątem oka Stella widziała rzewnię, wychylającą się zza skały. Jej zielononiebieskie witki prawie dotykały ziemi.

Carla wysunęła niepewnie łapę ku nagiemu ramieniu dziewczyny, po czym cofnęła ją gwałtownie,

strząsając kropelki wody. Stella roześmiała się. Wiedziała, że Zef na nią patrzy i widzi, jak jej usta odsłaniają zęby. Piękne zęby, myte dwa razy dziennie, bez jednej plomby.

Uniósł się na łokciu i spojrzał Stelli w oczy. Serce biło jej głośno w piersi, gdy czekała, aż się odezwie.

- Jutro rano muszę wyruszyć w drogę. O brzasku. -W jego głosie, choć stanowczym i wyraźnym, brzmiał żal. -Muszę popłynąć do Bakti. Ona na mnie czeka.

- Wiem - powiedziała krótko.

Jego słowa kołatały się w głowie Stelli. Muszę wyruszyć w drogę... Jutro...

Nagle uświadomiła sobie, że z tego powodu nie dotknął jej ciała, nie pocałował jej. Wiedział, że nie byłby w porządku, skoro miał ją opuścić.

Ta myśl rozbrzmiała w jej sercu jak pieśń. Zef był dobry. Był dobrym człowiekiem.

Mimo to świadomość, że wkrótce odjedzie, odbierała tę radość, którą w sobie czuła. Ile godzin im pozostało? Dwie? Trzy?

Usiadła. Ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

- Nie chcę odjeżdżać - powiedział. - Wolałbym zostać tu z tobą. Ale obiecałem.

Spojrzała na swoją dłoń przesypaną piasek pełen muszelek. Odkopła małego fioletowego kraba, który potruchtał pospiesznie pod jej nogę. Chciała powiedzieć: „Nie jedź, proszę. Nie jedź do Bakti. Chcę, żebyś został”. Ale tylko uśmiechnęła się, by pokazać, że rozumie.

- Popracuję tam pewnie kilka tygodni, żeby zarobić trochę grosza.

- Co będziesz robił?

- Zwykle udaje mi się znaleźć zajęcie w porcie jachtowym. Choć nie zawsze. Parę razy zabrakło mi na jedzenie i paliwo. To okropne, bo bez pewnych rzeczy po prostu nie można się obyć. W końcu jednak zawsze trafi się jakaś okazja. Szukam jachtów, na których trzeba coś zrobić, i oferuję swoje usługi. - Zamilkł, niepewny, czy mówić dalej. Gdy się przemógł, w jego głosie brzmiał wstyd. - Potrafię naprawiać różne rzeczy. I wykonywać różne rzeczy. Takiej pracy chciałbym się kiedyś podjąć.

Stella kiwała głową. Skoro potrafi utrzymać jacht w tak dobrym stanie, musi mieć zręczne ręce.

- A ja chcę studiować medycynę - powiedziała.

Tak sobie zaplanowała. Po skończeniu szkoły pójdzie na wyższą uczelnię.

- Dlaczego? - spytał Zef.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem. Marzyła o tym przecież od lat. Wszystko miała zaplanowane. Skończy studia z wyróżnieniem i wróci do Halfmoon Bay jako lekarka. Ludzie będą przychodzili do niej po porady. Nazwisko Birchmore będzie jednym z najczęściej wypowiedzianych i najczęściej pisanych, tu, w miejscu, w którym rodzina przebywała od tak niedawna, że żaden z Birchmore'ów ani się jeszcze nie urodził, ani nie umarł.

- Dlaczego wybrałaś medycynę? - spytał znowu. Zmarszczyła brwi, szukając w myślach momentu, kiedy

podjęła postanowienie. Przed oczyma stanęła jej twarz Williama. To był jego pomysł - uświadomiła sobie. Jego plan, najpierw jego, a potem jej.

- Nie wiem - odparła.

Rozgniewało ją to odkrycie. Drażniło ją, że ojciec znalazł drogę do jej myśli - tu, teraz. Jakie zresztą znaczenie ma przyszłość? Dla niej i dla Zefa? Mieli jedynie teraźniejszość. Stella poczuła, że ogarnia ją panika. Wkrótce nic po niej nie zostanie. Ich czas się kończy.

Badała wzrokiem twarz Zefa, by utrwalić ten obraz w pamięci. Przyglądała się rzadkim, złotym włosom na byle jak

ogolonej brodzie, krzywiznie różowej blizny po lewej stronie podbródka, cienkim kosmykiem włosów zwiniętym w spirale i kędziory na skroniach, ustom, które wyginały się w lekki łuk, nawet gdy był poważny.

Panika ustąpiła miejsca smutkowi. Przeniosła wzrok wyżej. I wtedy, gdy patrzyła na zachód, na horyzont, jej oczy rozwarły się szeroko. Odetchnęła głęboko, powoli.

Zbierały się chmury - szare, mroczne.

Nadciągał sztorm.

Spojrzała raz jeszcze, by się upewnić. Dzień był przecież taki pogodny. William, który zawsze sprawdzał prognozy, wypłynął tego ranka, licząc na kilka dni pięknej pogody.

Ale to była prawda. Stella patrzyła na ciemniejące niebo. Jeśli sztorm nadciągnie, jacht nie opuści bezpiecznego zacisza zatoki. Utkwiła wzrok w chmurach. Pragnęła, by rosły. Posłała im milczące zaklęcie, wezwała zachodni wiatr. A gdy uniosła twarz, by spojrzeć w niebo, poczuła cichy szept odpowiedzi. Ożyła w niej nadzieja i sprowadziła na usta lekki uśmiech. Poczowała się boginią, która jest w zмовie z niebem, wiatrem, morzem. Żywioły, które tak dobrze znała, zapewne z wzajemnością, przyjdą jej z pomocą. Rozszalałe morze przywiodło Zefa do niej, do schronienia w zatoce. Niech rozszalałe morze go tutaj zatrzyma.

Choć na krótko. O to tylko prosiła.

*

Deszcz walił o cynowy dach domu i bulgocąc, spływał chwytakami do zbiorników. Nieomal zagłuszony tymi odgłosami, dawał się jednak słyszeć miarowy łoskot triumfującego morza, chwającego się swoją potęgą.

Stella stała przy otwartym kuchennym oknie. Czowała słony smak powietrza i zapach wodorostów.

Ucieszyła się w duchu, że strugi deszczu spadały na lilie w ogrodzie, bezlitośnie smagając delikatne płatki.

Usłyszała odgłosy kroków. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że matka stawia na stole wielki rondel do smażenia dżemu i przeciera go ściereczką.

- Świetny dzień na robienie dżemu - obwieściła. - Szczęście, że wczoraj zebrałam jeżyny.

Córka rozpoznała wyrzut w jej głosie. Zbieranie owoców było zadaniem Stelli, ale gdy wczoraj wróciła do domu, dwa wiadra pełne jeżyn stały już na kuchennym stole, dłonie Grace były poplamione fioletowym sokiem, a jej ramiona poznaczone śladami zadrapań.

- Umyj słoiki - zaproponowała Stella.

Wyjęła je z szafki stojącej przy piecu i włożyła do zlewu pełnego spienionej, gorącej wody. Mydliny osiadały na jej przedramionach, gdy szorowała słoiki, starając się usunąć każdą drobinę brudu. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i zerknęła przez okno, sprawdzając stan pogody.

Gdy rozstała się z Zefem późnym popołudniem, nie było jeszcze wiadomo, jak szybko nadciągną chmury ani jak silny będzie sztorm.

- Odplynę, jeśli tylko będę mógł - powiedział Zef. Wydawało się, jakby mówił to także do siebie, nie tylko do Stelli.

Pożegnali się szybko i zwyczajnie, próbując ukryć zakłopotanie. W końcu co można było powiedzieć, gdy dwoje ludzi znało się tak krótko, a zarazem tak dogłębnie, gdy zaszło między nimi tak niewiele, a zarazem tak niezwykle dużo.

Stella pocałowała Carłę.

- Do widzenia, kotku!

Ale nawet wtedy, gdy jej usta dotykały kociego futerka, jej oczy patrzyły na Zefa. On rozumiał - Stella była tego pewna - że słowa pożegnania są puste, że ona nie wierzy w rozstanie, że pokłada nadzieje w sztormie.

Sztorm.

110

Nadciągnął do zatoki, jeszcze nim nastąpiła noc, i zaatakował wysokimi falami. W nocy przybrał na sile i wciąż szalał, niezmordowany i potężny.

Dziewczyna wiedziała na pewno - Zef nie mógł odpłynąć. „Tailwind”, bezpieczny, nadal cumuje w ukrytej zatoczce. Trawiła ją niecierpliwość, chciała tam wrócić i znów go zobaczyć. Ale jeszcze nie obmyśliła wymówki, żeby wyjść z domu przy sztormowej pogodzie. Mogła jedynie pocieszać się myślą, że Zef nadal tam jest, i choć daleko, wciąż pozostaje częścią jej świata.

- Silny sztorm - zauważyła Grace.

Stella zerknęła przez ramię i zobaczyła, że matka także wygląda przez okno.

- Nic im nie będzie - odparła. Grace skinęła głową.

- Pewnie.

Obie wiedziały, że przy pierwszych oznakach zmiany pogody William zaprowadzi łódź w bezpieczny zakątek przy którejś z wysp i tam zaczeka, aż burza ucichnie.

Stella wyobrażała sobie Williama i Jamiego siedzących w kabinie, z zaróżowionymi policzkami, wśród zapachów wilgotnej wełny, oleju i rybiej krwi. Ojciec sprawdza deszczomierze i barometry i robi zapiski w dzienniku pokładowym. Sztorm zapewne wzmógł ich apetyt. Oczyma wyobraźni widziała, jak dzielą się plasterami wołowej zapiekanki, podgrzanej na kuchence. Jedzą w milczeniu, bo słowa i tak zagłuszyłby deszcz siekący o pokład. Jedzą i rozmyślają. O Grace i Stelli czekających cierpliwie w domu na powrót mężczyzn.

Stella wypuściła wodę, szarą i śliską od mydła, i znów napełniła zlew. Wyrzuciła twarze Williama i Jamiego ze swych myśli. Już niedługo skończy się sen, który śniła. Wtedy przyjdzie czas na powrót do rzeczywistości. Teraz chciała myśleć tylko o Zefie. Z pewnością siedzi zamknięty w kabinie, w swoim tajemnym królestwie, którego ona jeszcze nie widziała. Zaczęła wymieniać w myślach wszystkie

rzeczy, które należały do Zefa - najpierw te, które widziała rozłożone na piasku pierwszego dnia. Jeśli będzie potrafiła wymienić je wszystkie - zobaczy go. Jeśli o czymś zapomni - on zacznie się oddalać... Słoiki wypełnione po brzegi gorącym dżemem lśniły w świetle nagiej żarówki wiszącej pośrodku kuchni. Stella stała przy stole i patrzyła na plamkę czerwonego soku na blacie z sosnowego drewna. Wyglądała jak kropla świeżej krwi, ale ona wiedziała, że jeśli zanurzy w niej palec, a potem włoży go do ust, to poczuje smak syropu letnich jagód.

Wciągnęła głęboko powietrze przepojone zapachem smażonych przez wiele godzin owoców. Miała wrażenie, że otula ją cukrowa mgiełka, ciepły kokon matczynej kuchni, a ona, zawieszona w czasie, czeka...

Grace wróciła z pralni, dokąd odniosła rondel, i zaczęła przygotowywać herbatę. Stella wysunęła spod stołu krzesło, usiadła i patrzyła, jak matka obraca dzbankiem z herbatą, raz w lewo, dwa razy w prawo. Czy na północnej półkuli robi się to odwrotnie? Czy inne matki, urodzone tu, na południu, robią to inaczej niż jej własna?

Pozostawiwszy herbatę, by naciągnęła, Grace naląła mleka do małego dzbanuszka i wróciła do stołu. Stawiając go, zahaczyła o cukiernicę i mleko się wylało.

Stella zdziwiła się niezręcznością Grace. Wokół matczynych ust dostrzegła drobne zmarszczki.

Poczuła się nieswojo, gdy Grace ścierała plamę gąbką. Chciała coś powiedzieć, cokolwiek, byleby przerwać ciszę.

Milczenie między kobietami było czymś naturalnym. Grace traktowała spokój jak skarb, otulała się nim niby ciepłym płaszczem. Czasami, gdy William wypływał na morze, nie rozmawiały ze sobą całymi dniami. Ale ta cisza zawsze wydawała się spokojna i pusta, a nie napięta, tak jak teraz.

Wreszcie Grace odezwała się:

- Myślałam o Williamie... O tym, że wypłynął z Jamiem.

Stella zdumiała się. Słowa nie miały wielkiego znaczenia, ale były wypowiedziane ostrym, niezadowolonym tonem. Wtedy zrozumiała: Grace myślała, że córka jest urażona, zazdrosna. Wiedziała, jak Stella ceni sobie czas spędzony z ojcem sam na sam, jaką wartość mają dla niej dni takie jak te, kiedy nie trzeba było łowić i William ma wolny czas, by uczyć ją, jak rysować mewy w locie lub recytować wersy *Pieśni o starym żeglarzu* *.

- W porządku, mamo. Nie przeszkadza mi to.

Grace nie odzywała się przez dłuższą chwilę. A gdy znów przemówiła, choć jej głos był spokojny, wydawało się, że z trudem ośmiela się wypowiadać słowa:

- Ty nie rozumiesz, co on robi.

- To znaczy? - Oczy Stelli rozwarły się szeroko z przerażenia. Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź. Nawet wiatr na dworze jakby ucichł.

Grace pochyliła głowę nad dzbankiem z herbatą i powiedziała:

- On chce, żeby Jamie opiekował się tobą, jak wyjedziesz do Hobart. Dlatego bierze go pod swoje skrzydła. -Potem zamilkła, zerkając z niepokojem ku oknu, jakby myślała, że mąż, którego sztorm zatrzymał na morzu, i tak ją słyszy. - Nie możesz mieć mu tego za złe. Jesteś jego jedyną córką. Chce być pewien, że będziesz bezpieczna. Ale... -Spojrzała Stelli w oczy. - Jeśli chcesz być z Jamiem, to w porządku. Ale nie rób tego tylko dlatego, że on podoba się twojemu ojcu. - Nastąpiła chwila milczenia, po której padły ostatnie słowa. - Chcę, żebyś sama dokonała wyboru, robiła, co uważasz. Studiowała, co chcesz. Podróżowała po świecie. Chcę, żebyś była wolna.

Stella patrzyła na nią oniemiała. Grace zachowywała się tak, jakby nie była sobą. We wszystkich rozmowach dotyczących przyszłości córki - jej wykształcenia i planów za-

*** Jeden z najpopularniejszych wierszy angielskiego poety okresu romantyzmu Samuela Taylora Coleridge'a (przyp.tłum.).**

wodowych - pozwalała Williamowi przemawiać i w jego, i w swoim imieniu. Co sprawiło, że teraz mówiła w ten sposób? Dziewczyna spojrzała w okno. Zupełnie jakby obecność Zefa, jego magia, która odwracała wszystko do góry nogami, znalazła drogę do ich domu. Czy to ona sama, Stella, przywiodła z sobą ożywczego ducha, który podąża za nią, trop w trop, niczym niewidzialna Carla? Czy może zmianę przyniósł wiatr, przeciskający się przez szpary w drzwiach?

Jakkolwiek było, Stella chciała uchwycić się tej sposobności, chciała ją wykorzystać.

- Czy ty podróżowałaś, zanim wyszłaś za tatę? - Rzuciła pytanie w przestrzeń i czekała.

Grace spojrzała w okno.

- Moi rodzice mieli domek letni w Akwitaniu, na południu Francji. Jeździliśmy tam dwa razy do roku. Po sąsiedzku była farma gęsi. Przyglądałam się, jak je karmiono. Czy wiesz, że gęsi tuczy się, wprowadzając ziarna bezpośrednio do gardeł?

Stella uśmiechnęła się zachęcająco. Chciała zapytać o wszystko, co dotyczyło rodziny. O Daniela. O lilie. O bankiety na dwa tuziny gości...

Ale matka skupiła się na wycieraniu rozlanego mleka. Usta zacisnęła w prostą linię. A to znaczyło, że nie powie nic więcej. I tak posunęła się za daleko, mówiąc o mężu poza jego plecami.

Stella zaczęła skubać drzazgę na krawędzi stołu, oderwała ją - długi drewniany lok. W jej myślach krążyły słowa:

Chcę, żebyś była wolna... żebyś sama dokonała wyboru. Podróżowała...

Wydawało się, że te słowa mają jakieś szczególne znaczenie, jakiś związek z Zefem. Ale to niemożliwe. Zef był jej tajemnicą. Grace nic o nim nie wiedziała.

A jednak... Myśli kłębiły się w głowie Stelli. Ogarnęła ją ochota, by opowiedzieć o wszystkim.

Wyobraziła sobie, że

obie rozmawiają i śmieją się, tak jak robiła to Laura ze swoją mamą, a herbata niech stygnie w dzbanku. Jak mogłaby opisać Zefa?

Szybko otrząsnęła się z marzeń. Birchmore'owie hołdowali określonym zasadom zachowania. Grace byłaby przerażona relacjami o wizytach u Zefa w zatoczkach. Zabroniłaby córce wychodzić z domu do czasu powrotu Williama. Jedynym bezpiecznym rozwiązaniem było trzymać swój sekret głęboko w sercu.

Wstała, naląła herbatę i podała filiżankę matce.

- Gdzie są nalepki na słoiki z dżemem? - spytała.

- W drugiej szufladzie. Pamiętaj, by napisać także miesiąc, nie tylko sam rok. I nie zapomnij zaostrzyć ołówka.

Stella dostrzegła kątem oka, że Grace sięga po książkę z przepisami. Zapragnęła, by matka ją odłożyła. Czasami, kiedy padało, Grace odpoczywała. Lubiła wsłuchiwać się w odgłosy deszczu uderzającego o dach. I wtedy często zasypiała.

Teraz przewracała szeleszczące kartki. W końcu ostrożnie położyła książkę na stole, otwartą na stronie z tytułem „Marynowane orzechy włoskie ciotki Jane”, i zaczęła odmierzać sól na solankę.

- Orzechy są w spiżarni - powiedziała. - Wczoraj zebrałam pół wiadra. Możesz zacząć je nakłuwać. - Wręczyła córce parę gumowych rękawic. - Nie poplam skóry sokiem - ostrzegła.

Dziewczyna przyniosła wiadro do kuchni i postawiła obok zlewu. Potem włożyła rękawice i ostrożnie wyjęła niedojrzały orzech. Kulka o gładkiej skórcie była miękka i zielona, ale Stella wiedziała, że gdy tylko ją nakłuje i sok zetknie się z powietrzem, stanie się czarna. Pewnego razu, kiedy nie osłoniła rąk, pozostały na nich trwałe plamy, a dłonie wyglądały jak brudne przez wiele miesięcy.

Powoli obracała orzech w palcach, wkłuwając widelec w miękki miąższ. Nie lubiła tej roboty.

Uważała, że jest w niej coś złowieszczonego. Jasna wiosenna zieleń orzechów

zamieniała się w głęboką czerń, jakby za sprawą magii, czarnej magii, niepasującej do kuchni.

*

W korytarzu panował mrok, rozświetlany jedynie małą lampką umieszczoną na stole obok kuchni. Stella stała pod sypialnią Grace i Williama z uchem przyklepionym do białych, płycinowych drzwi. Nasłuchiwała. Brzeg koszuli nocnej falował w przeciągu wokół nóg.

Poprzez odgłosy wiatru kołaczącego o rynny i szmer gałęzi ocierających się o zewnętrzną boazerię, usłyszała wreszcie to, na co czekała. Skrzypienie sprężynowego materaca, gdy matka wchodziła do łóżka, a potem pstryknięcie wyłącznika, gdy gasiła lampę.

Wtedy wróciła do swojej sypialni i podeszła do okna. Zastony układały się w miękkie fałdy za jej plecami, gdy patrzyła w dal. Światło lampy zapalonej na werandzie słało w noc jasne promienie, które zamieniały zacinający deszcz w srebrne nitki. Stella wyteżala wzrok, patrząc, jak białe grzywy fal rozbijają się o brzeg. Oparła palce o chłodne szkło, poczuła siłę wiatru i morza, drżenie ogarniające jej ciało aż do głębi.

Jej sztorm. Jej sztorm wzywał ją, by wyszła mu na spotkanie.

Ubrała się szybko, naciągnęła zmięte ubranie, które zdjęła zaledwie przed godziną. Wkrótce była gotowa, buty trzymała w ręce, zwinięty sztormiak - pod pachą.

Przechodząc przez pokój, zatrzymała się przed lustrem i spojrzała na swoje odbicie, na dziwny czarno-biały obraz, pozbawiony - w tak słabym świetle - innych barw. Włosy wyglądały jak mroczna peleryna udrapowana na ramionach. Usta zdobiła ciemna czerwień jeżynowego soku. Dla kontrastu twarz i szyja przypominały rzeźbę w jasnym kamieniu, taką jak anioł od Daniela, stojący na półce z lalkami.

Tylko oczy zdawały się żyć. Błyszczące i szeroko otwarte. Śmiałe, nielekające się ryzyka...

Kilka chwil później Stella stała w ogrodzie między zniszczonymi przez deszcz liliami. Deszcz spływał po sztormiaku do butów. Spojrzała w niebo, mrużąc oczy w obawie przed kroplami - spomiędzy chmur przezierały łaty księżycowego światła. Zerknęła na ciemny kwadrat okna Grace i zapaliła latarkę. Ustawiała jej promień na wprost i poszła za nim w noc.

Wydawało się, że na nią czekał, że wiedział, w jak szaleńczym tempie jechała w ciemności obrośniętą krzakami ścieżką, jak szukała drogi między skalami, poślizgnąwszy się tylko raz. Jak brnęła po piasku, gdy buty zapadały się głęboko przy każdym kroku, a przyspieszony oddech brzmiał głośniejszym niż ryk morza. I jak bardzo się bała, że gdy w końcu dotrze do zatoczki, jachtu już tam nie będzie. Stał na pokładzie, gdy jej latarka penetrowała ciemność. Pokonując ostatni odcinek piaszczystej drogi, zobaczyła, że Zef skacze z jachtu na szalupę, prowadzony własnym promykiem światła, tańczącą żółtą plamą.

I oto był, stał przed nią. Całe światło księżycyca przenikające przez chmury skupiło się na jego uśmiechu, na jego oczach. Nie powiedział nic, tylko położył delikatnie dłonie na ramionach Stelli, jakby chciał sprawdzić, czy to rzeczywiście ona. Potem objął ją i przyciągnął do siebie.

Przycisnęła twarz do jego szyi, cieplej i gładkiej. Z zapachem jego sztormiaka mieszał się aromat kadzidła i kawy. Deszcz smagał ją po policzkach. Spływał po szyi, pod koszulę, ciekł po piersi. Nie poruszyła się. W uścisku bicia ich serc, rytm oddechów były jak lustrzane odbicie. Czuła siłę ramion otaczających jej ciało. Dłońmi, pod warstwami ubrania, odgadywała kształt jego mocnych pleców. Nic się nie liczyło na świecie - tylko ona i Zef. I sztorm wokół nich. Deszcz, wiatr, ciemność i daleki księżyc, który przymykając oczy na ziemskie sprawy, chował się za atramentowe chmury.

Kołysząca się na haku lampa naftowa oświetlała kabinę żółtym światłem. Stella rozejrzała się wokół - stół nawigacyjny kambuz, koje. Tak jak na zewnątrz, tak i w środku panował ład i porządek, dziwnie niepasujący do bosych stóp, sarongów i długich, niesfornych włosów Zefa.

Stella zwinęła sztormiak, mokrą stroną do środka, żeby nie ciekł, i włożyła go do hamaka na rzeczy. Zef powiesił swoje okrycie przy drzwiach.

Stała tyłem do Zefa, niepewna, czy usiąść, co zrobić... W tym nowym miejscu, gdzie ich twarze oświetlał blask lampy, w nieruchomej ciszy, spotkanie na deszczu zdawało się należeć do innej rzeczywistości.

Usłyszała, że Zef włącza kuchenkę.

- Właśnie miałem zaparzyć kawę - powiedział jak do przyjaciółki, która właśnie wpadła z wizytą. Wykorzystała tę chwilę na baczne przyjrzenie się kabinie. Jacht został umeblowany z ogromną starannością. Wszystko było dokładnie umocowane, zamknięte albo umieszczone w przyciętych na miarę otworach - niezależnie od warunków nic nie mogło się przesunąć ani odczepić. Szufelka i zmiotka idealnie pasowały do wnęki w bakiście. Ołówki leżały w spec'alnych wgłębieniach na stole nawigacyjnym. Komplet kubków z napisem *Tailwind* na bokach umieszczony był w schowku na ścianie.

Stella dostrzegła zaledwie kilka rzeczy, które mogły powiedzieć coś więcej o gospodarzu. Kolekcja muszelek, wyrzeźbiona w drewnie maska z muszlami porcelanek w oczodołach. Sarongi, naturalnie. I mały koszyczek upleciony z trawy i wodorostów. Jej koszyczek.

Leżały tu żółte poduszki z pokładu. Wyglądały znajomo i zapraszająco. Zrobiła więc krok w stronę poduszki z kocimi włosami na poszewce. Już miała usiąść, gdy miękki ciężar wylądował na jej ramieniu. Carla. Pazury wbiły się w skórę Stelli na moment, nim kot złapał równowagę.

- Auu! - krzyknęła, ale zaraz się roześmiała, bo Carla spojrzała na nią niewinnym wzrokiem i zaczęła ocierać pyszczek o policzek dziewczyny.

- Uwielbia to robić - powiedział Zef z szerokim uśmiechem. - Chowa się na szczycie szafki, a potem błyskawicznie spada.

Stella uśmiechnęła się do Zefa, biorąc kota w ramiona. I w jednej chwili opuściły ją wszystkie obawy. Usiadła na poduszce z Carlą na kolanach. Patrzyła, jak Zef sięga do schowka po dwa niebieskie ceramiczne kubki. Wsypał mleko w proszku do dzbanuszka i dodał wody z butelki. Rozpoznała brązową wodę ze strumienia. Choć podbarwiona taniną, woda była czysta i przezroczysta. Jej woda. Nie - pomyślała - nasza woda. Przypomniała sobie imiona wypisane wielkimi literami na piasku. Co on wtedy powiedział? Teraz plaża należy do nas...

Na ścianie, tuż za głową Zefa, wisiał oprawiony w ramkę rysunek: szczegółowy szkic jakiegoś urządzenia, wykonany zapewne przez inżyniera.

- To jeden z wynalazków Wolfganga - powiedział, podążając za jej wzrokiem.

- Niemca, taty Niny?

Przytaknął. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Nieustannie coś wymyślał. Nauczył mnie rysować w taki właśnie sposób. Pomagałem mu przy projektach. - Skierował rękę w stronę stołu, na którym leżały sekstant, dobrze zastrzone ołówki, cyrkle. - To on pokazał mi, jak czytać mapy, jak nawigować. Nauczył mnie wszystkiego.

Stella pochyliła się nad mapą. Zobaczyła wykreśloną przez Zefa trasę. Małe krzyżyki oznaczające miejsca, do których dotarł, połączone linią, sprawiały wrażenie śladów zostawionych na oceanie. Były trasą podróży, która przywiodła go tutaj, do niej.

- Staram się dbać o wszystko na jachcie, o wszystkie ich rzeczy.

Spojrzała ku półce na książki wbudowanej w gródź.

Zauważyła niemieckie książki z obrazkami, wysuszone i włożone płasko na miejsce.

- Zostawiłem im adres Bakti w klubie jachtowym w Goa. Nadal... nadal mam nadzieję, że wrócą.

Stella odwróciła się do Zefa. Na jego twarzy malował się żal. Wydawał się taki młody i zagubiony.

Chciała objąć go i przytulić jak dziecko. Ale co miałyby mu powiedzieć? Dziewczyna, która przez całe życie zaznawała miłości i opieki obojga rodziców. Dziewczyna, która nigdy niczego nie straciła.

- Nie byłby zadowolony widząc ziemię na swojej łodzi - powiedział Zef i wskazał na roślinę rosnącą w ceramicznej doniczce, gruboliściastą, z kilkoma rachitycznymi łodyżkami, na których właśnie rozkwitły kwiaty. - To mój ogród.

Stella dostrzegła na ziemi w doniczce kawałek suchego płatka, ciemnoczerwoną łupinę. Dziwne, że można myśleć o roślinach na morzu. Kiedy się żegluje od jednej pory roku ku drugiej w różnych miejscach na świecie, a jednocześnie jest się skazanym na maleńki świat kabiny. Jak my - pomyślała Stella. Kabina, zatoczka - to wszystko, co mamy.

- Szukałem cię dzisiaj - powiedział Zef.

- Co? - Stella szeroko otworzyła oczy.

- Poszedłem sprawdzić, czy uda mi się ciebie znaleźć. Chodziłem bez końca, ale nigdzie nie było żadnego domu, żebym mógł spytać.

Stella wyprostowała się, spychając Carlę z kolan.

- Nie powinieś był tego robić! Nikt nie wie, że tu jesteś.

Zef machnął ręką, jakby chciał przegonić jej słowa.

- To bez znaczenia. Nimby kogoś przysłali, żeby mnie sprawdził, mnie już by nie było.

Przyglądała mu się zaskoczona. Uświadomiła sobie, że Zef ma na myśli fakt, iż złamał przepisy, ukrywając „Tail-wind” w zatoczce.

- Nie o to chodzi... - zaczęła. Zawiesiła głos, ale Zef pa-

trzymał jej w twarz, czekając na słowa. - Gdyby się dowiedzieli, że tu jesteś, nie pozwoliliby mi do ciebie przychodzić. To nie ma nic wspólnego z tym, kim jesteś... - Teraz, skoro zaczęła, nie było innego wyjścia, musiała powiedzieć wszystko. - Nie znają ani ciebie, ani twojej rodziny. Nie żyjesz tak jak my. Nie zrozumieliby. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że byłam tu z tobą, powiedziałaby o tym mojemu ojcu. Tak już tutaj jest. Nie ma tajemnic. Wszyscy wszystko o sobie wiedzą.

Zef patrzył ze zdziwieniem.

- Masz szesnaście lat. Powiedziałaś, że wyjeżdżasz do Hobart.

- Tak, ale nadal jestem...

Zawahała się. Kim była nadal? Córką Williama? Dziewczyną Jamiego?

- Nie ma w tym nic złego. - Nagle zapragnęła bronić swojego domu, stylu swojego życia. - Wszyscy opiekują się sobą nawzajem. I tyle. Ale naprawdę uważam, że nie powinienesz być mnie szukać. -

Uniosła twarz. - Ja będę przychodziła do ciebie. Nie przeszkodzi mi deszcz ani ciemność. Znam tę drogę jak własną kieszeń. Będę przychodziła, gdy tylko będę mogła, tak długo, jak tu zostaniesz. Chcę być z tobą. Tylko tego chcę...

Poczuła drżenie w swoim głosie, załamującym się pod ciężarem uczuć.

Porwany siłą usłyszanych słów, podszedł do niej. Smutny, zagubiony chłopiec zniknął, został uzdrowiony. W jego oczach widać było radość. Usiadł na poduszce obok Stelli, przyciągnął ją ku sobie, wziął za rękę. Miał skórę wilgotną od deszczu, a czubki palców nadal zimne, ale dłoń, twarda od pracy na łodzi, pulsowała ciepłem. Czowała echo jego dotyku w całym ciele.

Pochylił się nad nią. Wtedy zamknęła oczy. Czowała jego włosy na policzkach. Usta Zefa dotknęły jej warg - najpierw delikatnie, jakby delectowały się smakiem soku z czerwonych jagód. Potem jego dłoń powędrowała na tył

głowy dziewczyny, zanurzył palce w jej włosach. Przycisnął wargi mocniej, zmusił ją do otwarcia ust. Zdawało się, że ten pocałunek będzie trwał wiecznie, ale Zef odsunął się. A ona otworzyła oczy. Uśmiechnął się, wilgotne usta lśniły w świetle lampy, oczy pałały głęboką zielenią. Patrzył na twarz Stelli, tuląc w dłoniach jej policzki i powoli unosząc podbródek. Poczua dotyk jego ust na szyi. Przesuwały się w dół, aż na skraj koszuli, by zatrzymać się na obojczyku, jakby ubranie wyznaczało granicę, której nie należy przekroczyć.

Stella czuła dłonie Zefa śledzące kształt jej ramion, przesuwające się w dół pleców. Minęły zgrubienie zapięcia stanika i poszły za krzywizną prowadzącą ku talii. Ale gdy dotarły na brzeg koszuli zwisającej luźno na dzinsach, nie sięgnęły pod nią. Nie starał się też dotknąć jej piersi wyczuwanych pod miękką bawełną stanika. Wsparła głowę na jego ramieniu, wdzięczna za delikatność i troskę. Poczua się bezcenna i bezpieczna. Kochana.

- Wolałabym, żebyś został - powiedziała.

- Ja też.

Przyciągnął ją do siebie i trzymał mocno. Przytuleni do siebie słuchali w milczeniu odgłosów sztormu. Wiatr gwizdał wśród lin. Deszcz siekł o pokład. Na otwartym morzu fale z hukiem uderzały o brzeg. Ale skały chroniły niewielką zatoczkę i jej tajemne kotwiczowisko. Na spokojnej wodzie jacht huśtał się delikatnie to w jedną, to w drugą stronę, jak matka kołysząca dzieci, by uchronić je, choć na krótko, przed bólem i cierpieniem świata.

6

Nazajutrz i przez następną noc sztorm zasłaniał niebo ciemnymi chmurami, podsycił wiatrem wściekłość fal. Gdy było już zupełnie ciemno, a Grace smacznie spała, Stella

122

znów wybrała się do zatoki. W przytulnej kabinie leżała w ramionach Zefa. Rozmawiali, sączyli herbatę ze wspólnego kubka między pocałunkami i znów rozmawiali. Działo się coś magicznego. Stelli wydawało się, że po tych zaledwie kilku godzinach zna Zefa lepiej niż Jamiego po latach. Trzeciego poranka obudził Stellę lekki szelest deszczu

O dach. Nim zjadła śniadanie, deszcz osłabł, by wreszcie ustać. Niebo roz pogodziło się. Tylko morze nadal huczało, a fale rozbijały się o skały.

Kiedy zajaadała grzanki, matka wyszła z pokoju morskiego i skierowała się do kuchni.

- Okna znowu są pokryte solą - stwierdziła. Przystanęła przy zlewie, wyglądając na ogród, gdzie obite deszczem rośliny leżały bezwładnie na ziemi. - Muszę ratować nieszczęśników. A ty co będziesz robić?

- Dobry ranek na przeszukanie plaż - odpowiedziała Stella.

Grace tymczasem wkładała fartuch do pracy w ogrodzie, zmierzając ku bocznym drzwiom.

Stella zabrała z kuchni bochenek świeżego chleba. I słoik dżemu jeżynowego - ciepły, czerwony klejnot.

Ukośne promienie porannego słońca wpadały przez okno kabiny. Oświetlały kurz unoszący się w powietrzu

I skrzyły się na drobinach soli na lakierowanym blacie stołu. Stella wyciągnęła rękę, by dotknąć liści rośliny Zefa. Zwracały się ku światłu, podnosiły ku ciepłu.

Zef leżał obok niej na wąskiej koi, jego nogi przywierały na całej długości do jej nóg. Stella żałowała, że nie będą mieli okazji stanąć do siebie plecami z książką balansującą na ich głowach, by sprawdzić, kto jest wyższy. I że nigdy nie będą pływali razem podczas pełni księżyca, gdy głębina wydaje się gęsta jak oliwa. Słyszała głos morza, które nadal było zbyt gniewne, by łodzie mogły wypływać, ale wiedziała, że w ciągu paru godzin się uspokoi.

A wtedy Zef odpłynie.

- Wrócę. Wiesz o tym, prawda? - spytał, czytając w jej myślach.

Stella utkwiała wzrok w kołyszącym się nad nią sznurkowym hamaku. Patrzyła na siatkę węzłów i na otwory przypominające kształtem diamenty. Czekwała na te słowa. Marzyła o nich. I nie mogła zapomnieć, jak zaproponował -wkrótce potem, gdy się poznali - że zabierze ją ze sobą z wizytą do Bakti. Złożył tę propozycję z taką łatwością. Może ze zbyt wielką łatwością...

- Kiedy wyjeżdżasz do Hobart?

- Dwunastego lutego.

William i Grace mieli odwiedzić ją tam samochodem i poczekać, aż rozgości się w hostelu.

- Czyli za sześć tygodni - policzył. - Na pewno zdążę wrócić do tego czasu.

Stella zagryzła wargi. Musiała wiedzieć, mieć pewność. Nie zniosłaby oczekiwania, żyjąc tylko nadzieją.

- Obiecuj mi - powiedziała.

Zaczerpnęła powietrza i czekała. Wiedziała, że jeśli obieca, dotrzyma słowa, tak jak dotrzymuje obietnicy złożonej Bakti. Zef uniósł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

- Obiecuję - rzekł. - Obiecuję, że wrócę.

Słowa zabrzmiały jak pieśń, jak błogosławieństwo.

- Carla też obiecuje - dodał ze śmiechem. Szturchnął śpiącego kota. - Prawda?

Potem spoważniał. Dotknął policzka dziewczyny delikatnie, przesunął palce w dół, ku szyi, aż na skraj koszuli. Zaczął mówić spokojnym i pewnym głosem:

- Stello, do nikogo nie czułem tego, co czuję do ciebie. Wrócę, nic mnie nie powstrzyma.

Oczy Stelli napelniły się łzami. Uniosła się ku jego twarzy i pocałowała go - najpierw delikatnie, potem mocno przywarła do jego warg, sięgając językiem w głąb jego ust.

Czuła dłonie Zefa na swoich plecach, pod bluzką, skra-

dające się do zapięcia stanika. Dzieląca ich bariera, świadomość, że wspólny czas niebawem się skończy, zniknęła. Obiecuję, że wrócę.

Stella usiadła, zdjęła bluzkę, potem stanik i rzuciła je na stół. Zef nie dotykał jej dłużej, patrzył tylko uważnie, jakby próbował utrwalić w pamięci obraz cieni igrających na jej skórze.

Wyobrażała sobie, jak on ją widzi: płaski brzuch, szczupłe uda, skórę na piersiach przypominającą aksamit, płatki lilii, skąpane w miękkim świetle słońca.

Położyła się obok niego. Widziała, jak erekcja unosi tkaninę okrywającą jego biodra. Przekręcił się i położył na niej, ich nogi splotły się, dźwigał ciężar ciała na ramionach. Sztywne od soli kosmyki włosów Zefa dotknęły jej piersi.

- Czy już kiedyś...?- wyszeptał. Wiedziała, o co pyta. Pokręciła głową.

- Ja też nie - powiedział.

Zamknęła oczy, poczuła ogarniającą ją ulgę. On był jej. Nie należał do nikogo innego.

Nagle Zef odsunął się. Usiadł, spuścił nogi na podłogę.

- Nie możemy. Nie wolno nam.

Stella przełknęła ślinę, serce łomotało jej w piersi. Powinna przyznać mu rację, we własnym interesie.

Ale wszystko zaplanowała. Była pewna.

- Możemy. Jest bezpiecznie. Zef patrzył na nią, bez ruchu.

- Niedługo będę miała okres. Zawsze mam bardzo regularnie.

- Jesteś pewna?

Czytała w twarzy Zefa, że nie wiedział dokładnie, co miała na myśli, że wszystko zależało od niej. To ona miała postanowić.

- Chcę tego - powiedziała.

Patrząc mu w oczy, w zieleń przyćmioną światłem kabiny, sięgnęła do węzła sarongu na jego talii.

Rozwiązała supeł i pomogła opaść tkaninie. Potem położyła się, cze-

kając, aż do niej wróci. Rozwarła uda, otworzyła się przed nim.

Wyciągnął się obok niej, wsparty na łokciu. Twardy członek tkwił przy jej biodrze. Dotknął jej, rozprowadził palcami wilgoć. Potem przesunął się i zawisł między jej nogami.

Stella zamknęła oczy. Czuła wszystkie nerwy swego ciała skupione tam, gdzie go oczekiwała.

Wstrzymała oddech. Wszedł w nią szybkim ruchem. Napierał mocno, głęboko. Potem znieruchomiał, przyciągnął ją do siebie. Jej ciało, jej serce, jej dusza wypełniły się, zjednoczyły się z nim.

*

Ciemny kształt „Lady Tirian” majaczył na roziskrzonym morzu. Wyteżyła wzrok, dostrzegła na pokładzie dwie postaci. Williama i Jamiego. Zbliżali się powoli, lecz nieuchronnie. Stella czuła ogarniające ją odrętwienie, jak ktoś, kto nie może poruszać kończynami w pułapce snu. Patrzyła i czekała, bezradna.

Odwróciła wzrok, lustrowała parking, zaśmiecony korą drzew gumowych i liśćmi naniesionymi przez wiatr. Patrzyła na Mur Pamięci z zaniedbaną tabliczką Davida Greya. Potem spojrzała na popękane, malowane litery na fasadzie hotelu Halfmoon Bay.

Odnosiła wrażenie, że wszystko jest mniejsze, wydawało się jej, że patrzy na okolicę z odległości, że jej tu nie ma. Jakby prawdziwa Stella odpłynęła z Zefem przed paroma godzinami i zmierzała wraz z nim ku cieśninie.

Usłyszała czyjeś ciężkie kroki za plecami, ktoś zbliżał się, szedł wzdłuż pirsu. Joe - pomyślała. Chce przywitać Williama i przypomnieć o sobie, na wypadek gdyby zostały jakieś resztki jedzenia albo ryb. Wtedy jednak wiatr przyniósł delikatną woń perfum. Stella od razu rozpoznała słodki, kwiatowy zapach „Allure”. Jamie zawsze kupował mamie na Gwiazdkę mydło, talk albo wodę toaletową o tym zapachu.

126

- Wiedziałam, że tu będziesz, skarbie - przywitała ją Paulina. - Jedziemy z Brianem do St Louis na herbatę, ale przedtem chciałam zobaczyć Jamiego. - Jasnoróżowe usta odcinały się ostro na tle jej twarzy. - Pewnie się cieszysz, że wraca.

- Tak - odparła Stella.

Chciała dodać coś jeszcze, coś zwykłego, ale zdobyła się jedynie na uśmiech.

Podchodząc bliżej, Paulina po omacku poprawiała włosy. Z koka upiętego luźno na czubku głowy zwisał po jednej stronie duży kosmyk. Kobieta wyciągnęła spinki i próbowała zebrać włosy ponownie. Pochyliła się ku niej.

- Pomóż mi, kochanie - powiedziała ze szpilkami w ustach.

Stella czuła, że jej dłonie są sztywne, że niezdarnie zgarniają pukle i mocują je na swoim miejscu. Myślała o tym, jak Paulina wiele razy upinała w swojej kuchni włosy Stelli. Pamiętała, że dotyk palców kobiety i sposób szczotkowania włosów wprowadzały ją w trans. Paulina często próbowała nowych fryzur/idąc za wskazówkami kolorowego magazynu leżącego na stole. Jesteś moją przybraną córką - mawiała do Stelli, a Jamie zawsze uśmiechał się na te słowa. Spodziewał się, że pewnego dnia ożeni się ze swoją dziewczyną. Nigdy nie przeszło mu nawet przez myśl, że może ją stracić z powodu nieznanego przepływającego tędy jachtem.

- Trochę się niepokoiłam o sylwestra - odezwała się Paulina. - Gdyby sztorm trwał dłużej, miałybyśmy, my kobiety, bardzo spokojny wieczór.

Stella patrzyła na nią w milczeniu. Sylwester przypada dziś? Czy jutro? Oczyma wyobraźni widziała, jak ubiera się na kolację i potańcówkę. William będzie miał zastrzeżenia do jej stroju i makijażu, przypominając, że ma zaledwie szesnaście lat. Grace tymczasem spędzi całe godziny na dobieraniu kreacji z wielu wieczorowych sukien przywiezionych z Anglii, a w ostatniej chwili i tak włoży tę, którą mąż

lubi najbardziej. Potem we trójkę wsiądą do furgonetki. Powietrze wypełnią zapachy perfum i wody po goleniu, zmieszane z wonią środka przeciwmolowego. Gdy dojadą na miejsce, Jamie będzie już na nią czekał - z twarzą pomalowaną pastelowymi światłami kolorowych lampionów.

Nagle zamarła. Jej palce nadal tkwiły we włosach Pauli-ny, gdy uświadomiła sobie, że nie będzie umiała udawać przed Jamiem. Nawet przez chwilę. Musi powiedzieć mu wprost, że nie... Nie, co? Nie kocha go? Nie należy do niego? Po tych wszystkich latach i wszystkich planach...?

Z trudem przełknęła ślinę, poczuła strach, poczuła wzbierającą w niej falę uczuć, nad którymi, być może, nie uda się zapanować.

- Skończone? Dzięki, skarbie. - Paulina wyprostowała się. - Patrz, już są.

Stella odwróciła twarz w kierunku łodzi, ale patrzyła poza nią, ledwie zerknąwszy na postać machającą z pokładu na dziobie i na niewyraźny zarys głowy i ramion ojca w sterówce. Skupiła uwagę na skałach osłaniających rozlewisko. Zbierające się tam zwykle mewy odfrunęły w poszukiwaniu jedzenia na spokojnym morzu. Warstwa białych ptasich odchodów pokrywająca granitową skałę została zmyta przez kilkudniowy deszcz.

Nikomui nie powie o Zefie - postanowiła w duchu. Ani Jamiemu, ani Williamowi, nikomu. Zachowa go dla siebie. Nie chciała narażać go - wspomnień o nim - na gniew, ból, nieufność. Coś jej podpowiadało, że gdyby to zrobiła, nie zobaczyłaby go więcej. Niczym księżę z bajki rozplątałby się w świetle brzasku. Trzeba ukryć go w bezpiecznym cieniu tajemnicy, póki nie wróci.

- Muszę iść.

Słowa bezwiednie wymknęły się z jej ust. Nie miała ani wymówki, ani żadnego planu.

Paulina zmarszczyła brwi, zatroskana.

- Co ci jest? Źle się czujesz?

- Tak - skłamała Stella. - Troszeczkę.

- Odwiozę cię do domu - zdecydowała Paulina. - St Louis może zaczekać. - Wskazała głową na

zbliżającą się łódź. - Oni też.

- Nie, nie, dziękuję - usłyszała. - Nic mi nie będzie. Mam rower.

Zanim Paulina zdążyła cokolwiek powiedzieć, Stella odwróciła się i odbiegła. Jej buty stukały głośno o deski pirsu. Wiedziała, bez oglądania się za siebie, że kobieta śledzi ją wzrokiem.

Stella siedziała osłonięta gęstwiną rzewni, z dala od głównej plaży, i patrzyła w morze. Tam gdzie skały rzucały na wodę cień, można było zajrzeć w głąb zielonej toni i zobaczyć witki wodorostów falujące nad pustymi muszlami ostryg. Tam gdzie nie było cienia, morze wyglądało jak lustro, w którym odbija się niezmacony obraz czystego, błękitnego nieba.

Ziemię, na której siedziała, pokrywała gruba, narastająca od stuleci warstwa gałązek rzewni. Na miękkiej ściółce leżały kłujące strąki z nasionami. Stella podniosła jeden z nich i przez chwilę trzymała go w ręce. Potem zacisnęła dłoń w pięść, ostre kolce wbiły się w skórę. Rozkoszowała się bólem. Ciało dawało jej znak, że jest bardziej wrażliwe, bardziej pobudzone niż dawniej. Zapach morza odbierała jako intensywniejszy. Drzewa szumiały głośniejsz. Ogarnęła tułów ramionami.

Wszystko się zmieniło.

Stella spojrzała na rękę zaciśniętą na strąku, na ślad po kolcach na skórze. Pamiętała palący ból i świeży zapach spermy, lepkiej i gęstej na jej udach, i uczucie, gdy sperma wyciekała z ciała, brudząc sarong wciśnięty między nogi.

Teraz na łożu z gałązek rzewni poruszyła biodrami w poszukiwaniu echa bólu, który wciąż tkwił w jej ciele. Nosila w sobie swoją tajemnicę, swoją siłę. Świadomość, że już nie była dziewicą. Kochała się z Zefem. I nikt jej tego nie odbierze.

Na drewnianym, poprzypalanym papierosami blacie stołu widniała niewielka plama rozlanej lemoniady. Stella przyglądała się jej, śledząc z napięciem, jak małe bąbelki powstają i znikają na zawsze.

Jamie wypił łyk piwa. Barman Griggs podał mu go w kubku, żeby Spinks - gdyby się niespodziewanie pojawił - nie zorientował się, co jest w środku. Teraz Griggs siedział w sali bilardowej i oglądał telewizję. W lokalu panował dziwny bezruch - był późny poranek w środku tygodnia. Stella miała wrażenie, że jest na wagarach.

Jamie pochylił się i ogarnął ją ramieniem. Zwisająca dłoń gładziła bok jej piersi.

- Chcesz jeszcze? - wskazał na szklanke Stelli. Pokręciła głową.

- Mama się o ciebie martwi - rzucił. - Podobno źle się czułaś. I dlatego nie było cię wczoraj, gdy przyplłynęliśmy.

- Już wszystko w porządku.

Stella starała się unikać wzroku Jamiego, udawała, że przygląda się fotografiom wiszącym na ścianie. Było wśród nich zdjęcie rozlewiska nieopodal przystani, zrobione podczas najstraszniejszego sztormu, jaki ludzie pamiętali: jedna z łodzi rybackich została wówczas wyrzucona na pirs. Była fotografia znanego angielskiego żeglarza, który wslawił się samotnym rejsiem dookoła świata, oraz wycinki z gazet opowiadające o cudownym przetrwaniu trzech rybaków po katastrofie „Briar Rose”. Dalej wisiał rząd portretów: podobizny wszystkich prezesów Stowarzyszenia Rybaków, a wśród nich Williama - patrzył w obiektyw z dumnie uniesionym podbródkiem.

- Twoje włosy dziwnie pachną - zauważył Jamie, zbliżając kosmyk do swojej twarzy. - Kadzidło.

Paliłaś kadzidło?

Zmarszczył nos.

Stella przeniosła wzrok z fotografii na inkrustowaną

solą szybę okna i spojrzała na pirs. Widziała Mur Pamięci. Liczyła kolejne tabliczki, aż doszła do Davida Greya - żeglarza, którego kochano tak wiernie. Może on doda jej odwagi - pomyślała - odwagi, by mogła to powiedzieć. On był przecież częścią planu...

Po powrocie Zef miał zawinąć do portu i zacumować „Tailwind” przy pirsie. Zatrzyma się na krótko, żeby nie zauważył go Spinks, żeby nawet Joe nie zdążył podejść i rozpocząć pogawędki. Podejdzie tylko do muru, na jego skraj, włoży rękę w dekoracyjny otwór, dokładnie pod tabliczką Davida Greya, i tam, głęboko, zostawi Stelli wiadomość. Nie będzie to zwykły zapis na kartce - nic tak niebezpiecznego czy pospolitego - lecz symbol, którego znaczenie zrozumie tylko ona. Może rysunek kota, taki jak na łyżce Grace. Albo maleńki koszyczek upleciony z tropikalnej trzciny...

- Ryan urządza prywatkę - powiedział Jamie. - Możemy przejść się na piechotę, po kolacji i tańcach. - Spojrzał na wykonany ręcznie plakat przedstawiający parę tancerzy, nad których głowami widniał napis w kwadratowej ramce: „Nowy Rok 1976”. - Nie musimy tu zostać aż do północy. Parę godzin wystarczy, by wszyscy byli zadowoleni.

- Ja nie pójdę - zaprotestowała Stella.

Jej głos zabrzmiał cicho w sali pełnej pustych stołów i krzeseł.

- To znaczy? O czym ty mówisz?

Spojrzała na Jamiego. Na jego głowie widniał pasek jaśniejszej skóry, nietkniętej przez słońce i wiatr, odkryty przez podcięcie włosów z okazji przyjęcia dla absolwentów. Zaledwie parę tygodni temu żartowali i całowali się za zasłoną ozdób z muślinu i krepiny.

- Wyglądasz jak ktoś inny w tej sukni - szeptał jej wtedy do ucha.

Bo jestem - pomyślała - jestem kimś innym. Teraz powinna to powiedzieć, pokazać różnicę między przeszłością i przyszłością. Zamknęła oczy, żeby nie pa-

trzeć mu w twarz. Dobrze wiedziała, jak wykrzywią się kąciki jego ust, gdy będzie walczył, by panować nad uczuciami.

- Nie chcę tam iść... z tobą.

- Też coś!

Uśmiechnął się szeroko, białe zęby zajaśniały na tle ogorzałej twarzy. Udał, że chce ją zrzucić z krzesła, ale zaraz chwycił za ramię, by nie upadła.

Odwróciła do niego twarz, patrząc w milczeniu i czekając, aż spoważnieje.

- Co ci jest? - spytał, marszcząc brwi ze zdziwieniem. - Co się z tobą dzieje?

Stella spojrzała w stronę baru. Griggsa nie było. Z sali bilardowej dobiegało postukiwanie bili.

- Nie chcę być dłużej... z tobą.

Słowa zawisły w powietrzu. Jamie wzdrygnął się, jeszcze zanim znaczenie słów dotarło do niego na dobre. Zacisnął dłoń na kubku. Pochylił się nad nim, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście go trzyma.

Z ulicy doszedł ich głos radia. Stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak pojazd się zbliżał, a potem cichł w tempie oddalającego się samochodu. W drugim końcu sali dały się słyszeć ciężkie kroki.

- Papużki nierozłączki zostają na obiedzie, prawda?! - zawołał Griggs.

Zaczął skrobać kredą po czarnej tablicy: „Danie dnia: surf and turf”¹. Obejrzał się przez ramię.

- Stek z ostrygami. Z nowego menu. Stella wstała, trącając stół.

- Chodźmy - powiedziała spokojnie.

*

W zaciszu stacji wielorybniczej Stella oparła się plecami o ścianę z piaskowca. Wszędzie były wyryte imiona ich przyjaciół. Nieco dalej jej własne miłosne serduszko, zaledwie sprzed paru lat, wyżłobione głęboko i wyraźnie: „Stella kocha Jamiego 1972”.

132

¹Danie z owoców morza i mięsa (przyp. tłum.).

Jamie stał naprzeciw niej z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż ciała. Wyglądał jak mały chłopiec, jak dziecko, które nie może pojąć sensu świata. Stella przełknęła ślinę, zmusiła się do mówienia.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Bardzo mi na tobie zależy. Ale nie mogę być dłużej twoją dziewczyną.

Położył ręce na jej ramionach.

- Na pewno tak nie myślisz.

Widział jednak, że tak myślała. Znał ją zbyt dobrze. To przynajmniej ułatwiało sprawę.

- Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego. Przynajmniej powiedz.

- Nie mogę - odparła.

Taka była prawda. Nie mogła pogłębić bólu, który już mu zadała, goryczą zazdrości. Wiedziała, że nie będzie mogła tego powiedzieć także Laurze, po jej powrocie z Queenslandu. Musiała dochować tajemnicy. Póki nic nie powie, nikt się nie domyśli, że poznała kogoś innego. Bo i jak miała poznać? Przecież nikogo tu nie było.

- Nie o to chodzi, że zrobiłeś coś złego - powiedziała. -Po prostu...

Przerwała, szukając słów. Wtedy przypomniała sobie słowa Grace wypowiedziane podczas sztormu.

- Chcę być wolna - bezwiednie użyła słów matki. -Chcę sama dokonywać wyborów. Chcę podróżować.

Jamie patrzył na nią. Poruszył głową, jakby próbował otrząsnąć się z myśli.

- Nigdy nie zakazywałem ci robić tego, co chcesz. Nigdy. Czyż nie tak?

Przytaknęła w milczeniu.

- No więc? - spytał. - Nie chcesz dalej się uczyć? Możemy zrobić sobie rok wolnego. Tak jak siostra Micka.

- Nie.

W tym pojedynczym słowie było dość siły by przełamać niedowierzanie Jamiego.

- Już mnie nie kochasz - powiedział. Głos uwiązał mu w gardle.

Stella pokręciła głową. Usta jej drżały. Łzy napłynęły do oczu. Patrzyła w ciemne źrenice Jamiego falujące w wilgotnej mgle. Potem łzy spłynęły jej po policzkach.

- Stell. Naprawimy wszystko, cokolwiek to jest. - Z czułością unióśł dłoń ku jej twarzy. - Nie musisz tego robić.

- Muszę.

Ręka Jamiego opadła. Odszedł kilka kroków, odwrócił się ku morzu. Fale były długie i łagodne, białe grzywy zniknęły. Stella patrzyła na zapadnięte ramiona chłopaka, które po chwili uniosły się, jakby głęboko nabierał powietrza. Próbował nie płakać, próbował być silny.

Stella przycisnęła ręce do ziarnistej powierzchni muru. Chciała podejść do Jamiego, nie powinna zostawić przyjaciela stojącego tam samotnie. Czy to nie ona przyłożyła w czwartej klasie chłopakowi, który zachował się wobec niego niegrzecznie? Czy to nie ona była świadkiem, gdy pewnego różowego poranka złapał swoją pierwszą wielką falę, stojąc na desce surfingowej?

Ale teraz już do niego nie należała.

Musiała odejść, to tylko mogła zrobić. Utkwiła wzrok w oddali, w koronie drzewa herbacianego rosnącego za sklepem. Jeśli będzie po prostu szła, bez przystanku, dojdzie do niego. W lesie skryje się między wrzecionowatymi pniami o poskręcanej, podobnej do papieru korze, osłonięta listowiem tak gęstym, że nawet słońcu nie udaje się przez nie przebić. W mroku, wśród zapachu mrówek i liści, będzie sama. Przestanie myśleć o Jamie. Przestanie myśleć o Paulinie, o jej dobrych oczach otwierających się szeroko z przerażenia, o jej radosnej twarzy, na której jak w zwierciadle odbije się ból ukochanego, szlochającego syna. Przestanie myśleć o Williamie.

Wyobrazi sobie „Tailwind”, płynący śmiało po morzu, żagle wydęte przez wiatr i kil unoszący się i opadający na długich falach.

Będzie się cieszyć myślą o tajemnym kochanku. Zwinie się w kłębek na suchej ziemi i odpocznie.

*

William ustawił bierwiono pionowo na pieńku. Uniósł siekierę ponad głowę i opuścił ją zamaszystym ruchem. Suche drewno rozpadło się na części. William odsunął się, by Stella mogła je zebrać. Gdy podbiegła i się schyliła, wyczuła paraliżujący chłód płynącej od niego ciszy.

Ojciec był zły. Gniewał się za to, co zrobiła Jamiemu.

Niosła szczapy drewna przez podwórze, trzymając je przed sobą. Długie, ostre drzazgi nakłuwały tkaninę koszuli i wbijały się w pierś. Przez kuchenne okno widziała Grace, stojącą przy stole i wałkującą ciasto francuskie. Gdy Stella się przybliżyła, matka podniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Grace sprawiała wrażenie winnej, prawie przestraszonej, jakby wiedziała, że córka poszła za jej nierozważną radą. Wróciwszy do wałkowania, wyciskała w cieście długie, nierówne ślady.

Stella rzuciła brzemień na stos drewna leżący przy bocznych drzwiach. Potem uklękła przy skrzyni i zaczęła układać w niej szczapy. Pająk przebiegł jej po ręce, łaskocąc skórę, ale prawie go nie zauważyła. Próbowwała skupić uwagę na swoim zadaniu, dobrać kawałki drewna w taki sposób, by utworzyły równy rząd. Chciała zająć umysł, wypełnić go czymś, żeby dni mijały jeden po drugim jak najprędzej, przybliżając powrót Zefa.

Przez otwarte tylne drzwi dobiegał zapach smażonej cebuli - dzisiejsza kolacja. Stella czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła na myśl o talerzu pełnym gulaszu, a potem tłustym cieście, które będzie musiała zjeść w atmosferze chłodnego milczenia Williama i nowego, nieprzyjemnego spokoju Grace. Gdy tylko uda się jej przełknąć ostatnie

kęsy, ucieknie do kuchni i zajmie się zmywaniem naczyń. Dopiero potem będzie mogła pójść do swojego pokoju i położyć się do łóżka z książką. Otworzy ją tylko, ale nie będzie czytać. Będzie leżeć, myśleć o Zefie i rozkoszować się bólem tęsknoty. Podzieli się uczuciami - bez słów - z kamiennym aniołem spoglądającym z półki. I z lalkami stojącymi obok. To im zawierzyła swój sekret. Rzeźbione rysy aniołka, malowane oczy i zaciśnięte usta lalek niczego nie zdradzą. Pewnego wieczoru wzięła z półki chodzącą lalkę, Mirandę. Posadziwszy ją sobie na kolanach, ściągnęła ze sztywnych rączek rybacki pulower i położyła go na wytłaczanej narzucie łóżka. Przez chwilę lalka leżała na jej kolanach naga. Plastikowe ciało wyglądało chłopięco i bezpłciowo. Potem Stella wyciągnęła ze sterty lalczyńskich ubrań suknię ślubną i rozprostowała jedwabne fałdy spódnicy. Tkanina muskała nagie nogi Stelli, szeleszcząc cicho, gdy dziewczyna delikatnymi ruchami ubierała lalkę.

Panna młoda stała teraz na półce w pewnym oddaleniu od reszty lalek - samotna, wyczekująca. Obok lalki, ukryty za plikiem książek, leżał pleciony koszyczek, który Zef zrobił dla Stelli po ich pierwszym spotkaniu. Trawa wyschła i stała się sztywna, a wodorosty skruszały. Stella wyjmowała koszyczek i trzymała w dłoniach ostrożnie, jakby był gniazdem ze świeżo opierzonym pisklęciem w środku.

Zef wręczył jej podarunek w ostatnich minutach przed rozstaniem - między splecione włókna wetknięta była złożona karteczka. Stella nie przeczytała jej od razu, wołała zaczekać, aż Zef odpłynie. Chciała zostawić sobie ten okruch wspólnej historii na później.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, oparła się plecami o drzwi i wstrzymała oddech. W piersi wzbierał szloch radości i bólu. Szelest papieru pod palcami przypominał odgłos drapania opalanej skóry. Słowa napisane niebieskim atramentem lekko się rozmazały od wilgoci.

Kocham Cię, Stello. Zawsze będę Cię kochał. Przrzekam, że wrócę.

Zef (i Carla)

Stella nauczyła się tych słów na pamięć, miała przed oczyma kształt każdej litery, nachylenie linii pisma. Jej palce zapamiętały zarys poszarpanych krawędzi papieru -strony wyrwanej z dziennika pokładowego. Ten strzep był jak wyspa, wyjęta z którejś z map Zefa. Podniósłszy papier do nosa, poczuła zapach trawy i wodorostów.

Często siadywała na łóżku i wielokrotnie czytała liścik. Ogarniała ciało ramionami, świadoma każdej fałdki skóry, każdego napinającego się pod nią mięśnia. Uwielbiała je wszystkie, kochała, ponieważ należały do niego.

Zmęczona czytaniem listu i oglądaniem koszyczka, sięgała po *Szkolny atlas* i otwierała go na stronie z Nową Zelandią. Śledziła postrzępiony zarys Wyspy Południowej, czytała dziwne nazwy siedzib Maorysów. Zef podał jej adres urzędu pocztowego położonego najbliżej nadmorskiej farmy, gdzie umówił się z Bakti. Obiecał zapisać go na kartce, żeby Stella mogła wysłać mu list, ale w ferworze przygotowań do wyjścia w morze zapomniał to zrobić. Rozumiał, że pisanie do niej na adres sklepu pani Barron byłoby zbyt ryzykowne, więc Stella wiedziała, że jeśli nie przypomni sobie tej nazwy, nie będzie miała kontaktu z Zefem przez długie tygodnie.

Tautapere. Waihoaka. Otatara. Wakaputa... Obracała słowa w ustach, słuchała dźwięków, sprawdzając, czy brzmią znajomo. Ale żadne nie brzmiało znajomo, a właściwie wszystkie brzmiały znajomo. Bez końca studiowała mapę. Znajdowała w tym więcej przyjemności niż smutku. Brak możliwości kontaktu czynił rozłąkę jeszcze potężniejszą -jakby dotkliwy ból, który odczuwała, miał pomnożyć radość ich ponownego spotkania.

Stella wychyliła się przez burłę, patrząc w wodę przez grubą plastikową rurę z zamontowanym na jej końcu szkłem. Morze było mętne od planktonu, a mimo to widać było ciemny wzór utworzony przez wodorosty na dnie oceanu. Prostując się, dała znak Williamowi stojącemu w sterówce, że to dobre miejsce na zastawienie pułapek.

Ojciec odpuścił gaz. Łódź zwolniła, zakołysała się i zapach spalin przesycił powietrze. Dziewczyna chwyciła się ręką obudowy silnika, czując, jak ogarnia ją fala mdłości. Słyszała, że William zbliża się, bierze kosz i zaczyna opuszczać go za burłę.

- Chodź! - zawołał. - Pomóż! - Zerknął na jej twarz, popuszczając linę między palcami. - Co ci jest? Stella potrząsnęła głową.

- Nic. Trochę mi niedobrze.

Zwykle czuła się na morzu znakomicie, i to niezależnie od warunków - zwłaszcza na pokładzie, na świeżym powietrzu. Czasami tylko pewien rodzaj kołysania sprawiał, że czuła się niewyraźnie.

- Za długo byłaś na lądzie - stwierdził William. - Musisz znowu przywyknąć do morza.

Stella uśmiechnęła się z trudem, słysząc w jego głosie uprzejmy ton. Tak często zdarzało się w przypadku jej ojca - po długich dniach milczenia niespodziewanie stawał się serdeczny, zapominał o rozczarowaniu czy gniewie. A wtedy równie trudno było przypomnieć sobie jego złowrogie oblicze, jak podczas zimowych chłódów trudno jest uwierzyć, że lato powróci.

Gdy William pospieszył do sterówki, by wyregulować gaz, Stella wdrapała się na przedni pokład i przyciągnęła kolejny kosz. Za nim, w zbiorniku na przynętę, leżał płas-kogłów. Dziewczyna spojrzała na blade, omywane wodą ścierwo i poczuła zapach rozkładającej się ryby. Ledwie zdążyła dopaść burty, zwymiotowała.

- Musisz coś zjeść - powiedział William, gdy Stella wyprostowała się i otarła usta wierzchem dłoni. - Nie ma nic gorszego niż pusty żołądek. - Wskazał głową sterówkę. - Weź sobie coś.

W sterówce panował zaduch. W nieruchomym powietrzu unosiły się zapachy oleju spalinowego,

dziegciu, wilgotnej wełny i jajek na bekonie. Stella próbowała się uspokoić. Odetchnęła głęboko, usiadła na wyściełanej ławeczce. Gdy szelki kombinezonu naprężyły się i podniosły wyżej krok spodni, poczuła wilgoć. Zamknęła z ulgą oczy. W końcu dostała okres. Stojąc tyłem do okna, sięgnęła w głąb spodni ręką drżącą od tłumionego napięcia. Dotknęła palcem krocza. Poczowała śliską krew na skórze. Wyjawszy rękę, spojrzała na palec. Nie był czerwony. Połyskiwał srebrem, jak świeżo wyciągnięta z wody ryba. Patrzyła na niego sztywna, ogarnięta paniką. Przeczucie, które starała się od siebie odepchnąć, osaczało ją niby czarny obłok.

Liczyła i przeliczała dni, stawiała ołówkiem znaczki w kalendarzu, szukając błędu w obliczeniach. Obie z Laurą stosowały ten sam sposób. Nie chciały ryzykować zaskakującej sytuacji w szkolnym autobusie albo w klasie, dlatego zawsze zaznaczały w kalendarzu pierwszy dzień miesiączki.

3 grudnia.

Stella zakreśliła tę datę niedbałym kółkiem - kilka tygodni temu - nieświadoma, jak często będzie na nią spoglądać, ile razy, począwszy od niej, będzie liczyć do dwudziestu ośmiu, potem do dwudziestu dziewięciu, wreszcie do trzydziestu.

Gdy wyruszyła z Williamem do przystani, zaczął się trzydziesty szósty dzień. To trwało zbyt długo. Zdawała sobie sprawę, ale nie dopuszczała do siebie myśli, co to może oznaczać.

Jakiś ruch na zewnątrz sterówki wyrwał ją z zamyślenia. William dawał jej znaki, by skierowała łódź dalej od lądu. Działała automatycznie, obracając kołem sterowym i popychając manetkę gazu. Czuła, że jej umysł jest oddzielony od ciała, gdy mierzył falę, oceniał prędkość, uważał na skały.

Wiedziała, że z zewnątrz nadal wygląda normalnie. Ale w środku chwiała się, jak ktoś, kto po silnym ciosie z trudem trzyma się na nogach.

*

Walizka pachniała naftaliną i starymi ubraniami. Grace przetarła ją wilgotną szmatką, po czym zrobiła krok w tył, żeby i Stella mogła ją obejrzeć.

Dziewczyna pokiwała głową.

- Dobra. Nie zabieram przecież wszystkich rzeczy.

- Szkoda, że tam nie noszą mundurków - stwierdziła Grace. - To bardzo ułatwia życie.

Stella podeszła do komody i zaczęła wyjmować podkoszulki i dżinsy. Były jeszcze dwa tygodnie do wyjazdu do Hobart, ale ojciec chciał, żeby już wszystko przygotowała.

Nie dwa tygodnie. Trzydzieści dni.

W tym czasie mógł przypląć Zef. Każdego z tych dni - jeśli włoży rękę w otwór w ścianie przy tabliczce Davida Greya - może znaleźć coś, co zostało tam umieszczone. A nie tylko zdechłą dżdżownicę, garstkę żwiru czy zwiędły płatek kwiatu.

Stella nie zastanawiała się, co będzie, gdy Zef wróci. Nie potrafiła wyobrazić go sobie tutaj, w domu, mającego do czynienia z Williamem. Ale uważała, że on ją uratuje. Żeglował samotnie po oceanach świata, nieustraszony. Będzie wiedział, co należy zrobić.

Jej dłoń zawisała nad niebiesko-białą kraciastą koszulą, jedną z ulubionych koszul Jamiego. Gdy ją wyjęła, poczuła znajomą, dającą poczucie bezpieczeństwa woń. Nagle zatęskniła do niego. Do tego, by powiedzieć mu wszystko i poprosić o pomoc. Spojrzała na przyglądającą się jej Grace. Wrzuciła koszulę do szuflady, wepchnęła ją głęboko, poza zasięg wzroku. Za późno, by ją zwrócić. Jamie wyjechał. Nie do Hobart, by kontynuować naukę, lecz by pracować jako robotnik rolny w posiadłości na kontynencie. Odczuwała tępy ból na myśl o zesłaniu, na które się ska-

zał - chłopak uwielbający surfowanie mieszkał teraz tysiąc kilometrów od brzegu, na skraju pustyni. Z jej powodu.

Tylne drzwi trzasnęły głośno. W holu rozległ się głuchy odgłos kroków i William wszedł do pokoju. Stał, patrząc na pustą walizkę.

- Nie mogę uwierzyć, że wyjeżdżasz. - Pokręcił ze smutkiem głową. - Moja mała dziewczynka jest już dorosła... - Zatarł ręce. - Ale przyjedziesz na Wielkanoc. To niedługo. Wiesz, spotkałem Laurę w sklepie. Myślałem, że wrócą dopiero w przyszłym tygodniu.

Na myśl o spotkaniu z przyjaciółką Stellą ogarnął strach. Laura na pewno zechce pochwalić się nowymi kostiumami i piękną opalenizną. Zechce umówić się z nią na głównej plaży, żeby mogły wystawić na słońce błyszczące od olejku kokosowego ciała i, jak zwykle, sprawdzić, która przybyła na wadze w okresie świąt i jak dużo. W ciele Stelli nie było jeszcze widać żadnych zmian, ale ona sama czuła się zupełnie inaczej - jakby przekroczyła próg innego świata. Czy mogła zachowywać się jak gdyby nigdy nic? Wiedziała, że nie da się tego utrzymać w tajemnicy.

Wzięła głęboki oddech. Poczowała przerażenie i fascynację swoją decyzją. Zamierzała to zrobić. Teraz, tutaj.

- Nie pojedę - oznajmiła. - Nie pojedę do Hobart. William westchnął.

- Dlatego, że Jamie...

- Nie. - Odsunęła się i oparła o ścianę. Nie było odwrotu. Zaczęło się. - Jestem w ciąży.

Patrzyła w podłogę, jej ciało naprężyło się w oczekiwaniu na cios. Usłyszała, jak Grace z trudem łapie oddech. Czuła, że William znieruchomiał i wpatruje się w nią. Z jej ust zaczęły wydobywać się dźwięki - początki słów przerywanych, niedokończonych.

- Będzie musiał wrócić. - Gdy William zaczął mówić, jego głos był stanowczy i silny. - Co on sobie myślał, wyjeżdżając i zostawiając cię?

Stella zmarszczyła brwi, zmieszana. Próbowała myśleć,

nadać sens jego słowom, ale wszystkie one zdawały się docierać do niej w małych, bezładnych kawałkach, które nie chciały uporządkować się i nabrać rozsądnego znaczenia.

- Myślałem, że możemy ci ufać - rzekł William. - I jemu... - Ruszył ku córce. Miał surową twarz. Mówił przez zaciśnięte usta. - Kto jeszcze wie? Oni wiedzą? Brian i Paulina?

Stella spojrzała ponad jego ramieniem. Utkwiła wzrok w kamiennym aniołku, w jego złożonych do modlitwy dłoniach.

Pomóż mi, proszę.

- To nie on. Nie Jamie.

Oczy Williama rozwarły się szeroko.

- Co?

Stella przełknęła ślinę, ogarnęły ją mdłości.

- Ktoś inny.

- Kto? - Głos Williama przeszył powietrze. - Mów.

- Nie znacie go. Jest żeglarzem. Przyplłynął tu po sztormie...

Spojrzeła na Grace, by zobaczyć, czy może liczyć na odrobinę wsparcia.

...żebyś sama dokonała wyboru... żebyś była wolna... -kołatało jej w głowie.

Ale matka patrzyła na nią z nieskrywanym przerażeniem. Jej spojrzenie przestraszyło Stellę intensywnością. Jeszcze nigdy nie widziała, by twarz Grace przybrała taki wyraz.

William podszedł do okna i patrzył na morze, jakby spodziewał się dostrzec tam winowajcę.

- Musiał odpłynąć - ciągnęła Stella - ale wróci. - Podniosła głowę. Promyk słońca musnął jej policzek delikatnym ciepłem. Poczowała łzy w oczach. - Kochamy się.

Ojciec roześmiał się brzydkim, chrapliwym śmiechem.

- Jesteś jeszcze dzieckiem!

W pełnej napięcia ciszy morze zdawało się zbyt głośne, zbyt bliskie. Czyżby się przysunęło, chcąc

podслуwać rozmowę?

William odchrząknął.

- Kim on jest? Gdzie mieszka?

- Nigdzie nie mieszka. Żeglujecie po świecie.

William milczał przez kilka chwil. Potem potrząsnął głową, jakby próbował wybudzić się ze snu.

- Spinks mi powie, kim jest - rzekł. - Znajdę sposób, by zapytać go o to, nie wzbudzając podejrzeń. -

Odwrócił się do Grace. - Nikt się nie może dowiedzieć. Nikt.

- Nie zawiął do Halfmoon. Spinks nic o nim nie wie - powiedziała Stella z lekką dumą w głosie. - Nikt nie wie. Spojrzała na Grace. Usta jej matki poruszały się wolno, jakby w poszukiwaniu słów. Oczy, wciąż szeroko otwarte, wyrażały uczucie zaskoczenia zmieszane z przerażeniem.

- Cóż... Jak się nazywa? - spytał William. - Może zaczniemy od tego.

Stella patrzyła na swoje ręce. Zefir, zachodni wiatr, lekki i łagodny... Nie zdradzi jego imienia.

Podniosła wzrok, spojrzała na ojca.

- Robert.

- Robert - powtórzył William.

Zwyczajne, rozsądne imię, a nie takie, które kojarzy się z gwiazdami nie na swoim miejscu, z chłopcem, który wskutek pomyłki znajduje raj na ziemi.

- Robert... A dalej?

- Nie wiem. Nie powiedział.

- Nie powiedział - William znowu, niczym echo, powtórzył jej słowa, jakby szukał ich znaczenia.

- Od kiedy jesteś...? - spytała Grace ostrym, silnym głosem.

William spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Kilka tygodni - odparła Stella.

- Wobec tego nie możesz być pewna - orzekła Grace.

William odwrócił się od żony ku córce. Nadzieja rozbłysła na jego twarzy.

- Jestem pewna. Miałam mieć okres dokładnie wtedy, gdy to się stało, parę tygodni temu. Myślałam, że jestem bezpieczna.

- Myślałaś, że jesteś bezpieczna? - przerwał William. - Czy nie wychowywaliśmy cię na przyzwoitą, szanującą się osobę? - Potarł twarz dłońmi. - Czy Jamie wie?

Stella pokręciła głową.

- Dobrze i to. Nie zasłużył na coś takiego z twojej strony. To przyzwoity chłopak.

Stella skrzywiła się na te słowa. Wiedziała, co oznaczają.

Nie jesteś już przyzwoitą dziewczynką.

Spojrzała na kamiennego aniołka, którego przysłał jej Daniel. To, co zrobił jej ojciec chrzestny - cokolwiek to było - nie mogło być gorsze od jej postępu. Czy zostanie wykluczona, odrzucona? Czy nie będzie można wymawiać jej imienia?

- Zrujnowałaś swoją przyszłość - rzekł William. - Nie będziesz mogła skończyć szkoły. Nie będziesz lekarką. - Stella stała z pochyloną głową, pozwalając słowom ojca płynąć ponad nią. - I nie tylko to. Zrujnowałaś plany Jamie-go. Paulina jest załamana. A teraz jeszcze... to! - Niespodziewane załamanie się głosu Williama sprawiło, że Stella podniosła wzrok. - Wszystko, na co pracowałem... przyjeżdżając tu z Anglii, by rozpocząć życie na nowo... - Odwrócił się od Grace ku Stelli, a potem znów do Grace, z paniką w oczach. Stella czuła, jak w odpowiedzi na jego słowa rośnie w niej strach. - Nie pozwolę, by ludzie wzięli nas na języki. Nie pozwolę... - William uniósł rękę do czoła. Jego palce drżały jak liście na gałęzi, poruszanej rześkim wiatrem. - Zostaniesz tutaj, w swoim pokoju.

Rozumiesz? Stella kiwnęła głową.

- Tak.

Grace wyszła za Williamem na korytarz. Stella odetchnęła z ulgą, gdy oboje zniknęli jej z oczu.

Pierwszy krok

miała za sobą. Powiedziała im. Teraz czeka ją kara. Przez ułamek sekundy wydało jej się, że popełniła jedynie zwykłe wykroczenie. Dostanie zakaz wychodzenia z domu, nowe, uciążliwe obowiązki. A potem wszystko zostanie wybaczone.

Wiedziała jednak, że tak nie będzie. Zaczęło dziać się coś, od czego nie ma odwrotu. Za osiem, dziewięć miesięcy urodzi dziecko. Dziecko jej i Zefa. Nie dopuszczała do siebie głosu Williama, niskiego, rozgniewanego brzęczenia dochodzącego z sąsiedniego pokoju. Myślała o Ninie w nosidełku na piersi Zefa. Kochał to niemieckie niemowlę, tęsknił za nim.

Pokocha też dziecko Stelli, dziecko będące w połowie nią i w połowie nim.

Dziecko o ciemnych włosach i jasnej skórze, którą trzeba będzie chronić przed słońcem. Owiną je miękkim saron-giem w kolorach tęczy i położą w hamaku na jachcie.

Morze będzie kołysać je i lulać do snu.

*

Stella leżała na łóżku, przyciskając ręce do brzucha. Był płaski i twardy. Kto by pomyślał, że w jego wnętrzu zaszła jakaś zmiana. Przypomniała sobie plastikowy model kobiecego ciała, który pokazał kiedyś w klasie nauczyciel biologii. Po zdjęciu wierzchniej pokrywy brzucha ukazywały się bladofioletowe jelita wyglądające jak splątane kiełbaski. Można było je wyjąć i zobaczyć leżące głębiej organy rozrodcze. Nauczyciel objaśniał i pokazywał, a dzieci szeptały między sobą i chichotały. Stella zapamiętała tylko tyle, że wszystkie te organy były twarde i zimne i że grzechotały, gdy znów składano je w całość.

Nie potrafiła określić, jak długo czekała w swoim pokoju, ale musiały minąć długie godziny. Słyszała trząśnięcie bocznych drzwi wejściowych. Furgonetka odjechała, a potem wróciła.

Gdy dzień miał się ku końcowi, cynowy dach domu zaskrzypiał, jakby chciał przerwać pełną napięcia ciszę.

Na odgłos kroków w korytarzu Stella usiadła na łóżku. Zacisnęła palce w pięści, skuliła paluchy stóp, zbierała siły. William wszedł do pokoju i stanął naprzeciw niej.

- Pozbycie się ciąży nie wchodzi w grę - rzekł. - To, że nie chodzimy do kościoła w każdą niedzielę, nie oznacza, że nie wiemy, co dobre, a co złe.

Stella patrzyła na niego. Wiedziała, że w innych krajach -choćby na kontynencie - często wykonuje się aborcje. Dziewczynki w szkole opowiadały o kobietach, którym wpychano do wnętrza wieszaki na ubranie, po czym wykrwawiały się na śmierć, samotne, w hotelowych pokojach. A Laura słyszała o uczennicy z Hobart, która pojechała do gabinetu w Melbourne - do miejsca otoczonego szarym murem, bez nazwy na drzwiach - gdzie przydzielono jej numer i nigdy nie wymieniano jej nazwiska. Ale to wszystko nie miało nic wspólnego ze Stellą. Ona czekała na Zefa.

- Zostaniesz tu dopóty, dopóki będzie można ukryć twój stan, dopóki wszystko będzie wyglądało tak, jak powinno - ciągnął ojciec.

Znowu był spokojny i starannie dobierał słowa. Ale mówiąc, unikał wzroku córki, wyraźnie zażenowany, że musi rozmawiać o jej ciele, jej kobiecym ciele.

- Potem wyjedziesz. Zatelefonowałem w parę miejsc. Na kontynencie, w stanie Victoria, Armia Zbawienia prowadzi Dom Samotnej Matki... - Zerknął na Stellę, nim zaczął mówić dalej - ...przy szpitalu. Pensjonariuszki pracują w tym szpitalu... póki mogą. Potem rodzą. Dalej wszystko załatwia Dom: adopcję, powrót do zdrowia. Bandażują ciała dziewcząt w taki sposób, że po paru dniach w ogóle nie widać, co się stało.

Stella pochyliła głowę, milczała.

William zbliżył się i położył jej dłoń na ramieniu. Wie-

działa, że stara się być miły, że wyciąga do niej rękę z za przepaści gniewu i rozczarowania, którą jej zachowanie otworzyło.

- Załatwiliśmy też coś, co zapewni ci lepszą przyszłość. Rozmawiałem z ciotką Jane. Zgodziła się, żebyś przyjechała do niej i ukończyła szkołę w Anglii. Zaproponowała nawet, że opłaci chesne w szkole dla zamożnych dziewcząt. Nie wie naturalnie... o tym. Rozmawiałem z nią jedynie o wykształceniu. - William patrzył na córkę z nieśmiałym błyskiem w oczach. - To da ci czas, żeby wyjść jakoś z tego wszystkiego. Potem możesz wrócić i studiować medycynę, jak planowałeś. Nikt się nigdy nie dowie, co się stało.

Nastała długa cisza.

William pochylił się ku Stelli. Ponury uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Co o tym myślisz? - spytał.

Zabrzmiało to tak, jakby przedstawił plan na urodzinowy weekend albo przyjęcie weselne.

Stella chwyciła się kapy łóżka, potem zaczęła wyciągać bladożółte włókna i skręcać je w palcach.

- Nie chcę oddać mojego dziecka - oświadczyła, spoglądając na ojca. Czowała, że Zef stoi obok niej, niewidzialny, lecz silny.

Usta Williama znowu się zacisnęły. Jego pierś wezbrała głęboko wciągniętym powietrzem, rósł w nim gniew.

- To nie jest twoje dziecko - wybuchnął. - Byłoby twoje, gdybyś była mężatką, gdybyś była dość dorosła, żeby zostać matką. - Przerwał. Po chwili zaczął mówić spokojniejszym tonem. - Jak będziesz miała trochę czasu, by to przemyśleć, zrozumiesz. Dziecko musi mieć normalną rodzinę. Normalny dom.

A nie tylko Stellę, Zefa, Carłę i „Tailwind” - dodała w myślach.

- Tak czy owak - ciągnął William - są jeszcze inne sprawy. Byłoby dziwne, gdybyśmy nagle oświadczyli, że nie jedziesz do szkoły w Hobart. Potrzebny nam jest powód, by

zmienić plan. Trzeba mieć wymówkę, żebyś nie musiała chodzić na plażę z Laurą i innymi znajomymi, aż do wyjazdu. - Przerwał, jakby chciał pozwolić Stelli, żeby odgadła, co za chwilę powie. Patrzyła na niego obojętnie. - Powiemy, że twoja matka jest chora - oznajmił - i nie może zostawać w domu sama. Poczawszy od tej chwili, będzie potrzebowała twojej stałej opieki. Po zakupach w sklepie będziesz natychmiast wracała do domu.

- Co jej jest? - spytała Stella. - To znaczy... co mam mówić, jeśli ktoś spyta?

Starła się ukryć ożywienie, pobrzmiwające w jej głosie. Nie pragnęła niczego innego jak tylko być w domu do czasu, gdy wróci Zef.

- Krzyż - zdecydował William. - Wypadający dysk. Nie może wstać z łóżka bez pomocy. Nie może gotować ani sprzątać. Wizyta doktora Higginsa nie jest konieczna, bo już kiedyś na to cierpiała. Wypowiadał te słowa z łatwością. Stella poczuła wyrzuty sumienia. Ojciec zawsze i ponad wszystko cenił sobie uczciwość. Kiedy był prezesem Stowarzyszenia Rybaków, irytował skarbnika, bo nie zgadzał się, by podciągnąć piwo pod wydatki na przynętę. Nigdy by nie powiedział, że podoba mu się nowa suknia Pauliny albo że smakuje mu upieczone przez nią ciasto, gdyby tak nie było. Nawet jeśli inne zachowanie byłoby grzeczniejsze i bardziej uprzejme - tłumaczył - kłamstwo jest kłamstwem. Teraz natomiast został zmuszony do wymyślenia wyrafinowanej nieprawdy i głoszenia jej wszem wobec i każdemu z osobna. Z jej powodu...

- Co mama o tym sądzi? - spytała Stella.

Słyszała Grace krzątającą się po kuchni i brzęk naczyń wkładanych do zlewu.

- Ma dużo roboty w ogródku i sporo gotowania. Całe szczęście, że mieszkamy z dala od miasteczka, że ludzie nie wpadają do nas z wizytami. Nie zrobi to jej wielkiej różnicy.

- Miałam na myśli... dalszą część planu - dodała Stella.

Przypomniała sobie wyraz twarzy Grace, gdy się dowiedziała, że córka jest w ciąży. William był wściekły, ale matka wyglądała na zrozpaczoną. Jej spojrzenie wyrażało coś, co Stella pojęła dopiero znacznie później: niedowierzanie, że przepada kolejna, niepowtarzalna okazja.

...żebyś sama dokonała wyboru. Studiowała to, co chcesz. Podróżowała... - przypomniało jej się.

- Sądzi to samo, co ja - odparł William. - Ona naturalnie rozumie lepiej niż my, z jak wielką odpowiedzialnością wiąże się posiadanie dziecka. - William umilkł na chwilę, po czym z posępną twarzą zaczął mówić dalej: - Jak wiesz, w Anglii rok szkolny rozpoczyna się później niż tutaj. Gdy wyjedziesz do Victorii, możemy powiedzieć, że udałaś się z wizytą do ciotki Jane, by przygotować się do rozpoczęcia szkoły. Terminy pasują całkiem nieźle. - Wydawał się zadowolony z siebie. Dziarsko zatarł ręce. - Pora na obiad. Ważne jest, żebyś tego wszystkiego za bardzo nie rozpamiętywała.

Wyjaśniłem Grace, dlaczego ta sprawa nie powinna być przedmiotem żadnych dyskusji. To przypadek z rodzaju: „Im mniej słów, tym szybsza złego naprawa”. Mamy przed sobą kilka trudnych miesięcy. Ale one miną i zaczniemy wszystko od nowa. - W jego głosie zabrzmiała nuta optymizmu. - Do wiosny będzie po wszystkim.

Gdy wyszedł z pokoju, Stella stanęła przy oknie. Patrzyła na jasnoblękitny ocean. Wiedziała, że gdziekolwiek Zef teraz przebywa, jest blisko jachtu, i że fale, które omywają burty żaglowca, łączą się w nierozzerwalną całość z falami, które pluskają przy skałach znajdujących się o rzut kamieniem od niej. Wyobraziła sobie, jak morze niesie Ze-fowi wszystkie jej myśli i uczucia: lęk, nadzieję, miłość. Wyteęzała wzrok, wmawiając sobie, że mogłaby dostrzec „Tailwind” na horyzoncie, coraz bardziej zbliżający się czarny kształt.

Stella szła bosą wzdłuż plaży, czując ciepło późnego słońca na powierzchni piasku i wilgotny chłód wydobywający się z jego głębi. Patrzyła na wąski kanał, gdzie cumował „Tailwind”, a wyobrażenia kreśliła przed jej oczyma obraz jachtu kołyszącego się na spokojnej wodzie. Lekki wiatr szeleścił papierowymi główkami stokrotek, które trzymała w dłoni. Spojrzała na sztywne płatki. Wiedziała, że zachowają kolor i nie uschną. Gdy Zef wróci, będą tu, by go powitać. Plama jasnej żółci.

Szła ku miejscu, gdzie mały strumyk słodkiej wody wpływał do rozlewiska - nieopodal skały, na której przelękała się węża, tamtego dnia, gdy po raz pierwszy zobaczyła Zefa. Stella domyślała się, że gdy Zef przyplynie, będzie potrzebował słodkiej wody, przyjdzie więc wprost tutaj i wtedy zobaczy jej powitalny dar.

Kawałki drewna dryftowego tworzyły wymyślne wzory na skraju rozlewiska. Bez pośpiechu Stella zaczęła wybierać te z nich, które najbardziej przypadły jej do gustu. Grace pracowała w ogrodzie, William wypłynął w morze. Przed wyprawą wydał Stelli i Grace ścisłe instrukcje dotyczące nasłuchiwania odgłosów aut przejeżdżających traktem. Wyjaśnił też pani Barron oraz Laurze, że Grace potrzebuje spokoju i wypoczynku, a nie odwiedzin. Nigdy jednak nie można być pewnym, czy ludzie przyjmą do wiadomości to, co im się powiedziało. Gdyby ktoś się pojawił, Grace musi natychmiast zniknąć z pola widzenia, czyli odpoczywać w swoim pokoju.

Stella zaniósła zebrane kawałki drewna i skrawki lin na skalną płytę, chcąc się im dokładniej przyjrzeć. Zresztą, gdy zbyt długo się pochylała, robiło się jej słabo.

Rozłożyła znaleziska jedno obok drugiego. Przypominały kości nieznanego stwora - gładkie i białe, wdzięcznie wygięte. Po kilku minutach wnikliwych oględzin wiedziała, jak należy je rozmieścić i połączyć ze sobą, by utworzyły

kształt podtrzymujący kwiaty - coś pośredniego między ramą a ołtarzem.

Starannie ułożyła elementy konstrukcji i związała je mocno liną, by się nie rozpadły nawet wtedy, gdy potrąci je kangur zmierzający do wodopoju. Potem przeniosła konstrukcję w osłonięte miejsce nieopodal rozlewiska. Postawiła ją na płaskim gładzie i umieściła kwiaty, wtykając łodyżki w otwór po sęku wypolerowanej przez wodę deski.

Odsunęła się nieco i spojrzała na swoje dzieło. Z pięknie wyeksponowanych kwiatów tchnęła duma i odwaga. Ich widok nappełnił Stellę nadzieją. Czuła, jak koszmar gniewu Williama i przerażenia Grace rozplywa się. Była pewna, że Zef wkrótce wróci. Coś musiało go zatrzymać, ale wiedziała, że wróci, nawet jeśli sądzi, że już wyjechała do Hobart. Zostawi jej wiadomość, tak jak się umówili, przy tabliczce Davida Greya. Wiedział przecież, że Stella znajdzie sposób, by ją odebrać. Może musiał zmienić plany. Dlatego ona powinna po prostu czekać.

Uśmiechnęła się do mew, które zgromadziły się, by na nią popatrzeć.

- Nie martwcie się - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze.

*

Pani Barron pochyliła się nad zamrażarką, przekładając torby z mięsem.

- Masz, trzymaj.

Wręczyła Stelli dużą owalną paczkę. Mięso w plastikowej osłonie miało ciemnoczerwony kolor.

- Co to jest? - spytała kobieta.

Stella szukała oznakowania na zamrożonej bryle, ale niczego nie znalazła.

- Nie jest napisane.

Pani Barron westchnęła, sfrustrowana.

- Mówiłam Lauriemu, żeby zawsze pisał, co jest w torbach. Ale jak się spieszy, rzuca na kupę ptaki, czworonogi,

i potem trzeba się domyślać. Któregoś dnia po prostu wyrzucę to wszystko za drzwi.

Stella w milczeniu pokiwała głową. Pani Barron lubiła narzekać na Lauriego, ale to on dostarczał jej większość mięsa, którym handlowała. Myśliwy znosił jej najrozmaitszą dziczyznę: jelenie, króliki, kangury, dzikie ptaki, zdziczały drób, bezpańskie kozy. Niektórzy klienci, tak jak Grace, nigdy nie jedli czegoś takiego. Ale dla wielu rodzin, z trudem wiążących koniec z końcem, było to jedyne mięso, na jakie mogli sobie pozwolić. Wymieniano się przepisami kulinarnymi, dyskutowano, jak najlepiej je przyrządzać.

Laurie był przyjacielem Briana. Stella często gościła u Brianów na obiedzie i niejednokrotnie go u nich spotykała. W przeciwieństwie do innych mężczyzn - którzy w czasie przygotowywania posiłku pili piwo w salonie lub na werandzie - Laurie lubił być w kuchni i pomagać Paulinie w gotowaniu. A ilekroć się pojawiał, jedzenie było szczególnie smaczne.

Jamie i Stella byli nim zafascynowani. Laurie miał mniej więcej tyle samo lat co William czy Brian, ale nosił długie włosy, zebrane z tyłu głowy w kucyk, i ubierał się w dżinsy i buty z cholewami, jak kowboj. Potrafił podobno zestrzelić ruchomy cel z odległości sześćdziesięciu metrów, trzymając strzelbę jedną ręką.

Gdy byli młodszy, Stella i Jamie lubili kręcić się wokół jego dżipa. Oglądali wgniecenia i zadrapania, zgadując, skąd się wzięły. Podziwiali kolekcję ptasich kości o różnych kształtach, wsadzonych w otwory wentylacyjne na desce rozdzielczej. Myśleli wtedy, że Laurie jest niebezpiecznym osobnikiem o mrocznej, owianej tajemnicą przeszłości.

Ich sposób postrzegania go zmienił się, gdy podrośli. Nastolatki traktowały go jak sojusznika, osobę dorosłą, w średnim wieku, która potrafi rzucić wyzwanie władzy: radzie miejskiej, urzędowi rządowemu, każdemu...

Laurie nieustannie popadał w konflikty ze Spinksem.

Pewnego dnia, będąc na przystani, Stella obserwowała sprzeczkę, do której doszło między mężczyznami na parkingu. Policjant wyjął notes i postraszył Lauriego mandatem.

- Nie respektujesz prawa - grzmiał.

- I tu się mylisz - odpowiedział spokojnie Laurie. Stał przy swoim dżipie w zakrwawionych spodniach. Obok leżało sztywne ciało jelenia. - Tyle że moje prawo jest inne niż twoje.

Moje prawo jest inne niż twoje.

Stella patrzyła pustym wzrokiem w przestrzeń ponad pochyloną postacią pani Barron, gdy to stwierdzenie niespodziewanie odezwało się w jej pamięci. Laurie wypowiedział je z łatwością, całkiem zwyczajnie. Ale teraz Stella rozumiała, że były to śmiałe słowa.

Nie jest łatwo żyć według własnych reguł, zwłaszcza gdy trzeba udawać, że postępuje się inaczej. Dla osób z zewnątrz Stella była oddaną córką, która przerwała naukę, by opiekować się chorą matką. Dla Williama i Grace - dziewczyną, która popełniła ogromny błąd, ale przynajmniej okazywała wdzięczność za pomoc w rozwiązaniu zaistniałego problemu. Dla Laury była przyjaciółką, siedzącą ciągle w domu i niemającą nic ciekawego do zaoferowania, podczas gdy dawni przyjaciele ze szkoły chętnie uprawiali sport i zajmowali się wieloma innymi interesującymi sprawami. Odgrywając te wszystkie role, Stella wciąż czekała na Zefa, który przybędzie z dalekiego horyzontu i ją uratuje. Czuli się jak aktorka występująca w kilku różnych sztukach i wciąż się bała, że pomyli kwestie.

- Nareszcie! - Pani Barron wyprostowała się. Trzymała w ręce poliestrową tackę z mięsem. Na wierzchu widniała drukowana etykieta rzeźnika z St Louis. - Szponder. Wiedziałam, że go przysłali. Wrzuć to do środka, kochanie, i zamknij pokrywę.

Szurając papciami, pani Barron podeszła do lady. Sięgnęła po ołówek, pośliniła czubek i odhaczyła ostatnią pozycję na liście zakupów Grace.

Stella zbliżyła się do kontuaru. Drewniana powierzchnia zastawiona była koszykami pełnymi wielkanocnych jajek owiniętych w kolorowe folie. Niektóre z nich udekorowano puszystymi, żółtymi kurczaczkami z pomarańczowymi drucianymi łapkami i dzióbkami z papieru.

Dziewczyna dotknęła palcem jednego z nich. Kurczaki oznaczały wiosnę, nowe życie. Ale podobnie jak stojące na głowie gwiazdy Zefa należały do półkuli północnej. Wielkanoc na Tasmanii oznaczała koniec lata, ostatnie kempingowe wyprawy, ostatnie przyjęcia barbecue i ostatnie kąpiele w chłodnym już morzu. Zaraz po świętach ludzie zaczęli wypatrywać burzyków odlatujących w wielkich stadach, gotowych przemierzyć świat, byleby uniknąć zimy.

Stella poczuła ciarki na plecach. Zima była tuż-tuż. A Zef wciąż nie wracał.

Pani Barron dodała ceny produktów i wprowadziła sumę do księgi rachunkowej. Stella niecierpliwiła się. Próbowła nie wdychać nieprzyjemnego zapachu dochodzącego z podgrzewacza ani nie patrzeć na wysuszone wyroby, leżące w nim przez cały dzień. Gdyby musiała wybiec nagle ze sklepu, pani Barron z pewnością zaczęłaby coś podejrzewać.

- A teraz, zanim pójdziesz, chcę z tobą porozmawiać - powiedziała pani Barron.

Stella zamarła, patrząc na swoje dłonie spoczywające obok papierowej torby pełnej kolorowych lizaków. Czy popełniła jakiś błąd? Coś jej się wymknęło?

- Chodzi o trzydziestą rocznicę powstania Stowarzyszenia Zon Rybaków. Wpadliśmy na pomysł, że przygotujemy książkę kucharską, tak jak to robią panie z CWA². Ale chcemy, żeby nasza książka była troszkę inna. Postanowi-

154

²Country Women's Association of Australia, największa pozarządowa organizacja kobieca w Australii (przyp. tłum.).

łyśmy, że każda z nas poda jeden wymyślony przez siebie przepis.

Zamilkła i czekała na odpowiedź Stelli.

- Brzmi interesująco - stwierdziła grzecznie dziewczyna.

Patrzyła na paczkę ziemniaczanych chipsów. Sól i ocet winny. Pomyślała, że pikantny smak dobrze by zrobił rozedrganemu żołądkowi.

- Nie musi być całkowicie nowatorski. Może to być przepis, który same jakoś udoskonaliliśmy. Ale nie po prostu skopiowany. O rozdziale dotyczącym Bożego Narodzenia nadal dyskutujemy. Nie możemy się zdecydować, czy powinien zawierać zimne główne dania. Betty uważa, że należy je umieścić w dziale „Potrawy tasmańskie”, bo nie są to tradycyjne dania świąteczne. Tak czy siak dam ci znać w tej sprawie.

Stella kiwnęła głową, roztargniona. Przebiegła wzrokiem przegródki na listy, z których każda oznaczona była ręcznie napisaną literą. Niektóre były pełne listów, inne -puste. W przegródce z literą „B” leżała przesyłka, ale Stella widziała na niej emblemat Rady Miejskiej St Louis, mogło to być więc czyjeś wezwanie podatkowe albo pozwolenie na psa.

Wyobrażała sobie, co by czuła, gdyby zobaczyła tam list od Zefa, gdyby Zef postanowił odrzucić obawy i po prostu do niej napisać. Puściła wodze fantazji. Może pani Barron trzymałaby ten list oddzielnie, odgadując jego znaczenie. „Coś specjalnego dla ciebie, Stello” - powiedziałyby z tajemniczym uśmiechem, kładąc kopertę na ladzie.

Pomarszczoną od słonej wilgoci, z czarno-pomarańczowym kocim włosem przyczepionym do kleju.

- Byłoby miło - ciągnęła pani Barron - gdybyś przyniosła następnym razem jakiś przepis od Grace. -

Uśmiechnęła się ze smutkiem, jakby mówiła o kimś, kto już nie żyje. - Może ci go po prostu podyktować. Nie chcemy jej niepokoić. Ale byłby wstyd, gdyby zabrakło jej przepisu,

zwłaszcza że tak wspaniale gotuje. Jeśli miałyby kłopot z podjęciem decyzji, niech da przepis na ciasto, które przysłała na kościelny kiermasz. Wszyscy mówili, że ciasto było...

- Ale to nie są jej przepisy - przerwała Stella. - Pochodzą ze zbioru rodzinnych przepisów, sporządzonych przez matkę mojego ojca.

- Przepisy teściowej - powiedziała pani Barron - przekazywane nam, żebyśmy mogły gotować naszym drogim mężom potrawy, do których przywykli.

Dziewczyna przyglądała się twarzy pani Barron. Na ustach kobiety pojawił się cyniczny uśmiezek, sugerujący, że zgoła inaczej podchodzi do kwestii rodzinnych przepisów niż Stella, która zawsze uważała ich przekazywanie za rzecz pomocną i uprzejmą.

- Grace gotuje też chyba inne potrawy, takie, których nie ma w tym zbiorze.

Stella pokręciła głową.

Pani Barron uśmiechnęła się w sposób świadczący o znajomości tematu.

- Podejrzewam, że on by ich nie tknął. Niektórzy mężczyźni tacy właśnie są...

Stella patrzyła na nią w milczeniu. Wiedziała, że to nielojalne prowadzić taką rozmowę o ojcu, ale kobieta miała rację. Nie mogła wyobrazić sobie Williama siedzącego przy stole z widelcem zawieszonym nad potrawą, której nie znał. Dość miał niespodzianek na morzu - jak mawiał. Kiedy wracał do domu, chciał wiedzieć, co go czeka.

Pani Barron pukała palcem w policzek, zamyślona.

- Nie wiem. Niech udaje, że to przepisy jej autorstwa. Przecież nikt się nie dowie, skoro wszystkie pochodzą z Anglii. - Zerknęła na Stellę. - Nie chcę naturalnie sugerować, by kłamała.

- Naturalnie - powiedziała Stella i uśmiechnęła się, chcąc zakończyć rozmowę. - Powiem po prostu, że pani prosi o jakiś przepis.

Pani Barron skinęła głową.

- Dziękuję, kochanie. I daj mi znać. - Oparła się wygodnie o ścianę. - Słyszałam, że ty też zaczynasz gotować.

Dziewczyna przyglądała się swoim dłoniom, niepewna, co właścicielka sklepu ma na myśli. I znów ogarnął ją niepokój.

- Panna Spinks powiedziała, że odwiedziła was, żeby zobaczyć, jak Grace się czuje, i widziała całą tacę świeżutkich ciasteczek oraz potrawkę w piecu.

Stella nie odpowiedziała. Przypomniała sobie pośpiech, z jakim Grace udawała się do swojej sypialni, gdy volkswagen panny Spinks zbliżał się do ich domu.

Pani Barron uśmiechnęła się ciepło.

- Dobra z ciebie dziewczyna. Nie każda córka opiekowałaby się matką tak troskliwie.

Stella nadal milczała. Patrzyła ponad ramieniem kobiety, ku pirsowi.

- Muszę już iść - rzuciła.

Chwyciła pudło z zakupami i pospiesznie wyszła.

Tabliczka z nazwiskiem Davida Greya była pokryta warstwą miążkiej soli. Stella oparła się o mur nieopodal, odwlekając chwilę, gdy podejdzie z drugiej strony i przeszuka otwór.

Potarła obolałe miejsce w dole pleców, podciągnęła ramięczko stanika - obciążone ciężarem piersi wrzynało się jej w ramię. Nie był to stanik o miękkich miseczkach, do jakiego przywykła, lecz nowy, kupiony w St Louis, przez Williama, który pewnego dnia stanął w drzwiach pokoju córki i wręczył jej paczkę owiniętą w brązowy papier, nic nie mówiąc i nie patrząc na nią. Kiedy zobaczyła, co to takiego, uświadomiła sobie, że pewnie Grace musiała mu powiedzieć, iż córce będzie potrzebny większy stanik. Stella z trudem znosiła myśl o zażenowaniu, jakiego rybak doświadczył w sklepie z damską bielizną, gdy po raz kolejny

musiał opowiedzieć o trudnym położeniu żony, która nie może ruszyć się z domu.

Sprzedawczyni wybrała brzydki stanik dla starszych pań z szerokimi ramiączkami i czterema haftkami przy zapięciu na plecach, obszyty grubą koronką w brudnobłękitnym kolorze. Stella starała się zapomnieć, że ma go na sobie, pod starą koszulą noszoną do pracy przez Williama. Dał jej tę koszulę przed tygodniem, bez komentarza, razem ze stanikiem. Zrozumiała, że ma ją wkładać, gdy wychodzi z domu, by zamaskować fakt, że spodnie nie leżały już na niej tak, jak powinny. Musiała chodzić z rozpiętym guzikiem, zupełnie jak Laura, kiedy trochę przytyła.

Ale to nie tłuszcz napinał materiał spodni w talii. Gdy Stella kładła się na łóżku i naciskała palcami brzuch, wyczuwała macicę, twardą okrągłą kulę tkwiącą głęboko w miednicy. Wiedziała, że w jej wnętrzu jest mała, zwinięta istotka, wyglądająca jak nowo narodzony królik - bezwłosa, z nieproporcjonalnie dużą głową. Stella oglądała obrazki przedstawiające płód w kolejnych miesiącach ciąży, przekroje, które mogły sugerować, że trzeba było rozciąć kilka macic, żeby pokazać, co w sobie kryją.

Obrazki znajdowały się w książce z miękką okładką, noszącej tytuł *Twoja ciąża*. Stella wyszperała ją w objazdowej bibliotece, w dziale z książkami do czytania na miejscu. Ukryta za półką, na tyłach bibliobusu, kartkowała poradnik, zachowując w pamięci przypadkowe frazy.

„...odżywia się za pośrednictwem łożyska...

ma odruchy ssania i połykania...

wątroba produkuje żółć...

wygląda już jak mały człowiek, ale jeszcze nie potrafi żyć poza macicą...

pojawiają się zawiązki zębów...”

Stella starała się zapamiętać jak najwięcej informacji o rozmaitych etapach ciąży. Spostrzegła, że książka zawiera osobne rozdziały poświęcone odżywianiu, zdrowiu i pracy przyszłej matki oraz porodowi. Ilu rzeczy powinna się była

dowiedzieć! Ogarnęła ją panika. Pozycje w bibliobusie zmieniają się co miesiąc - następnym razem może już nie znaleźć *Twojej ciąży*.

Nie pamiętała nawet momentu, kiedy zdecydowała się na kradzież. Jej ręka bezwiednie ukryła książkę pod luźną koszulą, a potem wetknęła twardy przedmiot za spodnie na brzuchu. Serce biło jej jak młotem, gdy podeszła do biurka bibliotekarki.

- Nie wiedziałam, że interesują cię przestępstwa - powiedziała panna Morrel, stemplując kartę biblioteczną.

Starzejące się ręce niedołącznie radziły sobie z podu-szczką na tusz.

Stella patrzyła pustym wzrokiem. Chwyciła parę pierwszych z brzegu powieści, nie czytając nawet ich tytułów.

- Mogę polecić ci parę innych kryminałów. Bibliotekarka zapisała sobie na karteczce: „Stella. Kryminał”.

Nim panna Morrel podniosła wzrok, dziewczyna była przy drzwiach. Uśmiechnęła się w podzięcie do starszej pani i zniknęła.

Ceglany mur uwierał Stellę w plecy. Odepchnęła się obiema rękami i poszła powoli dookoła, na drugą stronę. Zamknęła oczy, nie chcąc wywoływać wróżb i zaklęć...

Jeśli mrówka przebiegnie mi przed stopami, otwór będzie pusty...

Jeśli krzyknie mewa...

Jeśli będę oddychać miarowo i powoli...

Wsunęła rękę w otwór i przeszukała przestrzeń za tabliczką. Znała już kształt każdej szczeliny w ceglach, szerokość każdej warstwy zaprawy murarskiej.

Znała kształt pustki.

Odwróciła twarz ku morzu, zacisnęła dłonie w pięść. Wróci - mówiła sobie w duchu - wróci. Coś musiało go zatrzymać. Obwiniała Bakti. To matka go zatrzymała.

Obwiniła „Tailwind”. Jacht popsuł się podczas sztormu i nie mógł wypłynąć w morze, póki nie zostanie naprawiony. Wyobrażała sobie, że Zef ciężko pracuje, skrobiąc i malując cudze łodzie, by zarobić pieniądze na płótno żaglowe, liny, drewno.

Ale w jej głowie odzywały się też inne głosy, które z każdym upływającym dniem podpowiadały coraz głośniejsze, że gdyby miał wrócić, już by tutaj był albo znalazłby sposób, by się z nią skontaktować, dałby jej znać, co robi.

Jeśli nie stało się nic złego, jeśli żyje.

Jeśli naprawdę ją kocha.

Czuła, że coś w niej pęka, chłód wątpliwości wkradał się do serca. Ale z pełną świadomością odwracała myśli od tych uczuć.

W głębi duszy, wiedziała, że Zef wróci.

Przyrzekam, że wrócę - mówił.

9

Stella potrząsnęła małym mosiężnym dzwonkiem stojącym obok kasy. Usłyszała skrzyp kanapy w salonie i pan Barron pojawił się w drzwiach. Wierzchem dłoni otarł kruszyny z ust.

- Czego chcesz? - spytał.

Przed tygodniem jego żona wyjechała z Halfmoon Bay, by odwiedzić siostrę w szpitalu w Melbourne. Mężczyzna nie próbował nawet kryć niezadowolenia z faktu, że musiał zajmować się sklepem.

- Czy jest jakaś poczta? - spytała Stella. Pan Barron wskazał dłonią przegródki.

- William już ją zabrał.

- Był może list do mnie? - dociekała, patrząc na wystawione na ladzie lizaki i starając się, by jej głos brzmiał spokojnie, zwyczajnie.

157

- Skąd mam wiedzieć? Przecież wkładam je tylko do przegródek.
- Pomyślałam, że mógł pan zauważyć. Mężczyzna skrzywił się ze zdziwieniem.
- Dlaczego nie spytasz ojca?
- Spytam - odpowiedziała szybko. - Naturalnie. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Pan Barron niecierpliwie pukał palcami o ladę.

- Chcesz coś kupić? Dziewczyna pokręciła głową.
- To do zobaczenia.

Mężczyzna ruszył ku drzwiom salonu, szukając wzrokiem kolorowych plam migocących na ekranie telewizora, ale gdy gwałtowny podmuch wiatru zakołatał o framugi okien, przystanął.

- Przeklęty wiatr - rzekł. - Zamknij drzwi za sobą, dobrze?

Zniknął, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Zamknęła drzwi i wyszła na wiatr. Otuliła ciało ramionami, rozejrzała się, czy nikt nie idzie. Było pusto. Stała przez chwilę, wdychając świeży zapach deszczu. Potem podeszła do miejsca, gdzie zostawiła oparty o ścianę rower. Już miała położyć ręce na kierownicy, gdy zza rogu, od strony pubu, wychynęła kobieca postać.

Stella rozpoznała ją natychmiast po tuzinie drobnych szczegółów, po ruchach i sylwetce. Paulina. Dziewczyna znieruchomiała, ogarnęło ją przerażenie. Spojrzała dookoła, zastanawiając się, jak uniknąć spotkania.

Za późno.

Na twarzy zbliżającej się nieubłaganie Pauliny malowały się coraz to inne uczucia. Patrzyły na siebie w niezręcznej ciszy. Stella nie miała odwagi spytać o Jamiego - jak mu się wiedzie z dala od domu i jak matka radzi sobie bez niego, wiedząc zarazem, że żaden inny temat nie wchodzi w grę. Paulina też nie potrafiła znaleźć słów. Jej oczy były wilgotne, ręce bezradnie zwisały wzdłuż boków.

Wreszcie przemówiła.

- Dawno cię nie widziałam. Chciałam przyjść do Grace, ale ciągle coś mi wypada. Brian pojechał na kontynent odwiedzić Jamiego. Potem dwójka maluchów zachorowała... -Przerwała, przyglądając się bacznie twarzy swojej rozmówczyni. - Wyglądasz na zmęczoną. Dobrze się czujesz?

- Tak - powiedziała Stella z wymuszonym uśmiechem. Twarz Pauliny złagodniała.

- Posłuchaj. Nie wiem, co zaszło między tobą a Jamiem, ale chcę, żebyś wiedziała, że o nic cię nie winię. Byłaś z nim szczerą. Nie będę udawać, że nie jest mi przykro...

Stella poczuła szczypanie łez w oczach. Wzięła głęboki oddech. Musiała pozostać chłodna, spokojna, zdystansowana. Nie mogła sobie pozwolić na rozmowę z matką Jamiego, gdyż była to jedyna osoba, której nie potrafiłaby skłamać...

Nagle Paulina rozpostarła ramiona, gotowa przytulić Stellę.

- Moja kochana...

Ale ona się nie poruszyła. W ułamku sekundy wyobraziła sobie, że Paulina przygarnia ją do swej obfitej piersi i że, będąc tak blisko, natychmiast spostrzeża zmiany, jakie zaszły w jej ciele.

Po chwili cofnęła się, jakby chciała uniknąć czegoś niebezpiecznego lub przykrego.

Na twarzy Pauliny pojawiło się zdziwienie, a potem oznaki głębokiej urazy.

Stella spojrzała na nią, rozpaczliwie szukając w myślach wymówki. Ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Bardzo się spieszę - bąknęła. - Do zobaczenia.

Chwyciła rower i szybko odeszła. Gdy wsiadła i zaczęła pedałowac, czuła, że kobieta jeszcze stoi i patrzy, nieruchoma.

*

Lał deszcz. Spływał strużkami wzdłuż bruzd między cegłami pomnika Żeglarzy. Padał na gołą głowę Stelli, wsiąkał w ubranie i ziębił skórę.

Dziewczyna patrzyła na morze, czuła w sobie pustkę. Nie zwróciła uwagi na lekki szmer za plecami, zachnęła się więc, gdy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń, która usiłowała obrócić ją w drugą stronę. Zobaczyła Williama. Z troską marszczył brwi. Miał na sobie nieprzemakalną kurtkę, ale bez kaptura - mokre włosy przykleiły się do czoła, krople wisały u brwi.

- Co tu robisz? - spytał. - Na deszczu?

Stella milczała. Pocierała palcem tabliczkę Davida Gre-ya, rozmazując ptasie odchody po literach. Ojciec westchnął, rozdrażniony. Odwrócił się i rozejrzał po przystani, patrzył na rząd łodzi rybackich i na wolne miejsca do cumowania.

- Robert, tak? Ciągle myślisz, że wróci!

Spoglądał na córkę z półotwartymi ze zdumienia ustami. Stella patrzyła na niego w milczeniu. Deszcz walił w cynowy daszek przystanku, syczał, uderzając o fale.

- Musi być jakiś powód, że nie wraca - powiedziała. - Coś musiało się stać - Zamilkła, zbierając siły przed wypowiedzeniem następnych słów. - Muszę wiedzieć. Czy przyszedł do mnie jakiś list? Na sklep?

Wstrzymała oddech. Oskarżała ojca o coś przypominającego nieuczciwość.

William cofnął się, kręcąc głową z niedowierzaniem. Potem spojrzał jej w oczy.

- Gdyby przyszedł, dałbym ci go. Wiesz o tym.

Jego słowa, klarowne i stanowcze, przebijały się przez szum deszczu. Stella powoli skinęła głową.

- Zapomniał już o tobie - orzekł William. - Musisz się z tym pogodzić. - Milczał przez chwilę, po czym przemówił znowu, cieplejszym tonem: - Może i lepiej. Uporamy się z tym sami.

Położył dłonie na jej ramionach. Poczwała, że przytula się

do niego. Po raz pierwszy od czasu, gdy go zawiodła, dotykał jej w ten sposób, delikatnie i serdecznie.

- Wszystko się ułoży - dodał. - Zaufaj mi. Wiem, co jest dla ciebie dobre. Musimy tylko wzajemnie sobie pomagać.

W jego oczach malował się ból. Córka dojrzała całą głębię cierpienia i rozczarowania.

- Przykro mi, tato.

Pokiwał głową ciężko, ze zmęczeniem.

- Mnie też.

Stali w milczeniu, między nimi padał deszcz. Wtedy gdzieś w pobliżu pirsu rozległo się wołanie.

Odwrócili się oboje.

To był Spinks. Stał w drzwiach sterówki łodzi Joego.

- Wszystko w porządku?! - zawołał.

William ruchem ręki rozwiął niepokój policjanta. Jego twarz znów stała się surowa.

- Widzisz, co wyprawiasz! - Rzucił okiem na pub i przetwórnię ryb. Chwycił Stellę za ramię i ruszył przed siebie. - Ludzie się dziwią!

*

Stella zamknęła pokrywę i postawiła chłodziarkę przy tylnych drzwiach domu obok sterty kombinezonów. Potem wróciła do kuchennego stołu i zaczęła owijać ciasta i bochenki chleba w pomarszczone prostokąty folii, które William przynosił z łodzi do ponownego użycia, po umyciu i wysuszeniu. Kuchnię rozjaśniało żółte światło nieosłoniętej kloszem żarówki wiszącej nad stołem. Na dworze nadal panował mrok, ale rzednąca szarość zapowiadała odejście nocy.

Stella zdławiła ziewnięcie. Wkładała srebrne paczuszki do tekturowego pudła. Wiedziała, że Grace obserwuje ją, by mieć pewność, że w żadnej z paczek córka nie zostawiła choćby najmniejszej szczelinki, przez którą wilgoć mogłaby wydostać się na zewnątrz. William nie chciałby jeść na morzu zeschniętych i twardych kawałków chleba lub ciasta.

Nie minęła jeszcze piąta rano, a Grace już była ubrana w spódnicę, koszulę, buty i pończochy. Włosy miała wyszczotkowane i związane na karku. Niektóre żony rybaków leżały w łóżkach, gdy ich mężowie wstawali do pracy, albo człapały do kuchni w poplamionej podomce i starych kapciach. Grace zawsze budziła się razem z Williamem. Przygotowywała mu przyzwoite śniadanie i pakowała wiktuały na drogę. Stella, teraz gdy nie miała wakacji i nie chodziła do szkoły, czuła, że i ona powinna postępować podobnie.

Tego ranka już dwa razy była w szopie po paszteciki i ciasta. Korzystała z każdej okazji, by uniknąć chłodnego milczenia ojca. Idąc przez ogród, czuła, jak rześkie powietrze budzi jej ciało do życia. Chłoneła nikły zapach ustępującej nocy, słyszała pierwsze, delikatne ruchy ptaków w gniazdach. Wiedziała, że noc się cofa, a nowy dzień szykuje się do wymarszu na horyzont. Po kilku tygodniach złego samopoczucia i mdłości jej ciało z prawie namacalną siłą zaczynała wypełniać energia. Dostrzegała ją nawet na swojej twarzy odbijającej się w ciemnym prostokącie kuchennego okna. Skóra promieniowała blaskiem, jasna i gładka. Policzki zaróżowiły się, a usta były lśniące i czerwone. „W drugim trymestrze poczujesz się mocna, pełna życia i energii. Ciesz się tym okresem wraz z mężem...”

Stella czuła się jak owoc okryty nieskazitelną skórką, wyglądającą zdrowo, kuszącą miękkością i słodyczą. Ale ukryty pod nią miąższ był twardy - serce okryte stalą.

Nadzieja w niej umarła. Zef nie wróci. Nikt nie uwolni jej od planu Williama. Jedynym krewnym, którego miała w Australii, był Daniel, ale on - jeśli pominąć podarki - pozostawał jej zupełnie obcy. A zresztą jaką pomoc mógł ofiarować mężczyzna - kawaler, o ile wiedziała - nastolatce i jej dziecku? Stella pochyliła się nad metalowym rantem zlewu, czując chłodny ucisk na brzuchu. Patrzyła, jak niebo zaczyna oddzielać się od morza, staje się o ton jaśniejsze. Ale nie

było na nim barwy ciepła. Wschodzące słońce osłaniały posepne, szare chmury.

William włożył na nogi długie buty. Stał przy tylnych drzwiach z wiadrem w jednej dłoni i chłodziarką w drugiej. Patrzył przez niewielką izbę na córkę. Utkwił wzrok w jej twarzy, jakby widok dalszych partii ciała go obrażał. Zerknąwszy w dół, Stella dostrzegła, że podkoszulek, który pośpiesznie wyciągnęła z szuflady i włożyła na siebie, zbyt mocno opina piersi i podjeżdża do góry na niewielkim wzniesieniu deformującym górną część spodni. Odwróciła się nieco, chcąc to ukryć.

- Macie tam wszystko, co potrzebne - skinął głową w kierunku spiżarni. - Zamknę za sobą bramę na kłódkę, żeby uniknąć niepożądanych gości. - Spojrzał na Stellę, marszcząc ostrzegawczo brwi. - Nigdzie nie wychodź.

- Dobrze - powiedziała.

Po spotkaniu na przystani William zabronił córce wychodzić z domu. Uznał, że nie będzie umiała nie zwracać na siebie uwagi. Wystarczyło, by zawiał wiatr i koszula przywarła do ciała, a sekret się wyda. Nie należało ryzykować. Jeszcze miesiąc i będzie po wszystkim. Dziewczyna wyjedzie na kontynent, kiedy jeszcze da się zamaskować jej odmienny stan - w razie gdyby ktoś ją zobaczył na lotnisku albo w samolocie. Niebawem Grace wyzdrowieje, a plan wyjazdu Stelli do szkoły w Anglii zostanie poszerzony

o wakacje w Europie - w nagrodę za to, że była tak dobrą

i troskliwą córką.

Na razie jednak dolegliwości kręgosłupowe Grace wciąż się nasilały. William powiedział panu Barronowi, że póki kryzys trwa, on sam - między jedną a drugą wyprawą na morze - będzie zaopatrywał dom w żywność i odbierał korespondencję. Zaczął od sporządzenia długiej listy zakupów i zrobienia sporego zapasu żywności. Stella schowała wszystko do spiżarni. Świeżej żywności miało wystarczyć im na tydzień, podczas którego William będzie na morzu, a konserw aż na miesiąc.

William otworzył drzwi. Lekki podmuch wiatru wdarł się do środka, rozwiewając nieużyte kawałki folii zostawione na stole. Grace podbiegła, by je zabrać. Potem obrzuciła badawczym spojrzeniem całe pomieszczenie.

- Jadę - rzekł William.

Zaczekał, aż Grace pocałuje go w policzek, i wziął resztę bagażu. Nie poprosił córki, by opiekowała się matką, choć zwykł to robić od czasu, gdy dziewczynka była dość duża, by stanąć na stołku i pomagać przy zmywaniu naczyń. Obdarzył ją jedynie pełnym powątpiewania spojrzeniem. Stella wiedziała, że wolałby zostać i mieć ją na oku, mieć pewność, że siedzi, bezpieczna, w domu. Ale musiał pracować. Samice langust już składały jaja i nie wolno było ich łowić, jedynym dozwolonym łupem były samce. William potrzebował pieniędzy, które powiększyłyby oszczędności zamknięte w metalowym sejfie w kredensie od ciotki Jane. Musiało ich wystarczyć na opłacenie podróży Stelli do Anglii, a przedtem na pokrycie kosztów utrzymanego w tajemnicy wyjazdu do stanu Victoria oraz Domu Samotnej Matki. William po prostu nie mógł sobie pozwolić na siedzenie w domu.

Kiedy odwrócił się ku jaśniejącemu niebu, Stella po raz ostatni zerknęła na twarz ojca. Dostrzegła na niej wyraz ponurej satysfakcji. William wyglądał na człowieka, który wie, że zanim sprawy przybiorą pomyślny obrót, trzeba najpierw uporać się ze złem. Ale teraz widział przynajmniej początek końca. Gdy ucichł odgłos odjeżdżającego samochodu, dom otuliła gęsta cisza. Zgromadzone zapasy i świadomość, że ojciec zamknął bramę na kłódkę, budziły w Stelli poczucie, że ona i matka są odcięte od świata, a dom Pod Siedmioma Dębami jest łodzią zerwaną z kotwicy.

Ze swego miejsca przy zlewie Stella zerknęła w stronę stołu, z którego Grace zbierała brudne kubki po herbacie. Jeśli i ona odnosiła podobne wrażenie, wrażenie odizolo-

wania, nie dawała tego po sobie poznać. Już spoglądała w stronę książki z przepisami leżącej na półce. Stella przeciągnęła ażurowym woreczkiem z mydłem pod powierzchnią ciepłej wody wypełniającej zlew. Znajomy widok tworzącej się delikatnej piany podziałał na nią uspokajająco. Zanurzyła talerze i zaczęła usuwać gąbką resztki jedzenia.

- Włóż rękawiczki - dobiegł ją głos Grace. - Wysuszysz sobie skórę na rękach.

- Nigdy nie używam rękawiczek - zaprotestowała Stella.

- Tak, ale... - Grace przyniosła kubki do zlewu. - ...teraz to co innego.

Z gąbką w ręce Stella znieruchomiała. Teraz jesteś w ciąży - pomyślała. To chciała powiedzieć matka. Stella odwróciła się.

- Dlaczego? Dlaczego teraz to co innego?

- Twoja skóra się zmienia. I tyle. - Grace wróciła do stołu i zajęła się szorowaniem plamy na wypolerowanej powierzchni. - Nigdy nie miałam suchych rąk... do czasu...

Córka utkwiała wzrok w jej twarzy. Po raz pierwszy Grace mówiła w sposób świadczący o tym, że i ona doświadczyła kiedyś tego stanu. Do tej pory wydawała się traktować ciążę jak egzotyczną chorobę, przed którą Stella powinna była się strzec. Dała córce krem przeciw rozstępom i powiedziała, by nie nadwężała kręgosłupa. Jeśli Stella będzie uważać - wyjaśniła - jej ciało przejdzie przez to wszystko bez uszczerbku.

- I co jeszcze miałaś, gdy spodziewałaś się dziecka? - spytała.

Grace nie odpowiedziała. Po minie widać było, że żałuje wcześniejszej uwagi. Dziewczyna nie dała jednak za wygraną. Kąsek rzucony przez Grace obudził w niej uśpiony apetyt. Czuła go w całym ciele, był potężny i nie pozwalał zwlekać. Książka *Twoja ciąża* to za mało. Chciała rozmawiać z żywą osobą, z kimś, kto to przeżył. Z kobietą. Z matką.

- Powiedz mi, proszę. - Stella nie starała się ukryć błagalnego tonu.

- Nie sędzę, by rozmowa na ten temat w czymkolwiek nam pomogła - padła stanowcza odpowiedź. - Zgadzam się z twoim ojcem. Im mniej słów, tym szybsza złego naprawa.

Stella zanurzyła ręce głęboko w gorącą wodę. Skóra zaczęła szczypać, zrobiła się czerwona. To zło nigdy się nie naprawi - odrzekła w myślach.

Zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy. Grace nadal szorowała plamę. Stella odwróciła się i spojrzała na nią.

- Zastanawiałam się nad tym wszystkim.

Starła się, by jej głos brzmiał naturalnie. Nie chciała, by załamywał się jak u dziecka. Pamiętała słowa rzucone jej w twarz przez Williama: „Jesteś jeszcze dzieckiem”.

Splotła ręce na piersiach, by dodać sobie odwagi.

- Wiesz naturalnie o moim wyjeździe, porodzie, wiesz o adopcji.

Widziała, jak matka sztywnieje, jak jej oczy zwięzają się ostrzegawczo.

- Wiem, że nie zobaczę dziecka. Wiem, że tak będzie lepiej.

Stella wzięła głęboki oddech. Co miała jeszcze powiedzieć? Ze straciła nadzieję na powrót Zefa? Ze wie o wyjeździe do Domu Samotnej Matki? Ze tam urodzi dziecko i odda je w obce ręce? To było za wiele i zbyt przerażające, by mówić na ten temat. Już sama myśl o tym wszystkim przerastała jej siły. Myśl, która krążyła jej po głowie, niczym zdradliwe wody u wejścia do Cieśniny Franklina, gdzie pozornie spokojne morze rujnuje piaszczyste brzegi, a mroczne wiry tylko czekają, by cię wciągnąć.

Patrzyła na matkę bez słów. W jej twarzy widziała odbicie własnego bólu. Przez chwilę wydawało się, że kobieta chce coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko potrząsnęła głową, jak ktoś, kto próbuje uwolnić się od niewygodnych

uczuc. Stella wiedziała, że matka się wycofa, że znowu zapadnie kurtyna milczenia. Była zrozpaczona, ale nie potrafiła temu zapobiec.

Wtedy, niespodziewanie, przyszedł jej do głowy pewien pomysł - pojawił się w pełnym kształcie, jakby specjalnie jej zesłany.

- Chcę dać dziecku prezent - powiedziała. - Coś, co trafi wraz z nim do jego nowej rodziny.

Grace przytaknęła bojaźliwie lekkim skinieniem głowy.

- Coś takiego, co sama zrobię.

Gdy matka pojęła sens tych słów, napięcie zniknęło z jej twarzy.

- Nie sądzę, by to w czymś zaszkodziło - odparła nieśmiało.

- Chcę, żebyś mi pomogła - poprosiła Stella. Słowa krążyły jej w głowie. - Potrzebuję twojej pomocy.

Proszę.

Ból ścisnął pierś Stelli. Wydawało się jej, że tonie w mrocznym morzu. Grace była jej jedyną nadzieją.

- Dobrze - powiedziała Grace. - Co chcesz zrobić?

- Nie wiem.

Stella usłyszała słowa rozwlekłe i mroczne jak nocny jęk. Klasnęła w dłonie, by nie drżały.

Matka unikała jej wzroku. Wygładziła dłońmi fartuch na brzuchu, a potem, kiedy się wreszcie odezwała, jej głos brzmiał swobodnie.

- Może kołderkę. Z flaneli albo wełny. Albo... szydełkowaną czapkę. To nie byłoby trudne.

W pogodnym tonie matki wyczuwała powątpiewanie. Grace wiedziała przecież, że córka nigdy nie wykazywała zainteresowania robótkami czy szyciem, a prace ręczne były w szkole jedynym przedmiotem, z którego dostawała marne oceny.

- Nie chcę, żeby było łatwe - odparła. - Chcę, żeby to było coś... naprawdę ładnego.

- Rozumiem - odpowiedziała z serdecznością Grace. Chyba wreszcie pojęła, jak bardzo córka jej potrzebuje. -

Zacznijmy od wybrania wełny. Jestem pewna, że coś tam jeszcze mam.

Stella Ignęła do jej głosu, otulała się jej słowami, czuła ich dotyk na skórze. Spojrzała w stronę pokoju morskiego, gdzie obok kominka stał kufer z przyborami krawieckimi. Wyobraziła sobie zwitki materiału i kłębki wełny znajdujące się w jego wnętrzu. Myśl o tych rzeczach, ułożonych równiutko, sprawiła, że poczuła się spokojna i bezpieczna.

- Nie tam - zaprotestowała Grace. - Zaczekaj chwilę.

Wyszła. Słysząc było tylko jej kroki zmierzające do sypialni i z powrotem. Gdy wróciła, skinęła na córkę i udała się w stronę bocznych drzwi.

Zamrażarka buczała cicho w kącie szopy. Skośne promienie porannego słońca przedostawały się do wnętrza przez okna, znacząc jasne plamy na zakurzonej podłodze.

Grace poszła w odległy kąt, pochyliła się i zajrzała pod stół Williama. Idąc za nią, Stella dostrzegła stary kufer z metalowymi okuciami. Wiedziała, że on tam jest, kiedyś nawet próbowała go otworzyć i zobaczyć, co jest w środku, ale był zamknięty na klucz.

- Musisz mi pomóc.

Grace odsunęła się, robiąc miejsce Stelli. Kufer nie był ciężki, ale z trudem manewrowało się nim między nogami stołu. Wreszcie skrzynia znalazła się na otwartej przestrzeni.

Matka wyjęła mosiężny kluczyk z kieszeni spódnicy. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym uklękła na podłodze i wsunęła go do dziurki zardzewiałego zamka. Przyglądając się temu, Stella przypomniała sobie pudło ze sztuccami ukryte pod workami i płachtami brezentu w przeciwległym rogu. Rozejrzała się po szopie. Ile innych rzeczy należących do Grace było tu jeszcze ukrytych? - myślała - tu, w miejscu, które zawsze uważała za królestwo Williama.

Po uniesieniu wieka rozszedł się delikatny zapach lasu.

Grace zamknęła oczy i wdychała tę woń głęboko. Potem pochyliła się nad kufrem i zaczęła przeszukiwać jego zawartość.

Córka zaglądała jej przez ramię, patrząc na przedmioty, które wyjmowała i odkładała na bok. Różowa baletka, zwitek listów związanych białą wstążką, tajemnicze pakunki owinięte w bibułę. Płyta z fotografią ciemnoskórej kobiety na okładce i złożony obrus z wyhaftowanym herbem rodziny Boydów. Stella przyglądała się wszystkim tym rzeczom łączywie, gdy pojawiały się i zaraz znikwały, niczym szczątki statku podrzucane przez wzburzone fale.

- Tutaj jest. - Grace sięgnęła po coś na samo dno skrzyni i wydobyła pękatą torbę z niebieskiego materiału. Z boku wystawał ostry koniec druta do dziergania.

Stella położyła na ruszt paleniska kilka gałązek, karmiąc błękitne płomienie ognia wyrastające z długich spirali obierzyn pomarańczy, które Birchmore'owie suszyli na rozpałkę. Grace ustawiła kubki do herbaty na stole, a potem zaczęła rozpakowywać niebieską torbę.

Nim ogień rozpalił się jak należy, wyciągnęła dwa tuziny kłębków wełny. Pogrupowała je według kolorów. Biała. Różowa. Kremowa. Jasne odcienie żółci i zieleni.

- Nie ma niebieskiej - zauważyła Stella, siadając po drugiej stronie stołu.

Dłonie Grace znieruchomiały i zawisły nad motkami.

- Nie potrzebowałam niebieskiej. - Na jej twarzy pojawił się wyraz zadumy i zdziwienia, jakby przypomniawszy sobie coś nadzwyczajnego. - Wiedziałam, że będziesz dziewczynką.

- Skąd wiedziałas?

- Widziałam cię. Widziałam twoją twarz w wyobraźni. Powiedziała to z taką samą pewnością, z jaką odczytywała składniki przepisów kulinarnych.

Stella patrzyła na włóczkę. Przypomniawszy sobie marzenia o dziecku otulonym w sarong, leżącym w hamaku i pa-

trzącym na nią zielonymi oczyma Zefa, osadzonymi w jasnej twarzy, takiej, jaką ma ona. Odepchnęła od siebie ten obraz. Kto wie, jak będzie wyglądała ta drobina, którą w sobie nosi? Albo jaką twarz będzie miała? Może przyjmie rysy swoich nowych rodziców -podobno miłośnikom koni wydłużają się zęby i powiększają wargi. Ta myśl w zadziwiający sposób uspokajała Stellę. Nie miała w sobie prawdziwego dziecka, tylko zadatki na dziecko. Jego życie rozpocznie się naprawdę dopiero wtedy, gdy matka weźmie je w ramiona.

- Najbezpieczniejszy jest kolor biały - uznała Grace -albo kremowy. A brzegi będziesz mogła wykończyć na żółto.

Podniosła torbę i wysypała z niej resztę zawartości. Szydełka i druty zaklekotały o stół. Na końcu wypadło miękkie zawiniątko w białym muślinie. Rozsupłując je, Grace wyglądała na zdziwioną, potem jej ręce znieruchomiały. Był to złożony kawałek dzianiny wykonanej szydełkiem. W różowym kolorze. Grace już miała go chwycić i schować z powrotem, gdy Stella sięgnęła i wzięła wyrób w ręce. Uniosła do góry maleńki kaftanik. Chwyciła go za rozłożone na boki rękawy, a reszta ubranka zwisała luźno.

Grace przyglądała się kaftanikowi w milczeniu. W kominku spalone gałązki zamieniały się w popiół i spadały na palenisko.

- Mój, prawda? - spytała Stella. - Zrobiłaś go dla mnie?

Z trudem przełknęła ślinę. Kaftanik wyglądał jak z bajki - misterna robota, subtelny róż, satynowe wstążeczki przy szyi mieniły się księżycowym światłem. Zrobiony specjalnie dla niej... Zmarszczyła brwi, gdy następna myśl, przemknęła jej przez głowę.

- Dlaczego leży tutaj, w torbie z robótkami? Nie nosiłam go?

Grace zacisnęła usta. Siedziała sztywno. Zmarszczyła brwi, niepewna, jaką podjąć decyzję. W końcu powiedziała.

- Nie chciałam ci go dać. Z wielką radością wyczeki

wałam twoich narodzin, ale gdy się urodziłaś, wszystko było inaczej.

Stella poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Odłożyła kaftanik i spojrzała na morze, powiodła wzrokiem po szarej gładzi. Fale przyływały i odpływały, nie trapiąc się tym, co miało nadejść...

Odwróciła się i wyszeptała:

- Co masz na myśli?

Grace zagryzała wargi, patrzyła w dół, na ręce.

- Spróbuję ci to wyjaśnić. Kiedy byłam w ciąży, William uczył się do końcowego egzaminu.

Studiował medycynę. -Matka spojrzała na otwarte ze zdumienia usta Stelli. - Wiem, że zawsze mówi, że nie mógłby pracować w zamkniętej przestrzeni. Ale rybołówstwo nie było tym, co sobie wybrał.

Chciał być lekarzem. Nigdy o tym nie mówiliśmy... Zaraz zrozumiesz, dlaczego. Twój dziadek też był lekarzem. Kiedy go zabito, był na dobrej drodze do wspaniałej kariery, jak twierdzi ciotka Jane. - W

głosie Grace pojawił się chłód, delikatny, lecz dostrzegalny. - To ona zachęcała Williama, by poszedł w ślady ojca. William jednak nie miał głowy do tego rodzaju studiów. Kiedy go poznałam, oblał właśnie pierwsze podejście do końcowego egzaminu. Potem była druga próba. Ostatnia szansa. -

Grace pokręciła głową. - Pracował dniami i nocami, zamknięty w swoim pokoju. Nigdy nie widziałam, by ktoś aż tak oddawał się jakiegokolwiek sprawie. Podziwiałam jego determinację.

Spędzałam czas na nauce szycia, szydełkowania i gotowania... Z wyjątkiem posiłków prawie go nie widywałam. Ale nie miałam nic przeciwko temu, bo wiedziałam, że gdy zda egzaminy, zostanie lekarzem. I wtedy będzie szczęśliwy.

Stella uniosła brwi. Trudno jej było wyobrazić sobie ojca chcącego być kimś innym niż rybakiem.

- Wszystko sobie zaplanował - ciągnęła Grace. - Koledzy jego ojca użyli swoich wpływów, by mu pomóc. Po skończeniu studiów miał odbyć staż w szpitalu w Gloucester, a potem utworzyć prywatną praktykę w pobliskiej wsi.

Mieliśmy zamieszkać nad gabinetem. Pomagałabym przy paq'entach, ile bym mogła, mając maleńkie dziecko.

- Przecież nie lubisz zgiełku, kręcących się ludzi. Dlatego zdecydowałaś się na wyjazd z miasta. Przez chwilę Grace milczała, po czym mówiła dalej.

- Chciałam robić coś pożytecznego, pomagać innym. I przy takiej okazji poznałam twojego ojca. Byłam wolon-tariuszką w hostelu Armii Zbawienia w Bristolu. William także tam pomagał, pracował jedną noc w tygodniu jako student medycyny. Poznaliśmy się w kafeterii. - Grace uśmiechnęła się czule. - Od razu się w nim zakochałam. Był bardzo przystojny, wszystkie kobiety wodziły za nim wzrokiem. Ale nie chodziło tylko o to, jak wyglądał. Było w nim coś szczególnego, pewien rodzaj siły, pewności siebie. Wszyscy go szanowali. Zawsze wiedział, co należy zrobić.

Grace przerwała, z jej twarzy biło ciepło.

- Nie zdał egzaminu. Okropność. Byłam wraz z nim na uczelni, gdy wszedł na podwyższenie, by dowiedzieć się wyniku. To okrutny system. Studenci, którym się powiodło, zostają na podwyższeniu. Kto nie zdał, musiał zrobić w tył zwrot i na oczach wszystkich zejść. I to właśnie przydarzyło się Williamowi. - Grace wzdrygnęła się. - Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Wiele następnych dni przesiedział w swoim pokoju, z książkami i notatkami nadal rozłożonymi na biurku. Ani nie jadł, ani nie przychodził do łóżka. Próbowałam mu pomóc, ale nic, co robiłam czy mówiłam, nie zmieniało sytuacji. Urodziłam cię miesiąc później, z wielkim trudem. Byłaś dobrym dzieckiem. Spokojnym. Tak jakbyś rozumiała, co się wokół dzieje... Ledwie wróciłam ze szpitala, musieliśmy szukać nowego mieszkania. William wymówił wynajmowane przez nas lokum, bo planowaliśmy przeprowadzkę do mieszkania przy szpitalu. Nie podobało mu się nic. Po prostu nie potrafił pogodzić się z faktem, że wszystko się zmieniło. Jego marzenia się nie spełniły. To był bardzo trudny okres. Moja rodzina

próbowała nam pomóc. William dostał propozycję posady w Boyd Shipping, należącym do nas przedsiębiorstwie żeglugowym. Mój ojciec chciał nam dać do dyspozycji dom dyrektora w Avonmouth. Proponował też pieniądze, ale to tylko pogarszało sytuację.

- Dlaczego? - zdziwiła się Stella. - Skoro potrzebowaliście pomocy... Przecież od tego jest rodzina. Grace delikatnym ruchem toczyła pod dłoń węższą kulę.

- Moja rodzina była zupełnie inna niż rodzina Williama. Boydowie to stary ród, zamożny. William czuł się wśród nich kimś gorszym. W Anglii jest trochę inaczej niż tu. Ludzie myślą w ten sposób, nawet dziś... Tak czy owak mój ojciec nie ustępował. Williama to gniewało. Nie chciał nawet go odwiedzać. Uważał, że nim gardzą, że cała rodzina Boydów nim gardzi.

- Czy dlatego nie lubi Daniela? - spytała Stella. Dłoń Grace zastygła, oparta na kłębku.

- To tylko jeden z powodów - przyznała. - William nie... Nie aprobujemy sposobu życia Daniela. Ale nie chcę rozmawiać na ten temat.

Stella pokiwała głową. Miała ochotę wyciągnąć z matki więcej wiadomości o Danielu, ale wolała nie ryzykować zakończenia rozmowy.

- Następnym wydarzeniem - ciągnęła Grace - był wyjazd Williama do Londynu w poszukiwaniu pracy. Idąc na spotkanie z pracodawcą, zobaczył ogłoszenie w gablocie ambasady australijskiej. Zdecydował, że wyemigrujemy do Sydney. Potem dowiedział się o Tasmanii. Powiedział, że dalej już pojechać, uciec od tego wszystkiego, nie można - usta matki wykrzywił drwiący uśmiech - bo następny przystanek to Antarktyka. Tak powiedział.

Grace zatoczyła ręką małe kółko obejmujące pokój, dom, morze.

- Przyjechaliście tutaj i znaleźliście to miejsce - skwitowała z uśmiechem córka.

Na ułamek sekundy twarz matki przybrała dziwny wyraz. Stella potrzebowała trochę czasu, by zrozumieć, co on oznaczał. Zaparło jej dech.

- Nie byłaś zadowolona! Nie chciałaś tu mieszkać!

- Nie - odparła Grace.

Tak zwyczajnie. Po prostu „nie”.

Stellę ogarnął gniew. Ta jedna krótka sylaba odrzucała wszystko, co ich otaczało, całe życie, które tu dzielili.

- Skoro nie chciałaś, to czemu przyjechałaś? Grace wzruszyła ramionami.

- Był rok 1960. Kobiety towarzyszyły swoim mężom. Nie sprzeciwiały się im, tak jak teraz. Musiałam też myśleć o tobie. Chciałam, żeby twój ojciec był szczęśliwy. Dokonałam właściwego wyboru. Było mi trudniej, niż sądziłam, ale jakoś dałam sobie radę. - To mówiąc, spojrzała na córkę, dumnie podnosząc brodę. - On jest tutaj szczęśliwy. - A ty? - padło pytanie.

Grace skręcała motek wełny w dłoniach, wyszarpując pojedyncze nitki.

- Zona i matka przedkłada interes swoich bliskich nad własny - powiedziała spokojnym głosem.

- To nie jest w porządku - zauważyła Stella.

- Wiele rzeczy nie jest w porządku. - Grace sięgnęła po kaftanik, różową górkę na lśniącym blacie stołu. - Weź choćby Paulinę. Pięcioro dzieci w ciągu ośmiu lat. Dwójka przez przypadek. A mnie udało się tylko z jednym. Córka pochyliła się ku niej.

- Ty też chciałaś mieć więcej dzieci? Nie tylko tata? Grace głęboko nabrała powietrza. Patrzyła jej w oczy. - Chciałam wielu rzeczy.

Stella aż się cofnęła przed siłą wzroku matki. Echo jej słów wciąż brzmiało między nimi, stępione i posepne. Grace odwróciła się i spojrzała przez okno w sposób, w jaki to zwykle czyniła, szukając na horyzoncie „Lady Tirian”. Wyprostowała ramiona, chcąc dodać sobie otuchy.

- William byłby zły, gdyby wiedział, że opowiedziałam

ci to wszystko. Obiecałam mu, że nigdy nikomu nie powiem, dlaczego wyjechaliśmy z Anglii. Rozpoczął tu nowe życie. Chciał zapomnieć o przeszłości. Ale teraz musiałam ci to powiedzieć, żeby mieć pewność, że rozumiesz, jak wielkie znaczenie ma to, żebyś przeszła przez ten trudny okres i zapomniała o nim.

Znowu spojrzała na córkę. Jej szare oczy przypominały morze za oknem.

- Jak skończysz szkołę w Anglii, nie musisz wracać i mieszkać w Halfmoon Bay. Będę za tobą bardzo tęskniła i mam nadzieję, że będziesz nas często odwiedzać, ale nie powinnaś czuć się do nas przywiązana. Chcę, żebyś była wolna, żebyś wybrała życie, jakie ci się podoba. Rozumiesz?

Stella patrzyła w podłogę. Co William powiedział? Nim nadejdzie wiosna, będzie wolna.

Wolna, by wyjeżdżać i wracać. Wolna, by być daleko stąd. Jak Zef.

Unosząc wzrok, Stella kiwnęła głową.

- Tak - odparła. - Rozumiem.

Grace wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła ramienia córki.

- Pomogę ci - powiedziała. - Pomogę ci przez to przejść. - Wzięła niebieską torbę i wyciągnęła z niej wiązki szydełek. - Zaczynamy.

Wydawało się, że biała włóczka z własnej woli tańczy między dłońmi Grace. Dziewczyna jak urzeczona przyglądała się nitce przeskakującej z piegowatych palców matki na szydełko i z powrotem. Kolejne rzędy oczek szybko wydłużały dzianinę. Stella pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie: idealny spokój punktowany drobnymi ruchami i ledwie słyszalnymi dźwiękami, gdy Grace zwilżała wargi albo zaczesywała opadający kosmyk włosów.

W końcu Grace wręczyła robótkę Stelli i patrzyła, jak córka próbuje odtworzyć ruchy jej palców i szydełka, spo-

sób prowadzenia włóczki. Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczały.

Grace stanęła za Stellą, pochyliła się nad krzesłem.

- Rób to, co ja - zaproponowała.

Ujęła ręce córki w swoje i poprowadziła jej niezręczne palce w powolny, uważny taniec. Stella starała się nadać za rytmem, lecz dotyk matki, bliskość jej ciała rozpraszały ją. Oddychała zapachem Grace

- aromatem różanego talku i mydła Velvet.

- Bardzo dobrze. Już umiesz - orzekła Grace.

Stella spojrzała na nią. Matka uśmiechała się zachęcająco. Grace zdawała się nie dostrzegać, że córka nabiera włóczkę na szydełko z innej strony, niż powinna. Nie komentowała faktu, że oczka są nierówne, ani nie pokręciła głową, gdy szydełko upadło na podłogę. Tak jakby słowa, które z siebie wyrzuciła, otwarły ją i odprężyły, jakby pomyłki czy niedociągnięcia przestały mieć w końcu aż tak wielkie znaczenie.

*

Kolejny dzień rozpoczął się drobnym, lecz ciągłym i zapowiadającym się na dłużej deszczem. Nie było jednak wiatru i nic nie wskazywało na to, by William musiał przerwać wyprawę. Obie kobiety siedziały w domu, ciesząc się przytulnym zaciszem.

Po obiedzie Grace zaproponowała, by Stella położyła się na kanapie w pokoju morskim i odpoczęła - dawniej pozwalała na to tylko wtedy, gdy córka źle się czuła. Grace przyniosła nawet moherowy podróżny koc do okrycia nóg. Potem wróciła do kuchni, by coś upiec.

Stella wzięła w ręce *Annę Kareninę*, ale szybko zarzuciła czytanie i leżała spokojnie, wsłuchując się w monotony odgłos deszczu uderzającego o dach.

Prawie zasypiała, gdy Grace weszła do pokoju, niosąc dwie, obleczone w atłas poduchy z fotela w sypialni rodziców.

- To dla ciebie - powiedziała, zbliżając się. Pochyliła się i umieściła poduszki pod jej ramionami i biodrami. - Będzie ci wygodniej.

Matka mówiła łagodnym, uspokajającym tonem, jak do dziecka. Jej zachowanie przypominało Stelli kogoś znajomego. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przypominało jej Paulinę. Delektowała się tą myślą, moszcząc się na poduszkach.

Grace zniknęła w kuchni, a po chwili wróciła z tacą. Postawiła ją obok kanapy. Była na niej szklanka mleka i trzy kawałki ciasta na talerzyku. Stella rozpoznała „najlepsze ciasto biszkoptowe ciotki Jane”. Uniósłszy się na łokciu, sięgnęła po jeden z kawałków i ugryzła odrobinę. Drugą dłoń trzymała pod podbródkiem, by nie nakruszyć. Oblizwała się i ugryzła znowu. Przyjrzała się dokładnie fakturze ciasta. Wyglądało inaczej niż zwykle. Było ciemniejsze i cięższe.

- Dodałam trochę słodu - wyjaśniła Grace. - i trochę lecytyny.

Stella zerknęła na nią, potem na kredens, sprawdzając, czy duchy przodków ciotki Jane ich nie podglądają.

- Dzięki temu ciasto jest cięższe - ciągnęła matka - ale i lepsze dla ciebie. I dla dziecka. - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, jakby wyrwało jej się coś, czego nie chciała powiedzieć. - Nie chcesz pooglądać telewizji?

- Nie będzie nic ciekawego - odrzekła. - Sam sport. Odpowiedziała bezwiednie, zajęta rozmyślaniami, jak to

się stało, że słowo „dziecko” przeszło Grace przez usta, że się wybiło tak śmiało i wyraźnie, niby punkt orientacyjny na horyzoncie.

- Mam pomysł - rzuciła Grace, po czym znów wyszła z pokoju.

Wróciła z twarzą mokrą od deszczu. Trzymała w ręce płytę. Stella natychmiast rozpoznała w niej płytę schowaną w starym kufrze. Zerknęła na równo ułożony plik albumów na półce. Muzyka klasyczna.

Każdego roku na uro-

dziny żony William kupował jej nową płytę, a ona zawsze była zadowolona. Stella słyszała, jak Grace mówiła panie Spinks, że mąż wie lepiej niż ona sama, jaka muzyka jej się podoba.

Wyjmując płytę z okładki, matka szła w stronę gramofonu. Uśmiechnęła się tajemniczo, podniosła wieko adapteru i umieściła płytę na krążku. Uruchomiła też specjalne urządzenie Williama, służące do czyszczenia płyt podczas odtwarzania.

Stella usłyszała odgłos osiadania igły na płycie i miarowe trzaski poprzedzające pierwszy dźwięk. Ze zdumieniem uniosła głowę, gdy mocny, piękny głos zabrzmiał w pokoju.

Głos kobiety.

Gładki jak atlas, głęboki i dźwięczny, pełen emocji. Stella nie potrafiła wyłowić słów, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Sam głos był piosenką. Czowała, jak wnika w jej ciało, dotyka duszy. Szalony, nieokiełznany...

Popatrzyła na matkę. Grace stała pośrodku pokoju zagubiona w dźwiękach. Zamknęła oczy i poruszała nieznacznie biodrami w rytm muzyki. Dziewczyna widziała, że ta piosenka przenosi matkę w przeszłość, do innego życia. Tego, które zostało gdzieś daleko.

Szydełko było małe, a włóczka cienka. Stella wiedziała, że zrobienie kaftanika zajmie jej mnóstwo czasu. Czowała się jak księżniczka z bajki zamknięta w wieży, mająca uprząść w jedwabistą nić górę siana. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jeśli nie stanie się cud, praca nie zostanie wykonana.

Ale też czerpała z tej myśli pokrzepienie. Mogła marzyć, że to zawieszenie w czasie ma szansę trwać wiecznie. Póki nie skończy kaftanika, dziecko będzie rosło, nieniekochane, w jej ciele. Grace będzie wynajdywała coraz to inne sposoby, by opiekować się ciężarną córką. „Lady Tirian” pozostanie daleko na morzu.

Przyszłość nigdy nie nadejdzie...

Wiedziała jednak, że upływającego czasu nie da się zatrzymać.

Każdego ranka, ledwie wstała z łóżka, stawiała znaczek w kalendarzu - w tym samym kalendarzu, z którymś kiedyś liczyła: 29, 30, 31, 32... Dzień jej wyjazdu, dzień, kiedy William zawiezie ją do Hobart i wsadzi do samolotu lecącego do Melbourne, był już całkiem blisko. Jeśliby trzymać się planu Williama, zostało zaledwie dwa i pół tygodnia. Do tego czasu skończy się dwudziesty tydzień ciąży. Połowa drogi.

„...Piąty miesiąc niesie z sobą czas niezwyklej zmiany. Cały świat zobaczy, że jesteś w ciąży! Zaczynają rosnać włoski.

Dziecko ma maleńkie brwi i rzęsy...”

Stella ścisnęła mocnej szydełko i dokończyła rząddek. Przyjrzała się niewielkiemu kawałkowi dzianiny. Dostrzegła miejsce, gdzie - parę rzędów niżej - przerobiła niepotrzebnie dwa oczka naraz. Dostrzegła nierówności w naprężeniu nitki, niektóre rzędy były ściślejsze od innych. Ogarnęła ją rozpacz. Kaftanik nie będzie piękny, to pewne. Może matka dziecka nie zechce nawet zabrać czegoś takiego ze sobą. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie swój prezent porzucony w kącie pokoju o zielonych ścianach, wypełnionego zapachem środków odkażających, w ciemnym pomieszczeniu bez okien, gdzie noworodki czekają na rozpoczęcie nowego życia.

Czy zostawia się je tam same? Płaczące w ciemności...

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Czuła wzbierający w piersi strach. Włosy drażniły skórę na szyi. Czuła, że nie zniesie samotności.

Poszła do kuchni, gdzie Grace przygotowywała kolejne ciasto. Mieszała je srebrną łyżką, tą z herbem rodziny Boydów.

Lilia, kot, gwiazda... - wyliczała w myślach.

Patrząc na wygrawerowaną rączkę, Stella uświadomiła sobie nagle, że te symbole pewnie mają jakieś

znaczenie -może dodające otuchy? Wskazała na łyżkę.

- Co on oznacza? Herb twojej rodziny... Matka popatrzyła zdziwiona.

- Skąd wiesz, że to nasz herb?

- Widziałam sztuce schowane w szopie. Domyśliłam się, że pasują do stołu należącego do twojej rodziny.

Grace wyjęła z misy łyżkę ociekającą rzadkim ciastem.

- Lilia to symbol czystości. Gwiazda nawiązuje do motta naszej rodziny „Super sidera votum”, czyli „Sięgaj gwiazd”. Ale chyba nikt nie wie, jakie znaczenie ma kot. -To mówiąc, uśmiechnęła się. - Jak byłam mała, myślałam, że to podobizna naszego domowego kotka. Pewnie dlatego wzięłam tę łyżkę do kuchni, żeby mi go przypominała! -Grace podeszła do zlewu i odkręciła kran, chcąc opłukać ręce. - Nie potrzebowaliśmy, naturalnie, wszystkich tych sztuców. To komplet na dwadzieścia cztery osoby! William chciał go sprzedać. Ale nie mogłam się na to zgodzić. W gruncie rzeczy nie należy do mnie. - Spojrzała na Stellę. - Przez całe stulecia przekazywany był najstarszej córce w rodzinie - albo siostrzenicy, jeśli nie było córki. Trzymam go dla ciebie. A ty przekażesz go swojej...

Przerwała. Woda leciała do zlewu. Na zewnątrz buczała pompa.

- Gdy wyjdiesz za mąż - dodała pośpiesznie. - Jak będziesz miała następne dziecko...

Córka spojrzała na matkę. Ta chwila trwała zaledwie parę sekund, a jednak teraz wszystko wydawało się inne -jakby światło wlało się do mrocznej izby.

Stella zrozumiała, jak nedorzeczny był plan Williama. Jak szalony. Nie oddaje się dzieci.

Przechowuje się dla nich pamiątki rodowe, sadi drzewa, by uczcić ich narodziny, robi szydełkiem kaftaniki i kocyki, które potem pierze się z dodatkiem olejku eukaliptusowego i suszy w delikatnych promieniach słońca...

Grace odwróciła wzrok. Poszła do stołu i pochyliła się nad misą.

Ale Stella zdążyła dostrzec, że jej matka doskonale to wszystko rozumie.

Ona to wszystko wiedziała.

Stella czekała spokojnie. Pozwoliła, by nowe spojrzenie na rzeczywistość zadomowiło się w jej umyśle. Potem wzięła głęboki oddech.

- Nie możemy oddać dziecka. Ono należy do rodziny. Do nas - powiedziała.

Przerażenie przemknęło po twarzy Grace, jak szept wiatru nad powierzchnią morza. Ręce kobiety zacisnęły się na brzegach misy.

- Musimy zatrzymać ją czy jego tutaj, z nami - dodała.

Nastąpiła długa cisza. Stella poczuła, że jej życie, jej dusza znalazły się na krawędzi przepaści, zawieszona między nadzieją a mrokiem.

Grace podniosła wzrok.

- Tak - westchnęła. - Wiem, że tak powinno być.

Jej głos był cichy i niepewny, ale córka wychwytywała te słowa, jedno po drugim, i umieszczała w głębi swego serca. Odwróciła się ku oknu, biorąc niebo na świadka. Słońce przebijało się przez szarość i jaśniało na niewielkiej plamie błękitu. Jego blask rozmazał się, gdy łzy ulgi wypełniły oczy dziewczyny.

10

Pochylona nad grządką Stella robiła dziurki w gołej ziemi i wsypywała do nich nasiona kapusty.

Trzymała się linii sznurka rozpiętego przez matkę, by rzędkie były równe i równoległe do siebie.

Z domu dobiegała muzyka z płyty Grace nastawionej dość głośno, by dźwięk przepływał swobodnie przez otwarte drzwi kuchenne. Głęboki głos miał w sobie tyle tajemnej

184

siły, że zwykle czynności w ogródku nabierały kolorytu filmowej epopei.

Nieopodal na grządce lilii pracowała Grace. Stała na rozstawionych nogach, usztywniając ciało przy podnoszeniu ciężkiego szpadla z kompostem. Nie miała na sobie spódnicy. Tego ranka, już o świcie, pojawiła się w kuchni w spodniach. Córka patrzyła ze zdziwieniem, bo nigdy przedtem nie widziała jej ubranej w spodnie. Grace przyznawała rację Williamowi, który twierdził, że dorosła kobieta powinna zawsze nosić spódnicę. Stella nie musiała nawet pytać, wiedziała, skąd te spodnie się wzięły... Nie były przeznaczone do pracy w ogródku, atlas w kolorze ciemnego rubinu podkreślał kształt długich nóg Grace.

Siejąc kapustę, Stella co jakiś czas zerknęła na matkę. Patrzyła, jak ona dzierży szpadel, jak mięśnie napinają się na jej ramionach, gdy walczy z ciężarem. Matka wyglądała inaczej niż zwykle, zdawała się wyższa i silniejsza. Stella uświadomiła sobie, że nie chodzi tylko o spodnie, ale także o sposób poruszania się Grace. Tak jakby siła głosu pieśniarki docierała w głąb jej ciała, czyniąc ją odważniejszą i bardziej niezależną.

Pracowały w ogrodzie od wczesnego rana. Zamieniły ze sobą ledwie parę słów, ale otaczająca je cisza była jasna i pełna dobrej energii. Nie musiały nic mówić, dość dużo zostało już powiedziane. Grace przyznała Stelli rację, że dziecko nie powinno zostać oddane. Proste słowa, które wypowiedziała, nadal brzmiały, niby echo, w uszach dziewczyny, utrwały się jej w umyśle, tak jakby zostały wyryte w twardym kamieniu i postawione na szczycie góry. Nie rozmawiały jeszcze, jak przedstawić tę kwestię Williamowi, ale miały na to dużo czasu. Warunki do połowu były znakomite, więc z pewnością nie wróci do domu wcześniej niż za kilka dni.

Na razie Grace skupiała całą uwagę na ogródku. Pracowała, zwinnie poruszając rękoma, ale często odpoczywała, by rzucić okiem na niebo i morze. Nie zrobiła przerwy na-

wet na śniadanie - przyniosła tylko z kuchni kawał ciasta, który podzieliły na pół i, ułamując spore kęsy, jadły palcami ubrudzonymi ziemią.

- Zbliża się zima - tłumaczyła głośno Grace.

Stella kiwnęła głową ze zrozumieniem. Wiedziała, jakie wymagania stawia przed ogrodnikami jesień. I jak wiele trzeba zrobić.

Zanim ziemia stanie się ciężka od deszczu, trzeba przygotować sześć kolejnych grządek. Rośliny jednoroczne, które kwitły latem, i po których teraz zostały jedynie suche łodygi, należało wyrwać i wyrzucić. Pustą ziemię - przekopać. A na koniec pokryć warstwą zeschniętych liści, słomy i kangurzych odchodów - żeby odżywiały i chroniły ziemię podczas długich zimowych miesięcy.

Miesiące odpoczynku i wyczekiwania...

Stella spojrzała ponad szeregiem dziurek na nasiona ku pustej liliowej grządce. Wyobraziła sobie cebulki zakopane głęboko w ziemi. Będą tam czekały na swoją porę, na powrót ciepła. Wtedy pojawiają się zielone pędy i zaczną przeć w górę, ku zimnemu powietrzu. Mewy złożą jaja w gniazdach na skale. Na obwisłych gałęziach rzewni ukształtują się pączki.

Nadejdzie wiosna.

Narodzi się dziecko.

Stella rozprostowała nogi. Oparła się o płot, uniosła twarz ku niebu i zamknęła oczy. Choć słońce nie było już tak mocne, by opalać, nadal czuła jego ciepło. Pod powiekami jarzyło się różowawe światło. Wyobraziła sobie dziecko, które trzyma w ramionach, ubrane w biały szydełkowy kaftanik. Czuła dotyk jego miękkiej skóry. Gładki policzek przy piersi.

Przeszedł ją bolesny dreszcz na wspomnienie innego dotyku. Dotyku dłoni Zefa przykrywającej jej pierś, palców, zimnych i pokrytych solą, głaszczących jej sutki. Jego ramiona ogarniające jej ciało, wydawały się takie silne... Tulił ją tak mocno, jakby nie chciał pozwolić jej odejść, jakby nigdy nie miał jej opuścić...

Położyła dłoń w miejscu, gdzie rosło dziecko.

Nigdy - wyszeptała do niego.

Nigdy.

*

Wodorosty naniesione przez sztormy i przyptyw zaścielały odległy od linii brzegu skraj niewielkiej plaży w pobliżu domu. Ciągnąc za sobą pusty worek, Stella podeszła do miejsca, gdzie było ich najwięcej. Gdy buty zapadły się w miękką ściółkę, doszedł ją mocny zapach świeżych małży, wilgotnego piasku i soli - esencja morskich woni. Pomiedzy ciemnymi łodyżkami widziała maleńkie muszle w kształcie rożków, które aborygeni zbierali na naszyjniki. Joe opowiadał Stelli, że jego ciotki nadal znają tajemniczą metodę zdejmowania wierzchniej warstwy muszli, osłaniającej opalizujący blask w kolorze głębokiego fioletu i zieleni. Stella uśmiechnęła się na myśl o cudach stworzonych przez naturę. Kojarzyła je z własnym ciałem, kryjącym w sobie życie...

Wodorosty, po które wysłała ją Grace, miały zostać rozłożone wokół jabłonki. Teraz było to duże drzewo, ale Stella pamiętała, jak matka sadziła je przed ośmiu laty. Ubiwszy ziemię wokół wiązki małych korzeni, poprosiła Stellę, by pojechała rowerem do przystani i złowiła jak najwięcej ryb.

- Wszystko jedno, jakie to będą ryby, byle było ich dużo - powiedziała. - Potrzebuję co najmniej dwudziestu sztuk.

- Dlaczego nie poprosisz taty, żeby ci przyniósł ryby, których używa na przynętę? - spytała Stella, wiedząc, że złowienie aż tylu ryb zajmie jej kilka dni.

- Twój ojciec nie uważa, by to było konieczne - padła odpowiedź.

Ryby zostały zakopane w ziemi otaczającej młode drzewko. Korzenie - wyjaśniała Grace - będą parły w dół, powodowane obecnością gnijących w ziemi ryb. W ten sposób rozrosną się szeroko i będą mocne.

- Skąd to wiesz? - zainteresowała się Stella.

- Widziałam, jak ktoś tak robił - odparła lakonicznie matka.

Gdy William wrócił z morza, patrzył spode łba na krąg świeżo skopanej ziemi wokół drzewka.

Wieczorem prawie się nie odzywał, najwyraźniej obrażony tym, co zobaczył.

Odmawiał jedzenia jabłek z tego drzewa. Mówił, że smakują rybą. Większość owoców dostawał co roku Joe i nigdy nie narzekał na ich smak. Nawet Stella, mimo że była wówczas dzieckiem, uważała, że ryby nie mogły zmienić smaku jabłek. Ale ani Grace, ani Stella nie spierały się na ten temat z Williamem. Skoro mówił, że jabłka smakują rybą, to smakowały rybą. Jego decyzje stawały się faktami. I nic nie mogło ich zmienić.

Stella stała wyprostowana, patrząc na wodorosty, na delikatne gałązki inkrustowane tu i ówdzie muszelkami. Przeszedł ją dreszcz niepokoju. Wyobraziła sobie ojca: dolną wargę przywierającą mocno do górnej, jego kamienną twarz.

Potrząsnęła głową, opędzając się od tego obrazu. Tym razem będzie inaczej. Gdy William wróci z połowu, odmieniona, silna Grace sprawi, że zmieni on zdanie. Stella stanie u boku matki, gdy ona zacznie mówić. Wyobrażała sobie, jak będą wyglądały, stojąc ramię przy ramieniu, prawie dotykając się rękoma. Strumień energii płynący między nimi połączy je i umocni.

William zrozumie, tak jak zrozumiały to Grace i Stella, że dziecka nie można oddać. To jego wnuk.

Pierwszy urodzony na Tasmanii Birchmore.

Stella pochyliła się i zgarnęła oburącz tyle wodorostów, ile tylko mogła. Poczowała ciężar dziecka poruszającego się w jej wnętrzu.

W książce napisano, że ma teraz około dwudziestu centymetrów długości. Stella odmierzyła dwadzieścia centymetrów linijką. Troszkę więcej niż jej dłoń. Wyobrażała sobie dziecko otoczone wodą.

„...Wody płodowe. Bezbarwny płyn, w którym żyje i rozwija się płód i który wypełnia jamę owodni...”

Uśmiechnęła się na myśl o istotce wielkości dłoni, małej rybce, pływającej w jej łonie. Ryba poniżej właściwego rozmiaru - jak te, które czasami łowiła na przystani. Wiedziała, że ryba jest za lekka już wtedy, gdy ją nawijała. Wiedziała, że na lince dyndać będzie, mieniać się w słońcu, idealna miniaturka, niestety za mała, by ją zatrzymać.

Uśmiechnęła się do siebie, napełniła worek po brzegi i ruszyła w stronę domu, ciągnąc worek za sobą. Poszła na tył szopy, obok miejsca, gdzie oparta o płot stała jej morska ściana. Puszczając worek z wodorostami, zawadziła nim o drewnianą ramę. Rozległ się brzęk uderzających o siebie, zaczepionych na linkach, przedmiotów. Wydawało się, że chcą zwrócić na siebie jej uwagę, ale żaden ze starych skarbów nie przyciągnął na dłużej wzroku dziewczyny. Wszystkie one stanowiły cząstkę innego świata, który nie miał nic wspólnego z terażniejszością...

Stella rozejrzała się po ogrodzie, wypatrując niebieskiego kapelusza Grace, ale nie było go widać ani przy liliowej grządce, ani przy stercie kompostu. Uznała, że matka weszła do środka i przygotowuje obiad. Poczula głód. Poprzedniego wieczoru Grace przyrządziła „zapiekanekę z jagnięciny według mojego własnego przepisu”. Postawiła ją na brytfannie koło okna, by przestygła. Stelli pociekła ślinka na ten widok: bryła ciasta zapieczonego na brązowo-złoty kolor ze sterczącą pośrodku gałązką rozmarynu o poczerniałych od żaru piekarnika czubkach.

Zdjęła buty przy drzwiach i weszła do kuchni. Płyta skończyła się, w domu panowała cisza. Na stole leżał sprawiony kurczak. Stella przystanąła z wahaniem na widok jego nagiej i bladej skóry. Na kolację będzie więc pieczeń.

Wiadomo, co to może oznaczać. Dreszcz przebiegł jej po plecach. William wracał do domu. Grace, nieustannie spoglądająca w morze, dostrzegła „Lady Tirian” zmierzającą do zatoki.

Stella pamiętała wyraz zakłopotania na twarzy Williama, gdy szykował się do wyjazdu. Wracał wcześniej, bo chciał się upewnić, czy wszystko jest tak, jak powinno. Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, i pospieszyła do pokoju morskiego.

Z kanapy zniknęły dodatkowe poduszki. Na stole nie było ani kłębków wełny, ani niebieskiej torby. Podeszła do adapteru. Krążek był pusty. Po płycie Grace nie został nawet ślad.

Usłyszała za sobą ciche kroki, obróciła się i zobaczyła matkę. Przebrała się w świeżo wyprasowaną koszulę i spódnicę. W dłoniach trzymała otwartą książkę z przepisami.

- Wraca - powiedziała. - Musimy się przygotować. Przynieś mi trochę szałwii i natki pietruszki do pieczenia.

Stella patrzyła w twarz matki. Kobieta wydawała się spokojna, tak jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Tak jakby nic się nie zmieniło. Dziewczyna poczuła wzbierającą w sercu falę paniki.

Ale gdy Grace odwróciła się, by pójść do kuchni, Stella dostrzegła stronę, na której otwarta była książka. „Specjalny pudding ciotki Elizabeth”. Ulubiony pudding Williama. Odetchnęła z ulgą. Zrozumiała. Matka dokładała wszelkich starań, żeby wszystko wypadło idealnie, bez najmniejszego zarzutu, chciała wprowadzić męża w możliwie najlepszy nastrój. Zanim rozpocznie rozmowę, zanim wszystko się zacznie...

*

Stella na siłę wkładała jedzenie do ust. Sztuce niezręcznie brzęczały o talerz. Połowa ziemniaka wymknęła się, gdy usiłowała przekroić spieczoną skórkę i, koziołkując, trafiła na koszulę, znacząc ją tłustym śladem.

- Przepraszam - powiedziała.

- Pochyl się nad talerzem - rzekł William. - Wsuń krzesło pod stół.

Wyglądał na zmęczonego, jakby żywioły wyssały z niego wszelką energię, choć zwykle, wracając do domu z połowu, wyglądał na zdrowszego, wzmocnionego zwycięstwem nad morzem, wiatrem, rybami.

Stella spojrzała na Grace, na której talerzu leżało nietknięte jedzenie. Sączyła tylko wodę, jakby się bała trwać nieruchomo.

- Wróciłem wcześniej - oświadczył William - bo sądzę, że już czas, by Stella wyjechała.

Córka spojrzała na niego. Na ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się, po czym William zwrócił się do żony:

- Jutro pojedę do St Louis załatwić bilet lotniczy. Nie ma sensu ryzykować, by prawda wyszła na jaw.

Stella spojrzała na Grace, czekając, aż kobieta otworzy usta i przemówi. Cisza trwała w nieskończoność. Zdawało się, że nawet morze znieruchomiało. Wtedy zrozumiała - matka nie zamierza nic powiedzieć. Nie teraz. To ona miała zacząć rozmowę.

- Zastanawialiśmy się nad tym wszystkim, ja i mama... - zaczęła Stella. Słyszała, że Grace wstrzymuje oddech - ...kiedy cię nie było... Nie chcemy oddać dziecka. - Przełknęła ślinę. - Chcemy je zatrzymać. William spojrzał na Grace, marszcząc brwi.

- O czym ona, u licha, mówi?

Wydawało się, że Grace go nie słyszy. Patrzyła ponad ramieniem Williama na morze.

- Chcemy... - Słowa zamarły na ustach Stelli. Wzięła głęboki oddech. - Zmieniłam zdanie. Chcę zatrzymać dziecko.

Gdy to powiedziała, poczuła się silna, jakby triumf był już w zasięgu ręki. Słowa popłynęły w powietrze. - Nie chcę pojechać do Domu Samotnej Matki. Chcę zostać tutaj. Z wami. To będzie nasze dziecko. Chcieliście

mieć więcej dzieci. Ono da wam szczęście. Wszystko się zmieni. Mama będzie szczęśliwa. Polubi to miejsce.

Na chwilę zamilkła, by dopuścić do głosu Grace, ale ona wpatrywała się w sosjerkę, w brązowy osad pod warstwą ściętego tłuszczu.

Stella spojrzała na ojca. Siedział sztywno, jakby przymarzył do krzesła, zniewolony szokiem albo gniewem. Zadrzała na ten widok i odwróciła wzrok. Spojrzała w bok. Mówiła dalej, wszystko, co jej przyszło do głowy, rozpaczliwie piętrząc słowa, jak worki z piaskiem przed nadchodzącą falą powodzi.

- Nikogo nie potrzebujemy. Ty możesz się mną opiekować. Jesteś prawie lekarzem.

William zwrócił się w stronę Grace. Jego oczy rozwarły się szeroko z wściekłości, ale gdy się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie i cicho.

- Co ty jej naopowiadałaś?

Grace poruszyła głową, jakby oganiała się od muchy. William wstał, odsuwając z hałasem krzesło. Patrząc na męża, Grace zbladła. Uniosła dłoń do czoła. Jej palce drżały.

Stella otworzyła usta.

- To nie jej wina - powiedziała. William odwrócił się do córki.

- Wystarczająco dużo już powiedziałaś. Muszę porozmawiać z twoją matką na osobności.

Grace wstała natychmiast, jakby ktoś pociągnął za niewidzialne sznureczki. Stella sięgnęła ku niej ręką.

- Mamo... - Kobieta uchyliła się przed dotykiem. - Wszystko w porządku. Powiedz mu tylko, proszę...

Grace spojrzała na córkę. Stella zmusiła się do ośmielającego uśmiechu, lecz twarz matki była obojętna jak maska. Dziewczyna chciała krzyknąć, wymierzyć jej policzek. W tym samym momencie poczuła się pusta, pozbawiona nadziei. Wiedziała, co się stanie. Ojciec zabierze matkę do sypialni i przekona, by wsparła jego plany.

- Nie! - Stella zerwała się z miejsca, potrącając stół. Szklanka z wodą zachybotła, na obrusie pojawiła się mokra plama. - Musisz mnie wysłuchać. Nie jestem już dzieckiem. Mamo, proszę!

William wziął żonę za ramię i wyprowadził z pokoju. Rozległo się szuranie butów na drewnianej podłodze korytarza, a potem cichsze kroki, gdy weszli na dywan w sypialni. Drzwi zamknęły się za nimi, cicho, delikatnie.

Stella stała samotna przy stole. Czekwała. Słyszała, że William coś mówi, słyszała ciche skrzypienie podłogi, gdy przemierzał pokój w tę i z powrotem. Potem rozpoznała głos Grace, gdy przerwała Williamowi, brzmiały stanowczo i dobitnie. Wróciła nadzieja. Dziewczyna wyobrażała sobie słowa wypowiedziane przez matkę.

Stella musi sama podjąć decyzję.

Ja też tego chcę.

Nigdy nie zgodzę się na oddanie dziecka. Nigdy.

Ale z czasem głos kobiety zaczął cichnąć. William zdecydowanym tonem, raz za razem, ucinał jej wypowiedzi. Nastąpiła długa cisza. Stellę ogarnął dotkliwy ból. Czuli, jak Grace ucieka w milczenie, wycofuje się tam, gdzie nikt jej nie dosięgnie, zostawia córkę samą.

Potem znów odezwały się kroki w korytarzu, pojedyncze, William stąpał ciężko w domowych butach. Wszedł do salonu z grobową miną, przypominał lekarzy ogłaszających w telewizji złe nowiny.

- Twoja matka i ja wiemy, co jest dla ciebie najlepsze. Masz przed sobą całe życie. Nie możemy pozwolić, żebyś zmarnowała sobie przyszłość. Podjęliśmy decyzję. Taką samą jak wcześniej.

- Nigdy się na to nie zgodzę - odpowiedziała Stella. Starła się mówić z życiem, z przekonaniem, ale jej głos był pusty i słaby. - Czekałam na... - W porę się powstrzymała. Nadal chciała, by imię Zefa pozostało jej tajemnicą. Tylko tyle jej po nim zostało. Imię i dziecko. - Myślałam, że wró-

ci. Myślałam, że Robert będzie wiedział, co zrobić. Teraz widzę, że wszystko zależy ode mnie.

- To nie zależy od ciebie - rzekł William cierpliwie. - Nie masz osiemnastu lat. To zależy od nas.

Mówiąc, skrzyżował ręce na piersi. Dziewczyna poczuła, że ogarnia ją panika. Wyglądał jak ksiądz, człowiek, który wie wszystko i z którym nie można się spierać.

- Mama nie zgadza się z tobą - powiedziała Stella. - Ona chce zatrzymać dziecko. Wiem, że tego chce.

- Skąd wiesz?

- Tak powiedziała. I tak myśli.

Stella patrzyła na niego. Mogłaby przecież opowiedzieć o zmianie w matce, która na chwilę wróciła do życia. I jak wszystko zaczęło się od rozmowy o dziecku, o ciąży Stelli. O czymś tak zwyczajnym i tak potężnym zarazem...

- Spytajmy ją - zaproponował ojciec.

Objął Stellę ramieniem. Ten gest mógłby być serdeczny, gdyby nie czuła ciężaru stali w jego ciele.

Wiedziała, że jeśli się cofnie, jego ręka zakleszczy się na jej kościach jak imadło.

Powietrze sypialni pachniało różą i stęchłą lawendą. Kurz talku pokrywał lśniąca powierzchnię toaletki, gdzie leżały szczotki do włosów w srebrnych oprawach i stały w rzędzie pojemniki z kremami.

Wszedłszy do pokoju, Stella dostrzegła czerwoną tkaninę leżącą w nogach łóżka. Aksamitne spodnie. I znów ogarnęła ją nadzieja. Ostatnie dni nie były jednak snem.

Spojrzała na matkę. Grace siedziała na brzegu łóżka skurczona, z zapadniętymi ramionami i zwieszoną głową. William stanął obok niej. Pochyliła się ku niemu instynktownie, jak kwiat zwracający się ku światłu.

William położył dłoń na ramieniu żony i patrzył na Stellę.

- Spytaj matkę, co ona uważa za słuszne.

Stella spojrzała na Grace. Kobieta odwzajemniła spojrzenie, ale nie było w nim cienia zaangażowania,

a jedynie niema rezygnacja. Córka z trudem wypowiadała słowa.

- Mamo, czy chcesz, żebyśmy zatrzymali dziecko? Grace pochyliła twarz.

- Odpowiedz - poinstruował ją William.

Kobieta podniosła wzrok. Wyglądała jak mała dziewczyna, chętna do pomocy, lecz bezsilna.

- Powiedz mu - poprosiła Stella. - Musimy powiedzieć to teraz.

Próbowała się uśmiechnąć. Czuła się jak dorosły kuszący bezwolne dziecko.

- Ojciec ma rękę - powiedziała Grace. - Masz przed sobą całe życie.

Stella spojrzała na nią.

- Ale przecież mówiliśmy o tym. Zgodziłaś się. - Upadła jej do stóp. - Nie pamiętasz tego, o czym rozmawialiśmy? Tego, co robiłyśmy? Kaftanika, płyty?

Grace pokręciła głową.

Stella podniosła się i cofnęła. Chwyciła się parapetu. Strach otulał jej ciało niby zimna mgła. Jeśli matka jej nie pomoże, jak sprzeciwi się ojcu? Do kogo ma się zwrócić?

Powoli i głęboko wciągnęła powietrze, zebrała w sobie ból i strach, nadzieję i tęsknotę. Uprzedła je wszystkie w pojedynczą nitkę, grubą i mocną. Wyobraziła sobie, że ta nitka owija jej słowa i, niby lina, łączy je z sobą. Ale głos, który z siebie wydobyła, był słaby i smutny - jak wiatr przeciskający się przez wąską szparę w płocie.

- Mamo, nie ulegaj mu. Pamiętasz tamten dzień? - Czuła, że mówi głośniej, nie panuje nad głosem. -

Powiedz mu! Proszę! Musisz! Nigdzie nie pojedę!

- Tak będzie najlepiej - odezwała się cicho Grace. - Kiedyś się o tym przekonasz.

William poklepał kobietę po ramieniu.

- Nie rób tego! - krzyknęła Stella. - Musisz mu się sprzeciwić! Co się z tobą dzieje?

192

Wyciągnęła ramiona ku matce. Palce dłoni miała naprężone, jakby chciała złapać Grace za włosy, wbić paznokcie w jej skórę i potrząsnąć głową, by przywrócić życie drewnianej twarzy.

- Wystarczy, Stello. Zabraniam ci mówić do matki w ten sposób.

Głos Williama był ostry i zimny jak zimowe morze.

Ręce Stelli opadły. Powietrze uszło z jej płuc. Nogi ugięły się pod nią. Poczowała siłę autorytetu ojca, budowaną przez wszystkie lata jej życia. Widziała też potulność matki praktykowaną przez dziesięciolecia. Wiedziała, że on zwycięży.

Ręka Grace wyciągnęła się ku córce.

- Proszę cię, spróbuj zrozumieć...

Stella odwróciła się przodem do okna, wsparła głowę o zimną, twardą szybę. Na łące, za płotem ogrodu, krowy żuły milcząco gorzką trawę. Kruk dziobał pokrytą futrem bryłę zdechłego kangura leżącą w sitowiu.

Nieco dalej, w lewo, stał dąb. Jego konary były nagie, zaledwie kilka liści zwisało jeszcze z gałęzi. Gęsta trawa rosła wokół smukłego pnia na dużej przestrzeni - gotowej przyjąć pozostałe sześć dębów. Wtedy Stella zrozumiała. Pojedynczy dąb zawsze będzie samotny, otoczony pustką.

11

Wieczorowe suknie leżały rozłożone na kanapie i fotelach - długie pasy satyny, aksamitu, brokatu i szyfonu. Wzory i barwy mieniły się w świetle lampy. Przy kominku stały rzędem buty - pantofle na wysokich obcasach w kolorze złotym i srebrnym, a także w rozmaitych odcieniach czerni, brązu i błękitu. Biżuteria była wyeksponowana na stole: broszki, sznury pereł, złote łańcuszki oraz naszyjnik lśniący brylantami. William krążył, przyglądając się temu wszystkiemu uważnie, jak kupiec na bazarze. Grace stała

193

pośrodku pokoju ubrana w długą halkę. Włosy miała upięte w wyszukaną fryzurę, a usta umalowane ciemnoróżową szminką.

Stella obserwowała tę scenę ze swojego miejsca przy oknie. Patrzyła na ciało matki przypominające kształtem ciało młodej kobiety - jędrne piersi i płaski brzuch. Ale jej figura kryła w sobie dziwną sztywność. Pod jedwabiem koloru kości słoniowej odznaczał się zarys przedłużonego stanika i obciskającego pasa. Te części garderoby sprawiały, że Grace robiła wrażenie istoty mocnej i nieprzeniknionej, wręcz nieludzkiej, ale też dzięki nim mogła nadal wkładać wieczorowe stroje z młodości.

Córka zawsze była dumna z wyglądu matki, ubranej w suknie przywiezione z Anglii, z których każda była pięknie skrojona i uszyta z drogiego materiału. Niektóre odsłaniały zaskakująco dużo... W przypadku strojów wieczorowych William był skłonny tolerować dekolty i prawie nagie ramiona - choć to samo napawało go obrzydzeniem w ubraniach noszonych za dnia. Przy specjalnych okazjach zdawał się czerpać przyjemność z przekształcania żony w jej młodszą i bardziej atrakcyjną wersję. Gdy Grace wchodziła do restauracyjnej części pubu, wszystkie inne kobiety wydawały się ubrane zbyt wyzywająco lub zbyt zwyczajnie.

Ale tego wieczoru, przyglądając się matce, Stella czuła, że jej usta wykrzywia pogarda. Tego wieczoru Grace nie próbowała nawet wybrać stroju. Stała całkowicie bierna, gdy William grzebał w nadwierzonych zębem czasu ubraniach. Była jak lalka, która czeka, by ją wystroić i wprowadzić w świat, gdzie odegra przypisaną jej rolę.

Ten wieczór miał być dla Grace powrotem do życia towarzyskiego po ciężkiej chorobie, z powodu której nie widywała się z nikim przez długie miesiące. Grace miała zasiąść do kolacji i gawędzić radośnie, spożywając kolejne dania. A potem, gdy zespół zacznie grać, William ujmie jej dłoń i zaprowadzi żonę na środek parkietu. Zatańczą

z wdziękiem i wprawą, jak zwykle - pokazując wszystkim, że kręgosłup Grace jest już wyleczony. Ludzie dowiedzą się, że kuracja zakończyła się powodzeniem dzięki niezakłóconemu odpoczynkowi, który zapewniła jej córka - ich wspianiała córka, która wyjedzie niedługo do Anglii. Oczyma wyobraźni Stella widziała potakujące głowy, fryzury sztywne od lakieru, zachwyty kobiet nad szczęśliwym losem dziewczyny mającej podjąć naukę pod opieką Wielkiej Ciotki Jane, zamieszkać w Londynie i uczęszczać do jednej z najlepszych szkół dla młodych dam.

Kłamstwa na ten wieczór zostały starannie dobrane. Pasowały do siebie równie dobrze jak buty i biżuteria do sukni. Na szczęście nie była potrzebna zmyślona historyjka, by usprawiedliwić nieobecność Stelli. Doroczny rotariański wieczór z kolacją i tańcami nie przewidywał udziału młodzi.

Grace tylko rozkładała ramiona, gdy William przymierzał do niej wybrane suknie, jedną po drugiej. Jeszcze przed chwilą grała płyta, którą sam kupił na ostatnie Boże Narodzenie. Ale już się skończyła i z głośnika dochodziły jedynie ciche trzaski.

- W lodówce jest filet z kurczaka - powiedziała Grace. - I trochę puddingu jęczmiennego. - Odwróciła się do córki w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie mam ochoty na jedzenie - odparła Stella.

Taka była prawda. Wcześniej, w ciągu dnia, usiadła w szopie i najadła się twardych, zielonych jabłek leżących w skrzyni. Cierpki smak przyjemnie drażnił język. Ale zjadła ich pewnie zbyt wiele albo jadła zbyt łapczywie, bo żołądek się zbuntował. Po wyjściu rodziców zamierzała pójść do łazienki i zwymiotować.

Grace zacisnęła usta w lekkim uśmiechu. Gdy znowu zaczęła mówić, w jej głosie brzmiała błagalna prośba.

- Powinnaś jeść. Spróbuj choć trochę.

Ale Stella tylko na nią patrzyła.

W ostatnim tygodniu przed wyjazdem córki na kontynent poświęcała jej całą uwagę. Przygotowywała potrawy według receptur z rozdziału „Posiłki dla chorych”, używała lekko strawnej mąki ararutowej, żelatyny i semoliny. Gotowała jajka w koszulkach, dwukrotnie mielła mięso, a grzanki kroїła na cienkie paseczki. Zanosīła te frykasy do pokoju Stelli i stawiała przed niā, by po pewnym czasie zabrać wszystko z powrotem, nietknięte.

Stella żywiła się resztkami z lodówki i miodem podbieranym z szopy. Jadła w swoim pokoju.

Pozwalała lepkiemu strużkom rozlewać się po ubraniu i wycierała palce o włosy.

William bacznie pilnował córki, wodził za niā oczyma z mieszanymi uczuciami litości i przerażenia.

Nie opuszczał domu od czasu powrotu z morza - z wyjątkiem wyjazdu do St Louis po bilet.

Zachowywał się z pełnā urazy uprzejmościā. Ale nawet Stella widziāła, że w głębi duszy on takżę był przestraszony.

W domu panował ponury nastrój. Nikt się nie odzywał, gdy nie musiał. Audyq'e telewizyjne wydawały się powierzchowne i niewiarygodne. Nawet muzyka poważna pobrzmiwała pustkā. Szare niebo pasowało do domowej atmosfery. Gdy pogoda była ładna i świeciło słońce, barwy morza i piasku wydawały się fałszywie jasne. Wszyscy troje unikali spotkań w korytarzu. Mówili pełnym napięcia, nienaturalnym tonem. Tak jakby ktoś umarł. Tak jakby wszyscy umarli.

Stella starała się spędzać jak najwięcej czasu w swoim pokoju. Leżała na łóżku, skubiąc narzutę.

Wyciągała z niej długie nitki i skręcała w palcach kulki, pozostawiając na kapie łyse placki. Nie miała siły, by schować lalkę pannę młodā do szuflady czy usunąć zdechlā motylicę z ramienia kamiennego anioła. Czuła się zmęczona, chora od tłumionego gniewu, który zalegał w niej niby zimny głaz. Obwi-

niała Grace za słabość, a Williama za siłę. Obwiniła Zefa za niedotrzymanie obietnicy. Obwiniła siebie za to, że skazała się na łaskę ich wszystkich. Obwiniła też dziecko.

Zacząło się niewinnie: od myśli, że dziecko w brzuchu źle jej życzy, że nie obchodzi go, kim jest Stella i czy je komuś odda, czy też nie. Ta istota po prostu na niej pasożytowała. Była nienasycona. Rosnąc w niej, wysysała z matki energię. Pozbawiła ją dziewczęcego ciała, zamieniając je w coś tłustego i brzydkiego. Stella nie mieściła się już we własne ubrania - nosiła stare spodnie ojca z podwiniętymi nogawkami i z paskiem wrzynającym się w ciało. Myła się w ciemności, by nie patrzeć na piersi - nabrzmiące i naznaczone niebieskimi żyłkami, i na brzuch, którego nie mogła wciągnąć nawet na parę minut, żeby choć przez chwilę udawać, że jest normalna.

Teraz jasno zdawała sobie sprawę, że została zmuszona poświęcić wszystko dla bezimiennego tworu, który zamieszkał w jej ciele. Kochani przez nią rodzice wydawali się postaciami z książki, które nigdy nie staną się z powrotem żywymi osobami. Straciła przyjaciół, wszyscy wyjechali do szkoły. Wkrótce straci dom. Zostanie wysłana do miejsca,

o którym nigdy nie słyszała, daleko od morza, i będzie pracowała dla obcych, jak więźniarka. Jej ciało będzie nabrzmiwać aż do chwili, gdy, odpowiednio przygotowane, zechce się otworzyć. Dziecko rozpocznie swoje życie z dala od niej. A ona zostanie w tyle, niepotrzebna jak bezwartościowa plewa. Kierowała te myśli ku wnętrzu niby zimne, zatrute ostrza. Była jak rybak łowiący na płyciźnie uzbrojony w lampę i długi szpikulec. Chciała zniszczyć to, co miała w sobie, cofnąć wskazówki zegara, unicestwić początek tego czegoś.

Często zastanawiała się, czy można było odwrócić bieg czasu i historii.

Gdyby nie poszła do zatoczek tamtego poranka, nie poznałaby Zefa.

Gdyby tam nie wróciła, by zanieść mu jedzenie...

Gdyby nie trzymała wszystkiego w tajemnicy, tylko powiedziała Spinksowi, że „Tailwind” tam cumuje...

Ale chłód uchodził z niej, gdy próbowała myśleć w ten sposób. Zapominała o Zefie, który nie wrócił, pamiętała tylko chłopca o zielonych oczach. Widziała jego włosy koloru piasku, splątane z jej włosami, jego usta dotykające jej policzka, uśmiech, z jakim się jej przyglądał.

A wtedy, gdy leżała i patrzyła w sufit, oczy napełniały się łzami, które spływały, biegnęły po skroniach i znaczyły ciepły szlak we włosach. Czowała wtedy, że ten chłopiec jest jedynym człowiekiem na świecie, który mógłby ją pocieszyć.

Ale on nie istniał w jej czasie i przestrzeni. Był tylko duchem zamkniętym w jej wnętrzu.

Przyciskała poduszkę do ciała, a łzy spadały na bawełnianą poszewkę.

William stanął w drzwiach pokoju z pledem przewieszonym przez ramię. Zawsze okrywał siedzenia furgonetki, gdy pasażerowie byli elegancko ubrani - pled chronił przed rybimi łuskami i płątami rdzy. Włosy miał zaczesane gładko, nabłyszczzone brylantyną. Mocno związany krawat marszczył skórę na gardle.

- Wrócimy o jedenastej - powiedział. Zajrzał do mrocznego pokoju, oświetlonego jedynie światłem wpadającym z korytarza. Stella leżała na łóżku. - Wiem, że to późno, ale po tańcach będą przemówienia i nie możemy wyjść przed ich zakończeniem.

Zapalił światło. Stella zmrużyła oczy. Jej ręka automatycznie powędrowała na skraj koszuli, sprawdzając, czy jest obciągnięta.

- Dlaczego nie wstaniesz i nie zajmiesz się czymś? - zasugerował. - W telewizji będzie niedługo program przyrodniczy.

- Może później - odpowiedziała.

William patrzył na nią w milczeniu.

- Musimy wyjść - odezwał się. - Wiesz o tym, prawda? Mam odebrać nagrodę w imieniu Stowarzyszenia Rybaków.

- Chcę, żebyście poszli - powiedziała Stella. - Nic mi nie będzie.

Myślała o godzinach, które miała przed sobą. Pięć długich godzin. Wyobraziła sobie Williama i Grace, jak odjeżdżają samochodem w mrok i zostawiają ją w spokoju. Uśmiechnęła się.

Napięcie zniknęło z twarzy ojca. Odwzajemnił uśmiech.

- Wobec tego dobranoc.

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając zapalone światło.

„Żyrafa nigdy się nie kładzie” - wyjaśniał mężczyzna w stroju safari przechadzający się pod akacją. Gestykulował żywo, ręce tańczyły w rytm jego słów. „Gdyby to zrobiła, ciężar szyi uniemożliwiłby jej powstanie”.

Kamera pokazywała panoramę sawanny. Żyrafy obskubywały korony stojących nieopodal akacji.

„Oznacza to, że mama żyrafa musi rodzić na stojąco. Cielę rozpoczyna życie od upadku na ziemię z wysokości prawie dwóch metrów”.

Kolejne ujęcie przedstawiało nowo narodzone żyrafiat-ko, ledwie trzymające się na niezgrabnych, długich i chudych nogach. Za nim ukazała się głowa matki, czuwającej nad jego niepewnym chodem. Żyrafa z gracją wygięła szyję i zbliżyła łeb do łebka noworodka. Spoglądała na cielę ogromnymi, ciemnymi oczami obrzeżonymi długimi rzęsami. Trącała je delikatnymi wargami.

„Matka dobrze zna swoje obowiązki - ciągnął mężczyzna śpiewną angielszczyzną - jak to zwykle bywa w przypadku zwierząt”.

Stella pochyliła się, by wyłączyć telewizor. Poczowała ogarniającą ją falę mdłości. Gdy William i Grace wyjechali, zmusiła się do wymiotów, ale ból w żołądku nie zelżał. A nawet się nasilił.

Wstała i rozprostowała plecy, żeby poluzować tkwiący w jej wnętrzu węzeł. Ale węzeł zdawał się zaciskać jeszcze bardziej, ból się wzmacniał. Po chwili jednak osłabł i Stella ruszyła w stronę łazienki, gdzie Grace trzymała aspirynę.

W połowie drogi przez pokój zachwiała się, ból chwycił z jeszcze większą siłą. Złapała się za brzuch. Uświadomiła sobie, że ból zszedł niżej, że nie ma nic wspólnego z zielonymi jabłkami. Coś innego musiało być nie tak.

Pospieszyła do swojego pokoju, naciskając dłońmi na miejsce, gdzie ból dokuczał najbardziej. Zapaliła lampę przy łóżku i zaczęła szukać książki o ciąży. Nie zaglądała do niej od czasu, gdy William wrócił z podróży, więc wydobyć ją ze szczeliny między materacem a ścianą zajęło parę chwil.

Otworzyła książkę niezdatnymi palcami. Szukając właściwego rozdziału, rozdarła jedną ze stron. Pomyślała, że trzeba zapalić górne światło, żeby lepiej widzieć, ale nawet krótka droga przez pokój wydała się jej nie do pokonania. Wreszcie znalazła właściwy fragment: ***Kiedy trzeba wezwać pomoc.*** „...W razie wątpliwości nie zwlekaj - zadzwoń. Wezwij lekarza albo karetkę. Zadzwoń do przyjaciół. Zadzwoń do męża do pracy...”

Zdała sobie sprawę, że nie może zostać w domu. Zostawiwszy książkę na łóżku, ruszyła w stronę kuchni.

Uderzył ją zapach świeżo upieczonego ciasta, usłyszała miarowe tykanie zegara na ścianie. Przebiegła wzrokiem poskładane ścierki do naczyń i krzesła wsunięte pod stół. Wszystko wyglądało tak normalnie, tak bezpiecznie.

Poczuła, że ból znowu narasta. Otworzyła tylne drzwi, spoglądając przez ciemny ogród ku szopie, gdzie obok zamrażarki stał nieużywany od tygodni rower. Popatrzyła w niebo. Było pokryte plamami chmur, grubych i ciemnych jak atrament. Ale przezierający spomiędzy nich księżyc rzucał blade światło. Nie potrzebowałyby nawet latarki, by

widzieć ścieżkę. Przez pewien czas trwała wsparta o framugę drzwi, zastanawiając się nad swoim planem. W najbliższym sąsiedztwie mieszkała rodzina Lincolnów. Małżeństwo było pewnie w pubie wraz ze wszystkimi innymi, ale mieli telefon, z którego Stella mogłaby skorzystać. Czy powinna zadzwonić do domu doktora Higginsa? Czy raczej szukać go w pubie? Starła się uspokoić i myśleć racjonalnie. Na pewno powinna zadzwonić do pubu i zamiast doktora - bo może przesadza i nic złego się nie dzieje - poprosić do telefonu ojca. Wymyśli kolejne kłamstwo.

Skuliła się, trzymając mocno klamki, gdy ból zaatakował ponownie. Tym razem trwał dłużej i tkwił jakby głębiej. Gdy minął, wyprostowała się, łapiąc pospiesznie wilgotne nocne powietrze. Żołądek podjeżdżał jej do gardła od zapachu gnijących wodorostów i kompostu. Nogi trzęsły się jak galareta. Nie da rady jechać rowerem po wyboistej ścieżce, a potem wzdłuż szosy. Z trudem stała.

Wróciła do pokoju. Rozpięta pasek i spodnie spadły na ziemię. Uwolniła nogi z nogawek i położyła się na łóżku. Gdy ból znów się pojawił, wijąc się w jego uścisku, uniosła się na rękach. Wtedy zobaczyła krew, jasnoczerwoną, rozlewającą się na narzucie płamę. Będzie musiała później namoczyć tkaninę - myślała - zanim plama zostawi trwałe ślad. W zimnej, a nie w ciepłej wodzie. To cenna narzuta. Grace przywiozła ją z Anglii.

Na tę myśl zachciało jej się śmiać. Może i była to cenna narzuta - zanim nie wyskubała pośrodku wszystkich kłaczek. Teraz narzuta była łysa jak poletko ziemniaków po zbiorach.

Ale nie śmiała się. Wiedziała, że jeśli zacznie, nie będzie mogła przestać, że na granicy śmiechu czai się panika, która z łatwością weźmie ją we władanie.

Czuła pot spływający po twarzy i pospieszne bicie serca.

Spojrzała na kamiennego anioła, starając się oddychać miarowo.

- Pomóż mi - modliła się. - Niech to się skończy.

Ale nie wierzyła, że się skończy. Bóle były coraz silniejsze. Rozdzierały jej wnętrze.

Próbowała zrozumieć, co się dzieje. Myśli kłębiły się w głowie, plątały się od cierpienia. Jeśli dzieje się coś złego, to co może zrobić tu, w domu, całkiem sama? Od miesiący nie była sama ani godziny.

Wiedziała, że to, co czuje, nie jest czymś zwyczajnym, tylko karą.

Czymś, co spotyka dziewczęta, które zachodzą w ciążę.

Czymś, co przydarza się matce, która nienawidzi swojego dziecka.

Zamknęła oczy, kolejna fala bólu szarpnęła jej trzewiami. Przypominała najgorszy skurcz, jaki kiedykolwiek miała podczas okresu, lecz jeszcze potężniejszy. Tak jakby ból wszystkich miesięcy, kiedy nie miała miesiączki - wszystkich dat w kalendarzu, których nie mogła wziąć w kółko - skumulował się w tej jednej chwili. Chwyciła brzeg materaca. Chciała wstać, iść do toalety.

Nie zdążyła. Gdy ból przeszywał ciało, musiała przeć. Nakaz pochodził z wnętrza, był siłą wymykającą się spod kontroli. Miała wrażenie, że jej ciało chce się przeniecować. Czuła się jak bladokóra, kolczasta ryba wyciągnięta włokiem z głębiny, ryba, której - wskutek nagłej zmiany ciśnienia oczy wychodzą na wierzch, a wnętrzności jak pocisk wypadają przez gardło.

Na łóżku widniała wielka krwawa plama. W świetle pojedynczej lampki wydawała się ciemna jak olej.

Ciało przestało walczyć, Stella leżała na plecach z suchymi ustami, wyczerpana. Po chwili narastający ból, jak fala, znów zabrał ją w nieznane. Poddała się potrzebie parcia. Ale tym razem ból nie chciał ustąpić. Trwał w nieskończoność. Brakowało jej tchu, rozpaczliwie chwytiała powietrze.

I wtedy z ogromnym wysiłkiem i bólem wyślizgnęła się z jej ciała gładko i lekko mała, zwarta bryłka. Stella podparła się na łokciach i spojrzała w dół.

Pośrodku łóżka leżał szary, pękaty owal umazany

krwią. Wzdrygnęła się na ten widok, odsunęła w tył, zapierając piętami o materac. Gdy odległość między nią a szarym kłębkim zwiększyła się, jasno i wyraźnie zdała sobie sprawę, że już po wszystkim. Była wolna.

Przetarła twarz dłonią, rozmazując słoną krew. Zaczęła drzeć.

Zerwała z siebie koszulę, nie bacząc na zapięte guziki. Chciała czymś zakryć ten nieład, ukryć go.

Zawahała się, patrząc na łóżko. Wiedziała, że ów szary kształt to na pół ukształtowane dziecko otulone workiem owodniowym. Zgodnie z książką poród przebiega czasem w taki właśnie sposób - dziecko rodzi się w nieuszkodzonej błonie, zawierającej łożysko i pępowinę.

Tak urodził się ojciec Jamiego. Paulina mówiła, że był „w czepku urodzony” i że to dobry początek życia dla rybaka. Dziecko urodzone w czepku nigdy nie utonie.

Stella patrzyła na srebrny kłębek. Czowała, jak łzy szczypią ją w oczy, a potem biegną po policzkach.

Wiedziała, że to dziecko nigdy nie utonie, bo już nie żyje. Było zbyt małe.

Zbyt małe, by przeżyć.

„...W obecnych czasach dziecko urodzone przedwcześnie, ale po trzydziestym czwartym tygodniu ciąży, ma duże szanse przeżycia poza macicą...”

To dziecko miało zaledwie osiemnaście tygodni.

Stella wzdrygnęła się na myśl o nieszczęsnym stworzeniu z kikutami zamiast ramion i ciałem z krwawej masy. Rozpostarła koszulę, by usunąć je z widoku.

Ale zatrzymała się. Przez okno sączyło się światło księżyca. Połączone z żółtym światłem lampki, malowało wnętrze barwami srebra i złota. Półprzezroczysta błona lśniła, a jej powierzchnia układała się w cieniutkie pliski. Odcinała się bladością, prawie jaśniała, na tle ciemnej, krwawej plamy.

Niespodziewanie Stella dostrzegła piękno tej bryłki -wyglądała jak opakowany prezent, czekający, by go wzięła w ręce.

Przysunęła się bliżej, wstrzymała oddech. Dostrzegła rząd maleńkich, zwiniętych paluszków, które napierały na błonę, jakby próbowały ją przebić. Dostrzegła zarys stopy, naciskającej na osłonę. Ręce Stelli wyciągnęły się bezwiednie. Chwyciły cienką, przezroczystą błonę i rozerwały ją. Trysnęła przezroczysta ciecz, sycąc powietrze słodką, orzechową wonią. Błona opadła, niby całun, na błądy, nieruchomy kształt. Z lekko wygiętą linią kręgosłupa przypominał kotka śpiącego w koszyku. Stella patrzyła z rozchyłonymi ze zdziwienia ustami.

Jej dłonie wciąż były zajęte usuwaniem porwanych resztek błony. Ukazała się pępowina i pofałdowane wewnątrz łożyska. Ale dziewczyna ledwie je dostrzegała. Utkwiła wzrok w twarzy.

Wygięte usta. Zadarty nos. Spokojnie zamknięte oczy.

Jej maleńkie dziecko.

Na maleńkiej twarzyczce malował się wyraz absolutnego spokoju. Mogło po prostu spać. Tyle że zupełnie nieruchome - nie było widać ani lekkiego, trzepotliwego oddechu, ani unoszącej się piersi. Podniosła je, otulając główkę i ciało dłońmi. Leżało na nich wiotkie, ciepłe. Dostrzegła meszek na główce. Białe rzęsy. Paznokcie. Zobaczyła też pomiędzy zwiniętymi nóżkami, że to chłopiec. Syn. Szloch wzbierał w jej piersi. Podniosła wzrok, rozejrzała się wokół, jakby szukając kogoś, kto by jej pomógł, kto by ją pocieszył. Dostrzegła kamiennego aniołka klęczącego na półce. Rzeźbione oczy, zamknięte podczas modlitwy, i delikatne rysy były odbiciem twarzy jej maleńkiego dziecka.

Pomóż mi - błagała.

Anioł milczał, składał dłonie w bezwolnym, nabożnym geście. Ale w jego skrzydłach kryła się obietnica siły...

Stella delikatnie ułożyła dziecko na poduszce. Pępowina, niebiesko-biała i gruba, układała się w fałdy wzdłuż brzuszka, łącząc dziecko z łożyskiem i resztkami zwiot-

czalej błony. Stella zsunęła się powoli z łóżka, nogi miała słabe i drżące. Idąc w stronę komody, wiedziała, że krew, spływająca cienką strużką po wewnętrznej stronie uda, kapie na chodnik. Wyjęła z szuflady finkę, ten sam ostry nóż, którym oddzielała uchowce od muszli i kroїła ich mięso na plastry. Chwyciła rękojeść lepką dłonią i przecięła pępownię, oddzielając dziecko od łożyska. Teraz wreszcie mogła zasłonić koszulą krwawe resztki.

Układając dziecko na poduszce, pozwoliła wodnistej krwi wyciekać z rany na brzuszku. Potem, gdy krew przestała się sączyć, górą od piżamy wycierała ciałko, póki nie stało się czyste i suche.

Przyglądała się dziecku. Wydawało się bezbronne i zmarznięte, niczym nieosłonięte przed światem. Stella spojrzała na anioła, raz jeszcze szukając w nim wsparcia. Wtedy zauważyła stojącą obok niego lalkę pannę młodą. Biała jedwabna sukienka mieniła się w blasku księżyca.

Drżącymi palcami rozłączyła haczyki i uszka haftek i zdjęła strój z plastikowego ciała Mirandy.

Starając się nie pobrudzić materiału krwią, zaniósła ubranko na łóżko. Odziała maleństwo, najpierw delikatnie wciągając sukienkę przez główkę, a potem wkładając wiotkie ramiona w rękawy.

Pochyliła się nad chłopczykiem, czule układając fałdy jedwabiu wokół jego ciała. Wyglądał jak księżę przystrojony na chrzciny w pamiątkową szatę, przekazywaną w rodzinie z pokolenia na pokolenie.

Tuląc synka do siebie, Stella podeszła do okna i usiadła na podłodze. Promień księżycowego światła padał na delikatną twarz. Skóra dziecka była prawie przezroczysta. Ciemnoróżowe żyłki układały się w koronkowy wzór na główce, rączkach i stopkach. Reszta ciała kryła się pod długą, białą suknią.

Stella trzymała maleństwo jedną ręką, a drugą głaskała puszystą główkę, wodziła palcem po zarysie oczu, ust, policzków. Wsunęła palec pomiędzy miękkie wargi, do wilgotnej buzi, by dotknąć maleńkiego języka.

Ten język nigdy się nie poruszy, usta nigdy nie wydadzą żadnego dźwięku.

Te oczy, opieczętowane na zawsze, nigdy nie będą patrzeć.

To gardło kryje w sobie głos, którego nikt nigdy nie usłyszy.

Stella zapragnęła mówić do syna. Szeptać słowa w ucho o kształcie muszli, przylegające do główki. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo jej przykro. Dopiero teraz zrozumiała, że dziecko powinno być zostać oddane. Bo dlaczego nie? Nie miało ojca. Dziadkowie go nie chcieli. A matka, która nosiła je w sobie, pozwoliła, by miłość zamieniła się w chłód.

Nie rozumiała, kim był.

Ten maleńki chłopiec.

Tuląc go do siebie, Stella wyczuwała pod bezruchem głęboką, prawie namacalną nieobecność. Jej dziecko odeszło.

- Gdzie jesteś? - pytała ciche ciało.

Wróciłeś - pomyślała - wróciłeś tam, skąd przyszedłeś. Wyobraziła sobie miejsce pełne aniołów, ogród, może ogród francuski...

Pozwoliła łzom spływać na twarzyczkę maleństwa, omywać gładkie policzki. Wilgoć połyskiwała na nich jak krople letniego deszczu na płatkach lilii.

Odchyliła małą główkę, pokazując twarz dziecka księżycowi i odległym gwiazdom. Niczego wspanialszego nie mogła mu podarować. Ono nigdy nie poczuje dotyku słońca na swej skórze. Ani smaku morza na wargach. Nie usłyszy matczynej piosenki sączącej się w jego sny.

Lekkie kroki Williama idącego korytarzem w swoich najlepszych butach brzmiały obco. Stella wcisnęła się w kąt pokoju i starannie otuliła kocem nagie ramiona. Spojrzała na dziecko przy piersi. Światło księżyca nie dochodziło do tej części pokoju. Małeńka, malowana cieniem twarz wyglądała tajemniczo, jakby znała sekrety, których Stella nie mogła sobie nawet wyobrazić.

Starła się nie słyszeć kroków zbliżającego się ojca, starała się nie myśleć, że magiczna sieć, którą utkała, nić spokoju i łagodności, która połączyła ją z dzieckiem, zostanie rozerwana.

Pochyliła głowę, ukryła twarz, gdy mężczyzna podszedł i stanął nad nią. Czuła trwogę przenikającą powietrze, ale ignorowała jego pytania. Uniosła wzrok na ułamek sekundy, dostrzegłszy matkę stojącą w drzwiach, skamieniałą, lśniąca brylantami jak królowa.

Ich głosy dochodziły z daleka. Pospieszne, pełne przerażenia słowa i zdania odbijały się rykoszetem między nimi.

W końcu William oddalił się. Stella patrzyła, jak podchodzi do łóżka. Ściągnąwszy koszulę, wziął w palce łożysko. Trzymał je w świetle lampki, obracając w różne strony.

„...Lekarz obejrzy łożysko, by sprawdzić, czy zostało wydalone w całości. Fragmenty łożyska pozostające w macicy stanowią poważne zagrożenie dla zdrowia matki...”

Grace podeszła i uklękła obok córki. Zapach różanych perfum wyparł słodki, orzechowy zapach porodu. Ujęła kosmyki włosów przylepionych krwią i łzami do policzków Stelli i zatknęła je za ucho dziewczyny.

William stanął za plecami Grace. Jego głos płynął zza jej ramienia.

- Coś musiało być z nim nie tak. Natura pozbywa się tego, co ma wady.

Stella spojrzała na niego.

- Tak jest lepiej - powiedział łagodnie. - Już po wszystkim.

Dziewczyna słyszała w jego głosie nutę skrywanego triumfu. Już po wszystkim. Nie trzeba jechać do Domu Samotnej Matki. Wstydliva tajemnica zostanie zachowana.

- To nie twoja wina - zabrzmiał głos Grace. - To nie przez ciebie. William ma rację. Musiał być jakiś powód, skoro umarło.

- Zdrowego jabłka nie da się z drzewa strzasnąć - dodał William. - Tak się mówi w przypadku niedonoszonej ciąży.

Niedonoszona ciąża. Stella szukała tych słów w głowie. Czytała o tym. O przyczynach, znanych i nieznanach. Nie miały nic wspólnego z jej dzieckiem. Ono po postu postanowiło, że nie zostanie na świecie. Ujęła rączkę dziecka, idealną miniaturkę, mniejszą od jej kciuka. Rozłożyła paluszki w kształt tyciej gwiazdy.

Zobaczyła, że William odpycha Grace na bok, by lepiej widzieć.

- Chłopczyk - powiedziała Stella.

Wygładziła jedwabną spódnicę i poprawiła koronkę wokół stopek. Potem wyciągnęła ręce, podając dziecko matce.

Gdy Grace się pochyliła, naszyjnik poszybował w stronę puszystej główki. Ręka Stelli śmignęła w powietrzu w samą porę, by powstrzymać kamienie.

Grace trzymała dziecko z dala od siebie, na wyciągniętych rękach. Córka patrzyła na jej twarz. Malowały się na niej mieszane uczucia, szok i przerażenie - jakby kobieta nie potrafiła dostrzec piękna, które miała przed sobą. Dziewczyna postanowiła je zabrać z powrotem.

- Daj mi je. - William mówił półgłosem, ale świadomość Stelli odbierała jego słowa jak ukłucia.

- Nie! - krzyknęła.

Grace zamarła, spoglądała to na córkę, to na męża. Wreszcie przyciągnęła dziecko do siebie, jakby chciała trzymać je z dala od nich.

- Daj mi go! - domagała się Stella. W jej głosie zabrzmiał przeraźliwy strach. Widziała wyciągnięte, gotowe do działania ręce Williama. - Mamo, nie dawaj go ojcu!

- On nie żyje, Stello - powiedział William chropowatym, ostrym tonem, jakby z nadzieją, że przywróci jej zdrowy rozsądek. - Trzeba go stąd zabrać.

Odwrócił się do żony, zachęcając ją gestem, by podała mu dziecko.

Stella patrzyła na matkę.

- Mamo, proszę. Daj mi dziecko.

Słowa więzły jej w gardle. Z szeroko rozwartych oczu wyzierało przerażenie.

- To nie jest dziecko - wyjaśnił William. Zmienił ton na uspokajający i tchnący rozsądkiem. - To płód. Osiemnastotygodniowy płód. Tylko tyle. - Pochylił się ku żonie. - Grace! - Podeszedł bliżej.

Ale ona go zignorowała.

- Musimy wezwać lekarza - stwierdziła, patrząc na dziecko.

- To nie jest konieczne - odparł William. - Nie na tak wczesnym etapie. Zgodnie z prawem to tylko płód. Możemy sami to załatwić. - Popatrzył na córkę, a potem znowu na Grace. - Gdybym uznał, że jest taka potrzeba, natychmiast zawiózłbym ją do St Louis. Ale nie ma oznak nadmiernego krwawienia. - Wskazał gestem łóżko. - Łóżysko jest całe. Naprawdę nie ma się o co martwić. - Wskazał na owiniętą w jedwab kruszynę w rękach Grace. - Im szybciej usuniemy to z jej oczu, tym lepiej. Widzisz, jak jest poruszona.

Grace spojrzała na córkę, jej wzrok przesunął się po nagim ciele dziewczyny, tylko w części okrytym kocem. Unikała wzroku Stelli.

Widząc, że matka odwraca się ku Williamowi, Stella uniosła się na kolanach, gotowa odebrać dziecko siłą. Zatrzymała się jednak z wyciągniętymi rękami. Chłopczyk wydawał się niezwykle kruchy ze swą przezroczystą, po-

krytą delikatnymi żyłkami skórą, z maleńkimi kończynami. Stella bała się, że jeśli chwyci za mocno, maleństwo rozpadnie się na kawałki, jak błona, w której przyszło na świat.

- Nie, proszę - jęczała. - Daj mi go.

W okamgnieniu dziecko przeszło z rąk Grace w ręce Williama, podane i odebrane w tej samej chwili. Stella otworzyła usta w niemym krzyku. Za późno. William już wychodził z pokoju i wkrótce zniknął za drzwiami.

Grace patrzyła na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał jej mąż.

- Tak będzie lepiej - powiedziała. - Tak będzie lepiej. Powtarzała to zdanie, jakby poprzez zwielokrotnienie

brzmienia mogła wzmocnić treść słów.

Stella zaniósła się wielkim, rozdzierającym szlochem. Koc spadł jej z ramion. Grace próbowała narzucić go córce z powrotem, ale Stella ją odepchnęła.

Grace bezradnie pokręciła głową.

Stella schowała twarz w dłoniach. Uniosła głowę na chwilę, słysząc, jak tylne drzwi otwierają się, a potem zamykają z trzaskiem.

- Już po wszystkim - szepnęła Grace drżącym głosem. - Teraz wszystko będzie dobrze.

*

Długie smugi światła przeciskały się między deskami tworzącymi zewnętrzną ścianę sypialenki. Do zabudowy części werandy William użył surowego, niewysuszonego drewna, które z upływem lat skurczyło się i wypaczyło. Komary, pająki, nawet myszy wchodziły i wychodziły bez trudu przez szpary. Stella leżała na pełnym wypukłości i wklęsnięć łóżku, obserwując pająka wiszącego na pajęczynie i otoczonego czarnymi plamami nieruchomych much. Podciągnęła pod szyję stary, gryzący koc. Jego ciężar przygwałdził ją do materaca. Była bezradnym strzępem, ciałem pozbawionym życia, dziurawym naczyniem.

Krew ciekła z macicy na podkładki, które Grace poleciła jej włożyć między nogi. Z oczu, dzień za dniem, ciekły słone krople mające źródło w jakimś niewyczerpanym zbiorniku. Z piersi - zamiast mleka, jak u matek - wydobywała się przejrzysta ciecz, połyskująca na brodawkach jak łzy. Ręce trzymała z daleka od ciała. Nie chciała dotknąć płaskiego brzucha, nie chciała poczuć, jak szybko odzyskała dziewczęce kształty. Już teraz wyglądała tak, jakby nigdy nie była inna. Ile dni minęło od czasu, gdy opuściła swój pokój, żeby szukać schronienia w pokoiku na werandzie? Nie wiedziała. Czas znaczyły jedynie sen i czuwanie, wstawanie do toalety i posiłki przynoszone na tacy, na ładnych serwetkach. Grace odstąpiła od diety dla chorych i zaczęła przygotowywać potrawy, które córka lubiła najbardziej. Stella siadała na łóżku i jadła - otwierała usta, żuła, połykała. Ale wydawało się, że te pokarmy jej nie odżywiają, że ciało jest osobnym, niezależnym od niej bytem, a wszystkie połączenia między żołądkiem, krwią, skórą, włosami, oczyma, uśmiechem zostały przerwane. William nie oddalał się z domu. Często stawał w drzwiach pokoiku na werandzie. Nie próbował rozmawiać z córką, bo i nie powiedziałby niczego, co ona chciała usłyszeć.

- Gdzie on jest? - spytała pierwszego ranka po porodzie. A potem pytała o to każdego dnia.
- Pochowany.
- Gdzie?

Nie musisz wiedzieć.
Nie wyjdzie ci to na zdrowie. Lepiej o tym zapomnieć.
Teraz czas patrzeć w przyszłość.
Nie powiem ci. Wiem, że tak będzie lepiej.
W ogrodzie. Tylko tyle powinnaś wiedzieć.
To nie jest grób.
To nie było dziecko.
Stella odwróciła się tyłem do okna i naciągnęła koc na

głowę, by nie słyszeć morza. Nie mogła znieść szumu fal, które podnosiły się i opadały, jakby nic się na świecie nie zmieniło. Ogarniało ją obrzydzenie na myśl o ogrodzie, o świeżo skopanych grządkach, gdzie w ziemi czekały nasiona.

I gdzie zakopane było dziecko.

Wyobrażała sobie, że jest ukryte w rozmokłym, zapomnianym kątku. Że ziemia trzyma w żelaznym uścisku jego głowę i przygniata kruche ciało. Śniła o nim. We śnie widziała, jak zadarta biała spódnica zakrywa mu twarz, odcinając dostęp powietrza do płuc. Widziała je nagie - zdjęta sukienka leżała gdzieś zapomniana.

*

Grace weszła na pokoiku, trzymając szarą walizkę. Uniosła ją wyżej i pokazała córce.

- Kto by pomyślał, że ta stara walizka znów wróci do Anglii - powiedziała. Jej głos brzmiał cicho i fałszywie, powierzchownej wesołości przeczył posępny wyraz oczu. - Nie musisz brać wielu rzeczy, tylko parę drobiazgów. Dostaliśmy kolejny list od ciotki Jane. Zabierze cię na zakupy w Londynie, jak tylko przyjedziesz. Ona wie najlepiej, jakie ubrania będą ci potrzebne. - Zamilkła, zaciskając usta. Stella nie odpowiedziała. Rozumiała, że życie wokół niej toczy się dalej, ale to życie było nierealne, nie miało z nią nic wspólnego.

Grace wyszła. Stella słyszała odgłos kroków matki, gdy weszła do dawnej sypialni córki, a potem krążyła po niej, otwierając i zamykając szuflady, wydając z nich ubrania. Dziewczyna starała się nie myśleć o swoim pokoju, o nagich sprężynach łóżka i gołej drewnianej podłodze.

Wiedziała, że materac, narzuta, koc i chodnik zostały spalone. William wyniósł je daleko od domu i oblał benzyną. Odsunął się i zapalił zapałkę. Grace zamknęła wszystkie drzwi i okna. Mimo to gryzący dym dostał się do

środka, zapach spalenizny zalegał w całym domu. Stella oddychała przez koc, przez woń środka na mole i kurz, by go nie czuć.

Wkrótce kroki znów zbliżyły się do werandy. Grace stanęła obok córki i podawała jej coś na wyciągniętej ręce. W gnieździe dłoni, niczym pisklę, leżał pokryty puchem piór i wiotkich wodorostów mały koszyczek upleciony z trawy przez Zefa.

- Sama go zrobiłaś? - spytała.

W jej głosie brzmiał błagalny ton. Stella wiedziała, że matka posługuje się tym przedmiotem jako pretekstem do rozpoczęcia rozmowy. W domu panowała zbyt dotkliwa cisza, nawet dla Grace. Stella pokręciła głową ze znużeniem. Nie miała matce nic do powiedzenia. Nikomu nie miała nic do powiedzenia.

Wyrzucić to - pomyślała - odwracając twarz do ściany.

Wszystko wyrzucić.

W końcu matka wycofała się z pokoju. Stella przyglądała się pęknięciu biegnącemu pomiędzy płytami sklejki. Było czarne i głębokie. Prowadziło w głąb konstrukcji domu. Dziewczyna zapragnęła być tak mała, by się w nie wślizgnąć i zniknąć. Ta myśl uspokajała ją, więc próbowała się w niej zatopić, ale morze było zbyt głośnie, łoskot przetaczających się fal dochodził do jej uszu przez koc. Starła się go ignorować, lecz monotonne dudnienie przypominało o rzeczywistości, drażniło, jak skrobanie paznokciem po szkolnej tablicy.

Potem usłyszała jęk wiatru smagającego okap dachu. Brzmiał jak kwilenie. Znieruchomiała, z rękoma wyciągniętymi sztywno wzdłuż boków. Wyteżyła słuch, by lepiej uchwycić dźwięk. Ktoś zagubiony wołał o pomoc.

Wiedziała, że to...

Jej dziecko szukające prawdziwego domu, swojego miejsca na świecie.

Ten dom nie jest już moim miejscem - pomyślała. Już nie. I nigdy nie będzie.

Odrzuciła koc, usiadła i sięgnęła do sterty ubrań leżących w nieładzie na podłodze. Nigdy. Stella znalazła opakowanie bożonarodzeniowej paczki od Daniela w miejscu, gdzie je zostawiła przed kilkoma miesiącami - w kuchennej szufladzie. Upewniwszy się, że ani Williama, ani Grace nie ma w pobliżu, chwyciła złożony zwitek brązowego papieru i zabrała go ze sobą na werandę. Tam oderwała adres nadawcy: strzęp w kształcie chmurki o poszarpanych brzegach ze słowami napisanymi niebieskim tuszem: ***Daniel Boyd, ul. Willowdene 125, Melbourne, Victoria.***

Resztę papieru wcisnęła za komodę z szufladami.

Potem, gdy Grace przygotowywała koloq'ę, a William rąbał drewno, Stella pospiesznie przejrzała swój dawny pokój, chwyciła kilka ubrań i zapasową parę butów i wrzuciła je do szkolnego plecaka.

Na ścianie obok łóżka dostrzegła krwawą plamkę - małą czarną gwiazdę.

Rozejrzała się wokoło. Kamienny anioł klęczał na półce, czekał. Biorąc figurkę, zawadziła łokciem o lalkę, o Mirandę. Różowe ciało spadło i potoczyło się po podłodze.

Stella przyglądała się chwilę nagiej lalce, ciemnej plamie rudych włosów. Potem odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Następnego ranka, gdy było jeszcze ciemno, a William i Grace spali, Stella skradała się po cichym domu z zapaloną latarką. W rękę trzymała karteczkę. Idąc przez kuchnię ku bocznym drzwiom, wsunęła ją pod leżącą na stole książkę z przepisami.

Zabrałam pieniądze. Dam Wam znać, gdzie jestem. Nie szukajcie mnie. Nigdy tu nie wrócę.

Co jeszcze miała napisać? ***Kocham Was. Nienawidzę Was.***

Jedno i drugie było prawdą. Żadne z tych zdań nie oddawało prawdy.

W ogrodzie starała się oświetlać latarką tylko ścieżkę.

Wiedziała, że nie wolno jej przeszukiwać ogrodu, nie wolno kierować snopu światła szerokim łukiem, przypominającym tor promieni biegnących z latarni morskiej, i wypatrywać miejsc, gdzie ziemia była świeżo skopana. Gdyby to zrobiła, zostałaby tutaj na zawsze.

Jesień to pracowita pora dla ogrodnika. Większa część gruntu już była spulchniona.

*

Świeże otwory po kulach otaczały literę H na drogowskazie do Halfmoon Bay. Uderzenia rozłupały drewno i oderwały szerokie płaty farby. Stella liczyła dziury - od jednej do jedenastu - czekając na odgłos kolejnego pojazdu zjeżdżającego ze wzgórza. Mimo wczesnej pory przejechały już samochód i ciężarówka. Schowana za krzakami *boo-byalla* Stella starała się je rozpoznać. Pierwszy pojawił się żółty holden Barronów. Pan Barron prowadził leniwie, rozparty wygodnie w fotelu, z łokciem wystawionym za okno. Dziewczyna przykucnęła, by zniknąć z pola widzenia, gdy ją mijał, i patrzyła, jak zwalnia, a potem skręca z głównej drogi. Następna była ciężarówka. Gdy się zbliżyła, Stella znów ukryła się w krzakach, bo pojazd przypominał ciężarówkę, którą widziała zaparkowaną przed przetwórną ryb.

Gdy drugi z pojazdów zniknął na drodze do Halfmoon, Stella przysiadła na małym granitowym głazie. Siadała ostrożnie, bo jej ciało wciąż było obolałe. Po przeciwnej stronie drogi, na poboczu, przycupnęła wrona. Po chwili zaczęła szarpać długim dziobem owłosione ciało martwego oposa. Stella dostrzegła strużkę krwi spływającą na środek drogi. Zdała sobie sprawę, że zwierzę zostało potrącone przez samochód, a potem zawlokło się na skraj drogi, by tam umrzeć.

Kręcąc się na twardym kamieniu, Stella czuła szelest papieru w kieszeni. Adres Daniela. Talizman, jedyna nadzieja

na przetrwanie. Spojrzała w stronę, skąd dochodził odgłos silnika. Chwyła plecak, zarzuciła go na ramię i stanęła w pogotowiu. Zbliżał się jasnoniebieski sedan. Gdy podjechał bliżej, Stella dostrzegła numery rejestracyjne z Victorii. Wyszła na drogę i pomachała.

Samochód zwolnił i zatrzymał się, skrzypiąc oponami na żwirze. Stella zmrużyła oczy przed tumanem kurzu. Gdy je otworzyła, kierowca opuszczał szybę. Była to kobieta w średnim wieku, ubrana w miejski strój.

Stella zdecydowanym ruchem odrzuciła włosy do tyłu i zmusiła usta do uśmiechu.

- Jedzie pani na północ? - spytała. - Czy skręca? Kobieta zaciągnęła się papierosem. Wypuściła dym przez umalowane usta.

- Skręca? Dokąd? Stella wskazała na znak.

- Do Halfmoon Bay. Kobieta pokręciła głową.

- Broń Boże, nigdy nie słyszałam o tym miejscu. Jadę do Hobart.

- Ja też - powiedziała Stella.

- To wskakuj, bo się spieszę.

Przechodząc na drugą stronę samochodu, Stella ujrzała swoje odbicie w lustrze. Wyglądała zwyczajnie, jak każda inna dziewczyna jadąca autostopem do miasta. Otworzyła drzwi i wślizgnęła się na siedzenie. Próbowała nie krzywić ust z bólu i nie poruszać się zbyt ostrożnie. Robiła wszystko, by wyglądać na zadowoloną.

Nie chciała, żeby nieznajoma wiedziała, iż jest dziewczyną, której ciało zostało okaleczone, a serce rozdarte.

Piętnaście lat później***Halfmoon Bay, Tasmania, 1990***

Fale stawały dęba, a potem roztrzaskiwały się z łoskotem o brzeg, bryzgając pianą i wodorostami.

Mewy kołowały nad wodą, przekrzykując chrapliwym głosem huk bałwanów.

Stella stała na brzegu i patrzyła w dal, na horyzont. Wiatr smagał jej ciało, rozwiewał włosy i kłuł w oczy. Poddała się mu, czuła jego napierającą siłę, czuła, jak ją przenika, czuła paraliżujący chłód, który dostawał się do jej krwi.

Niechby się przemieniła w posąg z zimnego kamienia, stojący tu po wieczne czasy...

Mewa usiadła nieopodal jej stóp. Odchyliła łepkę, zaskrzeczała głośno i odleciała, bijąc powietrze rozłożonymi skrzydłami. Stella patrzyła za ptakiem unoszącym się coraz wyżej, krążącym nad jej głową. Szare niebo ciemniało, światło dnia gasło.

Spojrzała w tył, ponad pasem skalistego wybrzeża ku szerokiej plaży Halfmoon Bay. W oddali majaczyły mury staq'i wielorybniczej, a za nimi maszty łodzi cumujących w rozlewisku. Zerknęła na zegarek, minęła piąta. Grace pewnie się zastanawia, gdzie córka bawi tak długo. Spinks także... A ona nie zdawała sobie sprawy, że zawędrowała aż tak daleko i że zabrało jej to aż tyle czasu.

Ruszyła plażą w stronę lądu. Pamiętała, że gdzieś w pobliżu jest ścieżka prowadząca do szosy.

Wracając ścieżką, dotrze na miejsce znacznie szybciej, niż gdyby szła wśród skał, a potem po miękkim piasku.

Ścieżka była wąska i obrośnięta krzewami. Torując sobie drogę wśród nich, Stella wdychała zapach boronii i liści drzewa gumowego. Wkrótce dotarła na zwirowaną drogę i żwawo ruszyła przed siebie.

Mimo że wysoka zieleń rosnąca po obu stronach osłaniała ją przed wiatrem, drżała

220

z zimna. Otuliła ciało ramionami. Czuła się niepewnie. Miała wrażenie, że jest narażona na wszelkie niebezpieczeństwa świata, odarta ze skóry. Targana falą ożywających wspomnień, była odsłonięta i

bezbronna. Słyszając nadjeżdżający z tyłu pojazd, zatrzymała się na skraju drogi. Ujrzała stare, czerwone kombi. Uniosła rękę w bezwiednym geście pozdrowienia, przyjętym wśród miejscowych, po czym odwróciła się, by osłonić twarz od kurzu.

Samochód zwolnił i zatrzymał się. Stella podeszła do otwartego okna po stronie pasażera i zajrzała do środka. Natychmiast rozpoznała kierowcę. Laurie wciąż nosił ten sam co przed laty skórkowy kapelusz, ciemny od potu i smaru strzelby. Włosy miał siwe, ale nadal długie i zebrane w kucyk. Z pewnością ją poznał, lecz nie okazał zdziwienia, że ją tu zobaczył.

- Podrzucić cię? - spytał.

Zgarnął stertę starych lin z siedzenia obok kierowcy na podłogę. Stella wsiadła, schylając głowę pod długą żerdzią drewna umieszczoną z tyłu samochodu i wystającą aż na jego przód. Siedziała, dotykając nogami lufy strzelby, opartej o podłogę między siedzeniami.

Samochód ruszył, zanim zdążyła przyciągnąć i zamknąć drzwi. Terkotały głośno, obijając się o nierówności drogi.

Laurie popatrzył na Stellę.

- Kiedy przyjechałaś?

- Dzisiaj.

W tej odpowiedzi zabrzmiało niedowierzanie. Jej samej wydawało się, że dotarła na lotnisko w Hobart dawno temu.

- Widziałaś się ze Spinksem? Byłaś na przystani? - dociekał Laurie.

Kiwnęła głową.

- Pojechałem aż do Sloop Rock. Szukali tam przedwczoraj, ale pomyślałem, że warto jeszcze raz zajrzeć. Niestety, niczego nie znalazłem. Zamierzałem przyłączyć się do poszukiwaczy, ale Spinks powiedział, że się zgodzi, jak zosta-

wię to. - Wskazał na strzelbę. Potem zerknął na swoją pasażerkę. Jego oczy przypominały odłamki szafirów, były zimne i niebieskie. - Cholerny Spinks. Ale i tak mnie nie powstrzyma. I tak będę robił swoje.

Stella podniosła szybę, uciszając wiatr. W stojącym powietrzu wzmógł się warkot silnika.

- Znajdą go? - spytała. Laurie patrzył przed siebie.

- Trzeba szukać. Tylko tyle można zrobić. - Umiłkł na chwilę. - Mam nadzieję, że żyje. Nie zawsze zgadzaliśmy się z twoim ojcem przez te wszystkie lata, ale zawsze go szanowałem - rzekł łagodnym głosem.

Stella spojrzała na swoje dłonie, złożone na kolanach. Nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi.

Laurie zahamował gwałtownie. Z krzaków wynurzył się kangur i wyskoczył na drogę. Zgrzytnęło, gdy zredukował bieg.

- Zawsze mija trochę czasu, nim człowiek przywyknie do samochodu - skomentował. - Mój dżip zawiódł mnie w ostatnim tygodniu. Poszła uszczelka głowicy. Musiałem pożyczyć auto od kumpla. Nieźle jedzie, jak się uda wrzucić bieg.

Przed zakrętem Laurie zahamował znowu. Drewniana żerdź ześlizgnęła się na ramię Stelli.

Odsuwając ją na miejsce, zerknęła na tył samochodu. Leżało tam wiele kawałków drewna dryftowego - cały stos. Wodziła wzrokiem po srebrnoszarym drewnie, rozpoznając kawałki desek pokładowych, bali pokrytych resztkami farby i powykrzywiane gałęzie drzew. Dobre drewno - pomyślała. Ktoś, kto je zbierał, wiedział, gdzie go szukać i które kawałki zachowają urodę, a które nie.

- Czyj to samochód? - spytała Stella.

Czuła niewytłumaczalną zazdrość, jakby to nadal było jej miejsce, a skarby morza należały do niej.

- Jednego takiego, nowego - odpowiedział Laurie. - Mieszka tu od paru lat. Lubię go. Wszyscy go lubią. Jest

inny niż cała reszta, co tu zjechała. Jacyś z kontynentu przejęli pub. Już nie podają jedzenia. Straciłem najlepszego klienta. W pubie zawsze brali mnóstwo kangurzego mięsa na pasztety dla gości. Laurie zwolnił, wjeżdżając do miasta. Stella patrzyła na mijane po drodze domy - jednopiętrowe budynki z drewna i cyny, w których tylko kominki robiono z cegły. Po długiej nieobecności wydały się jej małe. Wiele z nich sprawiało wrażenie zaniedbanych. Nawet w gasnącym świetle dnia dostrzegała łuszczącą się zewnętrzną okładzinę i łaty rdzy na dachach. Ogródki natomiast, jakby na przekór zaniedbaniom, zarośnięte były bardziej niż kiedyś. Weranda jednego z domów ginęła w gąszczu passiflory. Przed innym domostwem kawał ziemi, który kiedyś mógł być trawnikiem, porastała teraz dżungla ziemniaczanych krzaczków.

Wkrótce ukazała się przystań. Parking był w połowie pusty - większość pojazdów do transportu łodzi odjechała, zostało tylko kilka pomarańczowych aut. Tu i ówdzie stali ochotnicy ubrani w pomarańczowe stroje. Z ich zachowania Stella wywnioskowała, że w poszukiwaniach nie nastąpił żaden przełom.

Samochód zatrzymał się. Laurie wskazał klamkę na drzwiach po stronie pasażera.

- Trzeba dobrze pociągnąć.
- Dzięki za podwiezienie - powiedziała Stella.
- Nie ma za co. Dobrze, że wróciłaś.

Gdy uchyliła drzwi, wiatr pchnął je i rozwarł na oścież. Wysiadłszy, musiała użyć siły obu rąk, by je z powrotem zamknąć. Ruszyła wzdłuż parkingu w stronę przyczepy. Światło zapalone obok wejścia rzucało żółtawy blask w gęstniejący mrok. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że stoły z jedzeniem nadal stoją rozłożone, ale naczynia zostały spakowane, a kobiety zniknęły.

Stella rozejrzała się dokoła. W pobliżu pochylni dostrzegła wysoką postać. Rozpoznała włosy Grace i jej długi ciemny płaszcz łopocący na wietrze. Przy jej stopach leżał

oparty o skałę pękaty plecak Stelli. Matka stała wyprostowana i nieruchoma. Wyglądała jak wyrzeźbiona w drewnie figura zdobiąca dziób statku. Patrzyła ponad skalistym krańcem rozlewiska ku otwartemu morzu.

Stella pospieszyła w jej stronę, szukając w myślach wytłumaczenia swego tak długiego zniknięcia. Kiedy zbliżała się do Grace, pod stopami zachrzęściły drobiny żwiru. Kobieta odwróciła się gwałtownie, przestraszona.

- To ty - powiedziała z lekkim uśmiechem i pochyliła się po koszyk. - Czekałam na ciebie. Czas wracać do domu.

Córka próbowała odwzajemnić uśmiech, ale jej twarz, zmarznięta od wiatru, zdawała się należeć do kogoś innego.

Stella niosła kociołek do furgonetki. Przy każdym kroku rozlegał się chlupot resztek zupy. Plecak przewieszony przez ramię dotykał znajomym ciężarem kręgosłupa.

Grace szła obok niej. Na zgiętym ramieniu trzymała koszyk, druga ręka zwisała luźno wzdłuż tułowia. Stella umieściła gar i plecak na platformie bagażnika między stosem plastikowych pojemników. Potem obeszła furgonetkę, zmierzając do miejsca dla kierowcy. Otworzyła drzwi i siadła za kółkiem. Matka wspięła się na miejsce dla pasażera i postawiła koszyk na kolanach.

Stella włączyła stacyjkę i nacisnęła gaz w taki sposób, w jaki robił to zwykle William. Stary silnik zaskoczył. Ruszyła, przejechała obok pubu i sklepu, po czym skierowała się w stronę wybrzeża trasą prowadzącą do domu Pod Siedmioma Dębami. Dojechawszy do głównej drogi, przyspieszyła.

Po kilku minutach jazdy zerknęła na Grace - siedziała w milczeniu i nieruchomo. W niewielkiej, zamkniętej przestrzeni poza zapachem nieświeżej zupy Stella wychwyciła aromat różanych perfum. Odwróciła wzrok ku szosie i starała się sprawiać wrażenie skupionej na prowadzeniu samochodu.

Miała uczucie,

że obie z matką znalazły się w pułapce. Nie było to miejsce na rozpoczęcie rozmowy, na rozpoczęcie czegokolwiek...

Stella manewrowała ostrożnie między wybojami i dziurami oświetlonymi bliźniaczymi snopami światła, za których sprawą otoczenie wydawało się jeszcze mroczniejsze niż w rzeczywistości.

Zmierzchało już od jakiegoś czasu, ale dzień jeszcze się nie skończył, a noc dopiero nadchodziła.

Trakt wił się wśród łąk. Prowadził ku morzu. W oddali Stella widziała prostokątny, ciemny kształt i zarysy drzew. Jej stary dom. Zacisnąwszy dłonie mocniej na kierownicy, zbliżała się ku niemu powoli, by wreszcie dotrzeć na miejsce.

Zatrzymała furgonetkę przy szopie.

- Idź do domu. Nie zgaszę świateł, póki nie wejdiesz do środka - zwróciła się do Grace.

Patrzyła, jak matka spieszy ścieżką i znika w ogrodzie. W chwilę potem sama wyłączyła światła i wysiadła z samochodu. Otoczył ją zapach wilgotnych wodorostów i soli. Z tyłu auta wzięła plecak i garnek.

Stała przodem do domu.

Wydawał się większy niż ten, który miała w pamięci. Pochyły dach wyrastał śmiało ku ciemniejącemu niebu. Okna były wysokie i szerokie - puste przestrzenie zamknięte zasłonami. Stella patrzyła na fasadę i frontowe drzwi. Coś się ruszało w ciemności. Podeszła kilka kroków, dostrzegła drzewo kołyszące się i wyginające na wietrze.

Dąb Williama.

Wyrósł wysoko. Przyginane przez wiatr najwyższe gałęzie sięgały okapu dachu. Ale pień drzewa był patykowany, konary karłowate, a listowie rzadkie. Odwróciła się i ruszyła ścieżką.

Ogród Grace tworzył wzór rozmytych szarych cieni drzew, krzaków, żywopłotów - nieustannie przesuwanych przez wiatr. Idąc wśród nich, starała się zachować równy

krok i nie spuszczać wzroku z majaczących przed nią drzwi. Miała wrażenie, że cienie osaczają ją niby duchy. Za nimi czaiła się ciemność, sięgała ku niej, wyrastając z ukrytego, zakopanego pod ziemią źródła...

Poczuła ulgę, gdy w kuchni zapaliło się światło, kładąc żółtą poświatę na grządce lilii. Spieszyła ku niemu, osłaniając się garnkiem jak tarczą.

W kuchni było ciepło, a ciche powietrze wypełniał drożdżowy aromat porannych wypieków. Grace stała przy stole, nadal otulona płaszczem, i przewracała kartki w książce z przepisami. Na zmarszczonym czole malowało się skupienie.

- Pozmywasz? - spytała, unosząc na chwilę głowę, by spojrzeć na Stellę. - Ja zacznę przygotowywać zupę na jutro.

Stella zaniósła garnek do zlewu i postawiła go na ocie-kaczu.

- Spory ten garnek - zauważyła. - Skąd go masz?

- Joe przyniósł go na przystań - odpowiedziała Grace. - Zabrał garnek z pubu. Wyrzucono go podczas remontu kuchni.

- Co za rozrzutność - stwierdziła Stella.

Doznała ulgi po tej wymianie zdań. Mówiły do siebie spokojnym i uprzejmym tonem. Uświadomiła sobie, że tak właśnie będzie. Będą rozmawiały o bezpiecznych, prostych sprawach albo będą milczały. Skupiła uwagę na powierzonym jej zadaniu. Wzięła gumową zatyczkę - różową, butwiejącą, ze stalowym łańcuszkiem - i umieściła ją w otworze zlewu. Jej wzrok prześlizgnął się po dwóch druciakach do szorowania garnków, leżących obok siebie na obtłuczonym niebieskim spodecz-ku, i po starannie złożonej czerwono-białej ściereczce. Dostrzegła gąbczany zmywak na ręczce, stojący w swoim pojemniku, i zużytą w połowie kostkę żółtego mydła z kożuchem szarej piany uwiecznionej w pęknięciach powierzchni. Wszystko było jak dawniej. Odwróciła się tyłem do zle-

wu i rozejrzała po kuchni, przypominając sobie inne tak dobrze znane szczegóły. Zatrzymała spojrzenie na zegarze stojącym we wgłębieniu nad kredensem. Tykał miarowo, głośno, jakby się upierał, że czas musi płynąć. A jednak nic się nie zmieniło.

Stella popatrzyła na Grace, pochyloną nad książką kucharską, i wyszła z kuchni. Jej buty stukwały głośno o lśniące deski, gdy szła korytarzem. Gdy dotarła do pokoju morskiego, pchnęła drzwi i zapaliła światło.

Poduszki leżały rzędem na kanapie. Chodniki osłaniały podłogę. Telewizor stał na swoim miejscu obok kredensu. Nawet drewno do kominka było poukładane w taki sam sposób jak dawniej. Stella wstrzymała oddech. Wydawało się, że czas stanął w miejscu dokładnie tego dnia, kiedy stąd wyjechała - przed piętnastu laty...

Dotknęła palcami pleców fotela. Fotela Williama. Spojrzała na poduszkę, zawsze tak samo wciśniętą w kąt, o którą się opierał, by być bliżej ognia. Przeniosła wzrok na stojący przy fotelu stolik, gdzie kładł drobne przedmioty do naprawienia przywiezione z podróży. Leżała na nim gazeta, nadal otwarta, nieprzeczytana do końca.

Obok gazety stał kubek do kawy Williama - pamiątka ze statku lorda Nelsona „HMS Victory”. Stella podniosła go, poczuła w palcach gładki ciężar. Obróciła kubek i przeczytała słowa: „Anglia oczekuje, że każdy człowiek wypełni swój obowiązek”. Na tym słynnym cytacie Stella uczyła się czytać.

Pamiętała, jak William wymawiał poszczególne wyrazy. Dawno temu, gdy trzymała go ostrożnie małymi rączkami, kubek wydawał się jej o wiele większy...

Zaniosła naczynie do kuchni. Matka spojrzała na nią z niemym przerażeniem, przewracana kartka znieruchomiła w powietrzu.

- Co ty robisz?

Grace wpatrywała się w kubek.

- Odkładam go na miejsce - odpowiedziała Stella, podchodząc do serwantki.

W okamgnieniu Grace znalazła się obok niej. Wyjęła kubek z rąk córki i zniknęła w korytarzu. Stella słyszała kroki zmierzające do pokoju morskiego. Po chwili matka wróciła z rozpalonymi policzkami.

- Nie wolno ci ruszać jego rzeczy - rzuciła. - Nie dotykaj ich.

- Przepraszam - bąknęła Stella.

- Chcę, żeby wszystko było tak jak dotychczas - obwieściła stanowczo Grace.

Mówiąc to, zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu krzesła. Potem opasała się czystym fartuchem.

Związała z tyłu tasiemki i wróciła do książki z przepisami. Przebiegła wzrokiem w dół strony, marszcząc czoło w głębokim skupieniu.

Córka patrzyła na nią z niepokojem. Matka była chyba przekonana, że jeśli wybierze właściwy przepis i przygotuje dostatecznie dużo jedzenia, przywiedzie męża bezpiecznie do domu - do nieprzeczytanej w całości gazety i gorącego kubka herbaty. Stella przypomniała sobie słowa Pauliny o tym, że Grace chorowała i przez długie lata ludzie prawie jej nie widywali. Stelli przemknęło przez myśl przerażające podejrzenie, że matka powoli popadała w obłąd, kryjąc się w domu i obcując wyłącznie z Williamem. Stało jej przed oczyma minione piętnaście lat: reakcją Grace na wyjazd córki - i wszystko to, co się wydarzyło - było całkowite oddanie się mężowi i domowi.

Stella zamknęła oczy, szukając ucieczki przed tą myślą. Miała wyrzuty sumienia. Ale przecież, napomniała samą siebie, to nie jej wina, że nie potrafiła wrócić, tutaj, do nich...

Wyjęła z szuflady drewnianą łyżkę i zaczęła nią skrobać garnek. Potem nalała wody do zlewu, trzymając pod gorącym strumieniem ażurowy woreczek z mydłem. Przybywało bąbelków, chłodna piana rosła na jej dłoniach.

Stella spojrzała w okno. W ciemnej szybie ujrzała odbicie swojej twarzy. Czarne oczy, jasna skóra.

Potargane przez wiatr włosy sterczały na głowie, sprawiając, że twarz wy-

dawała się drobniejsza. Trudno było dostrzec szczegóły -zmarszczki wokół oczu i ust. Wyglądała młodo, prawie jak dziecko.

Gdy skończyła zmywać, Grace wręczyła jej nóż i deskę. Stella miała szatkować cebulę.

- Mnożę wszystko przez dziesięć - wyjaśniła Grace. -Czyli dwadzieścia cebul. Worek jest w spiżarni.

- Wzięła drugą deskę. - Pomogę ci.

Stella obrała cebulę z kruchych, brązowych łupin. Potem podzieliła ją na pół i zaczęła kroić w plastry.

Matka ją obserwowała.

- Dziwnie to robisz - stwierdziła.

- Tak? - Stella wzruszyła ramionami. - Od lat niczego nie gotowałam.

Grace patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- To prawda - odparła Stella. - Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz byłam w kuchni. Ludzie zwykle nie lubią wpuszczać tam obcych - w kawiarniach, hotelach czy nawet w domach. Słusznie podejrzewają, że nic nie zjesz, jak zobaczysz, gdzie jedzenie zostało przyrządzone.

- Dlaczego? Mają brudno?

Mówiąc to, Grace obrzuciła błyskawicznym spojrzeniem własną nienaganną kuchnię.

- Często dlatego, że wszystko jest czarne. Gotuje się na ogniu z węgla drzewnego, a nie ma za wiele wody do mycia - odpowiedziała Stella. Była rada, że mogą porozmawiać o życiu ludzi w najdalszych zakątkach świata. - Nie mają elektryczności. Jedyne światło dają lampy naftowe. Jak na kempingu.

Ale gdy widzą cudzoziemca, trudno im sobie wyobrazić, by gotował w takich warunkach. W wielu miejscach jest brudno. Widać to po podawanym jedzeniu, po tłustych talerzach i łyżkach. Czasami trzeba się zmuszać do przełknięcia czegokolwiek.

- To dlatego jesteś taka chuda? - spytała Grace, spoglądając na talię i biodra córki.

Stella poczuła, że sztywnieje pod tym bacznyym spojrzeniem.

- Nie. Ja jem. Ale nie tak dużo jak kiedyś.

- Lubiałaś jeść - wspomniała Grace. - Miałaś dużo ulubionych potraw.

Stella patrzyła w milczeniu, zastanawiając się, jak wyjaśnić, że jedzenie kojarzy się jej z przemocą i bólem. Wreszcie przemówiła.

- Siadywałam przy stole z oprawcami, zmuszałam się do jedzenia potraw, których dotykali. Raz widziałam nawet ślady krwi na rękawie koszuli pewnego mężczyzny. Innym razem jadłam mięso, które nazywano wieprzowiną, ale wiedziałam, że jest zbyt słodkie i zbyt jasne...

Grace szeroko rozwarła oczy. Pochyliła głowę nad deską.

Stella skończyła krojenie cebuli. Gryzące opary sprawiły, że łzy pociekły jej po policzkach, spływając aż na stół.

Patrzyła na mokre ślady ze zdziwieniem. Nigdy nie płakała. Ludzie często komentowali jej opanowanie w obliczu tragedii. Ofiary lgnęły do niej, gdyż myliły pustkę jej wnętrza z siłą. Stellę Boyd nazywano kobietą o sercu z kamienia, dziennikarką, która stała się zbyt twarda. Nikt nie wiedział, jak często żałowała, że nie potrafi płakać.

Przetarła oczy ścierką, a gdy po chwili uniosła głowę, spostrzegła, że policzki matki także są wilgotne. Łzy swobodnie spływały po jej twarzy. Grace podniosła rękę i otarła je. Palce jej drżały.

Czując spojrzenie córki, odwróciła się.

- Boję się - powiedziała cicho, jakby w obawie, że ktoś ją podsłucha. - Co będzie, jak on nie wróci?

Stella patrzyła na nią w milczeniu. Poczowała, że ogarnia ją żal, ale nie znajdowała słów pocieszenia. Nie mogła sobie wyobrazić, co zrobiłaby Grace, gdyby jej mąż umarł.

Był dla niej wszystkim. Nie miała nikogo innego.

Grace pociągnęła nosem i znowu otarła oczy. Potem podeszła do zlewu i wzięła z suszarki garnek.

- Podaj mi ścierkę - zwróciła się do Stelli. - Musimy się pospieszyć z tą zupą, bo robi się późno.

*

Stella przyciskała do piersi naręczce podniszczonej pościeli pachnącej lawendą. Szła korytarzem ku drzwiom werandy. Po lewej był jej dawny pokój. Zbliżała się do niego z każdym krokiem. Światło sączyło się ze szpary uchylonych drzwi. Pomyślała, że to Grace musiała zostawić je zapalone, gdy weszła tam po poduszkę i kołdrę.

Zatrzymała się i pchnęła drzwi.

Wąskie łóżko było nakryte nową narzutą zrobioną z turkusowej, pikowanej bawełny wykończoną pomarańczową falbanką. Na podłodze leżał mały chodniczek - miękki włos był nieużyty i nieskazitelnie czysty. Wszystkie rzeczy znajdowały się na swoich miejscach: wstęgi sportowych oznaczeń, fotografie, książki... Oczekiwano powrotu Stelli. Tak jak teraz Williama.

Już od drzwi widać było kurz pokrywający powierzchnie mebli. W pokoju panował nastrój świątyni - miejsca poświęconego pamięci dziecka, którym kiedyś była.

Jej palce zaczęły szukać wyłącznika, ale wzrok zatrzymał się na bladym kształcie - Miranda, chodząca lalka, leżała na półce obok innych lalek, nadal naga. Stella przyglądała się sztywnym kończynom, krzywiźnie krągłego torsu.

Na wspomnienie drżących, umazanych krwią palców, rozbierających lalkę z białego ślubnego stroju, zacisnęła powieki.

Z zamkniętymi oczami wyłączyła światło. Gdy je otworzyła znowu, ujrzała inną scenę. W ciemności biegł promyk księżycowego światła. Padał od okna na podłogę - ten sam srebrny blask, który okalał maleńką twarzyczkę dziecka, gdy Stella pokazywała mu piękno gwiazd...

Kopnięciem otworzyła drzwi werandy i rzuciła pościel na stolik. Na łóżku leżała stara, kremowa zasłona, upstrzo-

na odchodami pajaków i zdechłymi muchami. Ściągnęła ją, odsłaniając gruzłowaty materac pokryty wyspowym płótnem w paski. Sięgnęła po prześcieradło i rozłożyła je byle jak na materacu. Znieruchomiała na moment, by posłuchać wiatru i morza. Po zmroku silny wiatr zamienił się w prawdziwy sztorm. Fale biły o brzeg, pobrzękiwały metalowe części dachu. Starła się nie myśleć, co to oznacza dla poszukiwań, dla Williama.

Odwróciła się, podniosła plecak i wysypała rzeczy na stół. Pogrupowała zawartość w niechlujne kupki: ubrania, sprzęt, przybory toaletowe. W kącie stała komoda z szufladami. Włożyła do niej jedynie zakurzoną zasłonę zdjętą z materaca.

Stała na niewielkiej przestrzeni między łóżkiem a stolikiem, rozwijając jedwabną chustkę osłaniającą kamiennego anioła. Znajomy ciężar, który obracała w dłoni, dodawał jej otuchy. Odwinęła rzeźbę i postawiła ją na stoliku, przodem do łóżka. Patrzyła na spokojną, drobną twarzyczkę i myślała o Danielu. Zadzwoiła do niego z lotniska w Melbourne - między jednym a drugim lotem.

Rozczarowała się, słysząc powitanie automatycznej sekretarki. Głos Daniela brzmiał jasno i radośnie. „Miles i Daniel wyjechali na zasłużone wakaq'e. Zostaw wiadomość, oddzwonimy po powrocie”.

Stella poczuła ciepło rozlewające się po jej wnętrzu, gdy odtwarzała w myślach tę wiadomość.

Wyobrażała sobie twarze ich obu, Daniela i Milesa. Przypominała sobie, w jaki sposób na nią patrzyli: jak na bezcenny dar. Dziewczynka. Córka dwóch mężczyzn, którzy nigdy nie byli ojcami. Uśmiechała się do siebie na myśl o tym, że leżą pod palmami na Bali, obsługiwani przez wdzięcznego młodzieńca, i pokpiwają z własnych, nadszarpniętych zębem czasu figur.

Ściągnęła buty i rzuciła się na łóżko w ubraniu, próbując zebrać siły, by wrócić do wnętrza domu i się umyć. Czowała chłód wiatru przenikającego przez szpary w ścianach. Od

miarowego huku falomal nie drżały szyby w oknach. Jej uszu dobiegł też inny dźwięk, nakładający się na łoskot sztormu. Dziwne, głuche dudnienie. Uniosła głowę, by lepiej słyszeć, zaciekawiona. Wtedy przypomniała sobie, że słyszała już kiedyś podobny dźwięk podczas najstraszniejszego ze sztormów. Ojciec wyjaśnił jej wtedy, co to takiego. Woda unosiła głazy z nadbrzeża i ciskała nimi w dal - giganci grali w kości.

Skalna grzechotka - mówił William. Odnotował to w dzienniku dotyczącym pogody. Pamiętała, jak zaglądała mu przez ramię, gdy pisał. Uznała, że wyrażenie „skalna grzechotka” nie pasuje do takich słów jak cumulus, stratus, nimbus. Wydawało się zbyt proste i twarde.

Nagle, wpatrzona w sufit z pajęczynami, doznała olśnienia.

Dziennik...

Uświadomiła sobie, że w nim trzeba szukać informacji. Szczegóły ostatniej podróży Williama będą na samym końcu. Może znajdą się tam zapiski, które pomogą w poszukiwaniach. Ale Spinks nie wiedział, że taka książka istnieje, jeśli Grace nie pomyślała, by mu o niej powiedzieć.

Stella odrzuciła koc i spuściła nogi na zakurzoną podłogę. Weszła do domu i ruszyła korytarzem, stąpając ostrożnie. Zatrzymała się pod sypialnią rodziców, nasłuchując, czy matka śpi, ale za zamkniętymi drzwiami było cicho. Poszła więc dalej, do pokoju morskiego.

Podchodząc do ciemnej bryły kredensu ciotki Jane, przypomniała sobie, że szuflada, w której leżał dziennik, zawsze była zamknięta, a jedyny klucz miał William. Zatrzymała się, rozejrzała niepewnie. Potem podeszła do kominka i wzięła pogrzebacz - miał cienkie, ostre zakończenie. Wróciwszy do kredensu, wsunęła koniuszek pogrzebacza w szparę nad szufladą. Posłużyła się nim jak lewarkiem, naparła całym ciężarem ciała. Rozległ się trzask pękającego drewna. Próbowała kilkakrotnie, nim szuflada ustąpiła. Stella wyjęła z niej ciężki, oprawiony w tkaninę notes.

Zaniosła go na stół i zapaliła lampę. Z otwartego notesu buchnął znajomy zapach starego tuszu i oleju silnikowego i przywołał na krótką, bolesną chwilę obecność Williama. Zupełnie jakby stał obok... Szybko przeczuciła kartki w poszukiwaniu ostatnich notatek. Przejrzała opis morza i wiatru, zatrzymując się dłużej na liczbie złowionych langust i lokalizacji zastawionych pułapek. Czytała uważnie. Spostrzegła, że William łowił na wodach głębszych niż zazwyczaj. Ale podążał jednym z najlepiej znanych sobie szlaków po zachodniej stronie wyspy Standaway. Nie znalazła niczego nadzwyczajnego.

Odsunęła dziennik. Spojrzała na zniszczoną szufladę. Wiedziała, że matka będzie zła, gdy ją zobaczy, zwłaszcza że działania Stelli nie przyniosły żadnego pożytku. Już miała odłożyć księgę na miejsce, gdy jej wzrok padł na lewą stronę otwartego tomu, na gruby plik kartek zapisanych obustronnie. Używał tej książki, jak tylko sięgnęła pamięcią. Znajdowały się w niej notatki z kilkudziesięcioletnich obserwacji pogody. Za ich pomocą próbował rozszyfrowywać zmieniające się stale warunki atmosferyczne, siłę i kierunek wiatru, stan nieba i morza.

To był zapis życia Williama...

Ręce Stelli poruszały się bez jej woli, kartkowały księgę, rok po roku, w poszukiwaniu siedemnastego dnia maja 1976, poniedziałku...

Nagle zapragnęła się dowiedzieć, co ojciec wtedy napisał, jakie szczegóły dotyczące pogody i nieba przyciągnęły jego uwagę w dniu, kiedy jego córka odeszła.

I oto były. Jej palce przywarły do pożółkłej ze starości strony.

Moje serce pękło. Trudno mi oddychać. Ból jest tak wielki. Moje dziecko odeszło.

Patrzyła na słowa. Niezręcznie uformowane litery odciskały się mocno na papierze. Czytała je kilkakrotnie. Spojrzała na kolejne strony - zawierały zwykłe raporty pogodowe ujęte w lakonicznych słowach. Może dlatego

pojedyncze świadectwo wybuchu wielkich emocji było aż tak zaskakujące. Doszła do zapisków zrobionych w rok od jej wyjazdu. Wtedy, mniej więcej, gdy William przysłał jej swój pierwszy list. Grace zaczęła pisać, ledwie Daniel jej na to pozwolił, gdy uznał, że dziewczyna jest dostatecznie silna. William natomiast milczał przez długie miesiące. Potem przyszła koperta zaadresowana tą samą ręką, która spisywała staranne raporty pogodowe. W środku znajdowała się pojedyncza kartka. Między formalnymi pozdrowieniami a uwagami na temat połowów była krótka wiadomość:

Widzę, że mogłem popełnić błąd. Byłoby najlepiej, gdybyś wróciła do domu.

Czytając te słowa, Stella zapłonęła gniewem. Promyk ciepła rozpalony przypuszczeniem Williama, że mógł się pomylić, zdusiła sugestia, by wróciła do domu. Nie uwierzyła, że żałował swojego postępowania. Chciał jedynie odciągnąć ją od Daniela i znów przejąć nad nią kontrolę. Czuli, że czeka, gotów ponownie zawładnąć jej życiem.

Wrzuciła list do ognia.

Lampa rzucała szare cienie na strony dziennika, gdy Stella przerzucała je, jedną po drugiej. Wreszcie znalazła datę, której szukała. Siedemnasty maja 1977 roku.

Wyrzuty sumienia przepelniają moją duszę. Towarzyszą mi dniem i nocą, na lądzie i na morzu. Nie mam się gdzie skryć. Czasu i fal nie da się cofnąć. Gdybym mógł wrócić do tamtych chwil i być kimś innym. Kimś dobrym.

Stella patrzyła na tę stronę, błędziła palcami po słowach, jakby chciała je poczuć, zatrzymać.

Zamknęła książkę i przytuliła ją do piersi.

14

Poranne światło ślizgało się po morzu, ogarniając pirs różowawym blaskiem. Stella stała nieopodal pochylni z po-

232

marańczową kamizelką i kombinezonem przewieszonymi przez ramię. Czowała w sobie napięcie, niepewność, bolesny ucisk w żołądku. Czekwała, miała przyłączyć się do grupy ratowników. Zaczęła spacerować tam i z powrotem, starając się ulżyć rosnącemu zniecierpliwieniu. Nocny sztorm przeszedł szybko nad Halfmoon Bay i pogoda z wolna się poprawiała. Kilka łodzi już wypłynęło, a dwa zespoły lądowe odjechały minibusem. Ale drużynie, do której przydzielono Stellę, nie powiedziano jeszcze, co ma robić. Czysta strata czasu.

Spojrzała na miejsce, gdzie stało kilku wolontariuszy. Widziała wśród nich dowódcę drużyny, rudowłosą kobietę o imieniu Wendy. Gdy Stella i Grace przyjechały tego ranka na przystań, Spinksa nie było. Dlatego Wendy spisała dane Stelli.

- Nazwisko? - spytała, trzymając pióro nad blokiem z zapiskami.

- Stella Boyd. To znaczy Birchmore. Wendy rzuciła jej krótkie spojrzenie.

- Jestem jego córką - wyjaśniła Stella.

Kobieta patrzyła teraz z uczuciem sympatii i powątpiewania.

- To trochę niedobrze, gdy członkowie rodziny uczestniczą w poszukiwaniach - powiedziała. - Ale rozumiem, że każdy chce brać udział. Pomóc...

Wendy była szybka i skuteczna, jakby zależało jej na każdej minucie. Teraz, czekając na instrukcje, stała tyłem do Stelli i przesuwała nogą w tę i z powrotem niewielki kamyk. Obok niej jakiś mężczyzna naprawiał rozerwaną kamizelkę. Kilka innych osób siedziało na ziemi z głowami wspartymi na rękach.

Stella odwróciła się od nich. Spojrzała ku miejscu, gdzie wśród szmeru rozmów i stukotu naczyń kobiety rozstawiały stoły. Widziała między nimi Grace, grzejącą ręce o garnek z zupą. Obok niej Joe kroił ciasto. Stella zastanawiała

się, czy nie podejść i nie zaproponować pomocy, skoro i tak beczynnie czeka.

Nagle usłyszała chrapliwy głos radionadajnika. Zobaczyła, że Wendy chwytła aparat przypięty do paska i przykładła go do ucha. Stella ruszyła spieszenie w jej kierunku.

- Przyjęłam. - Wendy wsunęła odbiornik na miejsce i zwróciła się do mężczyzny stojącego obok niej.

- Chłopaki z Hobart odwołali poszukiwania. Na północy wydarzyło się jakieś inne nieszczęście.

Mężczyzna skinął głową.

- Zrobiliśmy parę dobrych podejść. Biedak nie żyje. Wszyscy to wiemy. Tak długo szuka się tylko umarłego.

Stella podeszła bliżej. Chwyciła Wendy za ramię.

- Z kim pani rozmawiała? Kto podjął taką decyzję? Wendy odwróciła się. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiedziałam, że pani tu stoi. - Przerwała, patrząc na kolegów. -

Obawiam się, że taka jest prawda. Odwołano poszukiwania. Zakończono poszukiwania.

- To niemożliwe! - zaprotestowała Stella. - Nie wolno im przerwać poszukiwań. Muszę znaleźć Spinksa. Myśli pani, że on wie?

Kobieta wskazała dłonią radiotelefon u paska.

- To on przekazał mi wiadomość z Hobart.

Stella patrzyła na nią oniemiała. Odwróciła się, potknęła na nierównej ziemi, na wprost niej stał mur z kremowych cegieł. Pomnik Żeglarzy. Patrzyła tępym wzrokiem na tabliczki.

James Maitland rybak z Halfmoon Bay Morze daje i morze zabiera

Michael Maitland, ojciec Jamesa Maitlanda rybak z Halfmoon Bay Morze nie zna litości

Poczuła rozlewający się po jej wnętrzu ból. Widziała słowa, które wkrótce tu się pojawią, wyryte w twardym metalu.

William Charles Birchmore rybak z Halfmoon Bay... Stella odczuła sens tej straty, prosty i głęboki, nie tylko utraty ojca, którego znała, ale także ojca, który napisał tak niezwykle, tak serdeczne słowa w dzienniku. **Kimś innym. Kimś dobrym.**

- Nie można odwołać poszukiwań - powiedziała cicho do siebie.

Odwróciła się tyłem do muru i odeszła szybkim krokiem w stronę przyczepy.

Stała przed mapami, które Spinks przypiął na ścianie. Śledziła bieg czarnych linii tras Williama, kontrastujących z jasnoniebieskim tłem morza. Potem przyjrzała się terenowi poszukiwań i przebiegowi oznaczonych różnymi kolorami akcji prowadzonych z powietrza i na lądzie. Spostrzegła, że działania na lądzie były zamarkowane dwoma odcieniami przedstawiającymi dwie dalsze kategorie poszukiwań: skoncentrowanych i rozproszonych. Wszystkie sektory były odhaczone, szukano już wszędzie.

Przestudiowała każdy szczegół mapy. Poczuła uderzenie adrenaliny, umysł miała jasny, wzrok wyostrzony. Poszukiwania z powietrza objęły teren całego wybrzeża - na północ i na południe od Halfmoon Bay. Skoncentrowane poszukiwania lądowe prowadzono na wyspach, wokół których William zwykle łowił, oraz obszarze na południe od zatoki. Poszukiwania na północy były oznaczone jako „rozproszone”. Stella pokiwała głową - zgadza się, żadna z tras Williama nie prowadziła na północ, a dominujące prądy znosiły wszystko w stronę południa.

Nagle struchlała, dreszcz przebiegł jej po plecach. William wypływał w jeszcze jedno miejsce.

Miejsce, o którym nie wiedział nikt poza nią.

Zabrał ją tam tylko jeden raz. Morze było wzburzone, a wszystkie wyciągane kosze puste.

- Chyba musimy skryć się w spiżarni - zdecydował wtedy.

- Co to takiego? William puścił do niej oko.

- Moja zaciszna kryjówka.

Popłynęli na północ wzdłuż wybrzeża, daleko poza obszar, na którym zwykle łowiły inne łodzie. Przepłynęli obok zatoczek Stelli i przedarli się za następny cypel. Tam bez uprzedzenia William wyłączył silnik. Stella sprawdziła na mapie. Byli nad łachą piasku.

- Tu nie ma rafy - zaprotestowała.

- Racja - przyznał z uśmiechem. - Ale jest stary wrak, którego nie ma na mapie. Niewielki, lecz wystarczająco duży, by zarosnąć wodorostami i stać się domem dla paru langust.

Tam, w owej spiżarni, połów był udany. Kiedy sposobili się do powrotu, William zobowiązał córkę do zachowania tajemnicy. Powiedział jej, że rzadko dociera w to miejsce i nigdy nikomu o nim nie wspomniał.

Stella podeszła bliżej mapy. Przesunęła palec wzdłuż wybrzeża, za zatoczki, w stronę miejsca, gdzie była spiżarnia. Dzielila ją od brzegu niewielka zatoka w kształcie podkowy. Mapa wskazywała, że przeprowadzono tam „rozproszone” poszukiwania na łądzie, a zatem zaledwie paru ludzi obeszło okolicę. Łatwo mogli coś przeoczyć.

Stella zmierzała drogą biegnącą wzdłuż linii brzegu, minęła zakręt do domu Pod Siedmioma Dębami i pojechała dalej. Zimne powietrze pełne żwirowego pyłu przenikało przez dziurawe od rdzy drzwi furgonetki. Sięgnęła po stary sweter Williama, który znalazła pod siedzeniem, i włożyła go, nie przerywając jazdy.

Spoglądała w dół ku wybrzeżu i odnajdywała charakte-

rystyczne punkty krajobrazu. Wiedziała, że za następnym cyplem droga się urwie. Kiedy przed stu laty budowali ją skazańcy, ciągnęła się jeszcze jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Ale gdy zamknięto kopalnię cyny i nikt już tamtędy nie jeździł, drogę zarosły krzewy. Stella postanowiła zaparkować wóz u jej krańca i dalej pójść pieszo.

Nie będzie tam długo - myślała. Nie będzie patrzyła przez drzewa i krzaki na swoje zatoczki, na plaże w kształcie półksiężyca, okolone granitami i omywane turkusem morza. Nie pozwoli oczom powędrować ku najgłębszej zatoczce, gdzie schronił się przed sztormem „Tailwind”, gdzie ona i Zef napisali swoje imiona na piasku.

Teraz plaża należy do nas - dźwięczało jej w głowie.

Droga już się kończyła, zniknęły białe drogowskazy. Trawa rosła na żwirze, rozmywając krawędzie szosy. Stella znalazła miejsce na tyle szerokie, by mogła zawrócić, i zaparkowała. Chwyciła pomarańczowy niezbędnik, który dostała od Wendy. Była w nim butelka wody, deszczowiec, gwizdek i stare, pomarszczone jabłko, które leżało między papierami Spinksa na stole w przyczepie. Zrzuciła plecak na ramię i ruszyła do miejsca uznawanego za kres szosy. Wiedziała, że po jej prawej ręce busz schodzi stromo ku morzu, ku jej zatoczkom... Starła się patrzeć tylko przed siebie. Za ostatnim zakrętem przystanęła zaskoczona. Sponad koron rzewni, na wprost niej, wystawała bania cerkwi. Wisiała w powietrzu jak zjawa - cebulowata kopuła pomalowana na niebiesko i złoto. Poszła dalej, patrząc z niedowierzaniem. Powoli zaczęły wyłaniać się spomiędzy pni fragmenty drewna, szkła i falistej blachy. Stella głęboko nabrała powietrza. Ktoś tu coś zbudował, coś z widokiem na zatoczki. Ogarnęła ją nagła złość, ale zaraz potem doznała ulgi. Miejsce zajęte przez przybysza stało się częścią normalnego świata, zostało pozbawione swej mocy.

Niebawem budowla stanęła przed nią w całej okaza-

łości. Ściany mieniły się barwami tęczy dryftowego drewna - resztki kolorów w rozmaitych odcieniach ułożone jeden obok drugiego. Duże okna tkwiły w ramach z wydobytego z morza drewna limbowego, eleganckie szare gałęzie okalały parapety. Nie był to duży dom. W gruncie rzeczy wyglądał jak chata. Ale wznosił się wysoko, miał trzy kondy-gnaq'e. Najwyższe piętro zwieńczone było czaszą. Na jej krzywiźnie znajdowało się okno z balkonikiem. Stella domyślała się, że można z niego obserwować zatoczki. I czuć powiew wiatru na twarzy...

Patrzyła z zapartym tchem. Dom był piękny, podobał się jej pod każdym względem. Taki dom wybrałaby dla siebie, gdyby kiedykolwiek zapragnęła go sobie stworzyć.

Obeszła duży ogród. Był otoczony płotem z drewna zebranego na plażach i umocniony starymi sieciami rybackimi z dyndającymi korkami i bojkami. W środku, pod wiatą, dostrzegła błysk czerwieni i chromu. To tu mieszka kumpel Lauriego - pomyślała. Przybysz z kontynentu.

Ruszyła prawie biegiem, chcąc się oddalić, zanim zostanie zauważona. Ale plecak zsunął się jej z ramienia, więc przystanęła, by go poprawić.

Poczuła za sobą czyjaś obecność, usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła się, mówiąc:

- Przepraszam, ale muszę tędy przejść, żeby... Słowa zamarły jej na ustach.

Zobaczyła przed sobą mężczyznę.

Oniemiała, dała się schwytać w pułapkę jego spojrzenia, jego oczu. Zielonych, w kolorze morza.

Prąd przebiegł między nimi, przebłysk rozpoznania. Stella chwyciła rzemyk plecaka. Nic nie było rzeczywiste, ani ziemia pod jej stopami, ani niebo nad nią.

- Stella.

Głos zdawał się dochodzić z daleka.

- Zef.

Dźwięk imion zawisł w powietrzu, wpleciony w promienie słońca wyłaniające się zza chmur.

Stella oddychała z trudem, jego obecność rozsadzała jej płuca. Nie mogła znaleźć słów. Uczucia kłębiły się w sercu - szok, zdziwienie, zakłopotanie, ból...

Wtedy usłyszała swój głos łagodny i wyraźny:

- Co ty tu robisz?

Chociaż inne słowa cisnęły się na usta: Nie wróciłeś, a ja na ciebie czekałam. Obiecałeś wrócić. Otuliła ciało ramionami, jakby chciała utrzymać je w całości. Czowała, że gruba dziergana wełna przywiera do niej i chroni ją niby tarcza.

Zef nie odpowiedział. Patrzył na Stellę. Wodził oczyma po jej twarzy, włosach, szyi.

Odwróciła wzrok. Spojrzała na wybrzeże, wyobraziła sobie Williama i „Lady Tirian” czekających na nią. Ta myśl przywróciła ją rzeczywistości. Pośpiesznie ruszyła drogą.

- Tam go nie ma - powiedział Zef. Stella zatrzymała się i spojrzała za siebie.

- Przeszukaliśmy okolicę trzy dni temu - dodał. - Wypłynąłem w morze. Byliśmy przy wszystkich wyspach. Nie ma po nim śladu. Ani po łodzi...

Wciąż miał ten sam, delikatny głos i nieokreślony akcent chłopca, który przybył znikąd...

Zawahała się, czując, że coś ją ku niemu popycha. Ale myśli znów pobiegły ku Williamowi.

Odwróciła się i poszła przed siebie.

Czowała, że Zef nadal stoi i patrzy. Potknęła się o kępkę trawy, ale odzyskała równowagę i poszła dalej.

Minęła rząd pomalowanych kamieni znaczący koniec szosy i pospieszyła wzdłuż dzikiego traktu.

Obraz jego twarzy rósł przed nią z zaskakującą wyrazistością: wystarczyła ta krótka chwila, by każdy jej szczegół wrył się w pamięć Stelli. Tak jak dawniej jego włosy pokryte były słonecznymi pasmami i potargane nad czołem, lecz krótsze. Jego skóra nosiła ślady letniej opalenizny. Delikatne zmarszczki okalały oczy i usta. Jego usta... Niezmiennie

wygięte w kształt łuku, były teraz bardziej stanowcze, zacięte.

Pamiętała ich dotyk na swojej skórze. I ciepły ciężar jego dłoni na swoich ramionach.

Odezwały się wspomnienia dawnych doznań. Szesnastoletnia dziewczyna, którą pogrzebała tak dawno, budziła się i chciała iść ku światłu.

Stella zepchnęła ją w głąb siebie z bezwzględnością zrodzoną ze strachu. Gdyby pozwoliła jej ożyć, wróciłby ból. Długie lata kuracji poszłyby na marne. Wszystko, czego Daniel i Miles nauczyli swą adoptowaną córkę - jak znowu się śmiać, jak strzelać korkiem szampana do grządki lilii, jak mierzyć się po przebudzeniu z kolejnym dniem - zostałyby zaprzepaszczone.

Spieszyła się, patrzyła w ziemię na gałązki, liście, uciekające bezładnie robaki, które miażdżyła stopami. Serce głośno waliło jej w piersi - uwięziona w ciele Stelli dziewczyna chciała się wydostać. Owładnięta jej mocą, przez chwilę wyobraziła sobie, że biegnie do Zefa. Widziała, jak on czeka z rozpostartymi ramionami. Poczowała jego silne ciało.

Ale zaraz ogarnęła ją pustka. Co miałyby mu powiedzieć? Jak miałyby zacząć opowiadanie o tym, co ją spotkało, gdy odpłynął i zostawił ją samą?

Nie umiałyby znaleźć właściwych słów. Nigdy nie będzie umiała. Ta pewność tkwiła głęboko w jej duszy.

Tym, przez co przeszła - dziecko, o którym Zef nic nie wiedział, rozwiana nadzieja, strata, ból - tym wszystkim nie mogła się z nikim podzielić.

Uniosła twarz ku wiatrowi i szła przed siebie. Czuła, jak się oddala. W końcu ośmieliła się spojrzeć za siebie. Ujrzała jedynie niebieską kopułę ponad czubkami drzew.

*

Trakt zwęzał się, otaczała go gęstwina herbacianych drzew.

Stella szła pomiędzy pniami o cienkiej jak papier korze, wdychając świeży, ostry zapach liści. Wiedziała, że po paru kilometrach droga wychynie z lasu nieopodal miejsca, do którego zmierza. Woda w butelce umieszczonej w plecaku chlupotała w rytm jej równego kroku. Poczła pot na czole. Przystanęła, ściągnęła sweter i owinęła go wokół talii. Patrząc w dół, dostrzegła delikatne ślady opon na porośłym mchem trakcie. Ktoś znów z niego korzysta - pomyślała - pewnie myśliwi polujący na gęsi gniazdujące w lagunie.

Słońce było w połowie drogi do zenitu, gdy dotarła na cypel w pobliżu spizarni. Skręciła na niskie wrzosowiska i dotarła do krzewów boobyalla okalających skalisty brzeg.

Weszła w gąszcz. Jaszczurki i ptaki szeleściły w poszyciu, uciekając spod jej butów. Gałęzie szarpały ubranie i smagały ją po twarzy, ale nie zwracała na to uwagi. Czuła jedynie strach. Strach, że coś znajdzie, strach, że nie znajdzie niczego. Wstrzymała oddech, wychodząc na skalisty brzeg.

Uniosła rękę, by osłonić oczy, i spojrzała w dół. Lustrowała spojrzeniem zatokę. Niewielkie płachty wody stały uwięzione wśród stromych granitowych pagórków wrzynających się w morze. Uważnie badała wzrokiem kępy wodorostów, skały wystające z wody, łachy piasku. Nic nie zwróciło jej uwagi. Wszystko wyglądało normalnie.

Poszła dalej, przeskakując z głazu na głaz, aż znalazła się na poziomie morza. Ruszyła wzdłuż skał, penetrując zatoczki i rozlewiska.

Nagle przystanęła. Między ciemnymi wodorostami widniała jasnoczerwona plama. Zanurzyła rękę w wodzie i wyciągnęła kawał ułamanego drewna - spory fragment deski. Patrzyła na ociekający wodą przedmiot, który trzymała w dłoni. Wiedziała, co to jest. To część oszalowania wyrwana z kadłuba „Lady Tirian”.

Obróciła się wokoło, jakby w nadziei, że zobaczy resztę łodzi. I Williama.

- Tato! Tato! - zawołała.

Odpowiedział jej krzyk odtruwających mew.

Rozglądała się po skraju zarośli, szukając miejsca, które mogło posłużyć za schronienie komuś rannemu albo słabemu. Blask na skałach w pobliżu kępy świeżej zieleni przyciągnął jej wzrok.

Wyciek słodkiej wody.

Wdrapała się na skały, kierując się wprost ku niemu. Dotarłszy na miejsce, przeszukiwała krzaki, wołała ojca.

Ale nie było słyhać nic poza szumem morza i szelestem ptaków w gąszczu - żadnych śladów czyjejś obecności, ostatnio czy kiedykolwiek.

Postanowiła wspiać się na najwyższy punkt i popatrzeć jeszcze raz na okolice. Tym razem stała długo, wpatrując się w wodorosty przenoszone w tę i z powrotem przez fale, pod powierzchnią wody. Już zamierzała się odwrócić, gdy dostrzegła coś, co pokazało się tylko na parę sekund, zamajaczyło wśród wodorostów, coś jasnego, uwięzionego w szerokiej szczelinie pomiędzy dwoma rzędami skał.

Wyglądało jak wielki morski stwór unoszący się brzuchem do góry tuż pod lustrem wody.

Wiedziała, co to jest. Spód kadłuba łodzi.

Stella pobiegła w dół, między skałami, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Stopy śmigały po niepewnym podłożu. Dotarłszy na skraj morza, oswobodziła się od plecaka, odwiązała sweter i zdjęła buty. Ściągnęła dzinsy i koszulę, zostawiając tylko bieliznę i podkoszulek. Rzuciła się do wody, bose stopy ślizgały się na obrosniętych skałach. Z trudnością chwyciła powietrze, gdy lodowata woda zaczęła otulać jej ciało.

Popłynęła w stronę zatopionego kadłuba, młócąc wodę ramionami. Nie było daleko. Zawadziła stopą o stępkę. Panika czaiła się w jej umyśle niczym kot przed skokiem na ofiarę. Poczuła, że składa się z dwóch osób: jedną ogarnia obłędne przerażenie, druga jest spokojna i zrównowazona. Jej opanowana połowa oceniła, w jaki sposób ułożona jest zatopiona łódź, a potem znalazła rufę. Stella pamiętała, że

w bocznym schowku William trzymał maskę i fajkę do nurkowania. Nabrała powietrza i zeszła pod wodę, na ślepo szukając drogi wzdłuż listwy odbojowej, znalazła schowek i uchwyt. Ze sprzętem w ręce wypłynęła na powierzchnię.

Stojąc na kadłubie, nałożyła maskę na oczy, włożyła końcówkę fajki do ust, poczuła słony smak gumy. Głęboko zaczerpnęła powietrza, zanurzyła głowę i popłynęła w głębinę.

Promienie słońca przenikały czystą toń - widok był jak ze snu. Kosmyki wodorostów wirowały pod wodą niby tancerze. Stella śledziła znajomą linię kadłuba z szeroką stępką, przypominającą płetwę gigantycznego rekina, stępką, którą co roku czyściła i malowała na pochylni. Stępka była nienaruszona i tchnęła zadziwiającym spokojem.

Ostatnim wysiłkiem Stella zeszła niżej, gdzie skaliste dno więziło sterówkę.

Drzwi sterówki były wyrwane z zawiasów. Morze ogołociło wnętrze ze wszystkiego. Rzeczy ojca zniknęły: mapy, posłanie, oprawiony w ramkę jej rysunek przedstawiający drzewo na wietrze...

Wszystko zabrało morze.

Stella wypłynęła na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Była świadoma, co jeszcze może znaleźć, jeśli będzie szukała nadal. Widziała umarłych wyciągniętych z morza po tsunami na Papui Nowej Gwinei. Morskie wszy potrafią zmienić wygląd topielca w ciągu paru godzin, całe ciało zostaje zjedzone, zostają tylko szkielet i ścięgna. Żerują też ryby, a pozostawione przez nie resztki oczyszczają langusty.

Nurkowała kilkakrotnie. Pływała nad łodzią, penetrując ją wzdłuż i wszerz i robiąc krótkie przerwy na zaczerpnięcie powietrza. Maską była zepsuta, więc woda dostawała się do środka i zasłaniała widok, a sól szczypała w oczy.

Przeszukała cały wrak. Nie było ani tratwy ratunkowej, ani kamizelek, ani koła. Niczego nie było. Z „Lady Tirian” został tylko pusty kadłub.

Nie było także Williama.

Płynąc z powrotem w stronę lądu, Stella mówiła sobie, że to nic nie znaczy. Mógł się utopić. Mógł żyć. Gdzieś...

Rzuciła się na kamienistą plażę, drżąc z zimna, otępiała. Urywane myśli krążyły po głowie, splątane i pozbawione znaczenia. Usiadła przy ubraniach, ogarnęła nogi ramionami, przycisnęła je do piersi, oparła policzek na kolanach, odrapanych i krwawiących.

Patrzyła na mewę krążącą nad jej głową, ciemny kształt na tle nieba. Śledziła jej lot. Mewa wylądowała gdzieś za skałami. Tam, między cieniami, widniała kolorowa plama, prawie czarna, choć nie całkiem...

Stella podniosła się i poszła w jej kierunku. Na czworakach wdrapała się na skałę i spojrzała w dół. Na wąskim klinie piasku między dwoma rzędami skał twarzą do ziemi leżał William. Był ubrany w granatowy sweter zrobiony przez Grace, ten ze specjalnym ścięciem z przodu i na plecach. Stopy miał odziane w grube wełniane skarpety, głowę - odkrytą. Ciemne włosy przylegały gładko do głowy, Córka patrzyła na niego oniemiała. Fale omywały dolną część jego tułowia. Cofając się, odsłaniały zielony materiał spodni przyklejony do ciała. Jedna noga była złamana i usztywniona łubkami. Nie było miejsca, by przykucnąć obok niego, Stella położyła się więc na skale i pochyliła do przodu, by go dotknąć.

Tył głowy był zimny, mokry.

- Nie, nie... - powtarzała cicho, jakby nie chciała obudzić śpiącego dziecka. Sięgnęła dalej, wyciągając drżące palce do jego szyi.

Kolejna fala podeszła wyżej niż poprzednia, aż do twarzy mężczyzny. Stella zsunęła się ze skały, obeszła ją i stanęła obok głowy Williama. Chwyciła go za ramiona i pociągnęła z całej siły. Z nadejściem następnej fali zdołała przesunąć go nieco dalej. Rozpaczliwie walczyła z jego ciężarem, ciągnąc, czekając na pomoc morza i znowu ciągnąc.

Wreszcie wydobyła go spomiędzy skał. Teraz leżał na otwartej przestrzeni kamienistego brzegu.

Stella chwyciła go za ramiona i odwróciła.

Z rozchylonych ust wylała się woda. Twarz z zamkniętymi oczyma przypominała maskę pomalowaną dwoma kolorami. Odślonięta, leżąca wyżej część twarzy była biała jak nieupieczone ciasto. Stella wzdygnęła się na widok wyjedzonych kawałków skóry. Ta strona głowy, na której leżał, miała barwę ciemnego fioletu, ale skóra - chroniona przez piasek - była nienaruszona.

Stella uklękła obok głowy Williama. Świadomość, że on nie żyje, sączyła się wolno do serca córki.

Czuła, jak jej wewnątrz przeszywa chłód. Delikatnie odwróciła twarz ojca, by nie patrzeć na poszczerbioną skórę. Jego rysy wydawały się obce. Gdyby nie sweter zrobiony przez Grace i spoczywająca nieopodal „Lady Tirian”, Stella próbowałaby przekonać samą siebie, że to ktoś obcy jest tak cichy, nieruchomy i zimny.

Położyła dłoń na policzku ojca, poczuła kształt kości pod skórą. Przeciągnęła palcem po nosie, w górę, do czoła. Dostrzegła dawną, niewielką bliznę po upadku na rant ławki podczas sztormu. Odmówił pójścia do lekarza, tylko skleił plastrem brzegi rany, żeby się zagoiła.

Powoli stawał się rzeczywisty. William. Jej ojciec. Mężczyzna, który ją kochał i który zranił ją tak boleśnie. Mężczyzna, który żałował wszystkiego, co zrobił, i który nie potrafił znaleźć sposobu, by jej to powiedzieć, aż wreszcie było za późno.

Stella czuła drapanie w gardle. Jej ramiona unosiły się i opadały, gdy fale bólu przenikały ciało. Czuła pieczenie w suchych oczach.

Kończyny miała sztywne z zimna. Dzwoniła zębami. Ale trwała bez ruchu. Słowa krążyły po głowie, niepowiązane i kruche, strzaskane skorupy myśli. Od jak dawna jest martwy? Czy mogła zrobić coś, co doprowadziłoby do innego końca?

Patrzyła na ciało Williama, na jego unieruchomioną w łubkach nogę. Była złamana. Z rozdartej nogawki wystawała kość. Wzdrygnęła się na ten widok. Splatała w całość fragmenty jego losów. Wypadek na morzu - złamana kość, uszkodzona łódź. „Lady Tirian” płynęła z prądem, łupina na wielkim oceanie. William walczył o przetrwanie, czekał z nadzieją na ratunek, który nie nadszedł... Przeniosła wzrok na jego twarz. Wyglądał, jakby żył.

Czas stanął w miejscu, gdy tak siedziała i patrzyła na niego. Nie zwróciła nawet uwagi na dochodzące z tyłu odgłosy. Czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu. Zadrżała pod tym zdecydowanym dotykem. Silne ramiona uniosły ją, postawiły na nogi.

Blisko jej twarzy była twarz Zefa.

- Jesteś zmarznięta - powiedział.

Z szeroko rozwartych oczu wycierała troska. Zostawił Stellę i po chwili wrócił z ubraniami.

Stała jak dziecko, gdy zdejmował z niej mokry podkoszulek i wkładał przez głowę gruby sweter. Wełna przywierała do wilgotnej skóry, musiał więc obciągnąć sweter starannie na biodra. Potem przytrzymał ją, gdy sięgnęła po spodnie.

- Musisz zejść z wiatru. Mam tu samochód. Możesz zadzwonić do Spinksa z domu.

- Nie - przerwała mu. - Nie zostawię go tutaj. Zef spojrzał na leżącego.

- Nie będzie łatwo go przenieść.

Spojrzał na twarz Stelli. Potem pobiegł plażą do samochodu, długie nogi z łatwością pokonywały dystans. Wrócił z dwoma długimi kawałkami drewna dryftowego i zwojem liny przewieszonym przez ramię.

Szybko i sprawnie przeciągał i wiązał sznur między dragami, by powstały nosze. Odzywał się tylko po to, żeby poprosić o przytrzymanie liny, gdy zaciskał węzły. Kiedy skończył, dał Stelli znak, by podniosła nogi Williama, sam chwycił go za ramiona. Dopiero podczas drugiej próby

udało się im położyć go na drewnianej ramie. Potem Zef przywiązał ciało.

Stojąc jedno obok drugiego, ujęli każde za swój drąg i unieśli nosze.

- W porządku? - spytał.

Przytaknęła. Nie mogła opanować dzwonienia zębów.

- To idziemy.

Pochylając się do przodu, by podołać ciężarowi, zdołali przeciągnąć nosze po kamienistej plaży.

Stella patrzyła na wprost, starając się uniknąć widoku głowy Williama podskakującej to w jedną, to w drugą stronę na nierównym podłożu. Ale widziała, że Zef spogląda przez ramię do tyłu, by sprawdzić, czy liny trzymają.

Gdy dotarli do gęstwiny krzewów, położyli nosze i on poszedł przodem, by oczyścić drogę. Po chwili na końcu przecinki ukazała się kłapa bagażnika jego kombi.

Zef chwycił swój drąg i dał znak Stelli, by zaczęła ciągnąć.

Wnętrze bagażnika było puste, ładunek drewna leżał obok na trawie. Właściciel jedną ręką zgarnął odłamki farby i drzazgi. Potem ustawili nosze wzdłuż otwartego bagażnika. Zef rozwiązał liny.

William omal nie spadł, gdy pochyłili nosze, ale Zef zręcznie skierował ciężar w stronę pojazdu.

Potem wsiadł do auta. Wychylił się zza siedzenia i pociągnął Williama za ramiona. Ciało znalazło się wewnątrz samochodu.

Stella stała nieruchoma, przesuwając wzrok od nóg ojca w stronę głowy. Leżał w taki sposób, że biała, uszkodzona część twarzy była odsłonięta. Zamknęła oczy, żeby tego nie widzieć.

Gdy spojrzała znowu, Zef strzepywał kawałek złożonej tkaniny, sarong w żółte i niebieskie kwiaty.

Położył go na ciele Williama i pociągnął ku górze, zakrywając twarz. Jego ręce poruszały się ostrożnie i delikatnie - jakby chciał wynagrodzić zmarłemu bezceremonialny sposób przenoszenia go do samochodu.

- Dziękuję - powiedziała Stella.

- Cieszę się, że cię znalazłem - odparł Zef.

Mówił stanowczo, jakby stwierdzał jedynie fakt.

Spojrzała na niego. Nie spytała, dlaczego szedł jej śladem wzdłuż nieuczęszczanej drogi. Była mu wdzięczna, że przyszedł. Wiedziała, że w przeciwnym razie tkwiłaby tam nadal, niezdolna opuścić ciała ojca. Sama na pustej, kamienistej plaży.

15

Stella siedziała z podkurczonymi nogami, objawszy kolana ramionami. Drżała z zimna. Próbowwała nie myśleć ani

o Williamie leżącym z tyłu, ani o Zefie siedzącym obok niej. W którąkolwiek stronę zwracała myśli, wszędzie napotykała wir emocji. Starła się więc patrzeć przed siebie i wyciszyć umysł.

- Musimy znaleźć Spinksa - oświadczył Zef. Przytaknęła milcząco.

Gdy znaleźli się na zakręcie, Zef skierował się w stronę przystani. Przy wjeździe na parking zwolnił. Miejsce prawie opustoszało, wolontariusze pakowali rzeczy i odjeżdżali.

- Jest tam - powiedziała Stella.

Wskazała na Spinksa. Pochylony przy przednim zderzaku pomarańczowego samochodu terenowego policjant sięgał pod podwozie.

Zef zbliżył się do niego i zatrzymał auto. Stella wysiadła. Podeszła do Spinksa, bosa, z potarganymi włosami. Spinks musiał wyczuć jej obecność, bo wyprostował się i odwrócił.

- Co się stało? - spytał, odkładając klucz.

- Znalazłam tatę. - Dalej głos uwiązł jej w gardle.

- To znaczy?

Spojrzała za siebie, na samochód.

251

Oczy mężczyzny otworzyły się szeroko. Trzema krokami pokonał odległość do tylnej szyby samochodu. Otworzył klapę i uniósł ją do góry. Pochylił się, by zajrzeć do środka. Po długiej chwili spojrzął przez ramię na Stellę.

Wydawało się, że szuka słów. Potem dostrzegł Zefa wysiadającego z za kierownicy. Zrobił krok w jego stronę i spytał cicho:

- Gdzie go znaleźliście?

- Niedaleko mojego domu - odparł Zef. Stella podeszła i stanęła obok nich.

- „Lady Tirian” też tam jest - powiedziała. Jej głos zdawał się dochodzić z daleka. Można by sądzić, że wykonuje swoją dziennikarską pracę, podaje fakty. - Uwięziona w zatoczce. Zatopiona. Przewrócona do góry dnem.

Spinks ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Szukaliśmy tam.

- Sztorm musiał przynieść ją w tamto miejsce ostatniej nocy - stwierdził Zef.

Spinks pocierał twarz dłońmi.

- A więc była na morzu. Przez cały czas...

Stał bez ruchu przez parę sekund, po czym podszedł znowu do bagażnika samochodu. Westchnął i pokręcił głową.

- Nie powinniście go byli zabierać. Nie powinniście go byli dotykać. Ale co mieliście zrobić... -

Spinks odwrócił się do Stelli, jego rysy złagodniały. - Przykro mi, że to się tak skończyło. Naprawdę mi przykro. Stella pokiwała głową w milczeniu. Ponad ramieniem Spinksa widziała gromadzących się gapiów. Dostrzegła też Grace, torującą sobie drogę do samochodu.

- Zabierzcie stąd tych ludzi - szepnęła do Spinksa. Policjant zaczął rozganiać grupkę patrzących, na których Grace zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi. Szła, przyciągana jakąś magnetyczną siłą, ku tyłowi samochodu. Niebawem stanęła obok Stelli. Ale nie patrzyła na córkę.

Patrzyła w głąb auta, utkwiała wzrok w czymś, co było w środku. Idąc za jej spojrzeniem, Stella dostrzegła wystające spod saronga niebieskie skarpety Williama.

Grace stała nieruchoma, patrząc na okryte ciało. Wiatr rozwiewał jej włosy i targał spódnicę. Po chwili ujęła skraj sarongu i zaczęła ciągnąć go ku sobie ruchem powolnym i jednostajnym, póki nie ukazała się twarz męża.

Zapadła długa cisza. A potem zwierzęcy skowyt wyrwał się z jej gardła, powietrze przeszło przerażające wycie. Mewa siedząca na pobliskim drogowskazie krzyknęła i poszybowała wysoko. Grace patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Wzdragająca się przed widokiem, który miała przed sobą, lecz magiczna siła trzymająca ją w uścisku kazała jej wpełznąć na czworakach do samochodu. Skulona trwożliwie, przykucnęła przy zwłokach. Ściągnęła sarong do końca i chwyciwszy rękoma sweter męża, przylgnęła do niego.

- Nie... nie...-jęczała.

Jęk stawał się coraz donośniejszy zamieniał się w pełen udręki lament. Grace zaczęła tłuc głową o pierś Williama, jakby sądziła, że go obudzi, przywróci do życia.

Ponad ramieniem Spinksa Stella dostrzegła twarze ludzi z tłumu - widziała w nich szok, fascynację, obrzydzenie.

Opuściła klapę i zamknęła bagażnik. Zmierzając ku siedzeniu dla pasażera, zobaczyła, jak Spinks występuje z tłumu, kręcąc ostrzegawczo głową, ale nie zwracała na niego uwagi.

Gdy otwierała drzwiczki, Zef już siedział za kierownicą, przekręcał kluczyk w stacyjce i naciskał pedał gazu. Ledwie Stella zdążyła wsiąść, ruszył i zatoczywszy szeroki łuk, wyjechał na drogę.

Płacz Grace wypełniał samochód. W jej żalnym głosie brzmiał strach, przerażenie dziecka zagubionego wśród obcych, nieoczekującego znikąd żadnego ratunku. Słuchając go, Stella czuła, jak robi się jej niedobrze. Zakryła twarz dłońmi.

Samochód podskakiwał na wybojach, Stella co chwila uderzała całym ciałem o boczne drzwi. Czuła ulgę, gdy odległość od przystani i zgromadzonych na niej ludzi stawała się coraz większa, ale w głowie miała zupełną pustkę, nie wiedziała, co robić dalej.

Po kilku minutach uniosła twarz i przełknęła ślinę. Przywołała na pamięć głos Daniela. „Pozwól strachowi spłynąć po sobie - uczył ją. - Oddychaj głęboko, jak podczas bólu. Patrz przed siebie. I idź naprzód”.

- Zawieź nas do domu - powiedziała do Zefa. - Zawieź nas, proszę, do domu.

*

Grace leżała na podwójnym łóżku całkowicie ubrana, lecz bez butów. Przestrzeń obok niej - połowa łóżka przypisana Williamowi - wydawała się szeroka i próżna. Kobieta patrzyła w sufit. Ręce miała przyciśnięte do tułowia, nogi proste, lekko rozstawione i sztywne. Córka okryła matkę kocem i wróciła na swoje miejsce przy oknie.

Przez gałęzie dębu widziała Spinksa stojącego przy policyjnym aucie. Nieopodal widać było czerwone kombi z zamkniętą klapą bagażnika. Stella zastanawiała się, czy ciało Williama nadal leżało w środku, czy może zostało już wyjęte. Nie wiedziała zbyt dobrze, jak długo była w pokoju, trzymając Grace za ręce i gładząc po włosach, gdy jej szloch powoli zamieniał się w ciszę.

Stella rozglądała się, ale nie mogła dostrzec Zefa. Gdyby nie jego samochód, mogłaby nawet przypuszczać, że nigdy go tu nie było. Wszystko zdawało się tak nieprawdopodobne. Zamknęła oczy pod naporem cisnących się na myśl pytań. Od jak dawna był w Halfmoon Bay? Po co przyjechał? Czy ktokolwiek wiedział, że był tu dawniej?

Próbowała sobie przypomnieć, co mu powiedziała, gdy wyciągnąwszy Grace z samochodu, prowadziła ją ścieżką. Zef zaproponował, że zostanie z nimi. Stella jednak nie miała nawet cienia wątpliwości, że ostatnią rzeczą, jakiej

pragnęłaby Grace w takiej chwili, była obecność w domu kogoś obcego.

Obraz tamtego momentu był niepełny i niespójny. Stella pamiętała jedynie, że powiedziała Zefowi, by sobie poszedł. Nie mogła natomiast przywołać na pamięć słów, których użyła. Pomyślała, że powinna wyjść na dwór i go odnaleźć. Należało mu się przecież choćby podziękowanie.

- Muszę wyjść - powiedziała, spoglądając na łóżko. Grace leżała z włosami rozrzuconymi na atłasowym powleczeniu poduszki. Wyglądała jak kamienny, nagrobkowy posąg żony średniowiecznego rycerza.

Grace nie odezwała się, nie dała żadnego znaku. Patrząc na nieruchomą postać, Stella poczuła ogarniającą ją rozpacz. Rozdzierający szloch był trudny do zniesienia, ale ucieczka w milczenie denerwowała jeszcze bardziej.

Zatrzymała się przy drzwiach z ręką na mosiężnej klamce.

- Niedługo wrócę.

Podeszła do samochodu. Słabe promienie słońca igrały na wypłowiałym czerwonym lakierze.

Rozejrzała się, ale nie dostrzegła żadnego śladu obecności Zefa. Spinks rozmawiał przez radiotelefon w samochodzie. Spostrzegłszy ją, dał znak, by zaczekała, aż skończy rozmowę.

Stella stała obok samochodu Zefa, oparłszy ręce o dach i zaglądając do środka, gdzie wciąż leżało ciało Williama ponownie okryte sarongiem Zefa. Ktoś, kto go rozkładał - Spinks czy Zef - zostawił jedną rękę mężczyzny odsłoniętą.

Stella przyglądała się jej. Gdy zmrużyła oczy, mogła uniknąć widoku dzieła wszy morskich: maleńkich dziurek w ciele. Próbowwała wyobrazić sobie, że ręka należy do kogoś, kto tylko śpi i wkrótce się obudzi. Ale nie potrafiła. Nie tylko widziała, ale też czuła głęboko w sobie, że ręka jest całkowicie pozbawiona życia.

Stella przesunęła wzrok po okrytym ciele. To nie był William, jej ojciec. William odszedł. To, co go tworzyło - wiedza, siła, upodobania i uprzedzenia - odeszło.

Żelazna wola, z którą zarządzał swoim małym światem - i samym sobą - już nie istniała. Stella czuła, jak rodzi się w niej, jak kiełkuje gdzieś głęboko w duszy uczucie nieznane i rewolucyjne. Ukryte pod siłą przeżyć, smutkiem i bólem. Z przerażeniem uświadomiła sobie, co to takiego. Ulga.

Podszedł do niej Spinks.

- Poprosiłem jednego z wolontariuszy, żeby podwiózł Zefa do domu.

Stella patrzyła na policjanta zmieszana.

- Dlaczego nie zaczekał na swój samochód?

- Nie może dostać go od razu z powrotem. - Spinks przerwał i zaczerpnął tchu. - Posłuchaj, musimy się trzymać pewnych procedur. W St Louis mają nowego sierżanta. Należy do ludzi żądnych sukcesu, takich, co lubią się wykazać. Nie podoba mu się, że ty znalazłaś ciało.

Stella zmarszczyła czoło.

- To znaczy?

- Jeśli poszukiwany zostanie odnaleziony przez kogoś spoza ekipy wyznaczonej przez policję, powstaje podejrzenie, że policja nie wykonała właściwie swojej roboty. A gdy tym kimś jest członek rodziny zaginionego, sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Już przyjechali reporterzy i domagają się informacji. Na dodatek zabrałaś go z miejsca, gdzie go znalazłaś. - Policjant westchnął. - Sierżant ma na biurku policyjną instrukcję. Już słyszę, jak przewraca kartki. Będzie się trzymał przepisów, co do litery.

Stella otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale Spinks machnął ręką, jakby bronił się przed słowami.

- Próbowałem mu powiedzieć, że my tutaj nie postępujemy w ten sposób. Jako dowódca odpowiedzialny za poszukiwania powinienem mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. Ale, koniec końców, on jest szefem.

Spinks odwrócił się na odgłos nadjeżdżającego pojazdu.

- Świeżo upieczony posterunkowy z komendy w St Louis zgłasza się na służbę - powiedział ze skrzywieniem ust. - Przysłano go do pilnowania samochodu, póki nie przyjedzie karawan. Obawiam się, że do tego czasu ciało twojego ojca będzie musiało zostać tam, gdzie jest. Jeśli nieboszczyk zostaje zabrany z miejsca, w którym go znaleziono, trzeba zarekwirować pojazd i przekazać sędziemu śledczemu w celu dokonania oględzin.

Stella patrzyła na niego. Znaczenie jego słów docierało do niej powoli.

- Sądzi pan, że wydarzyło się coś innego? Że to nie był wypadek?

Spinks pokręcił głową.

- Sierżant musi postępować zgodnie z instrukcją. I tyle. Ojciec nie miał żadnych kłopotów. Nie miał wrogów. - Spinks spojrział na skraj ogrodu przy wybrzeżu. - Ale morze nie jest bezpiecznym miejscem. Wszyscy to wiemy.

Stella zawijała na palcach nitki ze swetra Williama.

- Co z nim teraz będzie?

Pytała, choć wiedziała, co będzie. Wróciło wspomnienie wywiadów, które przeprowadzała z sędziami śledczymi jako młoda dziennikarka w Melbourne. Miała przed oczyma otwarte ciało Williama, wyjęte płuca, nagie serce.

- Będą się starali ustalić przyczynę śmierci. Zbadają krew na obecność alkoholu i toksyn, sprawdzą, czy nie ma ran, i tak dalej. To nie potrwa dłużej niż dzień lub dwa. Porozumieją się z St Louis, powiedzą, że to był wypadek, że brak podejrzanych okoliczności. Dopiero wtedy będzie po wszystkim.

Ich spojrzenia spotkały się. Ostatnie słowa Spinksa brzmiały w pustce ciszy.

Nie będzie po wszystkim. Oboje to wiedzieli.

- Jak Grace? - spytał.

- Uspokoila się - odrzekła Stella. Zacisnęła usta, żeby nie drżały. - Odpoczywa w sypialni.

Mężczyzna pokiwał głową.

- To dobrze. Poślę po lekarza. I poproszę Paulinę albo moją siostrę, żeby tu przyszły. Każdy chętnie pomoże.

- Nie - zaprotestowała Stella stanowczo. - Proszę, zostawcie nas same.

Spinks odwrócił się na odgłos kroków. Zbliżał się młody poliqa'nt. Był chudy, jabłko Adama zaznaczało się wyraźnie na jego szyi. Szedł z wysoko podniesioną głową, jak żołnierz podczas parady.

- Stello, to jest posterunkowy Brown - przedstawił go Spinks. - A to panna Birchmore.

Brown skłonił głowę szybkim ruchem, po czym zwrócił się do Spinksa.

- Mam dalsze instrukcje - obwieścił.

- Tak?

Brown spojrział znacząco na Stellę. Spinks też zerknął na nią.

- Możesz poczekać w domu, jeśli chcesz. Przyjdę, jak skończymy.

- Nie - zaproponowała Stella. - Zostanę. Brown uśmiechnął się do niej protekqonalnie.

- To może być dla pani przykre. - Spojrział na starszego mężczyznę, szukając wsparcia.

- Niech sama zadecyduje - powiedział Spinks. - Nie jest dzieckiem.

Brown nie odezwał się. Wręczył Spinksowi parę lateksowych rękawiczek.

Policjanci nałożyli na dłonie Williama plastikowe torby i okleili taśmę wokół nadgarstków. Potem wsunęli ciało do czarnego brezentowego worka. Umieścili w nim także sarong. Stella patrzyła, jak niebieskie i żółte kwiaty znikają, gdy Spinks zasuwiał zamek błyskawiczny worka.

Przez chwilę stali we trójkę w milczeniu. Potem Brown zatrzaskał klapę bagażnika i stanął przy samochodzie, jakby się bał, że kobieta otworzy bagażnik i wykradnie ciało ojca.

Spinks odciągnął Stellę na bok, poza zasięg słuchu młodego mężczyzny.

- Spiszę twoje oświadczenie później. Teraz pojedę i pogadam z Zefem. Będziesz miała trochę czasu, żeby zająć się Grace.

Spinks czekał na odpowiedź.

- Dobrze - powiedziała. - Jak pan sobie życzy.

- Teraz jednak muszę spytać cię o jedną rzecz. Sierżant prosił, żebym sprawdził, czy coś cię łączy z mężczyzną, który pojawił się na miejscu zajścia. - Spinks spojrzał uspokajająco. - To rutynowe pytanie w takich okolicznościach, prosto z instrukcji. Powiedziałem mu, że nie wyobrażam sobie, byś mogła znać Zefa. Przyjechał tu parę lat temu. A ciebie nie było w domu przez piętnaście lat. - To mówiąc, podrapał się po policzku. - Tyle tylko, że gdy to pytanie zostało zadane, zacząłem się zastanawiać... Było coś zadziwiającego w sposobie, w jaki współpracował z tobą na przystani. Ty zamknęłaś bagażnik, a on już wiedział, że chcesz odjechać. To mnie uderzyło...

Stella patrzyła na swoje stopy. Wpychała czubek buta w kępkę trawy.

Mów prawdę. To tylko masz robić - przypomniała sobie. Odetchnęła głęboko.

- Poznałam go wiele lat temu. Ale nasza znajomość trwała bardzo krótko.

Tylko siedem dni... - dodała w duchu.

- I nie ma nic wspólnego z... terażniejszością. Policjant patrzył na jej twarz. Wyjął notes i otworzył go, gotów wszystko zapisać.

- A więc to przypadek, że znalazł cię tam z Williamem. Stella patrzyła na jego pióro zawieszony nad kartką. Pokręciła głową.

- Poszedł tam za mną. Spinks uniósł brew.

- Chwileczkę. Czy poznałaś Zefa przed laty tutaj? W Halfmoon Bay?

Pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Notes został zamknięty.

- Dobrze. Powiem sierżantowi, że nic was nie łączy. Postaramy się załatwić tę sprawę możliwie najprościej.

Stella spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję.

Na twarzy policjanta odmalował się wyraz troski.

- Dasz sobie radę?

- Tak - odparła, unosząc podbródek. Mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Pamiętaj, nie zawsze warto być silnym.

W tym momencie zatrzeszczał mu w kieszeni radiotelefon. Gdy sięgnął po słuchawkę, Stella odwróciła się i odeszła.

Idąc przez ogród, patrzyła na przebijające ziemię łodyżki lilii. Podczas burzowej pogody nie zauważyła nawet, że zbliża się wiosna. Teraz dopiero spostrzegła, że na drzewach pojawiły się pąki, że zielenią się gałązki borówek. Spuściła wzrok i pospieszyła do domu, gdzie Grace ogrodniczka czekała na nią, leżąc nieruchomo i cicho, jakby jej dusza wychodziła naprzeciw śmierci.

16

Ostre wiosenne słońce przeciskało się do wnętrza szparami na obrzeżach kuchennych zasłon. Stella odsunęła zasłony. Oślepiła ją nagła jasność. Wstawiła wodę i wróciła do okna. Patrzyła na ogród, na równe rzędy roślin najeżonych zielonymi pędami. Ptaki grzebały w rozrzuconej na grządkach ściółce, a potem odlatywały do gniazd z wiotkimi kosmykami kory drzew gumowych w dziobkach. Za owocowymi krzaczkami Stella widziała ocean - migocącą równinę lazurowego błękitu. Wszystko zdawało się tak przyjazne i bezpieczne. Trudno było sobie wyobrazić, że

260

przez cały miniony tydzień szalejący wiatr budził demony morza.

W przeciwieństwie do sceny za oknem w domu panował przygniatający bezruch. Snuł się jak mgła z sypialni, gdzie Grace nadal bezwładnie leżała na łóżku. Noc, a potem dzień i jeszcze jedna noc minęły od chwili, gdy zobaczyła ciało męża i zrozumiała, że umarł. Podczas tych długich godzin nic się nie zmieniało. Grace była głucha i niema, odrętwiała z bólu.

Kręcąc się po kuchni, Stella czuła gęstą ciszę przenikającą do płuc z każdym oddechem. Bicie jej serca zdawało się przez to zbyt głośne, a tykanie zegara nad kredensem zbyt delikatne. Stukała naczyniami, przygotowując tacę ze śniadaniem, stawiając na lnianej serwetce talerz, filiżankę na spodku, kieliszek z chińskiej porcelany na jajko, pojemniczek z solą, łyżeczkę do herbaty i osełkę masła w miseczce. Przy wkładaniu kromki białego chleba do opiekacza zawadziła łokciem o puszkę z herbatnikami i zrzuciła ją na podłogę.

Uwięziony w powietrzu brzęk trwał w nieskończoność. Stella podniosła puszkę i zaczęła rozglądać się za innym miejscem, gdzie mogłaby ją postawić, ale wszystkie blaty były zastawione jedzeniem: pojemnikami pełnymi herbatników i kanapek, brytfannami z gulaszem i zupami, zapiekankami i tartami owiniętymi w ściereczki do naczyń, a nawet butelkami z mlekiem i bochenkami chleba. Poprzedniego dnia prezenty kulinarne nieustannie pojawiały się pod drzwiami domu Grace. Ludzie uszanowali prośbę Stelli o nieprzychodzenie z wizytami - nikt nie zapukał, wszyscy zadowolili się dołączeniem do darów krótkich liścików:

Z wyrazami szczerego współczucia Sylwia i Ted Barronowie

Dajcie znać, jeśli możemy w czymś pomóc.

Pracownicy przetwórci ryb

258

Pomyślałem, że przyda się Wam więcej miodu.

Joe

Martwię się o Ciebie, Stello. Przyjdź do nas.

Paulina

Stella uskubnęła kawałek chrupkiej skórki tarty, ugryzła dwa razy, po czym wyrzuciła resztę do śmieci. Była głodna, ale nie potrafiła myśleć jasno nawet o tym, na co ma ochotę, nie mówiąc już o podgrzaniu jedzenia czy wyłożeniu go na talerz.

Gdy taca była gotowa - jajko ugotowane na miękko, a grzanki niezbyt spieczone - Stella zaniosiła ją do pokoju Grace. Idąc korytarzem, wyobraziła sobie matkę leżącą w łóżku, ni to śpiącą, ni przebudzoną, zawieszoną między jawą a snem.

W drzwiach sypialni znieruchomiała. Pościel leżała na podłodze. W materacu widniało lekkie wgłębienie, lecz matki nie było.

Stella postawiła tacę i pobiegła do pokoju morskiego, potem do łazienki. W końcu znalazła ją w toalecie. Grace zdawała się nie pamiętać, po co wyszła z sypialni. Stała z ręką wspartą o spłuczkę, ze zwieszoną głową. Poczochrane włosy zakrywały jej twarz, gdy patrzyła w dół, na ubikację.

- Chcesz skorzystać? - spytała Stella. Mówiła powoli, jak do cudzoziemca, który słabo rozumie obcy język. -Chcesz skorzystać z toalety?

Grace niedostrzegalnie skinęła głową.

Stella ujęła ją za ramiona i obróciła. Grace poruszała się jak kukielka prowadzona wiotkimi nitkami, jej kończyny były niezdarne, z trudem zachowywała równowagę. Stella podciągnęła koszulę nocną, zbierając flanelę na biodrach matki. Dostrzegła skąpe białe majtki okrywające trójkąt ciemnych włosów i zwisający nad nimi miękki brzuch uwolniony od gorsetu.

259

- Usiądź - poleciła.

Zastanawiała się, czy ma wyjść, czy zostać. Wtedy usłyszała daleki szum silnika przenikający ciszę. Jakiś pojazd zbliżał się do domu.

- Zobaczą, kto to - powiedziała Stella.

Poszła szybko w stronę frontowych drzwi, do miejsca, z którego mogła wyjrzeć niezauważona przez przybysza. Czekwała i patrzyła.

Wbrew własnej woli wyobraziła sobie, jak pożyczony samochód, może džip Lauriego, podskakuje na wyboistym trakcie, zatrzymuje się przed domem i wysiada z niego Zef. Włosy opadają mu na twarz woalką z rozświetlonego słońcem złota...

Nie ma powodu, by przyjechał - powiedziała sobie w duchu. To, co skłoniło go do zamieszkania w Halfmoon Bay - cokolwiek to było - nie miało z nią nic wspólnego.

Wybierała fakty niby karty z talii. Jeśli nawet chciał się z nią zobaczyć, gdy wrócił po latach, szybko się zorientował, że jej nie ma. I że nie wraca do domu nawet na krótko.

Laurie mógł mu to powiedzieć albo pani Barron.

A jednak Zef kupił ziemię i zbudował dom.

Pokochał zatoczki - powiedziała sobie Stella - i tyle.

Pamiętała też, jak mówił, że ukryte zatoczki, gdzie zacumował „Tailwind”, to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek widział. Podczas dalszych żeglarskich podróży z Carlą doszedł pewnie do wniosku, że nie znajdzie lepszego miejsca na własny dom.

Na osiedlenie się, założenie rodziny. Ludzie postępują w ten sposób...

Jakiś wewnętrzny głos sprzeciwiał się takim argumentom, ale Stella nie chciała go słuchać. Otwarcie się na ból i rozczarowanie było ryzykiem, którego nie ośmieliłaby się podjąć. W skupieniu obserwowała drogę przez wąskie okienko obok drzwi. Wkrótce jej oczom ukazał się ciemnoniebieski sedan

z białym kraciastym wzorem na dachu i napisem „Policja Tasmańska” na boku.

Wysiadł Spinks. Wygładził mundur, sięgnął do samochodu i wydobył z niego naczynie z przezroczystego szkła. Nie przyniósł go pod główne drzwi jak wszyscy inni, lecz obszedł dom, kierując się ku bocznemu wejściu. Stella usłyszała krótkie pukanie, po czym policjant wszedł do środka.

Gdy zjawiła się w kuchni, przywitał ją i wyciągnął przed siebie brytfannę. Stella patrzyła przez pokrywkę na złotą, pełną bąbli skorupkę stopionego sera i na krążki jajka na twardo - okrągłe żółte księżycy w białych otoczkach.

- Tuńczyk w sosie Mornay - powiedział. - Specjalność mojej siostry. - Rozejrzał się po kuchni, szukając miejsca, gdzie mógłby postawić naczynie. - Zdaje się, że jesteście nieźle zaopatrzone. Stella nie odpowiedziała. Ogarnął ją niepokój. Wiedziała, że policjant nie przyjechał tylko po to, by dostarczyć jedzenie.

- Jak Grace? - spytał.

- Nieco lepiej - odpowiedziała. Spinks obrzucił ją baczny spojrzeniem.

- Dajesz sobie radę?

- Tak.

- To dobrze. Paulina martwi się o ciebie. Uważam, że powinna tu przyjechać.

Stella pomyślała o Grace, brudnej i zaniedbanej, nieprzestrzegającej nawet podstawowych dobrych manier.

- Jeszcze nie - poprosiła.

Spinks odchrząknął i zaczął mówić oficjalnym, urzędowym tonem:

- Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że biuro śledcze przekazało raport do St Louis. Stwierdzili, że przyczyną śmierci Williama było wychłodzenie organizmu. W raporcie napisano, że „prawdopodobnie w następstwie wypadku na morzu”. - Palce Spinksa zakreśliły w powietrzu znak

cudzysłowu. - Wygląda na to, że nie znaleźli niczego innego poza tym, czego i my się domyślaliśmy, otwarte złamanie nogi, odwodnienie... - Spinks westchnął. - Nikt nie wie, co się tam naprawdę stało. Prawdopodobnie przewróciła go potężna fala albo coś na niego spadło. Był ranny. Potem nie mógł utrzymać kursu. Poddał się fali, zalało mu silnik. Tak to zwykle jest. Coś się stanie, a potem już samo leci.

Stella przytaknęła. Nad takim biegiem wypadków prze-myśliwała tysiące razy. Wiedziała, że nie należy oczekiwać, by udało się odtworzyć prawdziwą sekwencję wydarzeń. Tragedie na morzu zwykle pozostawały niewyjaśnione. Zabrane przez morze.

Zaginiony. Słowa zawsze były proste i niejasne.

- Tak czy owak - ciągnął Spinks - najważniejsze, że śledczy nie dopatrywał się żadnych podejrzanych okoliczności. Można go pochować. - To dobrze - powiedziała Stella.

Powinnaś poczuć ulgę - myślała, ale czuła tylko pustkę.

- Zef dostał samochód z powrotem - dodał Spinks. Popatrzył badawczo na Stellę. - Spisałem jego oświadczenie dla sierżanta. Kiedy zadałem mu pytanie, czy znał cię przed odnalezieniem ciała Williama, powiedział to samo, co ty. Prawie co do słowa.

Stella patrzyła w podłogę. Pamiętała swoją odpowiedź.

Poznałam go wiele lat temu.

...nie ma nic wspólnego z teraźniejszością.

Podnosząc wzrok, zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

- To upraszcza sprawę.

- Też tak sędzę - zgodził się. Milczał przez chwilę, rozglądając się bacznie dokoła. A potem spytał: - Mam poprosić proboszcza, żeby przyjechał ustalić plan pogrzebu?

- Nie. Pojadę do niego sama. Dziękuję za wizytę. I proszę podziękować siostrze za zapiekankę.

Spinks uniósł rękę w geście pożegnania i wyszedł.

Stella podparła Grace dwiema poduszkami, jej własną i drugą, leżącą po stronie łóżka należącej do Williama. Potem usadowiła się obok matki z tacą na kolanach. Odcięła czubek jajka i zanurzyła łyżeczkę w miękkim żółtku. Przeniosła pełną łyżeczkę do ust Grace. Dostrzegła odbicie swojej twarzy w lustrze toaletki - chcąc nakarmić matkę, sama otworzyła usta.

Leci samolocik, leci...

Przypomniała sobie, jak kiedyś łyżka trzymana przez Grace zataczała w powietrzu koła niczym maleńki samolocik krążący w powietrzu.

Wylądował... Grzeczna dziewczynka.

Grace patrzyła na otwarte usta córki i rozwarła wargi. Stella wsunęła łyżeczkę. Matka przeżuła, przełknęła i znowu otworzyła usta.

- Może potem wstaniesz - zaproponowała Stella. - Jest piękny dzień.

Z początku Grace zdawała się nie rozumieć tych słów. Potem powoli pokręciła głową jak ktoś bardzo zmęczony albo chory.

- Nie możesz tylko leżeć w łóżku. - Stella przemawiała łagodnym, lecz stanowczym tonem. - Spinks był tutaj. Śledczy zwolnił ciało. Musimy pomyśleć o pogrzebie.

Grace odwróciła głowę i schowała twarz w poduszkę.

- Nie zniosę tego. - Jej głos był przytłumiony, ale wyraźny. - Nie dam sobie bez niego rady.

- Dasz sobie radę - padła twarda odpowiedź. - Musisz dać sobie radę.

Grace uniosła głowę.

- Nie będę wiedziała, co robić. Nic nie będę wiedziała. Jej twarz przypominała maskę wyrażającą przerażenie i błagalną prośbę.

Córka patrzyła na nią. Jej wygląd - dziwna mieszanka dziecinnych uczuć widoczna w dojrzałych rysach kobiety - niweczył w Stelli uczucie tkliwości. W jego miejsce wkradał się mrok. Pamiętała, jak Grace kryła się pod tą maską, sie-

dząc na łóżku, na tym samym łóżku, i wypowiadała słowa, które William chciał usłyszeć.

Przypomniała sobie, jak Grace zdradziła ją po raz drugi. Jak klęczała przed córką w niespełna tydzień później, trzymając w dłoniach dziecko. Stella myślała, że matka rozumie, jakie było cenne. A jednak, gdy William tego zażądał, zignorowała błagania Stelli i powierzyła maleńkiego chłopca jego chciwym rękom, by córka nie mogła go już nigdy zobaczyć...

Podniosła się raptownie, taca spadła z łoskotem na podłogę. Jajko potoczyło się szerokim łukiem pod łóżko. Stella nabrała powietrza.

- Tata był zbyt silny, zbyt okrutny. - Słowa buchnęły w powietrze. - A ty na to pozwalałaś. Za bardzo się poddawałaś.

Grace zamknęła oczy, jakby ślepotą mogła dać jej schronienie.

- Posłuchaj, co ci powiem! - Głos Stelli był coraz głośniejszy, cienki i przenikliwy. Czowała się jak dziewczynka, szesnastolatka. - Powinnaś była mu się przeciwstawić. Powinnaś być silna. Zawiodłaś mnie. - Urywany szloch zdławił głos, ale słowa wydobywały się nadal. - Byłaś moją matką.

Matka nie otworzyła oczu, ale po jej twarzy przebiegł dreszcz. Zacisnęła zbielełe w stawach palce na brzegu koca.

Stella patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się i powoli wyszła z pokoju.

*

Stella siedziała przy szerokim biurku pokrytym zielonym filcem. Proboszcz zajął miejsce naprzeciw niej i pochylił głowę nad książką.

- Ma pani rację - rzekł - ojciec kupił ziemię na grób rodzinny w 1963 roku. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Wszystko jest o wiele prostsze, gdy ludzie przygotowują się do ta-

kich spraw zawczasu. Czy pozostawił jakieś wskazówki dotyczące nabożeństwa? W testamencie na przykład? Stella pokręciła głową.

- Nie chciałby nabożeństwa. Nigdy nie chodził do kościoła, a przynajmniej kiedyś nie chodził.
- Muszę przyznać, że nie widywałem go - przytaknął proboszcz - ale jestem tu dopiero od sześciu miesięcy. Nie sądzę też, bym poznał pani matkę. - Spojrzał poważnie. - Powinna być tutaj, by omówić tę sprawę.
- Nie czuje się dobrze - powiedziała Stella.
- Możemy poczekać dzień lub dwa... - Wbił w nią wzrok pełen podejrzliwości. - Żona powinna mieć coś do powiedzenia...

Stella patrzyła ponad ramieniem mężczyzny na rząd pustych wazonów, szarych od kurzu. Wyobraziła sobie Grace w domu Pod Siedmioma Dębami. Matka leżała w łóżku przez kolejny dzień i kolejną noc. Odmawiała przyjmowania pokarmów, piła tylko wodę, wlewaną jej do ust.

- Myślę, że powinnyśmy mieć to za sobą jak najprędzej - rzuciła Stella - żebyśmy mogły dalej normalnie żyć.

Proboszcz uniósł lekko brwi. Potem otworzył modlitewnik i zaczął przewracać kartki. Miał długie i blade palce.

- Jest kilka wersji nabożeństw. Trzeba dokonać wyboru modlitw.
- Nie potrzebujemy nabożeństwa. Chodzi nam tylko o pogrzeb.

Dłonie proboszcza znieruchomiały, wsparte na otwartym modlitewniku.

- W takiej chwili należy wziąć pod uwagę uczucia innych osób, przyjaciół, dalszej rodziny...
- Nie mamy rodziny - przerwała mu. - A przyjaciele wiedzą, że nie chodził do kościoła.

Proboszcz pokiwał powoli głową, patrząc w modlitewnik, jakby tam szukał mądrości. Kiedy uniósł głowę, na jego twarzy malował się wyraz współczucia i pobłażliwości.

- Nie jest to takie proste, panno Birchmore. Na miejscu

uświęconym obowiązują pewne zasady postępowania. Miejsce to ma nam przypominać o świętości życia. - Przerwał, patrząc jej badawczo w oczy. - Jeśli nie przywiązuje się do nich wagi, proszę wybaczyć obcesowość, można równie dobrze zakopać ciało w ogrodzie. Stella odepchnęła krzesło i wstała.

- Proszę zrobić, co pan uważa. Ale możliwie jak najprościej, bez mów pochwalnych i śpiewów. Proboszcz przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu, potem lekko się uśmiechnął.

- Myślę, że wiem, o co pani prosi.

*

Roje pszczoł uwijały się wokół wiązanek ogrodowych kwiatów złożonych na ziemi obok otwartego grobu. Stella patrzyła w dół na skromną trumnę, na jej węższy koniec, gdzie były nogi Williama. Wyobrażała sobie mężczyznę ubranego w garnitur, leżącego pod przybitą gwoździami drewnianą pokrywą. Wiedziała, że jest rad wielkiemu tłumowi, który zgromadził się, by oddać mu cześć. Przetwórnia ryb, sklep i pub były zamknięte. Wszyscy przyszli tutaj.

Z wyjątkiem Grace.

Kiedy Stella weszła rano do jej sypialni, żeby się pożegnać, matka leżała tak bezwładnie, że nie było widać, czy oddycha. Z każdym mijającym dniem Grace wycofywała się z życia coraz bardziej, przestała nawet mówić. Stella obwinięła o to siebie. Zadawała sobie pytanie, co właściwie chciała osiągnąć, przywołując na pamięć ból i gniew z przeszłości w momencie, gdy Grace i tak miała dość wszystkiego.

Stella potrząsnęła głową, chcąc uwolnić się od obrazu Grace, osamotnionej w domu Pod Siedmioma Dębami.

- W porządku, kochanie? - spytała Paulina.

Kobieta stała u jej boku. Od chwili, gdy Stella pojawiła się na kościelnym dziedzińcu, Paulina nieustannie trzymała się blisko niej. Niewiele mówiła, dotykała jedynie od czasu

do czasu jej ramienia albo łokcia, dając do zrozumienia, że jest z nią.

Stella spojrzała na miejsce, gdzie tłum się poruszył. Proboszcz torował sobie drogę, zmierzając do grobu. Stanął w jego głowach i ogarnął wzrokiem zgromadzonych. Miał na sobie długą, białą sutannę i czarną stułę przerzuconą przez szyję. Pot błyszczał na łysej głowie.

Wyciągnął przed siebie modlitewnik i rozstawiwszy palce szeroko na okładce, otworzył go w zaznaczonym miejscu.

- Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie - czytał. Jego głos brzmiał pewnie i dobitnie. - Wyrasta i więdnie jak kwiat, przemija jak cień chwilowy³.

Podniósł oczy i popatrzył na zebrany tłum. Zatrzymał wzrok na twarzy Stelli i uśmiechnął się smutno. Ona patrzyła na niego obojętnie. Słowa, które wypowiedział, nic dla niej nie znaczyły.

- Drodzy przyjaciele - zaczął proboszcz. - Przybyliśmy tu dziś, by podziękować za życie naszego brata, Williama Charlesa Birchmore'a, który odszedł od nas w tragicznych okolicznościach. Był człowiekiem mającym wiele godnych podziwu zalet. Był wytrawnym rybakiem. Kochał swoją pracę i czuł respekt przed morzem.

Stella patrzyła na proboszcza, ale on już na nią nie spoglądał.

- William Birchmore posiadał te cechy przywódcy, które docenia każda społeczność...

Mówił i mówił... Z czasem zaczął przemawiać wolniej, a jego głos nabrał głębi i przesadnej uczuciowości. Stella pochyliła głowę, słowa płynęły ponad nią.

- William miał w życiu dwie wielkie miłości: swoją uwielbianą żonę, Grace, która niestety nie może być tu dzisiaj z nami, i ukochaną córkę, Stellę. Jako ojciec i mąż był dla nas wszystkich przykładem. Stella zamknęła oczy. Powróciły do niej słowa skruchy ojca.

267

³Biblia Tysiąclecia, Księga Hioba 14,1-2 (przyp. tłum.).

Gdybym mógł być kimś innym. Kimś dobrym.

- Był człowiekiem z zasadami - ciągnął proboszcz - człowiekiem prostym i uczciwym.

Stella podniosła wzrok. Ludzie kiwali głowami z pełną aprobatą dla trafności obrazu kreślonego przez proboszcza. Wiele kobiet miało łzy w oczach.

Tylko Spinks wydawał się niewzruszony. Stella widziała go stojącego nieopodal mówcy Czują, że patrzy na nią. Gdy ich spojrzenia się spotkały, skinął lekko głową, jakby rozumiał, że sprawy nie były tak proste, jak się wydawało.

Stella znowu zamknęła oczy, w nagłej obawie przed tym, co ją czekało: przed osaczającą ją plataniną uczuć dotyczących Williama, Grace, Zefa. I małego chłopca, którego głos stale do niej docierał niesiony przez wiatr, chłopca, który odwiedzał ją w snach z bladą twarzą dziecka *zeru zeru*. Zagubionego, tak bardzo samotnego.

Myślała o maleńkim ciałku, zakopanym w ukrytym i nie-oznakowanym grobie. Nieuświęconym. Bez trumny, która chroniłaby jego skórę przed zimnym dotykiem ziemi. W samej sukieneczce albo w kawałku jakiegoś materiału.

A może William po prostu wrzucił go do ziemi bez niczego...?

Stella skupiła uwagę na kwiatkach ułożonych na ziemi obok grobu, na wiązankach z wiosennych kwiatów: stokrotek, maków, orlików, gipsówki i żonkili, poprzeplatanych łodyżkami eukaliptusa i akacji. Niektóre, delikatniejsze płatki już zaczynały więdnąć na słońcu. Z tyłu stosu leżała wiązanka wyróżniająca się spośród innych uderzającym pięknem i prostotą. Stella potrzebowała paru chwil, by zrozumieć, dlaczego tak jest. Wreszcie uświadomiła sobie, że nie było w niej kwiatów. Została zrobiona z rozmaitych liści o kontrastujących odcieniach zieleni.

Pomiędzy gałązkami tkwił pojedynczy, długi liść paproci lśniący barwą szmaragdu.

Stella wiedziała, czyje to dzieło. Patrzyła na zieloną paproć. Co oznaczała wiązanka od Zefa? Czy Zef uważał Wil-

liama za przyjaciela? Czy chciał jedynie wyrazić swój szacunek? A może bukiet miał przemówić do niej... Było jej słabo od upału. Czuła się niepewnie. Odnosiła wrażenie, że zbliża się do granicy, że padnie ofiarą uczuć, z którymi nie da sobie rady.

Nagle Paulina trąciła ją w ramię.

- Czas rzucić ziemię, kochanie.

Ktoś wetknął garść ziemi w dłoń Stelli. Zaciśnęła rękę na ciepłej wilgoci.

- Ziemia ziemi, prochy prochom, popioły popiołom... Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz - recytował proboszcz.

Rzucona ziemia uderzyła głucho o wieko trumny.

Stella pragnęła zapłakać. Pragnęła opłakać Williama, dziecko, Zefa, Grace - wszystko, co straciła i czego nigdy nie miała.

Wyobraziła sobie strumień łez płynący z jej oczu, który by ją oczyścił, otworzył, odrodził.

Ale oczy miała suche jak proch, jałowe jak popiół.

Herbata była chłodna i rozcieńczona mlekiem. Stella łykała ją pospiesznie, by wypłukać z ust smak oblanej czekoladą babki. Reszta ciasta leżała na talerzyku, by wyglądało, że właśnie je.

Uśmiechnęła się do rodziców Laury. Przywitała się z ojcem Jamiego. Mężczyzna nie czuł się dobrze w eleganckich spodniach i marynarce. Teraz towarzyszyła mu Paulina, ale podczas pogrzebu stał razem z innymi rybakami, którzy zaciągnęli wartę honorową przy trumnie i w grupie oddawali cześć zmarłemu koledze. Gdy tak stali jeden obok drugiego, nie potrafili skryć napięcia i niepewności. Stella wyczuwała, że to strach. Pewnego dnia ich też może spotkać taki sam los - żadne ostrzeżenia, żadne planowe działania nie pomogą.

- William nie był idiotą - podsumował jeden z rybaków. - Zawsze uważał, biedaczysko, zawsze był ostrożny.

Stella łyknęła ostatnią porcję herbaty. Odstawiła filiżankę i rozejrzała się po sali, przyglądając się znanym i nieznanym twarzom. Szukała Zefa...

Już miała zrezygnować, gdy wśród tłumu postaci dostrzegła wysoką sylwetkę mężczyzny z piaskowymi włosami. Miał na sobie ciemny garnitur i jasnoszarą koszulę. Podeszła bliżej, by lepiej widzieć.

Wzięła głęboki oddech, rozchylając lekko wargi. To on.

Zef wyglądał obco w eleganckim ubraniu, jak człowiek, który dobrze czułby się w dyrektorskim gabinecie, w galerii sztuki lub na śródmiejskiej ulicy - gdziekolwiek na świecie. A jednak było w nim coś, co przypomniało Stelli chłopca-żeglarza w wyblakłym sarongu.

Nie widział jej, rozmawiał z mężczyzną, którego nie знаła. Patrzyła na Zefa jeszcze kilka chwil, a potem odwróciła wzrok. Wbrew własnej woli znów rozejrzała się po sali, szukając nieznanym twarzy. Twarzy kobiety, ubranej jak Zef w drogie miejskie stroje. Kobiety z dziećmi przy boku, a może z dzieckiem na ręku.

Ogarnęła spojrzeniem drewnianą podłogę. Resztki zdartej butami białej farby znaczącej granice boisk do badmintonu czy koszykówki, w które grały następne po niej pokolenia dzieci.

Wtedy kątem oka dostrzegła kolorową plamę. Odcień fioleto, wyróżniający się i dziwnie znajomy. Pojawił się przed nią pęk gerber, ogromnych główek w pełnym rozkwicie, każda w takim samym fioletowym kolorze.

Młody mężczyzna w uniformie taksówkarza wręczył jej bukiet.

- Przesyłka speq'alna - rzekł.

Skłonił z szacunkiem głowę i odszedł.

Stella rozpoznała logo Interflory na małej karteczce przypiętej do celofanu. Poniżej znajdowała się wydrukowana wiadomość.

Myślami jesteśmy z Tobą. Lorna i zespół „Świata Kobiet”

Stella dotknęła jednej z gerber. Wyglądała jak przerośnięta stokrotka. Stella wiedziała, że kwiaty nieprzypadkowo zostały starannie dobrane do barw i symboliki wydawnictwa. Może nawet zostały specjalnie zabarwione - w Sydney czy gdziekolwiek indziej, gdzie Interflora znalazła kwiaciarnię, która spełniłaby żądania Lorny.

Stella gwałtownie zapragnęła powrotu do pracy, do świata, gdzie wszystko znaczyło to, co miało znaczyć. Bez niedomówień.

Mów prawdę. To tylko masz robić - dźwięczało jej w głowie.

Zapragnęła znowu być osobą z zewnątrz. Przyglądać się życiu obcych ludzi. Szukać faktów, trzymać swoje uczucia na wodzy. Przypomniała sobie maszynę do pisania czekającą pod biurkiem pana Berhanu w Hotelu Etiopskim i uznała, że czas tam wrócić. Wystukać nową opowieść, klnąc na trzy zacinające się klawisze. Widziała wypakowany plecak na twardym, wąskim łóżku.

I kamiennego anioła obok niej - znak, że jest w domu.

17

Palenisko sypnęło iskrami, gdy Stella dołożyła następny kawałek drewna. Spojrzała na termometr. Piec był już dostatecznie nagrany, ale wolała się jeszcze upewnić.

Za nią na stole leżała książka kucharska Grace, otwarta na stronie „Szafranowe ciasto Józefiny”. Stella wiedziała, że to ulubione ciasto matki. Pomyślała, że jeśli je upiecze, zachęci Grace do jedzenia.

Podświadomość podpowiadała jej jednak, że robi to wiedzona poczuciem winy za decyzję, którą właśnie podjęła. Postanowiła bowiem opuścić Tasmanię, jak tylko uda się wszystko zorganizować, nawet jeśli miałyby to oznaczać zatrudnienie pielęgniarki z St Louis do opieki nad Grace.

Stella skrupulatnie przestrzegała receptury, wielokrot-

274

nie czytając instrukcję spisana odręcznym, pełnym zawijasów, pismem.

Dodaj surowe jajko.

Przesiej do miski suche składniki.

Nie mieszaj zbyt długo.

Upewniała się po kilka razy, czy precyzyjnie odmierza i waży składniki. Przycięła papier, którym miała wyłożyć blachę. Nie piekła niczego od tak wielu lat, że wszystkie czynności, dobrze kiedyś znane, teraz nastęrczały jej nie lada trudności.

Odniosła wrażenie, że minęło mnóstwo czasu, zanim gotowe ciasto znalazło się na blasze.

Zdumiał ją widok porozsypywanej dookoła mąki, skorupki jaj walających się na podłodze i usmarowanego masłem stołu. Mucha usiadła na lepkiej łyżce i zaczęła pocierać o siebie przednie nogi. Gruba, żółta struga ciasta ściekała po biało-niebieskiej makutrze, tworząc na stole krągłe rozlewiska. Stella rozejrzała się po kuchni. Przyniesione w darze potrawy - nieświeże już albo zepsute - nadal zalegały na blatach. Schludna zawsze kuchnia zamieniła się w miejsce brudne i zabałaganione. Gdy ciasto znajdzie się w piecu - powiedziała sobie Stella - trzeba będzie posprzątać.

Wsunęła blachę do pieca i zamknęła drzwiczki. Spojrzała, że stojący obok pojemnik na drewno jest prawie pusty. Drewna wystarczy wprawdzie do utrzymania w piecu właściwej temperatury podczas pieczenia, ale później zabraknie go do podgrzania wody.

Wyszła na zewnątrz i zaczęła rąbać na szczapy największe bierwiona. Patrzyła na ułożone w stos drewno, w większości spore kawałki pni do porąbania. Zawsze zajmował się tym William. Wszystkie podręczne pojemniki zawsze były pełne, a przy pralni leżała dodatkowa, zapasowa sterta. Stella zastanawiała się, kto będzie robił to teraz. Kto będzie czyścił rynny dwa razy do roku? Albo reperował pompę, gdy się zepsuje...?

Zostawiła rąbanie i zaczęła krążyć wokół domu, pralni i szopy, notując w myślach wszystkie prace, którym trzeba będzie podołać. Wiedziała, że poza rutynowymi czynnościami należy brać po uwagę i te, które pojawiają się od czasu do czasu, i to niespodziewanie. Sprawdziła, jak wygląda farba w miejscach wymagających malowania, w jakim stanie są rury i metalowe części dachu. Poczła ulgę, choć nie zdziwienie, stwierdziwszy, że William utrzymywał wszystko w idealnym porządku. Minie zapewne kilka lat, nim zajdzie konieczność wykonania poważniejszych napraw.

Potem weszła do szopy, by zorientować się w zapasach farby, drewna i narzędzi. Zadowolona, że i tu William zostawił wszystko w porządku, wyszła na zewnątrz.

Idąc ścieżką, poczuła lekki swąd spalenizny. Z początku nie zorientowała się, co to takiego. Potem dostrzegła dym wydobywający się z otwartych tylnych drzwi.

- Do diabła! Ciasto...

Ruszyła biegiem w stronę domu. Mijając kuchnię, ujrzała mgielkę szaroniebieskiego dymu wypełniającą pomieszczenie. Zakłęła na myśl o swojej nieuwadze. Ciasto przepadło, a na dodatek zapach pozostanie w domu na całe tygodnie, uwięziony w zasłonach.

Wpadła do wnętrza przez boczne drzwi i znieruchomiała. Cofnęła się.

W holu, na progu kuchni stało blade widmo w długiej, pogniecionej koszuli nocnej, ze sterczącymi wokół twarzy szarozłotymi włosami.

Stella zobaczyła Grace, która, potrząsnąwszy głową, jakby chciała obudzić się ze snu, ruszyła do akcji. Złapała ścierkę i otworzyła drzwiczki pieca.

Buchnął czarny dym. Grace zakasłała, schyliła się i sięgnęła w czeluść pieca. Po paru sekundach odskoczyła, potrząsając oparzonymi palcami w powietrzu. Zwinąwszy ścierkę grubiej, ponownie spróbowała wyciągnąć spalone ciasto. Tym razem z powodzeniem. Ciemna smuga dymu

wydobywała się z blachy, gdy Grace ruszyła z nią w stronę bocznych drzwi.

Stella czmychnęła w bok, skryła się za stertą drewna. Obserwowała, jak dymiąca blacha płynie w powietrzu od kuchennych drzwi i ląduje pośrodku grządki z liliami. Potem rozwarło się na oścież kuchenne okno i ścierka przecinała powietrze, żeby przegonić dym z kuchni.

Po chwili usłyszała głos z głębi domu:

- Stella? Jesteś tam?

Stella została w kryjówce. Przez szpary między kawałkami drewna zobaczyła, jak Grace podchodzi do bocznych drzwi i staje w nich z rękami na biodrach, lustrując wzrokiem ogród i drogę, jak wspina się na palce i spogląda w dół, ku wybrzeżu.

- Stella! - zawołała znowu. - Gdzie jesteś?

Po chwili weszła z powrotem do domu. Wkrótce słychać było szum wody lecącej do zlewu i szuranie przesuwanych krzesel, a potem brzęk naczyń i metaliczny dźwięk podnoszonej i zamykanej pokrywy pojemnika na śmieci.

Stella stała tyłem do sterty, opierając ręce o najeżoną drzazgami ścianę drewna. Czowała, jak ogarnia ją ulga. Wiedziała, że to pierwszy, mały krok do przodu - matka wstała z łóżka i wróciła do kuchni.

Czekała ją jeszcze daleka droga, ale początek został zrobiony.

Sięgnęła wzrokiem poza wybrzeże, na otwarte morze. Nie widziała połyskliwej niebieskiej wody.

Widziała wyżyny Etiopii, czerwoną ziemię, gołe zbocza wzgórz, surowe piękno głębokich wąwozów, ciemnofioletowe światło kończącego się dnia.

*

Stella oparła się o drzwi budki telefonicznej. Patrzyła ponad parkingiem ku pomnikowi Żeglarzy, na którym dziesiątki mew siedziały w rzędzie, niczym drużyna czekająca na rozkazy. Jej oczy szukały części muru, którą tak dobrze знаła. Tabliczki Davida Greya. Przeniosła wzrok na

przetwórnę, na drzwi umazane krwią ryb i olejem silnikowym, na sterty skrzynek z niebieskimi napisami „Wyprodukowano na Tasmanii”.

Słyszała, jak telefonistka wybiera numer w Londynie, a potem pyta sekretarkę Lorny, czy przyjmie na koszt Londynu rozmowę z Halfmoon Bay w Tasmanii.

- A gdzie to, u licha, jest? - spytała sekretarka.

- Australia - wyjaśniła telefonistka. - Będzie rozmawiać pani Stella Boyd.

- Stella! Tak. Naturalnie. Przyjmuję rozmowę.

Stella poczuła miłe ciepło, słysząc, że nadal jest potrzebna, nadal jest ważna... Po chwili odezwała się Lorna.

- Stella! Jak się cieszę! Słabo cię słyszę. Wszystko w porządku? Kwiaty doszły?

- Tak. Dziękuję - powiedziała Stella. - Były bardzo ładne.

- To dobrze. Miło mi. Wszyscy bardzo się o ciebie martwili. - Kobieta zamilkła na krótką, pełną współczucia chwilę. - Rozmawialiśmy o tobie dziś rano. Potrzebujemy cię, ale nie chcę cię do niczego namawiać. Powinnaś tam zostać tak długo, jak trzeba. Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne...

- Jestem gotowa - przerwała Stella. - Chcę wrócić do pracy. Już zarezerwowałam lot do Dubaju na następną środę. Na krótko zapadła cisza.

- Do Dubaju? Dlaczego do Dubaju?

Stella skrzywiła się. Spodziewała się, że Lorna pamięta, iż Etiopskie Linie Lotnicze latają właśnie stamtąd.

- To najlepszy sposób na powrót do Addis Abeby. Chcę opisać koniec wojny. A potem pojechać na północ, do Erytrei.

- Stella, mam dla ciebie fantastyczną nową propozycję - powiedziała Lorna, omijając zrećznie to, co powiedziała Stella. - Alaska. Kobiety Avonu na Alasce. Wyobrażasz sobie? Katalogi kosmetyków w igloo!

Stella przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Co powiedziałaś?

- Dam tytuł „Kobiety, które sprzedają szminki Eskimosom” albo jakoś tak... Nie mówię, żebyś nie wracała do Etiopii. Ale najpierw zrób to. Potrzeba nam w końcu jakiegoś urozmaicenia. Stello? Jesteś tam?

- Tak. Słucham cię. Ale zostawiłam swoje rzeczy w Addis Abebie. - Stella potrząsnęła głową, jakby starała się wychwycić sens słów Lorny. - Moja maszyna do pisania jest w hotelu. Trzymam tam pokój.

- Zostaw to mnie - powiedziała Lorna głosem speqa-listki od rozwiązywania problemów. - Zadzwoń do Reutersa. Mają tam swojego człowieka. Opłacą rachunek w hotelu i wyślą mi maszynę. A tymczasem wpadnij na trochę do Londynu. Omówimy wszystko na miejscu. Możesz się zatrzymać w mieszkaniu służbowym.

Stella przypomniała sobie to mieszkanie, umeblowane oszczędnie w skandynawskim stylu - wszystko w bieli i fiolecie. Ostatnio zatrzymała się w nim podczas podróży z obozu w dżungli na Sri Lance do Nowego Jorku. Nie czuła się wtedy najlepiej - musiała trzymać wszystkie swoje rzeczy w łazience, żeby nie zostawić plam na białym dywanie. Teraz to mieszkanie wydawało jej się dobrym schronieniem, neutralnym i nieskomplikowanym.

- Potrzebna mi zaliczka - dodała - na opłacenie biletu.

- Naturalnie. Podaj namiary biura podróży. Jest tylko jedno na Tasmanii? Daj mi znać. Pa, kochana. Trzymaj się!

Stella odłożyła słuchawkę. Odepchnęła od siebie wszelkie obawy, pocieszając się myślą, że zgodziła się jedynie na podróż do Londynu. Ostatecznie to ona sama podejmie decyzję, dokąd pojedzie i o czym będzie pisać. Była przecież niezależna.

Furgonetka stała nieopodal budki telefonicznej. Stella sięgnęła przez otwarte okno po stronie pasażera po kartonowe pudło. Było pełne naczyń i pojemników, które ludzie

przynieśli do ich domu. Grace wszystkie je opróżniła. Zepsutą żywność wrzuciła do wiadra na kompost. Każdy dar oglądała z zainteresowaniem. Unosiła w górę naczynia, by obejrzeć spód, gdzie przyklejone były taśmy z nazwiskami właścicieli. Stellę uderzył wyraz zdziwienia i zadowolenia, który pojawiał się na twarzy matki.

Stella niosła pełne pudło do sklepu. Trzymając je przed sobą, pokonała zasłonę z kolorowych pasków wiszących w drzwiach. Rozejrzała się po wnętrzu, wdychając znajomy zapach proszków i niezbyt świeżych bananów. Prawie nic się nie zmieniło. Tablica ogłoszeń przy drzwiach nadal była pokryta odręcznie napisanymi ogłoszeniami oferującymi używane meble albo ładunek polan do kominka. Na starym miejscu, obok zamrażarki, znajdowało się stoisko Stowarzyszenia Żon Rybaków. Między zabawkami zrobionymi na drutach i słoikami dżemów zauważyła książkę w miękkiej, wypłowiałej okładce. Był na niej emblemat stowarzyszenia oraz słowa: ***Książka kucharska. W trzynastą rocznicę powstania. 1976.*** Czytając tytuł, przypomniała sobie dzień, gdy pani Barron powiedziała jej o planowanej publikacji i prosiła o przyniesienie przepisu od Grace. I nagle tamten dzień wydał się tak nieodległy... Stella szła w stronę kontuaru, oglądając inne towary w sklepie. Zauważyła, że zwiększył się wybór żywności w puszkach - powstał nowy regał zastawiony aż po samą górę konserwami z gotowanej fasoli, wieprzowiny, wołowiny duszonej z cebulą i gulaszu irlandzkiego.

Postawiła karton na ladzie i nacisnęła brzęczyk zamontowany przy kasie. Usłyszała ruch w saloniku. Od czasu, gdy przyjechała do Halfmoon Bay, widziała panią Barron tylko raz na przystani i potem na pogrzebie. Z daleka wydawało się, że pani Barron zupełnie się nie zmieniła, choć minęło całe piętnaście lat.

Stella dostrzegła najpierw płomień jasnoczerwonych włosów w pobliżu drzwi, a potem wyłoniła się pani Barron.

- Stella! - Twarz kobiety zajaśniała serdecznością i ży-

wym zainteresowaniem. Jej podbródek liczył teraz więcej niż dwie fałdy, a policzki były poorane zmarszczkami, ale włosy miała umalowane na ten sam co zawsze kolor, a oczy nie straciły na bystrości.

- Dzień dobry, pani Barron - powiedziała Stella.

- Moje biedactwo. - Pani Barron przyglądała się gościowi ze szczerym współczuciem. - Wyglądasz na zmęczoną.

Stella wzruszyła ramionami.

- Chyba jestem zmęczona...

- Ale poza tym wyglądasz dobrze - dodała pani Barron. - Wszędzie bym cię rozpoznała. Nie zmieniłaś się ani trochę.

- Pani też nie - stwierdziła wspaniałomyślnie Stella. Wskazała na karton. - Musimy zwrócić te naczynia właścicielom. Pomyślałam, że gdyby pani postawiła je koło lady, każdy mógłby wziąć, co do niego należy. Pani Barron spojrzała na naczynia.

- Ależ naturalnie, moja droga, jeśli tylko mogę pomóc... Jak się czuje twoja biedna matka?

- Nieco lepiej - odparła Stella, wręczając sprzedawczyni listę zakupów sporządzoną starannym piśmem Grace. Pani Barron uniosła brwi.

- Znowu gotuje! To dobry znak. Brakuje mi Williama przychodzącego z listą zakupów. Zawsze starałam się sprostać wszystkim życzeniom.

Stella uśmiechnęła się grzecznie. Niebawem - pomyślała - Grace będzie przychodzić tu sama.

Planowała porozmawiać z matką na temat lekcji nauki jazdy. Przed godziną kobieta wyglądała prawie tak samo jak dawniej - starannie uczesane, spięte na karku włosy, świeża koszula, wypastowane buty.

Wydawało się, że cudem ozdrowiała, wracając do dawnych rutynowych zajęć, poświęcając się gotowaniu, sprzątanii, pracy w ogrodzie... Ale Stella nie chciała ryzykować i wymagać zbyt wiele.

Pani Barron zaczęła przynosić produkty z listy i wkładać je do plastikowej torby.

- Bardzo długo byłaś poza domem - powiedziała, wpatrując się w Stellę. W głosie kobiety brzmiała ledwie dostrzegalna nuta wyrzutu. - Niewiele się tu zmieniło. Pub prowadzą nowi ludzie, z kontynentu. Zamknęli restaurację! - Pani Barron wskazała na nowe regały. - Musiałam wprowadzić inne produkty. Dla tych, którzy jedli w pubie tylko dlatego, że chcieli wyjść wieczorem z domu, to niewielki kłopot. Ale byli i tacy, którzy stołowali się w pubie. Wzięłam ich więc na swój garnuszek: rybacy z innych portów, robotnicy drogowi. Liczą na ciepły posiłek, a w pubie mogą kupić najwyżej paczkę chipsów. - Potrząsnęła głową. - Wstyd. - Pani Barron mówiła urywanymi frazami, dopasowując słowa do ruchów rąk: z półki na ladę, z lady do torby. - Co jeszcze? Nelsonowie przeprowadzili się do St Louis. Laura urodziła drugą dziewczynkę, ale nie mieszka tutaj, tylko gdzieś na północy. Jamie... - Rzuciła na swoją rozmówczynię krótkie, badawcze spojrzenie - Jamie nie wrócił. Mieszka w Północnym Terytorium. Ma miłą żonę. Widziałam jej fotografię. I trójkę dzieci. - Odetchnęła głęboko, nim zaczęła mówić dalej. - Jest parę nowych osób. Para emerytów z Afryki Południowej. I Zef.

Stella wyjęła jabłko z koszyka na ladzie i zdjęła z niego małą grudkę ziemi.

- Poznałaś go, naturalnie - ciągnęła pani Barron tonem spokojnym i poważnym. Zamilkła na chwilę, po czym powiedziała: - Miły młodzieniec z tego Zef a. Sam wznosił dom za drogą budowaną przez skazańców. Nie widziałam go, ale podobno jest niezwykły.

Pani Barron schyliła się i wyjęła spod lady pudełko zapalek, które następnie wrzuciła do plastikowej torby.

Stella zacisnęła palce na jabłku. Bezwiednie z jej ust padło pytanie:

- Mieszka sam?

Wpatrywała się w jabłko i obracała je w palcach, by w lśniącej skórce odbiło się światło wpadające przez witrynę sklepową.

- Tak. Sam. Nie ma ani żony, ani przyjaciółki. - Pani Barron potrząsnęła głową. Sztywne czerwone loki uderzały o skronie. - Musi czuć się samotny.

Stella wzruszyła ramionami.

- Niektórzy ludzie lubią spędzać czas samotnie - powiedziała.

Pani Barron przeszła ją wzrokiem.

- Może. Ale myślę, że dla ciebie to nie jest dobre. - Odhaczywszy ostatnią pozycję na liście, oddała ją.

- Proszę bardzo. Możesz sprawdzić, czy wszystko jest.

Stella wsunęła listę do kieszeni.

Pani Barron oparła się wygodnie o ladę.

- Na czym skończyliśmy? Właśnie. Zef. On nie pracuje, wiesz? Laurie powiedział mi, że najwyraźniej nie musi pracować. Zbił fortunę na jakimś wynalazku, na czymś, co, jak mi się wydaje, jest związane z łodziami. Mieszkał w Sydney, zanim tu przyjechał. Miał duży dom, własny interes, wszystko, co tylko chciał. Dwa lata temu zostawił cały dobytek i przyjechał tutaj, do Halfmoon Bay. - Pani Barron uśmiechnęła się, jakby dotarła do szczęśliwego zakończenia bajki. - Po prostu. Przyplłynął któregoś dnia swoim jachtem i został.

„Tailwind” - przypomniała sobie Stella.

- I gdzie ten jacht jest teraz? - wyrwało się z jej ust. Pani Barron wydawała się zaskoczona.

- Zwykle tu, przy pirsie. Zimą trzymał go na pochylni Benetta. Już czas, by go spuścił na wodę, ale pewnie najpierw chce skończyć robotę Joemu. Poprawiają dach w jego sterówce. Takimi rzeczami zajmuje się Zef. Zamiast pracować wszystkim pomaga. - Pani Barron zachichotała. - Nie wiem, jak byśmy sobie bez niego poradzili. Ale wystarczy już o nim. - Kobieta umilkła, przypatrując się bacznie Stelli. - Ty wspaniale się urządziłaś. Pewnie dzięki tej dobrej szkole w Londynie. Zdobyłaś odpowiednie wykształcenie. Wszyscy czytają twoje pismo.

Pani Barron wskazała na stojak z czasopismami. Pomie-

dzy błyszczącym magazynem „Cztery Kółka” a grubym plikiem „Nowych Pomysłów” leżał egzemplarz „Świata Kobiet” z ostatniego miesiąca.

- Miło mi, że się podoba - powiedziała Stella.

Tak zwykle odpowiadała ludziom, którzy napomykali

O jej pracy.

Pani Barron pokręciła głową.

- Widziałas okropne rzeczy. Przygnębiające... Nie wiem, jak to znosisz. - Jej głos poweselał. - A co zamierzasz robić teraz, po powrocie?

- Nie zostanę tu długo - odparła Stella. Wzięła torbę z zakupami. - Naturalnie najpierw upewnię się, że mama daje sobie radę. Ale muszę wrócić do pracy.

- Potrzebują cię pewnie - skonkludowała pani Barron. - Żebyś pisała swoje teksty.

Stella znieruchomiała. Wiedziała, że nie było to poważne stwierdzenie, lecz rzucona mimochodem uwaga. Niemniej denerwująca. Lorna z pewnością ucieszyłaby się z jej następnego artykułu, o czymkolwiek. Zostało wiele ważnych spraw, które należałoby opisać - tak wiele, że w żadnym magazynie nie starczyłoby dla nich miejsca. Ale cóż by się stało, gdyby Stella Boyd nigdy więcej nie napisała ani słowa? Dziesiątki dobrych i odważnych dziennikarzy tylko czekały, by zająć jej miejsce.

- Muszę już wracać.

Uznała, że to najlepsza odpowiedź, na jaką ją stać. Muszę stąd wyjechać - dodała w duchu.

*

Grace klęczała na ogrodniczej poduszce, opasana fartuchem chroniącym ubranie. Wyrывała cieniutkie chwasty z grządki lilii i wkładała je do stojącego obok koszyka.

Znajdujący się nieopodal kopczyk kompostu obsiadła chmara mew, wciąż jeszcze walczących o czerstwe ciasta i ciasteczka, paszteciki i kanapki. Powietrze wypełniał łopot skrzydeł i skrzekliwe wrzaski łakomego ptactwa.

Stella pozdrowiła matkę, przekrzykując zgiełk.

Grace podniosła wzrok i pokiwała z zadowoleniem głową na widok torby z zakupami w ręce córki. Stella poszła w stronę kuchennych drzwi. Omal nie nadepnęła na spaloną, stojącą przy stopniu blachę, pełną mętnej, rdzawej wody. Na ziemi obok foremki dostrzegła rozsypany biały proszek. Grace użyła sody oczyszczonej, żeby usunąć zwęglone resztki ciasta.

Kuchnia była zacieniona i chłodna, szczelnie zasunięte zasłony chroniły ją przed promieniami słońca. Stella weszła do środka, wdychając powietrze przesycone zapachem pasty z wosku pszczelego i wypieków. Już miała położyć torbę na stole, gdy zobaczyła rząd świeżutkich ciast na blasze.

Rozpoznała kolor i kształt „Znakomitego Ciasta Cioci Zosi”.

Ciasta, które William najbardziej lubił zabierać w morze.

Było ich aż sześć sztuk. Więcej, niż trzeba na tygodniową wyprawę. Prostokąty srebrnej folii czekały już na moment, gdy ciasto ostygnie.

Stella powoli nabrała powietrza i odwróciła się. Zdawała sobie sprawę, że ludzie rozmaitymi sposobami starają się uporać z tragedią. Przygotowywanie jedzenia dla kogoś nieobecnego wśród żywych wydawało się stosunkowo nieszkodliwe. Ciasto można było komuś podarować -z pewnością ucieszyłoby Joego. Można je też było oddać do sklepu pani Barron i sprzedać na stoisku Stowarzyszenia Żon Rybaków. Stella wzięła paczkę zapalek i zaniósła ją do pokoju morskiego. Zatrzymała się w drzwiach. Widok morza, zakłócany jedynie okiennymi ramami, niezmiennie ją zaskakiwał. Obraz nigdy nie wydawał się taki sam, toteż nie można go było traktować jak czegoś pewnego. Gdy ocean stawał się wzburzony i mroczny, chciało się opuścić zasłony, żeby schronić się przed jego siłą. Gdy woda była gładka i szara, jego ponurość zdawała się oczekiwać odrobiny ciepła -ognia płonącego w kominku. W słoneczne dni migocący

błękit lśnił tak intensywnie, że oślepił oczy. Zachód słońca przynosił niebiańskie widoki. Czuło się siłę przyciągania horyzontu. Chciało się pójść po wodzie, jak Jezus, i wstąpić do świata niewyobrażalnej wspaniałości...

Dziś morze było błękitne, a niebo przypominało malowidło na jedwabiu. Cichy pokój zasnuwało przytłumione światło.

Stella błędziła spojrzeniem po znajomych szczegółach mebli, obrazów, dekoracji. Zatrzymała wzrok na kredensie ciotki Jane, na którym płonęła świeca. Mały pomarańczowy ognek tańczył monotennie, rzucając słabe światło na fotografię w ramce. Stella podeszła, by popatrzeć z bliska. Tej czarno-białej fotografii Williama nie widziała nigdy wcześniej. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat, miał na sobie biały fartuch i przewieszane na szyi słuchawki lekarskie.

Oczy jaśniały blaskiem, a usta wyginały się w ciepłym uśmiechu. Tchnął radością, beztroską i pogodą. Musiał być szczęśliwy.

Stella wzięła fotografię i dotknęła ją palcami, jakby chciała sprawdzić, czy jest prawdziwa.

Uświadomiła sobie, że za takiego mężczyznę Grace wyszła za mąż, tak wyglądał William Birchmore, zanim jego marzenia zostały unicestwione.

Odstawiła zdjęcie na miejsce. Wokół świecy rozłożone były rozmaite dokumenty: licencja rybacka, karta szyperska, prawo jazdy, stary paszport. Między nimi leżały płatki kwiatów, suche i sztywne. Rozpoznała w nich kwiaty z bukietu, który zobaczyła w pokoju morskim zaraz po swoim przyjeździe, ostatnie kwiaty ścięte przez Grace przed zaginięciem Williama.

Na ołtarzyku znajdowały się także: kubek z „HMS Victory”, ostatnia gazeta Williama i złożona chustka do nosa z wyhaftowanymi w rogu literami **WCB**. Stała tam też butelka brandy, a obok niej kieliszek, jakby William mógł się pojawić w każdej chwili i mieć ochotę na drinka.

Stella patrzyła na pusty kieliszek. Spośród wszystkich pamiątek ten przedmiot wzbudził w niej największą falę

smutku. Żal ścisnął ją za gardło. Patrzyła na uszkodzoną szufladę po lewej stronie kredensu, gdzie leżał dziennik pogodowy. Miała ochotę wyjąć książkę i otworzyć ją na notatce, w której ojciec wyraził tak głęboką skruchę. Jego ostatnie słowa powinny być znaleźć się w tym miejscu wraz z innymi symbolami jego życia.

Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Nareperowała szufladę najlepiej, jak potrafiła, i ani słowem nie wspomniała matce o tym, co William napisał. On nie żył. Odszedł. Sięganie do przeszłości wydawało się niepotrzebne i ryzykowne.

Im mniej słów, tym szybsza złego naprawa - tak mówił.

Stella podniosła płatek, który spadł na ziemię i położyła go obok świecy. Płomyk chwiały się w lekkim przeciągu, palił się nierówno. Spostrzegła, że wosk spływa tylko po jednej stronie świecy, odwróciła ją więc w taki sposób, by mogła topić się także z drugiej strony, i wyszła z pokoju.

18

Stella podniosła zniszczoną książkę telefoniczną, leżącą na podłodze budki. Podtrzymując ją uniesionym kolanem, przerzucała podarte i postrzępione kartki. Znalazła Tasmański Bank Oszczędnościowy. Powiodła wzrokiem po liście adresów, szukając oddziału w St Louis.

Potem powtórzyła w myślach wszystkie informacje zgromadzone w ciągu kilku ostatnich dni.

Najpierw zbadała sprawę rent dla wdów i dowiedziała się, że Grace ma prawo do comiesięcznej skromnej kwoty. Potem upewniła się w miejscowym urzędzie, ile wyniosą kwartalne opłaty podatkowe. Dodała do nich przybliżoną wartość kosztów energii elektrycznej, jedzenia, benzyny i utrzymania samochodu. Okazało się, że matka zaspokoi z renty podstawowe

284

potrzeby, ale na luksusy i nieprzewidziane wydatki zostanie jej niewiele pieniędzy. Stella nie była tym zaniepokojona, gdyż pamiętała, że ojciec miał oszczędności. Nie mogła jednak znaleźć żadnego dokumentu w szufladach kredensu, a Grace nie orientowała się w finansach Williama. Telefon do banku był więc jedynym sposobem dowiedzenia się, jakim kapitałem dysponuje Grace.

Stella wrzuciła monetę i wybrała numer. Słuchawkę podniosła młoda kobieta i zaproponowała rozmowę bezpośrednio z kierownikiem, panem Wilsonem.

Stella od razu rozpoznała to nazwisko - pan Wilson był szefem banku od wielu lat. Pamiętała, jak przychodził na szkolne pogadanki i rozmawiał z dziećmi o znaczeniu oszczędzania, choćby drobnych kwot z kieszonkowego. W garniturze i krawacie wyglądał równie solidnie i niezawodnie jak budynek, w którym pracował. Dwupiętrowa, zbudowana z cegły siedziba banku górowała nad wszystkimi innymi budowlami w St Louis z wyjątkiem ratusza.

Pan Wilson rozpoczął rozmowę rześkim, radosnym głosem, ale gdy Stella się przedstawiła, jego ton się zmienił.

- Proszę chwileczkę zaczekać. - Stella słyszała, że mężczyzna wstał, zamknął drzwi gabinetu, po czym wrócił do biurka. - Przede wszystkim pozwoli pani, że złożę wyrazy współczucia pani i pani Birchmore. To straszna tragedia. Jeśli będziemy mogli w czymkolwiek pomóc...

- Dziękuję - odpowiedziała Stella. - Chciałabym prosić o informacje dotyczące oszczędności mojego ojca.

Na chwilę zapadła cisza.

- Czy zechciałaby pani do nas przyjechać? Wolałbym rozmawiać z panią bezpośrednio.

- Niestety, jestem bardzo zajęta - wyjaśniła. - Muszę już wracać do pracy, a mam jeszcze do załatwienia sporo spraw.

- Rozumiem - odparł pan Wilson. - Mogę udzielić pani informacji, jeśli zaczeka pani przy telefonie. - Mężczyzna wrócił po kilku minutach. - Sprawdziłem dokumentację.

Ojciec ma - miał - jeden rachunek oszczędnościowy. Jest na nim dziewięćset pięćdziesiąt sześć dolarów i dwadzieścia centów.

Palce Stelli zacisnęły się na słuchawce.

- To nie są chyba wszystkie oszczędności!

Coś się nie zgadzało. William nigdy nie zarabiał kroci, ale zawsze dbał o odkładanie części pieniędzy z każdego czeku, który otrzymywał z przetwórnicy. Lubił przypominać rodzinie, że w przeciwieństwie do tubylców, którzy mają na miejscu kuzynów, wujków i ciotki, Birchmore'owie muszą polegać wyłącznie na sobie.

- Miał naturalnie znaczne oszczędności - wyjaśniał pan Wilson - ale około dziesięciu lat temu postanowił zaniechać dzierżawy i wykupić swoją posiadłość. Jej wartość okazała się wyższa, niż przewidywał. Do tego doszły opłaty prawne, koszty wyceny przez rzeczoznawców i honoraria geodetów. Sfinalizowanie tej operacji wymagało kilku lat.

- To znaczy, że wcześniej nie był właścicielem swojego domu? - spytała Stella. - Myślałam, że kupił go od człowieka, który go zbudował.

- Kupił stuletnią dzierżawę. Większość ludzi w okolicy ma takie dzierżawy. I nikt się nad tym nie zastanawia. Williama jednak nurtowała ta sprawa. Nie zaznałby spokoju, gdyby nie uzyskał aktu własności. Stella pokiwała głową. Wiedziała, że William pragnął, by ziemia, na której stał dom Pod Siedmioma Dębami, była własnością Birchmore'ów na zawsze, a nie na sto lat.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Omówię sprawę budżetu z matką. Utrzyma się z renty, nawet bez oszczędności.

Krzesło pana Wilsona skrzypnęło. Papiery zaszeleściły na biurku.

- Obawiam się, że to nie będzie takie proste. - Mówił łagodnie i powoli. - Oszczędności jedynie w małej części pokryły kwotę, którą musiał zapłacić państwu. Wziął zatem znaczną pożyczkę. Oznacza to konieczność spłacania

rat, które będą odtrącane z renty wdowy Przykro mi. Przykro mi, że muszę to pani powiedzieć. Stella patrzyła na oblepiony brudem metal telefonu. Myślała szybko, przypominając sobie wszystko, co jej powiedział.

- Jakie jest wyjście z tej sytuacji? - spytała. - Czy może pan zawiesić płatności na pewien czas?

- Jeśli to pomoże, rozpatrzę taką ewentualność - powiedział pan Wilson. - Ale musiałbym wiedzieć, jakie rozwiązania możemy zaplanować w dalszej perspektywie. Zakładam, że William nie zostawił innego majątku. Wyobrażam sobie, że gdyby go posiadał, spieniężyłby go już dawno. W chwili, gdy ustalaliśmy warunki spłaty długu, nie miał ubezpieczenia na życie. - Pan Wilson westchnął. - Rybacy nigdy się nie ubezpieczają. Uważają, że to kuszenie losu, rzucanie rękawicy morzu czy coś w tym rodzaju... A pani? Może pani ma jakieś środki?

- Nie - odrzekła. - Niestety, nie mam.

Mam tylko maszynę do pisania, pozostawioną w hotelu za granicą. Parę starych ubrań. Kamiennego aniołka z francuskiego ogrodu... - podsumowała w duchu.

- A krewnych, którzy mogliby pomóc? - dociekał pan Wilson.

Stella pomyślała o Danielu. Była pewna, że gdyby mógł, na pewno zaofiarowałby pomoc. Ale i on nigdy wiele nie zarabiał. Mieszkał z Milesem w pięknym, starym domu w Melbourne, ale i dom, i meble należały do rodziny Milesa. Obaj mężczyźni z trudem się utrzymywali, udawało im się jedynie zaoszczędzić trochę grosza na wakacje raz do roku. To wszystko.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała. - Nie mamy nikogo.

Pan Wilson westchnął znowu.

- Ja też byłem w podobnej sytuacji. Walka z długiem, i to w obliczu tak bolesnej straty, to trudna sprawa. Odradzałbym taki krok. William postąpił rozsądnie. Od czasu

gdy dostał akt własności, wartość posesji wzrosła ponad dwukrotnie. W St Louis rozwija się turystyka. Ziemia nad oceanem, nawet w waszym zakątku, jest w cenie. Radzę ją sprzedać.

- Nie, nie. To niemożliwe - zaprotestowała. - Nie mogłabym tego zaproponować mamie.

- Teraz ten pomysł mógłby ją rozgniewać - powiedział uprzejmie pan Wilson. - Czasami jednak tym, którzy zostają, dobrze robi rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Nie potrafię podać dokładnych liczb, ale pobieżny szacunek sugeruje rozpatrzenie takiej ewentualności: sprzedaje pani posiadłość i kupuje mamie mały, ładny domek w St Louis. Ciepły, łatwy do utrzymania, z wszelkimi wygodami. Resztę pani inwestuje. Mama zyskuje środki do życia. Zamiast z trudem utrzymywać się z renty będzie mogła pozwolić sobie na fryzjera raz w tygodniu, a nawet wybrać się na wycieczkę statkiem. To nie jest zły scenariusz.

- Nie wiem, czy pan rozumie... - zaczęła Stella. - Całe życie mojej matki było związane z tym miejscem. Ona nie potrafiłaby się z nim rozstać.

Pan Wilson odchrząknął.

- Będę z panią szczery, Stello. Możecie nie mieć wyboru. Raty wynoszą około stu dolarów tygodniowo. Do niczego pani nie namawiam. Proszę się zastanowić, przemyśleć różne rozwiązania. Dobra wiadomość to ta, że w akcie własności figurują oba nazwiska, i Williama, i pani Birch-more, co oznacza, że nie będzie opóźnień wynikających z procedur spadkowych i tak dalej. Może go sprzedać w każdej chwili.

Stella oparła głowę o szklaną ścianę budki i zamknęła oczy. Wszystko, co ten mężczyzna do niej mówił, miało sens. Nie można żyć z gołej renty, skoro ma się dług do spłacenia. Grace nie mogła też podjąć pracy w przetwórnicy czy w pubie...

- Proszę posłuchać. Znam kogoś, kto byłby zainteresowany tą posesją - ciągnął pan Wilson. - Mogę go przysłać,

jeśli pani sobie życzy. Bez żadnych zobowiązań. Wyjaśnię mu sytuację i poproszę, by zachował wszystko w tajemnicy.

Potarła twarz dłonią. Skuliła się nad słuchawką, jakby chciała zataić swoje słowa przed patrzącymi na nią mewami albo przed ciekawskim wiatrem.

- Dobrze. Niech przyjdzie. Dowiem się w ten sposób, co ma do zaoferowania.

- Bardzo rozsądnie - orzekł pan Wilson.

Stella przyznała mu rację. Była przekonana, że to właściwy krok - zebrać fakty.

Zawsze dobrze jest wiedzieć.

*

Kangury pasły się po obu stronach drogi. Stella trzymała kierownicę lewą ręką. Prawą wystawiła za okno. Dotknęła dłonią drzwi. Metal był ciepły i gładki. Chłodny powiew muskał jej skórę. Gdy samochód pokonał niewielkie wzniesienie, zwolniła, patrząc przed siebie na dom.

Błądziła wzrokiem po znajomym zarysie budynku. Wyrastający na tle jasnego nieba dach rzucał długi popołudniowy cień na szopę i zbiorniki z wodą. Dąb stał nieopodal frontowych drzwi, jego gałęzie pokrywały kępki świeżych, dopiero rozwijających się wiosennych listków.

Nieco dalej, przy frontowej ścianie domu, Stella dostrzegła czerwoną plamę. Podjechała bliżej, zobaczyła czerwony sweter matki, która stała z wiadrem i gąbką w rękach i myła okna.

Stella zaparkowała furgonetkę, wysiadła i podeszła bliżej. Zobaczyła odbijającą się w nieskazitelnie czystej szybie twarz Grace, przyglądającej się uważnie efektom swojej pracy. Na jej ustach tlił się uśmiech zadowolenia. Wyglądała jak matka patrząca na swoje dziecko: dumna i krytyczna zarazem. Córka obserwowała ją z narastającym lękiem przed koniecznością przekazania jej niepomyślnych nowin od pana

Wilsona. Gdy Grace się odwróciła, Stella zmusiła się do uśmiechu. Matka uniosła rękę w powitalnym geście, po czym wzięła gąbkę i zaczęła zmywać wodą kolejną szybę.

Stella siedziała przy stole i obierała jabłka. Były to ostatnie jabłka z zeszłorocznego zbioru i niełatwo usuwało się nawoskowaną, śliską skórkę, okrywającą skurczony, miękki miąższ. Grace nie zносиła, gdy coś się marnowało. Z jabłek robiła sos podawany do „wieprzowiny pieczonej według mojego własnego przepisu”. Słoiki gęstej żółtej mazi - ze starannymi nalepkami i datami - staną w rzędzie z innymi przetworami zalegającymi na półkach w szopie.

Stella zobaczyła te zapasy, gdy szukała puszki oleju do auta. Jej uwagę zwróciły barwy płonące za szkłem w przyćmionym świetle: rubinowy dżem z malin, czarne pikle z orzechów włoskich, słonecznożółta marmolada, pomidorowy sos w pomarańczowe cętki... Starła się nie myśleć o chwili, gdy trzeba będzie to wszystko wydać albo wyrzucić na kompost, gdy trzeba będzie spakować cały dom

i przenieść rzeczy gdzie indziej.

Robiła swoje, popatrując od czasu do czasu na pracującą matkę. Krążyła ona między książką z przepisami a kuchenką. Nie spuszczać wzroku ze smażonej potrawy, chwyciła rękawicę z haczyka na ścianie i wsunęła ją na dłoń. Sięgnęła do pieca i obróciła zapiekanekę umieszczoną na środkowej półce.

W swoim królestwie czuła się pewnie i swobodnie.

Stella próbowała wyobrazić sobie matkę w innej kuchni, mniejszej, bardziej zwartej, nowszej.

Przypomniała się jej książka, którą dostała w dzieciństwie i w której obrazki znajdowały się na innych stronach niż tekst, jaki ilustrowały. W tamtej książce malowane postaci wydawały się niepotrzebne i zagubione.

Może Grace by przywykła - myślała Stella. Jeśli będzie musiała, przywyknie. Stella widziała uchodźców, zmuszonych zaczynać wszystko od zera w nowym kraju. Widziała

skazańców odsiadujących dożywocie w obcych więzieniach. Ludzie zawsze okazywali się silniejsi, niż można by sądzić. Często nawet sami byli tym zaskoczeni.

Rozdarte serce nie przestaje bić... - przyszło jej na myśl.

Pukanie przedarło się przez odgłosy gotowania. Stella rozejrzała się, próbując znaleźć jego źródło. W oknie zobaczyła twarz nieznanego mężczyzny. Ciemne włosy, kremowy sweter polo, okulary przeciwsłoneczne, lśniące w blasku popołudniowego słońca.

Stella wstała i podeszła szybko do tylnych drzwi. Na szczęście matka, nadal pochylona nad piecem, nie zauważyła przybysza. Niezależnie od tego, kim był i czego chciał, Stella wołała zająć się nim sama. Wyszła przed dom i zamknęła za sobą drzwi.

- Mam nadzieję, że wybaczy pani niezapowiedzianą wizytę - powiedział nieznajomy, wyciągając rękę. - Jestem Clifford Beaumont.

Stella podała mu dłoń. Poczowała na skórze ciepły dotyk jego palców.

- Pan Wilson powiedział mi, że panie nie mają telefonu. Byłem w okolicy, więc postanowiłem wykorzystać tę okazję i zajrzeć. Jak rozumiem, posiadłość jest na sprzedaż.

Stella otworzyła usta ze zdumienia. Nie spodziewała się, że kierownik banku działa aż tak szybko. Zerknęła w stronę okna, potem skinęła na mężczyznę, by poszedł za nią za stertę drewna. Wydawał się nieco zaskoczony, ale podążył za nią, stąpając ostrożnie po nierównej ziemi w swoich kowbojskich butach. Gdy znaleźli się za osłoną drewna, Stella zaczęła mówić:

- Mama jeszcze o niczym nie wie. Muszę powiedzieć jej o tym we właściwym momencie. Jeśli zostawi mi pan swój telefon, skontaktuję się z panem. Obawiam się, że teraz nie będzie pan mógł obejrzeć domu.

Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując białe, równe zęby. Miał gładką skórę i powierzchowność dbającego o dietę zamożnego człowieka.

- Nie muszę niczego oglądać - odrzekł. - Wilson pokazał mi akt własności.

Odwrócił się i zlustrował wybrzeże, ogarniając jednym spojrzeniem cały obraz. Stella obserwowała twarz gościa, czekając, aż jej wyraz złagodnieje na widok tak pięknej scenerii. Tymczasem jego usta mocniej się zacisnęły, a kąciki ust opadły. Pokiwał głową. Stella starała się przeniknąć wzrokiem mrok okularów, ale szkła były zbyt lśniące i zbyt ciemne. Poczowała ucisk w żołądku. Nie lubiła rozmawiać z ludźmi, którzy osłaniają oczy. Przypominali jej żołnierzy, ochroniarzy i tajną policję - tych, których samochody miały przyciemniane szyby, pasujące do ich ciemnych okularów i dusz.

- Posiadłość obejmuje cały cypel aż po znak linii przypływu, czy tak? - spytał Clifford.

- Tak - odparła Stella - od płotu z bramą wjazdową. Mamy też małą groblę, szambo i zbiornik na wodę. Dom nie jest wprawdzie odnowiony, ale bardzo dobrze utrzymany.

Clifford wykonał ruch ręką, jakby odganiał się od muchy.

- Żadna z tych rzeczy mnie nie interesuje.

- To znaczy?

- Dom oczywiście zostanie zburzony.

Znad sterty drewna Stella spojrzała na przód srebrnego sportowego samochodu. Uświadomiła sobie, że taki mężczyzna nie będzie chciał mieszkać w skromnym domu. Zburzy go i wybuduje nowy.

- Widzę tu osiem, dziesięć domów letniskowych - ciągnął Clifford. - Każdy miałby wspaniały widok na morze, przestrzeń rekreacyjną, wiatę na samochód. Droga biegłaby z tyłu, o, tędy.

Palec Clifforda narysował w powietrzu linię, pokazującą, że droga biegłaby prosto przez dom i sam środek ogrodu Grace.

Stella patrzyła oniemiała. W ułamku sekundy stanął jej przed oczyma obraz żywy i pełen szczegółów: buldożer

podjeżdża do płotu i ustawia pług, rusza i miażdży wszystko, co napotka na drodze. Buldożer podobny do czołgów, jakimi żołnierze przejeżdżają nad jamami pełnymi ciał, z których tylko nieliczne są martwe... Oczyma wyobraźni zobaczyła rozerwane na szczapy drewno, pokruszony tynk, złamany u podstawy dąb, zmięte lilie wgniecione w ziemię, z korzeniami na wierzchu, falę wody wypływającą z pękniętych zbiorników i zalewającą rumowisko.

- Nie może pan tego zrobić - powiedziała. Jej głos był cienki i wysoki.

-Przepraszam. Sądziłem, że Wilson panią uprzedził. Sądziłem, że pani wie. - Clifford zdjął okulary i przeszył kobietę ostrym spojrzeniem. - Jest tylko jeden powód, dla którego mogę złożyć pani tak korzystną ofertę. To znakomity teren budowlany. Sam dom nie ma żadnej wartości.

Stella nie patrzyła na niego. Jej wzrok ogarniał ogród, miejsce, które ten człowiek planował zrównać z ziemią. Widziała je poorane gaśienicami spycharki, a potem pokryte betonem i asfaltem.

Gdzieś tam leżą kości maleńkiego dziecka - kruchy, biały azur w ziemi. Za małe, by je zauważyć, gdy pług wydobędzie je na wierzch, a potem zetrze na proch.

- Nie sprzedamy tego miejsca.

Stella wypowiedziała te słowa spokojnie, jakby ważyła ich kształt i znaczenie. Potem uniosła brodę i powtórzyła wyraźnie i stanowczo:

- Zmieniłam zdanie. Posiadłość Pod Siedmioma Dębami nie jest na sprzedaż.

Clifford dotknął jej ramienia, ale cofnął rękę, gdy Stella się zachnęła.

- Rozumiem. Trzeba trochę czasu, by przywyknąć do tej myśli. To przecież dom pani dzieciństwa. Ale kiedy dostanie pani moją oficjalną ofertę, nie odmówi pani. Wrócę za kilka dni.

- Niech się pan nie fatyguje - odrzekła Stella. - Straci pan tylko czas.

Mówiła cicho, żeby przypadkiem Grace czegoś nie usłyszała.

Clifford cofnął się nieco. Zerknął tu i tam, jakby chciał zatrzymać w pamięci widok upragnionej ziemi.

- Następnym razem chciałbym poznać pani matkę i porozmawiać z nią.

- Proszę tu nie przychodzić - powtórzyła, rozgniewana nachalnością mężczyzny. - Nie chcę pana więcej widzieć.

Clifford otworzył usta, by coś powiedzieć. Ale wsadził tylko okulary na nos i poszedł w stronę samochodu. W chwilę potem dał się słyszeć odgłos uruchamianego silnika, gardłowy pomruk, stłumiony szybko przez dźwięk opon buksujących na piasku.

Stella odetchnęła głęboko, starając się uspokoić nerwy. Spojrzała na morze pluszczące wśród szarych głazów przybranych pomarańczowymi porostami. Szmaragdowozielone *boobyalla* zarastały brzeg aż po linię wody. Pod gęstwiną liści widziała powyginane gałęzie wyrzeźbione przez wiatry wiejące od morza. Rosły tu od wieków - uświadomiła sobie - nie poddając się ani sztormom, ani suszy, nienaruszone przez przychodzących i odchodzących ludzi.

Morze, skały, ziemia wyglądały tak samo jak wtedy, gdy przed wiekami obozowały tu rodziny aborygenów. I gdy stanął tu dom.

I tamtej nocy, gdy William wyszedł do zalanego światłem księżycą ogrodu z zawiniątkiem w jednej dłoni i łopata w drugiej. Tej nocy, gdy - bezwiednie - przypieczętował wieczny związek swojej rodziny z tym skrawkiem ziemi.

Stella odwróciła się i spojrzała na ogród. Patrząc, jak niknące promienie słońca igrają wśród drzew i krzewów, nabrała pewności.

Ta ziemia była uświęcona. Jak dziedziniec kościelny.

Jakkolwiek długo miałoby to trwać i ilekolwiek kosztować, Stella zostanie, póki nie będzie pewna, że ziemia Pod Siedmioma Dębami jest bezpieczna.

Grace odwróciła się od pieca, gdy Stella weszła do kuchni.

- Słyszałam samochód - zaczęła.

- Ktoś pomylił adres.

Grace wzięła drewnianą łyżkę, żeby zamieszać gulasz.

- Zaczekaj, mamó. Muszę z tobą porozmawiać. Zostaw gotowanie - powiedziała Stella.

Na twarzy Grace ukazał się wyraz zdziwienia. Stella wiedziała, że odezwała się jak William, posłużyła się słowami jak narzędziami do rozstawiania ludzi po kątach. Grace przesunęła garnek na zimniej szy kraniec płyty kuchennej. Stella zaczęła, aż matka odwróci się do niej, i zaczęła mówić:

- Czy wiesz... - Zabrakło jej słów. Zaczęła jeszcze raz: -Czy William powiedział ci, gdzie pochował moje dziecko?

Grace patrzyła na córkę przerażona. Jej usta poruszały się bezgłośnie, gdy starała się sformułować słowa. W końcu pokręciła tylko głową.

- Jeśli wiesz, powiedz mi - zażądała Stella. - Musisz mi powiedzieć.

- Nie wiem - odparła Grace. - Nigdy mi tego nie powiedział.

- Proszę cię. Na pewno coś wiesz - wyszeptała Stella. Ale już czuła chłód niepowodzenia. Skąd się w niej

wzięła nadzieja, że Grace odpowie na pytanie? Wiedza to potęga. William chciał zachować tę tajemnicę dla siebie. A Grace... Grace pozwoliła mu na to. Stella odwróciła się od matki. Zawadziła butem o nogę krzesła, które z szurgo-tem przesunęło się po podłodze. Ogarnął ją gniew. I zaraz zgasł pod ciężarem rozpacz.

- Nawet nie chciałaś wiedzieć! Nic cię to nie obchodziło!

Nastała długa cisza, przerywana jedynie szumem morza. Grace wzięła długi, urywany oddech.

Spojrzała w podłogę, na swoje stopy, ustawione równo, jedna obok drugiej, na skraju plecionej maty.

Potem zaczęła mówić powoli, z tru-

dem wypowiadając wyrazy, tak jakby wydobywała je z odległej przeszłości.

- Kiedy wyjechałaś, przestałam pracować w ogrodzie. Ilekroć zanurzałam szpadeł i podnosiłam ziemię, bałam się, co z niej wydobędę. Prosiłam Williama, żeby powiedział mi, gdzie jest grób, żebym mogła trzymać się od niego z dala. Ale odmawiał. - Grace przyglądała się bacznie swoim dłoniom, swoim palcom, w których obracała łyżkę wazową. - Tak naprawdę nie bałam się... Ale nie chciałam uszkodzić grobu. Chciałam, żeby ono odpoczywało w spokoju. Chciałam zasadzić mu jakąś roślinkę. Chociaż wiedziałam, że William nigdy na to nie pozwoli. Ojciec nie znosił niczego, co mu przypominało... o tym, co się stało. Co ci zrobiliśmy... - Grace podniosła twarz, i ciągnęła ostatkiem sił. - Bardzo długo nie wychodziłam na zewnątrz. W końcu William się poddał. Ale powiedział mi tylko jedno. Powiedział, że mogę być pewna, że on mi obiecuje, iż nie znajdę tego miejsca przez przypadek. Po tym stwierdzeniu kopałam tylko tam, gdzie od dawna rosły moje rośliny.

Grace spojrzała w okno. Jej oczy były zaczerwienione, błyszczące. Stella podążyła za jej wzrokiem. Popołudniowe słońce jaśniało nad ogrodem, wyostrzając kształty -wszystko zdawało się trwać na pół w cieniu i na pół w świetle.

Kobiety w milczeniu przeczesywały ogród. Podobnie jak ubrani na pomarańczowo wolontariusze Spinksa podzieliły przestrzeń na sektory i uważnie sprawdzały każdy kawałek ziemi leżącej poza drzewami owocowymi i grządkami jarzyn. Szybko przechodziły koło miejsc, gdzie rosły miejscowe trawy i krzewy. Szukały miejsc pokrytych chwastami, obcymi roślinami, które zwykle natychmiast brały w posiadanie świeżo skopaną ziemię.

Te właśnie uparte chwaściska Grace i Stella wyrywały albo odsuwały na boki, szukając śladów grobu.

Rozgląda-

ły się za kamieniem albo ciężkim kawałkiem drewna, za czymś, co William położył, żeby zakryć wzruszoną ziemię. Wiedziały, że nawet na ogrodzonym terenie nikt nie zaryzykowałby pozostawienia grobu niezabezpieczonego przed diabłami tasmańskimi i bezpańskimi psami, bo przecież zawsze mogło się zdarzyć, że ktoś zostawi uchyloną bramę albo obluzuje się sztacheta w płocie.

Powietrze napełniało się zapachem świeżej ziemi, nadłamanych łodyg i zerwanych liści. Chwasty piętrzyły się na skraju grządek, razem z kawałkami starego szkła i pękniętymi tackami do wysiewu nasion. Znalazła się wśród nich nawet żółta plastikowa kaczka, którą kiedyś Stella bawiła się w wannie.

Stella wyprostowała się, rozciągnęła kręgosłup i roztarła pokryte pęcherzami dłonie. Słońce skryło się za morzem, a powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Ostatnie mewy kołowały na niebie, wracając do swoich siedlisk. Już wkrótce - pomyślała - będzie za ciemno, by widzieć dokładnie ziemię pod stopami. Ale nie chciała zaniechać poszukiwań, skoro udało się je rozpocząć.

Jakby czytając w myślach córki, Grace poszła do szopy i po chwili przyniosła dwie lampy naftowe. Niebiesko-żółte płomyki tliły się za okopconymi szklanymi pokrywami.

Pracowały dalej. W miarę jak ciemniało niebo, coraz jaśniej świeciły lampy, rzucając na ziemię żółty blask. W pobliżu płotu na tyle posesji znajdował się gąszcz jeżyn. Kilka krzewów zasadzono przed dziesiątkami lat, żeby dawały owoce do „letniego puddingu ciotki Jane”. Ale od czasu, gdy Grace przestała uprawiać część ogródka leżącą poza jej grządkami i rabatkami, krzewy jeżyn zdziczały i rozrosły się. Stella przyniosła z szopy skórkowe rękawice i sekatory. Kobiety zaczęły przycinać grube łodygi. Gdy je wyciągały i odrzucały na bok, ostre ciernie zahaczały o ramiona, zostawiając na skórze długie zadrapania pokryte świeżą krwią.

Stella pacnęła komara brzęczącego jej nad uchem. Grace

wyprzedziła ją, torując drogę wśród gęstwiny. Nagle przystanęła. Nie ruszała się przez dłuższą chwilę. Potem powoli się wycofała.

Na ziemi leżał niewielki krzyż.

Stella rzuciła się do przodu i uklękła przy nim, wciśnięta między cierniste gałęzie. Grace pochyliła się nad nią, trzymając wysoko lampę.

Krzyż był sklecony z dwóch kawałków nieobrobionego drewna połączonych zardzewiałym gwoździem. Na poziomym ramieniu widniały niewyraźne znaki, resztką cyfr 1976.

Słaby głos Grace zabrzmiał nad ramieniem Stelli:

- William to zrobił. Musiał chyba...

Stella ściągnęła rękawicę i sięgnęła do krzyża. Ostrożnie uwolniła go ze splątanych pnączy. Pod nim - w połowie obrośnięty niskimi chwastami - leżał duży kamień.

Drżącymi rękami wyrwała chwasty, odsłaniając kawałek granitu o jajowatym kształcie. Stella wiedziała, że kamień pochodził z plaży, że kształt owalu nadały mu fale. Ale tu, w cieniu jeżynowych krzaków, ziemia zaczęła brać go w posiadanie, jego boki pokryły mchy i porosty, barwiąc szary kamień srebrną zielenią.

Jajowaty kształt leżał zanurzony w wilgotnej ziemi. Miał mniej więcej wielkość dziecka. Nie pogrzebanego pod nim maleńkiego ciała, lecz dziecka, którym to ciało mogło się kiedyś stać. Stella gładziła palcami omszałą powierzchnię. Czekwała, przygotowywała się na falę smutku, na rosnący strach, na poczucie winy... Tymczasem, zamiast tego wszystkiego, poczuła, że wielki ciężar spada jej z serca, zupełnie jakby ten kamień wchłonął całe jej brzemię i zatrzymał w sobie.

Stella poczuła dotyk na ramieniu, dostrzegła na koszuli długie palce Grace. Ucisk nasilał się, przypierając ciało do kości. Stella spojrzała w górę. Oczy matki były pełne łez.

Grace pochyliła się i postawiła lampę obok kamienia. Potem wcisnęła się obok córki. Obie klęczały teraz ramie

przy ramieniu i patrzyły na mogiłę. Grace ujęła krzyż i położyła go z powrotem na kamieniu. Stella odwróciła się do niej. Twarz matki, malowana żółtym światłem, wyglądała pięknie. Grace znów była młoda, była kobietą, która zrobiła szydełkiem maleńki kaftanik dla swojej jeszcze nienarodzonej córki, kobietą, która miała nadzieje i marzenia...

Usta Grace wykrzywiły się, gdy łzy spłynęły z oczu. Uśmiechnęła się do Stelli.

- Znalazłyśmy go - powiedziała miękko i nieco zdziwionym głosem.

Trwały w ciszy. Lekki wiatr targał im włosy. Morze delikatnie uderzało o skały na wybrzeżu. Księżyc wspiął się wysoko i stanął ponad ich głowami, śląc na ziemię srebrny woal, który spletał się ze złotym światłem lamp.

*

Grace siedziała przy stole w pokoju morskim z głową pochyloną nad dziennikiem pogodowym.

Przysunięta blisko stojąca lampa dobrze oświetlała zapisane odręcznie stronic. Kobieta przekładała plik kartek pomiędzy dwoma zaznaczonymi przez Stellę zapiskami, które dzielił rok.

Po drugiej stronie stołu Stella obserwowała zmieniający się wyraz twarzy matki, wyraz bólu, zakłopotania, i narastające z wolna zdziwienie.

- Nie wiedziałaś, prawda? - spytała. - Nie wiedziałaś, że było mu przykro...

Grace pokręciła głową.

- Gdy uciekałaś, był załamany, ale nadal upierał się, że postąpiliśmy słusznie. Ja patrzyłam na to inaczej. Żałowałam swojego postępowania, jeszcze zanim wyjechałaś. Ale nic nie można już było zrobić... - To mówiąc, chwyciła rękami brzeg stołu. - Byłam tak rozgniewana na niego i na siebie samą, że nie chciałam z nim o tym rozmawiać. Unikałam tego tematu. Rozmawialiśmy o tobie, naturalnie, o nowinach od Daniela i o tym, o czym pisałaś w listach.

302

Ale nie wracaliśmy do przeszłości. Przeszłość była jak rana zasklepiona na wierzchu, ale nadal otwarta pod skórą. Wszystko było dobrze, póki się jej nie dotykało. Dotyk sprawiał zbyt wiele bólu... Grace zawiesiła głos. Patrzyła oczyma pełnymi nie-wysłowionego cierpienia.

Stella przyglądała się jej w milczeniu. Ona także odczuwała ból, ostry i żywy, niepodobny do tępego ćmienia, z którym żyła tak długo. Jej własna rana została teraz otwarta, zerwany gruby strup odsłonił nagie, krwawiące wnętrze.

- Nie wiedziałam, że napisał słowa przeprosin - powiedziała Grace. - Albo że przynajmniej próbował... - Znowu pokręciła głową. - Nie wiedziałam, że doszedł do wniosku, że postąpił źle. Spojrzała w dal przez ciemną szybę okna. Nastąpiła długa cisza, przerywana jedynie szmerem gałęzi uderzających o ściany domu.

Grace zaczęła mówić znowu, zwracając się do córki i pochylając ku niej przez stół.

- Oskarżałam Williama, że nasze - i twoje - życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Ale miałaś rację, gdy powiedziałaś mi, że sądzisz, kiedy leżałam w łóżku. To ja cię zawiodłam. To ja powinnam była zrozumieć. Nie oczekuję od ciebie przebaczenia. Nigdy nie przebaczę sobie samej. Ale chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro.

Grace spuściła wzrok. Skuliła ramiona, jakby nie była zdolna unieść ciężaru cierpienia. Stella odwróciła twarz, targana emocjami. Słyszając to wszystko po tylu latach, nie wiedziała, co powiedzieć, co czuć...

Dopiero jakiś ruch sprawił, że znów spojrzała na Grace. Matka wyciągnęła rękę ponad stołem, ku niej. I czekała z rozwartymi, drżącymi palcami. Stella patrzyła na tę rękę bez ruchu. Wreszcie wyciągnęła swoją. Grace podniosła oczy lśniące od łez. I siedziały tak z dłońmi splecionymi w uścisku.

Potem Grace wstała, pociągając Stellę za sobą i prowadząc ją na skraj stołu. Tam podeszła krok do przodu i rozwarła ramiona. Matka przyciągnęła córkę do siebie, ale ta stała sztywno. Nie pamiętała, kiedy Grace tuliła ją w ten sposób. Od bardzo dawna nikt jej nie tulił. Ręce Stelli zwisały nieruchomo wzdłuż tułowia, ale Grace przygarnęła ją jeszcze mocniej, przywarła policzkiem do jej włosów. Powoli Stella zaczęła poddawać się uściskowi. Bojaźliwie i ostrożnie uniosła ręce, by wreszcie dotknąć ciała Grace. A wtedy niespodziewanie zapragnęła pieczyoty i pocieszenia. Przywarła do matki, zagubiona w niespodziewanej bliskości. Czas stanął w miejscu. Dopiero po długiej chwili Grace opuściła ramiona i odsunęła się. Pamięć jej dotyku została na ciele Stelli niczym jasny wzór odbity na skórze.

19

W nikłym świetle poranka drewniany krzyż wydawał się mały i kruchy. Cierniste gałęzie napierały nań ze wszystkich stron, jakby jeżynowe krzaki zaczęły odrastać od poprzedniego wieczoru. Stella stała w milczeniu i patrzyła na grób. Skupiła wzrok na dacie, na wymalowanych przez Williama starannych cyfrach jednakowej wielkości. Wyobrażała sobie ojca, jak robił krzyż, a potem przyszedł tu potajemnie i położył go na mogile. Zastanawiała się, czy jeżyny już tam wtedy były, czy wyrosły później na gąszczu wysokich traw i chwastów. Zastanawiała się, czy William uzmysławiał sobie, że oznacza nie tylko grób dziecka, ale grób wnuka. I znów uświadomiła sobie, jak dotkliwą stratę poniosła. William odszedł. Stella nigdy się tego nie dowie. Uklękła na wilgotnej od rosy ziemi i dotknęła gładkiej powierzchni kamienia. Zdała sobie sprawę, że to śmierć

304

William była powodem jej obecności tutaj - gdyby nie zaginął, mogłaby nigdy nie wrócić do domu. Stella klęczała przy grobie. Słońce wstawało za jej plecami, rzucając na ziemię długie, blade cienie. Lekki wiatr niósł do ogrodu zapach soli i wodorostów. Dochodzący z tyłu cichy odgłos powoli przebijał się do jej świadomości. Odwróciła się i zobaczyła jakąś postać. Z początku nie rozpoznała Grace - matka była ubrana w spodnie i koszulę, a na głowie miała rybacki kapelusz z szerokim rondem. Gdy podeszła bliżej, Stella spostrzegła, że jej ubranie, choć stare, było świeżo wyprasowane. Domyśliła się, że zostało wyjęte ze stosu wypranej odzieży w szafie Williama.

Kobieta stanęła obok córki i owinęła się szczelnie koszulą. Wygładziła palcami tkaninę. Spojrzała na krzyż, jakby ze zdumieniem. A potem zaczęła lustrować ziemię wokół niego.

- Trzeba usunąć te krzaki - powiedziała. - Trzeba wykopać je z korzeniami, bo inaczej znowu odrosną. Włożyły rękawice i zabrały się do roboty. Zadanie nie było łatwe, więc praca szła powoli. Tegoroczne gałęzie obrastały powierzchnię gęstwiny - narosłe przez dziesięciolecia warstwy obumarłych gałęzi, gęstą płataninę brązowych łodyg i pozwijanych liści. Pełno w nich było pajęczych sieci, opuszczonych ptasich gniazd i kawałków kruchej jak papier wężowej wylinki we wzór z równiutkich odcisków łusek.

Wraz z upływem poranka odsłaniały się coraz to nowe płachty gołego gruntu. Nietknięta słońcem ziemia była mokra i jałowa, upstrzona białymi grzybami i jajami chrząszczy.

Gdy wszystkie krzewy zostały wycięte, Grace zaczęła ściągać kłujące gałęzie na stos, by je następnie spalić, a Stella zabrała się do wykopywania pniaków.

Korzenie sięgały głęboko i uparcie trzymały się ziemi. Stella musiała podważać je widłami, a potem wyrwać rękami odzianymi w skórkowe rękawice. Pot spływał jej po czole i zalewał oczy. Czowała, jak słońce pali jej kark. Ale nie

przerywała pracy spoglądając tylko od czasu do czasu na jajowaty kamień i drewniany krzyż pośrodku coraz większego kręgu oczyszczonej ziemi.

Koło południa Grace zniknęła we wnętrzu domu, a po paru minutach wróciła z dwoma kubkami i szklanym dzbankiem pełnym lemoniady, w którym kostki lodu po-dzwaniały w rytm jej kroków. Stella wypila trzy duże łyki słodko-kwaśnego napoju, by zaspokoić pragnienie. Potem popijała powoli, rozkoszując się smakiem cytryny złamanym miętą. Smak ten był świeży i orzeźwiający, niczym esenq'a wiosny. Opróżniła szklankę do dna i oddała ją matce, która zaniósła naczynia do domu.

Teraz w samotności przyglądała się surowej ziemi otaczającej mogiłę. Wyobraziła sobie to miejsce takim, jakim chciała, by było - pełne kwiatów o każdej porze roku. Lili Grace, naturalnie, i innych kwiatów w śmiałych, mocnych kolorach: żółtym, czerwonym, fioletowym, pomarańczowym. I niebieskim... Stella przypomniała sobie piękny odcień błękitu bławatków. Błękitu malowanej kopuły Zefa, wznoszącej się ku niebu...

Zamknęła oczy i zobaczyła twarz Zefa, Zefa z przeszłości, z długimi rozjaśnionymi solą włosami, z kamienną leżką wiszącą na skórzanym rzemyku na opalanej szyi.

I nagle ogarnęła ją gwałtowna tęsknota, narastająca z taką siłą, że traciła oddech.

Zef ożył w jej sercu. Chciała przyprowadzić go tutaj i pokazać mu grób. Opowiedzieć, co się stało. Wyobraziła sobie, jak bierze ją w ramiona. Wyobraziła sobie własną ulgę i ukojenie, gdyby ból, który nosiła w sobie, mogli podzielić między siebie...

Ale tamten Zef odpłynął. Wrócił inny, boleśnie bliski, a jednak obcy.

Stella pamiętała, co Spinks powiedział o rozmowie z Zerem, w dniu, kiedy znaleźli Williama: kiedy Spinks spytał go, czy zna Stellę, odpowiedział to samo, co ona.

Poznali się wiele lat temu.

To nie ma nic wspólnego z terażniejszością.

Stella podniosła się i włożyła skórzane rękawice. Chwyliła długi trzonek ogrodowych wideł i wbiła metalowe zęby głęboko w ziemię, pod gruby pniak. Potem napała mocno na narzędzie i wydobyła korzenie z ziemi. Bez chwili przerwy podważyła następny pniak, i jeszcze następny.

*

Nim dzień się skończył, praca została wykonana. Jeżyny usunięte, chwasty wyrwane, ziemia oczyszczona z drobnych kamieni i muszelek. Gęsty, gruby dym wzbijał się w powietrze z trzech stosów palących się gałęzi.

Grace i Stella stały obok siebie, patrząc na ptaki morskie, które z zaciekawieniem spacerowały po nowej przestrzeni, zostawiając trójkątne ślady łap w długiej zygzakowatej linii.

- Powinniśmy obsadzić ziemię jak najszybciej - powiedziała Grace. - Skorzystać z wiosny.

Stella skinęła głową, nic nie mówiąc. Przypomniała sobie Clifforda stojącego opodal tego miejsca i patrzącego na ogród, gdy przedstawiał jej swoje plany.

Osiem, dziesięć domów letniskowych.

Stella nie patrzyła na Grace, która wyglądała na zmęczoną. Na pewno nie był to dobry moment, by powiedzieć jej o groźbie wiszącej nad domem Pod Siedmioma Dębami, ale Stella odczuwała gwałtowną potrzebę poruszenia tego tematu.

Odwróciła się do niej.

- Mamo... - zaczęła.

Grace skinęła bezmyślnie głową, nadal wpatrzona w spacerujące ptaki.

- Nie mamy pieniędzy. William nie zostawił oszczędności.

Grace zmarszczyła brwi, jakby zdziwiona. Potem machnęła ręką.

- Dam sobie radę. Nie muszę kupować drogich rzeczy. Powiedziałaś, że dostanę rentę.
- Dostaniesz - odparła Stella - ale ona nie wystarczy. Zamilkła, odetchnęła głęboko i zaczęła opowiadać o długu i o zagrożeniu dla domu.

Grace kręciła głową, jakby nie chciała dopuścić do siebie tych nowin. Wreszcie Stella zdecydowała się powiedzieć to bez ogródek:

- Prawda jest taka, że bank zmusi cię do sprzedaży posesji. Pamiętasz samochód, który pojawił się tu wczoraj? To był deweloper przysłany przez kierownika banku. Chce kupić tę ziemię. Chce zrównać z ziemią dom i ogród, mamó. Chce wszystko zniszczyć.

Grace odwróciła się i spojrzała na Stellę.

- To niemożliwe - wyszeptła.

Z jej szeroko otwartych oczu wycierało przerażenie. Stella patrzyła na grób.

- Taka jest prawda - powiedziała. Grace zakryła usta dłońmi.

Córka odczekała kilka chwil, po czym dotknęła jej ramienia.

- Czy ktoś z twojej rodziny mógłby nam pomóc? Wiem, że Daniel by pomógł, ale on nie ma pieniędzy.

Może gdybyś skontaktowała się z rodzicami...

- Nie. Nie. Jak mogłabym to zrobić? - W oczach Grace zatlił się gniew i smutek. - William nie pozwalał mi nawet do nich pisać. Jak miałabym teraz, po tylu latach, prosić ich o pieniądze!

- A ktoś inny, do kogo mogłabyś się zwrócić? - spytała Stella. - Zupełnie nikt?

Starła się, by w jej głosie brzmiała nadzieja, ale nie oczekiwała pozytywnej odpowiedzi. Grace pokręciła głową.

- Zupełnie nikt.

Kobieta patrzyła w ziemię. Milczała długo. Stella wyczuwała, że stara się zebrać siły po tym wszystkim, co zostało powiedziane. Ponad trzydzieści lat Grace żyła u boku

męża, który podejmował wszystkie ważne decyzje. Teraz, gdy go zabrakło, była jak owad, który ledwie wydobył się z kokonu, o skrzydłach wciąż wilgotnych i wrażliwych oraz drżących kończynach.

Gdy Grace ponownie odezwała się do córki, jej oczy były mroczne od niepokoju, ale głos miała spokojny.

- Co mam zrobić? - spytała. - Musi być coś, co mogłabym zrobić. Wiem, że powinnaś wkrótce wyjechać. Czeka na ciebie praca...

- Nie - przerwała jej Stella. - Nie wyjadę. Razem stawimy temu czoło. Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba. Póki się nie upewnię, że ty dobrze się czujesz, a dom Pod Siedmioma Dębami jest bezpieczny. Grace patrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Nie możesz. Musisz myśleć o własnym życiu.

- Chcę zostać - padła stanowcza odpowiedź. - Już podjęłam decyzję. Zadzwońię do Lorny, żeby odwołała rezerwację biletu. Grace potrząsnęła ze zdumieniem głową, ulga i wdzięczność pojawiły się na jej twarzy. Ale po chwili powrócił grymas pełen troski.

- Co mogłybyśmy zrobić? Masz jakiś pomysł? Stella westchnęła.

- Nie przestaję o tym myśleć od chwili, gdy rozmawiałam z kierownikiem banku. Ale na razie niczego nie wymyśliłam. Mogę napisać parę artykułów tutaj i je wysłać, ale nie jest to rozwiązanie na dłuższą metę. Myślałam o podjęciu pracy, może w przetwórnicy ryb, ale tam zatrudniają tylko młode dziewczęta, którym nie muszą wiele płacić.

- Może znalazłoby się coś w St Louis - podsunęła Grace.

- O tym też myślałam, ale nie bardzo wiem, co mogłabym robić. Potrafię pisać. Umiem pisać na maszynie. Trochę znam stenografię. Tylko tyle.

- Myślałam o sobie - wyjaśniła matka.

Stella uśmiechnęła się. Wiedziała, że Grace nigdy w ży-

ciu nie pracowała. Była gospodynią domową - umiała jedynie uprawiać ogródek, sprzątać, szyć, gotować...

Wzięła matkę za rękę. Teraz ten gest wydawał się łatwy. Twarda dłoń Grace tkliwie muskała dłoń córki.

- Nie martw się, na pewno coś wymyślimy.

Następnego dnia Stella wyszła na dwór wcześniej rano, by narąbać drewna na rozpałkę. Słońce dopiero zbierało siły, więc gdy przycupnęła przy pieńku z siekierą w dłoni, poczuła przenikliwy chłód ciągnący od morza.

Łupanie szczap okazało się przyjemnym zajęciem. Pod uderzeniami ostrza cienkie drzazgi odpadały z łatwością. Należało jedynie uważać na palce.

Pudło było już prawie pełne, gdy ręka Stelli z siekierą zawisała nieruchomo w powietrzu. Wśród szumu morza i szczebiotu ptaków w gęstwinie wstydlinu dał się słyszeć odgłos silnika samochodu.

Podeszła do ścieżki i zastygła w oczekiwaniu. Zdławiła iskrę nadziei, że to Zef. Potem pomyślała, że pewnie deweloper zamierza podjąć kolejną próbę zakupu ziemi Pod Siedmioma Dębami. W ręce nadal trzymała siekierę. Obiecała sobie, że jeśli to Clifford, nie pozwoli mu nawet przekroczyć progu bramy.

Pojawiła się rozklekotana niebieska furgonetka. Zanim się zbliżyła, z okna wychyliła się ręka wymachująca ogromną pomarańczową langustą. Za kierownicą siedział Joe. Zatrzymał furgonetkę tuż obok Stelli. Wielkie pałkowate odnóża langusty omal nie dotknęły jej twarzy.

- Bierz! - zawołał starzec.

Gdy wyłączył stacyjkę, silnik drgał w konwulsjach jeszcze przez kilka chwil.

Stella chwyciła kolczaste ciało langusty obiema rękami. Musiało ważyć kilka kilogramów.

- Dostałem od jednego z chłopaków - powiedział Joe, wysiadając z furgonetki. - Ośmiornica się do niej przycze-

piła, więc przetwórnia jej nie chce. Ale jest w porządku. Od razu ją obgotowałem.

Popatrzał na Stellę z sympatią.

- Wiem, że William nigdy nie brał czegoś takiego do domu. Nie lubił jeść niczego, co pochodziło z morza. Ale skoro już go nie ma, pomyślałem, że może ty i Grace...

Przerwał, popatrując z powątpiewaniem. Stella uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Uwielbiam langusty. Nie jadłam ich od czasu, kiedy tu przyjechałam.

Joe sięgnął do furgonetki.

- Mam też parę przegrzebków. Powinnyście je zjeść, póki są świeże. Osobiście włożyłbym langustę do zamrażarki.

- Dobrze. Tak zrobię - obiecała Stella.

Pomyślała o zamrażarce wypchanej ciastami, gulaszami i zapiekankami. Langusta nie zmieści się w niewielkiej, jeszcze wolnej przestrzeni.

Wtedy wpadł jej do głowy pewien pomysł.

- Ma pan zamrażarkę na „Grand Lady”? - spytała.

- Naturalnie. Przecież to rybacki kecz.

- To dobrze. Proszę, niech pan pójdzie ze mną.

Nagle przejście ze słońca w mrok sprawił, że znalazłszy się w szopie, Stella na moment oślepla.

Mrugała oczami, podchodząc do stołu i kładąc na nim langustę. Gdy Joe wszedł za nią do szopy, chwyciła pustą skrzynkę na ryby i zaprosiła go gestem bliżej zamrażarki.

- Większości tych rzeczy nie damy rady zjeść - oznajmiła. - Proszę mi powiedzieć, co pan lubi.

Podniosła pokrywę i zaczęła wymieniać nazwy wypisane na paczkach.

- „Zapiekanka z jajek i bekonu”, „Gulasz jarzynowy”, „Zalotne ciasto” - aż dziesięć sztuk...

Joe z ukontentowaniem kiwał głową.

- Tak, tak, pyszności...

Brał lodowate zawiniątka i wkładał je do skrzynki. Gdy uporali się z wierzchnią warstwą, spojrzął oczyma szeroko otwartymi z zachwytu, jakby zamrażarka była sezamem pełnym niewyobrażalnych skarbów.

- Ale mam szczęście - powtarzał w kółko.

Gdy skrzynka była pełna, Joe zarzucił ją sobie na ramię.

- Trzeba to szybko włożyć do zamrażarki - poradziła Stella - bo jak się zacznie rozmrażać, będzie pan musiał zjeść wszystko od razu!

Joe zachichotał, zmierzając do drzwi. Zatrzymał się przy nich i pomachał Stelli.

- Daj mi znać, co Grace powiedziała na langustę - rzekł. - Jeśli będzie jej smakowała, przyniosę więcej. Stella stała w szopie, słuchając odgłosu uruchamianej furgonetki. Uśmiechnęła się na wspomnienie czasów, kiedy zanosila Joemu pozostałe z wypraw Williama jedzenie.

- Twoja mama jest najlepszą kucharką na Tasmanii - zwykł mawiać.

Przypomniała sobie, że nie tylko staruszek zachwycał się resztkami przywożonymi przez Williama. Czasami ojciec prosił, by zanosila nadmiar pożywienia także innym rybakom, samotnym mężczyznom, którzy wypływali w morze zaopatrzeni jedynie w konserwowy gulasz oraz worki ziemniaków i cebuli. Oni także doceniali kulinarne umiejętności Grace. Mawiali, że poza posiłkami spożywanymi w pubie potrawy Grace były jedynym prawdziwym jedzeniem, jakie kiedykolwiek jadali.

A teraz pub serwował wyłącznie chipsy, orzeszki i drinki...

Przez długą chwilę Stella wpatrywała się w zamyśleniu w szary mrok szopy. Potem zerknęła na przeciwległą stronę pomieszczenia, na półki uginające się pod ciężarem słoików z piklami, dżemami i konserwami, na dziesiątki, setki słoików. Powędrowała wzrokiem ku zamrażarce i ku miejscu obok niej, gdzie stały drewniane blaty od stołu z pokoju

morskiego. Podeszła i powiodła palcem po zakurzonych krawędziach, licząc, ile ich jest. Dwanaście. Zobaczyła je rozłożone jeden przy drugim...

W końcu odwróciła się i spojrzała w kąt na tyłach pomieszczenia, gdzie przed laty widziała schowane sztuce Boydów. Przywołała na pamięć rzędy noży, widelców i łyżeczek leżących w wyściełanych aksamitem przegródkach.

Nabrała głęboko powietrza, gdy przed oczyma stanął jej wyraźny obraz...

Długi stół i wyłożone na nim sztuce Grace, lśniące w słońcu wpadającym przez okna pokoju morskiego. Stosy talerzy gotowych, by je napełnić potrawami z parujących salatek i półmisek. Wybór delikatnych mięs i warzyw z ogródka, pikantne zapiekanki pachnące ziołami, paszteciki o złotej chrupiącej skórce w ozdobne wzory, chleb domowej roboty, prosto z pieca.

Uczta z widokiem na ocean.

- Kafeteria.

Słowo zabrzmiało donośnie w cichym, pełnym kurzu powietrzu. Zawisło w nim, zabrzmiało prześmiewcze Ale Stella odrzuciła echo powątpiewania, zaczęła snuć plan.

Nie myślała o takiej kafeterii, jaką można znaleźć w Sidney czy Hobart, czy nawet w St Louis.

Wyobrażała sobie, że przypominałaby raczej miejsca, które odwiedzała w przydrożnych wioskach na krańcach świata. Były to nie tyle kafeterie, ile domowe jadłodajnie otwarte dla przybyszów z obcych stron. Jadłospis nie należał do wyszukanych, zwykle nie było nawet spisu potraw. Goście płacili określoną kwotę, a potem siadali i jedli, jak u siebie w domu.

Zdarzały się miejsca brudne, gdzie podawano jedzenie nie zawsze wychodzące stołownikom na zdrowie. Ale inne, czyste i przyjazne, oferowały proste i smaczne dania. Bywało i tak, że Stella spożywała zaskakująco smakowite potrawy, podane w sposób, który na długo zapadał w pamięć.

310

Stella zapamiętała na przykład skalną kafeterię nieopodal hinduskiej świątyni u źródeł Gangesu. Siedziała pod baczynym okiem starego sadhu o posiwiałych włosach i twarzy pomazanej popiołem, podczas gdy mały chłopak, przycupnąwszy obok niej, ucierał przyprawy w kamiennym móżdżerzu, a potem prażył je na otwartym ogniu. Chłopiec przyrządził aromatyczne curry z dhalu i jarzyn, złote od szafranu. Zapachy były wyraziste i świeże, pasowały do krystalicznych wód przepływającego w pobliżu Gangesu i do opasujących horyzont himalajskich szczytów.

Była też wiejska kafeteria na słabo zaludnionych terenach stanu Massachusetts. Ręcznie malowany drogowskaz przy autostradzie obiecywał „Dobre domowe jedzenie. Syrop klonowy z Vermont”. Jadłodajnię prowadziły dwie starsze kobiety, ubrane w jednakowe sukienki. Jedna z nich odmówiła modlitwę przed jedzeniem, druga podała posiłek. Usiadły potem do stołu razem ze Stellą i patrzyły, jak zajada, szczerze częstując ją obfitymi porcjami, które pozostawały w jawnej sprzeczności ze skromnym i oszczędnym umeblowaniem wnętrza.

W oazie, w samym sercu afrykańskiej pustyni, podano Stelli pszeniczne placki zapieczone na jasnobrązowy kolor, przypominający barwę promieni słońca kładących się na piasku... W namiocie z wołoku sączyła słodką herbatę i jadła aromatyzowany ziołami ser z mleka kłaczy.

Stella pamiętała wiele takich przydrożnych jadłodajni w różnych zakątkach globu. Rozkwitwały wszędzie tam, gdzie nie musiały konkurować z prawdziwymi kawiarniami i restauracjami. W miejscach, gdzie nie można było posilić się nigdzie indziej - jak w Halfmoon Bay.

Ruszyła w stronę drzwi z głową pełną pytań, na które nie знаła odpowiedzi.

Kto by przychodził? Jak często? Ile pieniędzy stołowni-cy byliby skłonni zapłacić?

W barze restauracyjnym w pubie ruch panował przez okrągły rok. Wiele rodzin jadało w nim raz w tygodniu, kil-

ku stałych klientów - każdego wieczoru. Latem, parę razy w tygodniu, przychodziły grupy żeglarzy, których jachty cumowały przy pirsie - byli spragnieni ciepłego posiłku po tygodniach lub miesiącach spędzonych na morzu. Pojawiali się także inni goście: młodzi ludzie, którzy wpadali na kolację, by przypomnieć sobie dom; piechurzy wygłodniali po wędrówce przez busz; zwyczajni turyści, omijający popularne szlaki.

Mogłoby się udać - myślała Stella. Wiedziała, że należy zastanowić się jeszcze nad wieloma sprawami, ale zmierzając ku drzwiom szopy, czuła w sobie lekkość i podniecenie.

Fotografia Williama nadal stała na kredensie ciotki Jane wraz z innymi pamiątkami zgromadzonymi przez Grace. Stella uśmiechnęła się do ojca. Jego radosne spojrzenie zdawało się pasować do jej nastroju.

Wysunęła uszkodzoną szufladę. Na wierzchu zobaczyła dziennik pogodowy. Uniosła go i wyjęła leżący pod nim brulion. Na okładce nie było tytułu, ale Stella wiedziała, że William zapisywał w nim wszystkie domowe wydatki. Prowadził tę księgę z taką samą skrupulatnością jak dziennik pokładowy i pogodowy.

Otworzyła brulion. W liniowanych kolumnach wymienione były wydatki na olej, liny, benzynę, a także kwoty podatków, opłat za dentystę i inne usługi. W kolumnie nazwanej „Artykuły spożywcze” William wymieniał każdy grosz wydany w miejscowym sklepie. Na tej właśnie ostatniej kolumnie Stella skupiła uwagę. Sprawdziła koszty produktów, które Grace co tydzień spisywała z książki kucharskiej, a następnie zamawiała u pani Barron.

Gdy zsumowała liczby, serce w niej zamarło. Kwota wydatków była bardzo wysoka. Gdyby Grace zaczęła zamawiać większe ilości żywności, cały przychód z kafeterii poszedłby na rachunki pani Barron.

Stella czuła, jak jej plan, jej sposób na uratowanie domu

Pod Siedmioma Dębami rozwiewa się w nicość. Trzymając w rękach otwarty brulion, podeszła do okna i patrzyła bezradnie na ogród. Nagle jakiś ruch skierował jej spojrzenie w stronę płotu. Za nim, na łące, skakał kangur. Po chwili znieruchomiał, pochylił puszysty szary łeb i zaczął skubać liście niskich krzaczków. Stella przyglądała się przez moment, jak wybiera najdelikatniejsze kąski. Przymrużyła oczy w zamyśleniu. Zamknęła rejestr wydatków i położyła go na parapecie, po czym szybko wyszła z pokoju.

*

Trakt piął się po zboczu niewielkiego wzniesienia leżącego w południowej części Halfmoon Bay. Stella prowadziła ostrożnie, bo opony furgonetki ślizgały się na błotnistej nawierzchni. Wypatrywała śladu domostwa. Pani Barron dała jej wskazówki, jak trafić do domu Lauriego, ale Stella nie była pewna, czy nie pomyliła drogi. Miała wrażenie, że jedzie już zbyt długo. Drzewa charakterystyczne dla wybrzeża rzedły, a potem całkiem zniknęły, ustępując miejsca gęstemu lasowi. Przez otwarte okno dochodził zapach wilgotnych liści i żywiczny aromat kory sasafrasu.

W końcu dotarła do miejsca, gdzie trakt kończył się parkingiem. Dostrzegła dżipa Lauriego przykrytego postrzępionym brezentem.

Zaparkowała obok niego i wysiadła. Owinęła się szczelnie koszulą, czując chłód, zwyczajny na większych wysokościach. Rozejrzała się wokoło, szukając zabudowań. Ale widziała tylko drzewa. Spojrzała w górę, lustrując zbocze wzniesienia. W wąskich prześwitach między koronami drzew majaczył blaszany dach i fragmenty zewnętrznej boazerii.

Ruszyła błotnistą ścieżką prowadzącą w górę. Szła między smukłymi pniami mirtu pokrytymi porostami. Od czasu do czasu musiała pochylić głowę, by przejść pod gałęziami udrapowanymi bladozielonym mchem. Przypomniała sobie, że będąc dzieckiem, uważała zwisający mech

za włosy pozostawione przez jakieś magiczne leśne stworzenie, które hasało wśród drzew. Podobnie jak trakt dróżka zdawała się ciągnąć w nieskończoność, lecz po pewnym czasie Stella znalazła się na płaskim trawniku.

Drewniany dom Lauriego stał pośrodku polany. Stella przystanąła, zaskoczona widokiem typowego rodzinnego domostwa rzuconego w sam środek dzikich ostępów. Wyglądało jak przeniesione z podmiejskiej ulicy, można je było wyobrazić sobie w otoczeniu pięknie przyciętych róż.

Gdy podeszła bliżej, znów się zatrzymała. Patrząc z boku na budynek, dostrzegła, że jest on przepiłowany na pół wzdłuż dachu i ścian. Połowy domu stały obok siebie, ale widać było między nimi wyraźną przerwę. Części dachu połączono, niby pomostem, kawałkami drewna i plastiku, ale szpara między ścianami została, tworząc długą, ciemną szczelinę.

- Ciągle nad tym pracuję. - Usłyszała z tyłu głos Lauriego.

Odwróciła się. Mężczyzna stał na granicy lasu. Ubranie w kolorach khaki i szarości zlewało się z drzewami. Podeszedł bliżej, patrząc na budynek.

- Zapłaciłem za niego sto dolarów, jak zamknęli kopalnię. Ale musiałem go przeciąć na pół, żeby go tu przywieźć.

Stella zerknęła na wąską ścieżkę. Nie pojmowała, jak można było przywieźć tu dom, choćby w dwudziestu kawałkach.

- Chodźmy - zaprosił ją Laurie. - Zaparzę herbatę. Stella podążyła za mężczyzną w stronę domu.

Przeszli

obok wygarbowanych zwierzęcych skór wiszących rzędem na drucianym płocie. Martwy kangur, jeszcze nieobciągnięty ze skóry, zwisał za ogonem ze sznura do suszenia bielizny. Obok łopotwały na wietrze dwie koszule.

Laurie wskazał ręką na zardzewiałe resztki samochodu, porzucone przy domu.

- W ten sposób wwożę tu rzeczy - rzucił. - Mam ukryty

trakt między drzewami. - Odwrócił się i puścił oko. - Ode mnie zależy, kto może tu podjechać, a kto nie.

Zaczekał, aż Stella się zbliży. Teraz widać było dokładnie resztki dżipa - sama karoseria na kółkach. Mężczyzna poprowadził ją dookoła domu do tylnych drzwi. Tam ściągnął buty, odsłaniając skarpety w paski, zrobione na drutach z resztek włóczki. Gdy gość pochylił się, żeby zdjąć swoje buty, Laurie kopnięciem otworzył drzwi. W sieni unosił się aromat pieczonego mięsa. Stella wciągnęła powietrze, ale nie mogła rozszyfrować składników zapachu.

- Piekę kawałek kozy - wyjaśnił Laurie. - Młoda koza. Za dobra, by ją gotować.

Zatrzymał się i spojrzał pytająco na Stellę.

- Przyszłaś po mięso? Skinęła głową.

- Wiem, że pan je sprzedaje w sklepie, ale chciałam prosić o parę wskazówek.

Laurie uśmiechnął się szeroko.

- To mi się podoba. Mam mnóstwo mięsa od czasu, gdy zamknęli pub. Wejdz, ale uważaj, patrz pod nogi.

Poprowadził ją korytarzem aż do miejsca, gdzie połowy domu się spotykały. Teraz Stella widziała już, w którym miejscu piła łańcuchowa przecięła ścianę z płyt gipsowych i drewnianą podłogę. Ponad szparą przerzucona była szeroka deska. Wszedłszy na nią, zobaczyła w dole nagą ziemię i zwiędłe trawy. Gospodarz zniknął w drzwiach po lewej stronie. Podążyła za nim i znalazła się w izbie zalanej promieniami słońca.

Laurie już otworzył drzwi piekarnika.

- Popatrz tylko.

Wyciągnął wielką brytfannę i uchylił przykrywkę.

Buchnęła para. Gdy się rozviała, oczom Stelli ukazał się duży kawał mięsa. Gorący tłuszcz pryskał z różowawoczerwonej skórki.

- Miejscowa roślina zwana tasmanią, oto sekretny dodatek - wyjął Laurie. - Trzeba zemleć owoce, niezbyt miało, bezpośrednio na mięso, a potem dobrze je wetrzeć. Pieczeń nabiera wtedy koloru i smaku. - Przechylił brytfannę, pokazując Stelli, że mięso leży na kratce tuż nad cienką warstwą sosu. - To jest najważniejsze. W ten sposób nigdy się nie wysuszy. Dotyczy to zresztą każdego rodzaju dzicyzny. No i trzeba piec wolno i długo, a zawsze się uda.

Laurie przykrył brytfannę i wsadził ją z powrotem do pieca. Wskazał gościowi miejsce za stołem. Wysuwając krzesło, obiegła wzrokiem kuchnię. Była nadspodziewanie schludna i dobrze urządzona. Proste meble - stół, dwa krzesła, kilka szafek i zlew. W pomieszczeniu dominował piec opalany drewnem i wolno stojący blat kuchenny z sosnowego drewna, pośrodku którego widniały wyraźne ślady wieloletniego rąbania i krojenia mięs. Na tymże blacie na złożonej ściereczce leżały rzędem noże. Były czyste i bardzo ostre.

- To dobry kawałek mięsa - ciągnął Laurie. - Będzie miał smak wiosennych traw, którymi zwierzę się karmiło, dlatego nie dodawałem zbyt wielu przypraw. Tylko odrobinę tasmanii. Poza tym lubię dodać trochę miodu. Najlepszy jest miód od Joego. Ma leciutki posmak dymu. Czasem dodaję też odrobinę tego... - wskazał na sufit, gdzie u drewnianej belki wisiały wiązki ususzonych ziół. - Macierzanka cytrynowa. Rośnie w buszu. Tam gdzie się pasą zwierzęta. To najlepsza wskazówka, co do czego pasuje.

Stella słuchała go uważnie, zapamiętując wszystkie informacje. Woń pieczeni sprawiła, że poczuła głód, chociaż nie było jeszcze południa. Zastanawiała się, czy Laurie zamierzał podzielić się z kimś tym mięsem, czy też zje wszystko sam.

Laurie usiadł przy stole.

- Ile mięsa byś chciała? - spytał. - Tylko dla siebie i Grace?

Stella oblizwała suche wargi.

- Nie. Dla wielu osób. Otwieramy kafeterię. Laurie uniósł brwi.

- Co robicie? Powiedz coś więcej.

Mężczyzna pochylił się ku niej na krześle i słuchał bacznie, gdy Stella wyjaśniała mu elementy planu, który miała w głowie. Mówiła powoli, starając się wychwycić reakcje mężczyzny na swoje słowa.

Kiedy skończyła, przez moment siedział nieruchomo. Potem pokiwał głową, zaciskając usta.

- Świetny pomysł - rzekł. - Pomogę wam. I wszyscy inni też. W okolicy jest mnóstwo jedzenia, które można dostać za darmo. Nie tylko mięso. W miasteczku wszyscy się zastanawiają, jak by tu pomóc Grace. Zwłaszcza rybacy. Podpowiem im. Z największą chęcią zapuszczą jedną przynętę więcej przy każdym połowie. Ryb wam nie zabraknie. A to dopiero początek. Będziecie mieć jarzyny i owoce. Ile tylko zechcecie...

Stella uśmiechnęła się. Czowała, że serdeczność jego słów muska ją niczym lekki, ciepły wiatr, rozwiewając wszystkie niepewności i wahania. Nabrała przekonania, że kafeteria będzie udanym przedsięwzięciem, że dom Pod Siedmioma Dębami zostanie uratowany.

- Widzę, że jesteś głodna - powiedział Laurie. Wskazał ręką na coś za jej plecami. - Wyjmij czerwone wino z szafki. Wiem, że to dopiero pora lunchu, ale jest co uczcić.

Stella sięgnęła do szafki po butelkę. Na etykietce widniały napisane odręcznie pełne zawijasów litery: ***Halfmoon Shiraz 1987.***

- O tym też trzeba pomyśleć w kafeterii - rzekł Laurie. - Ted Barron wyrabia je na tyłach sklepu, z własnych winogron. Faktem jest, że sam pije zbyt dużo, ale wino ma dobre.

Stella wyciągnęła korek i przysunęła butelkę do nosa. Wciągnęła ciepłą, słoneczną woń dojrzałych winogron.

Po powrocie Stella zastała Grace w głębi ogrodu, przewracającą górę kompostu. Każdy mięsień jej ciała naprężał

się, gdy się pochylała, wbijała widły głęboko w kopiec, a potem odwracała je do góry nogami. Ujrawszy Stellę, rozprostowała plecy. Na jej twarzy było widać napięcie, jakby spodziewała się kolejnych złych wiadomości. Stella zawołała ku niej:

- Chodź do kuchni!

Grace ruszyła spieszenie, wycierając ręce w spodnie. Usiadła przy stole, patrząc z niepokojem. Stella wysunęła krzesło naprzeciw niej. Milczała dłuższą chwilę, zmagając się z mieszanymi uczuciami: z jednej strony była podniecona rozmową z Lauriem, z drugiej - czuła lęk przed reakcją matki.

Grace wzięła do rąk cukiernicę i zaczęła grzebać w niej srebrną łyżeczką. Wydawało się, że nie może usiedzieć spokojnie.

Stella odetchnęła głęboko.

- Mam pewien plan. Znalazłam sposób na zarobienie pieniędzy.

Grace spojrzała na nią z wyrazem nadziei i niedowierzania w oczach.

- Rozmyślałam o tym, że tak wspaniale gotujesz - powiedziała Stella - i że to właśnie powinniśmy wykorzystać. Powinniśmy wykorzystać ciebie! - Zignorowała pełen zdziwienia grymas na twarzy matki. - Otworzymy kafeterię.

- Kafeterię! - Usta Grace rozwarły się ze zdumienia. - To idiotyczne!

- Nie, to nie jest idiotyczne. Wszystko przemyślałam. To będzie zwyczajna jadłodajnia serwująca tylko wieczorne posiłki. Zapiekanki, paszteciki, jarzyny, zupy. Domowe sosy i puddingi, domowy chleb. Wszystko to, co tak dobrze potrafisz przyrządzać. Wiem, co mówię. Bywałam w wielu takich miejscach. Kafeterie z domowymi wyrobami. - Kafeterie z domowymi wyrobami - powtórzyła powoli Grace. Potem nastąpiła długa cisza. Cynowy dach trzeszczał, roz-

szerzając się w ciepłe słońca. Stella obserwowała małego pająka opadającego spiralnym ruchem na pajęczej nici, która, można by rzec, wisiała w próżni.

Gdy Grace wreszcie się odezwała, niewielkie zmarszczki znaczyły skupienie na jej czole.

- Gdzie ona miałyby być? Ta kafeteria?

- Tu. Pod Siedmioma Dębami.

Grace szarpnęła głową. Zaniemówiła na chwilę.

- Obcy ludzie mieliby mi wchodzić do domu? - Jej głos brzmiał groźnie. Machnęła ręką, jakby się chciała opędzić od tego pomysłu. - Nie! Nie! I jeszcze raz nie! To jest nasz dom!

- Jeśli nie znajdziemy sposobu na zarabianie - odparła Stella - nasz dom przestanie być naszym domem. Stanie tu rząd letnich domków, których właścicielami będą ludzie z kontynentu.

Grace zachnęła się. Stella chwyciła za brzeg stołu, tocząc walkę z narastającym uczuciem strachu. Stawka była tak duża...

- Tak czy owak - ciągnęła - tylko niektórzy klienci byłiby obcy. Pozostali będą z Halfmoon Bay, ci, którzy jadali w pubie. Ludzie, których znasz...

Głos uwiązał jej w gardle. Ostatnie słowa zabrzmiały pusto. Kogo Grace знаła? Stella przypomniała sobie, co kiedyś powiedziała jej Paulina na przystani. Matka nie widywała się z nikim przez długie lata.

Stella odepchnęła krzesło i podeszła do okna. Czuła, jak słabnie w niej wiara we własny plan. Zdała sobie sprawę, że zbyt wiele wymaga, prosząc o otwarcie domu dla obcych.

Patrzyła na ogród. W odległym kącie dostrzegła mały krzyż, podparty kamieniem. Promień słońca, przenikający kładące się już cienie, rozpalał srebrem zbielałe drewno, sprawiając, że kształt odcinał się śmiało na tle czarnej ziemi.

- Musimy to zrobić.

Rzucała słowa w ciszę za siebie. Odwróciła się i patrzyła na kuchnię, zbierając siły na przyjęcie odpowiedzi, na przyjęcie słów oznaczających klęskę, odrzucenie, słabość...

Ale zamiast odpowiedzieć Grace podniosła się, podeszła do pieca i sięgnawszy na gzyms, wzięła książkę z przepisami. Potem znalazła notes, ten sam, którym posługiwała się, planując posiłki i spisując listę zakupów.

Wróciła do stołu i usiadła. Wygładziła włosy, odgarnęła kosmyki wyswobodzone z końskiego ogona. Potem zaczęła przeglądać książkę i robić notatki.

Stella podeszła do niej. Spojrzała w notes i zobaczyła nazwy trzech potraw. Przyglądała się im niespokojnie. Czy matka znowu chciała coś gotować? Czy zamierzała ignorować rzeczywistość, oddając się dobrze znanym czynnościom, bezpiecznej rutynie odważania, odmierzania, szat-kowania, smażenia...? Grace spojrzała w górę.

- Kiedy gotowałam dla wolontariuszy - powiedziała - zauważyłam, że niektóre przepisy sprawdzają się lepiej przy dużych ilościach.

Stella uśmiechnęła się z ulgą. Grace potraktowała plan otwarcia kafeterii poważnie. Ale trzeba było pokonać jeszcze jedną przeszkodę. Pochyliła się i położyła rękę na książce z przepisami. Następnie zamknęła ją i odsunęła.

- Ten sposób gotowania, niestety, się nie sprawdzi -oznajmiła. - Jeśli będziemy wybierały przepisy z tej książki i kupowały składniki w sklepie, kafeteria nie przyniesie zysku.

Grace zmarszczyła się.

- To co mamy robić?

- Zaczniemy od składników - powiedziała Stella. - One same się znajdują. Będziemy przyrządzały potrawy z sezonowych jarzyn i owoców. Wykorzystamy dziczyznę Lauriego. Ryby, których nie przyjmie przetwórnia, langusty uszkodzone przez ośmiornice. Uchowce. Miód Joego. Ostrygi i małże z laguny.

Stella uśmiechnęła się na myśl o tej obfitości. Szeroko rozwarła ramiona.

- Wykorzystamy wszystko, co dzikie. Co tylko zdobędziemy za darmo.

Grace patrzyła w niemym zdumieniu.

A potem, powoli, zaczął malować się na jej twarzy wyraz zaciekawienia.

20

Stella stanęła przy Ścianie Morskiej i mocno chwyciła drewniany rant obiema rękami. Spojrzała ponad dekoracjami - najróżniejszymi przedmiotami, które zawiesiła tu przed laty - na Grace czekającą z drugiego końca ramy.

- Gotowa?

Grace kiwnęła głową.

- Idziemy.

Wspólnymi siłami odsunęły ramę z miejsca przy szopie i trzymając pionowo, pchały ją po ziemi. Była to ciężka i nieporęczna bryła. Z wielkim trudem udało się przeciągnąć ją między grządkami warzyw, ominąć jabłonki i dotrzeć do świeżo skopanej ziemi przy grobie. Tam oparły ścianę o rząd pali, które wbijały głęboko w ziemię przez pierwszą godzinę poranka.

Manewrowanie ramą, umieszczenie jej we właściwej pozycji, zajęło sporo czasu. Kiedy wreszcie znalazła się na swoim miejscu, kobiety cofnęły się nieco, by przyjrzeć się wynikom swojej pracy.

Ornamentyka drewna dryftowego - zygzakowate linie

i wdzięczne krzywizny - przypominała Stelli rzeźbione okiennice w domach budowanych przez mogolskich kupców w Radżastanie. Tamte wzory były bardziej uporządkowane, owszem, ale i okiennice, i rama wywoływały podobne skojarzenia: stanowiły pewną granicę, a mimo to nie odpychały obserwatora.

324

- Idealnie - stwierdziła Grace.

Stella przyznała jej rację. Ściana Morska na nowym miejscu zasłaniała mogiłę od strony domu oraz większej części ogrodu. Klienci, którzy pojawią się Pod Siedmioma Dębami, będą mogli swobodnie spacerować między grządkami jarzyn i drzewami owocowymi, natomiast fragment ogrodu ze ścianą będzie miejscem chronionym przed cudzymi spojrzeniami.

Grace schyliła się i podniosła zdobną pąklami boję rybacką, która odzepiła się i spadła. Stella patrzyła, jak matka ostrożnie mocuje ją z powrotem.

Wtem w zalegającej ciszy dał się słyszeć daleki warkot silnika samochodu. W miarę zbliżania się pojazdu poza zwykłym szumem silnika narastał głośny terkot, świadczący o tym, że samochód jest stary, a w dodatku prowadzony z nadmierną prędkością po nierównym terenie.

Niebawem ukazał się łazik Lauriego. Pomalowany na kolor ochronny, wyglądał jak przemieszczający się fragment krajobrazu.

Grace spojrzała z ciekawością.

- Już nam wiezie mięso?

- Nie wiem - odpowiedziała Stella.

Zostawiła matkę w ogrodzie i wyszła na spotkanie Lau-riemu. Pomachał jej zza kierownicy i zaczął wysiadać. Zbliżywszy się do dżipa, Stella mimochodem zerknęła na otwarty tył samochodu.

Zatrzymała się w połowie kroku. Cała platforma bagażnika pełna była ptaków. Wśród opierzonych zwałów brązu i szarości, wśród gęsi i indyków, połyskiwały plamy turkusowego błękitu. Stella patrzyła oniemiała. Ze stosu ciał tu i ówdzie wystawały kolorowe pióra długości ramienia. Końce piór zdobiły charakterystyczne oka, właściwe tylko jednemu gatunkowi ptaków.

- Pani Barron chciała się pozbyć tych pawi już od dawna - wyjaśnił Laurie. - Budziły ją w środku nocy i niszczyły wszystkie sadzonki. Są bardzo smaczne, jak umie się je

przyrządzić. Inne zresztą też. - Zatoczył ramieniem, ogarniając tym ruchem wszystkie ptaki. - Przywiozłem mnóstwo indyków. Tych, które uciekły z farm, i tych, co już zdążyły zdziczeć. No i parę miejscowych gęsi.

Stella stała w milczeniu, błędząc wzrokiem po rozpostartych skrzydłach, dziobach umazanych krwią, powykrzywianych pazurach, zamglonych oczach. Widok był przygnębiający. Stella obracała się wśród ludzi, którzy zabijali i jedli ptaki - i w innych miejscach, i tu, w Halfmoon Bay - ale nigdy nie widziała tylu martwych ptaków naraz. Poza tym niebieski kolor pawi - jaskrawy i wyraźny - zdawał się nie pasować do tej rzezi.

Bała się pomyśleć, jak zareaguje Grace...

- Miło z pana strony - powiedziała do Lauriego - jesteśmy wdzięczne...

Spojrzała w stronę ogrodu. Zaczęła układać w myślach plan, jak przygotować matkę na to, co miała zobaczyć. Przypomni jej, skąd pochodzi mięso od rzeźnika. Podkreśli fakt, że zanim kotlety jagnięce znajdą się na sklepowych tacach, na białym runie musi pojawić się krew, że wołowina pochodzi z zarzynanych krów, że...

Laurie wyjął kilka skrzynek na ryby z przedniego siedzenia i zaczął upychać w nie ptaki.

- Gdzie je położymy? - spytała Stella.

Starła się, by jej głos brzmiał zwawo, stanowczo i rozsądnie.

- Gdzieś, gdzie ziemia nie jest zbyt twarda - odparł. - Musimy wykopać dół.

Turkusowe pióra fruwały, zataczając w powietrzu małe kółka, zanim osiadły w głębokiej jamie. Dno było już pokryte płatkami błękitu opalizującego na tle pióropuszy w brązowoszare cętki.

Stella i Grace siedziały obok siebie. Trzymając zwisającego bezwładnie ptaka w jednej ręce, drugą wrywały pióra i wrzucały je do dołu. Każda z nich oskubała już kilka

sztuk. Dzień był spokojny. W powietrzu, pełnym fruującego pierza, unosił się zapach świeżej krwi. Laurie przykucnął po drugiej stronie jamy. Obok niego leżał stos nagich korpusów. Kładł je po kolei na desce do mięsa. Szybkimi, ale ostrożnymi ruchami noża odcinał głowę i nogi, a potem otwierał ciało. Sięgał ręką w głąb, wyciągał wnętrzności i wrzucał je do dziury. Tłum mew spoglądał chciwym okiem na czerwono-fioletowe resztki śmigające w powietrzu. Patrząc na zbierające się mewy, Stella zastanawiała się, czy kusi je wszystko, co może stanowić pożywienie, czy raczej przyciąga je widok rzezi dokonywanej na przedstawicielach własnego gatunku, jak to się często zdarza w przypadku ludzi. Widok odrzucający, a jednak budzący fascynację...

Stella pochyliła głowę i skubała zapamiętałe. Krawędź jej pola widzenia obrzeżała krwawa mgiełka. Zerknęła z niepokojem na Grace, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Stella nie przypuszczała, że Laurie pojawi się aż tak prędko - i to z tym wszystkim... Wiedziała, że rozsądniej byłoby zacząć od gromadzenia skorupiaków albo uchowców. Ale ku zdumieniu córki Grace nie robiła wrażenia zakłopotanej. Obserwowała dłonie Lauriego sprawiającego ptaka, jakby starała się zapamiętać każdy jego ruch. W pewnej chwili wytarła nos wierzchem dłoni, rozmazując na twarzy krew. Ubranie Williama, które włożyła, było zaplamione i brudne, ale wcale się tym nie przejmowała. Stella znieruchomiała na moment z palcami zaciśniętymi na kłębku piór. Jej matka wyglądała na ożywioną i zaniepokojoną. Wręcz szczęśliwą.

Laurie też zdawał się rad. Zerknął tylko, żeby ocenić postępy w pracy, i na jego twarzy pojawił się szeroki, zachęcający uśmiech. Wskazał głową skrzynkę na ryby, nadal do połowy wypełnioną ptakami.

- Nie będziemy wszystkich skubać. Niektóre obedrzemy ze skóry razem z piórami. To zaoszczędzi mnóstwo czasu. Nadadzą się na gulasze albo curry. - Popatrzył na

Grace, na Stellę i znowu na Grace. - Z miejscowych gęsi można zrobić świetne curry, dodając odrobinę kangurzego mięsa. Hindusi dopiero by się zdziwili! Możemy pokroić odarte ze skóry mięso już teraz, zanim je zamrozimy. Zabierze mniej miejsca.

Przez pewien czas pracowali w ciszy, aż Laurie odezwał się znowu.

- Musicie mieć się na baczności.

Obydwie spojrzały na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Na pewno będą przychodzić ludzie, którzy są przeciwni jedzeniu kangurów i innej dziczyzny.

Musicie im wyjaśnić parę rzeczy. Dzikie zwierzęta mają wcale dobre życie, póki nie umrą, czego nie można powiedzieć o zwierzętach hodowanych na farmach. - Pokręcił głową. - Gdybyście kiedykolwiek byli w rzeźni, wiedzielibyście, o czym mówię. Ale większość ludzi nie była w rzeźni. I jeszcze jedno... - Przerwał i spojrział na kobiety poważnie. - Nigdy nie strzelam do niczego, czego nie ma zbyt wiele. To żelazna zasada.

Grace pokiwała głową.

- Mój ojciec też przestrzegał tej zasady. Polował na bażanty. Może nawet jeszcze poluje... -

Uśmiechnęła się z wyrazem rozmarzenia na twarzy. - Pamiętam, że w naszym salonie myśliwskim wisiał obraz przedstawiający średniowieczną ucztę. Pośrodku zastawionego potrawami stołu leżał paw, podany z piórami. Przypuszczam, że uważano go za największy przysmak...

- Zobaczysz, jakie te będą smakowite - zapewnił Laurie. Sięgając po następnego ptaka, znieruchomiał.

Spojrział

ponad głowami kobiet w stronę drogi.

- Coś jedzie - zmarszczył brwi. - Wygląda mi na gliny. Spinks! Czego on, u diabła, chce? - Skoczył na równe nogi. - Ja zmykam. Stella odłożyła ptaka na bok.

- Zobaczę, kto to.

Nie zdążyła wyjść z za szopy i wytrzeć rąk o dżinsy,

a policyjny sedan już stał zaparkowany przed domem. Spinks zatrzymał się obok dżipa Lauriego, lustrując wzrokiem bagażnik. Policjant wyglądał - jak zwykle - nienagannie. Kapelusz tkwił prosto na głowie, rękawy koszuli były zaprasowane w kant.

Stella czekała w milczeniu, aż ją zauważy. Puch we włosach łaskotał ją w ucho - domyśliła się, że ma na głowie mnóstwo pierza. Na policzku usiadła mucha, skuszona zapewne zapachem schnącej krwi.

Jeśli nawet jej wygląd zaskoczył Spinksa, nie dał tego po sobie poznać.

- Przyjechałem zobaczyć, jak sobie radzicie - zaczął. - Ale widzę, że macie gości.

Stella chciała rozejrzeć się i sprawdzić, czy zza krzaków widać Grace i skrzynki pełne ptaków. Nie chciała podprowadzić policjanta bliżej jamy, bo wiedziała, że ze spotkania Spinksa z Lauriem mogą wyniknąć tylko kłopoty. Nie była też pewna, czy można bezkarnie strzelać do pawia, nawet kłopotliwych dla otoczenia. A przy tym obecność policjanta oraz symboli prawa i porządku powodowała, że bałagan towarzyszący skubaniu i sprawianiu martwych ptaków wydawał się czymś barbarzyńskim.

- Gdzie się to wszystko odbywa? - zainteresował się Spinks. - Mam nadzieję, że wykopaliście dół.

Trzeba zakopać resztki dość głęboko, żeby muchy się nie dostały.

- Pan wie, co robimy...? - spytała niepewnie Stella.

- Pani Barron mi powiedziała. - Spinks uśmiechnął się. - Z radością oczekuje pierwszej od lat spokojnej nocy, kiedy się wreszcie wyśpi. Bez tych ptaków. Niech więc spojrzę.

Stella nie była pewna, czy to oficjalne polecenie, czy prośba. Tak czy owak czuła, że nie ma wyboru. Poprowadziła go za szepę, w stronę łąki.

Gdy podeszli do dołu wykopanego w ziemi, zastali Grace przykucniętą na miejscu Lauriego. Rękaw koszuli miała wysoko podciągnięty, a ramię zanurzone po łokieć we wnętrzu wielkiego, oskubanego ptaka. Akurat wtedy,

kiedy Spinks stanął obok niej, wyciągnęła pełną garść wnętrzości. Widząc przybysza, znieruchomiała - krwawa masa upadła na jej stopę. Wahala się przez chwilę, po czym kopnęła ją do dołu.

- Dzień dobry, Grace - rzekł Spinks. I dodał głośniejszym głosem: -Dzień dobry, Laurie! Wyłaż, ja nie gryzę. Po kilku sekundach myśliwy wynurzył się zza krzaków. Obrzucił Spinksa lodowatym spojrzeniem i nie odpowiedział na pozdrowienie.

Zapadła niezręczna cisza. Korzystając z bezruchu, mewy odważyły się podejść nieco bliżej. Wtedy Laurie chwycił następnego ptaka i zabrał się do odcinania mu głowy.

Spinks skierował wzrok na Stellę i Grace.

- Muszę porozmawiać z wami obiema. O pomysśle otwarcia kafeterii.

- Skąd pan wie? - zdziwiła się Stella. Spinks wskazał Lauriego.

- Skoro on wie, wszyscy wiedzą. Ale zanim cokolwiek zaczniecie, musicie rozważyć kilka spraw.

- Też coś - mruknął Laurie.

Stella spojrzała w ziemię, na mrówki gromadzące się wokół bryły ciemnoczerwonej wątroby.

Usiłowała skupić uwagę na ich gorączkowej ruchliwości, ale złe przeczucia wywoływały zimny dreszcz na jej ciele. Czowała, że Spinks zamierza powiedzieć - zapewne w kilku prostych słowach -że ich plan nie może zostać zrealizowany.

- Chciałbym zajrzeć do kuchni, jeśli nie macie nic przeciwko temu - odezwał się.

Grace uniosła brwi. - Po co? Zapewniam cię, że jest czysta.

Stella popatrzyła na matkę, zdziwiona jej pewnością siebie. W jej zachowaniu było coś władczego, w sposobie, w jaki trzymała głowę, w jaki wypowiadała słowa. Zupełnie jakby zwracała się do impertynenckiego natręta.

- Chcę zobaczyć urządzenia sanitarne, z których będą korzystali goście - ciągnął Spinks. -1 parę innych rzeczy.

Stella patrzyła na niego zmieszana. Nie było dla niej zaskoczeniem, że istnieją reguły dotyczące urządzeń sanitarnych w miejscach, gdzie prowadzi się zbiorowe żywienie, ale nie rozumiała postawy Spinksa. Od czasu jej przyjazdu do Halfmoon Bay zawsze był bardzo uprzejmy i pomocny. A teraz w jego głosie brzmiał ton nadgorliwego urzędnika.

Laurie też to zauważył.

- Opuść im, Spinks - wtrącił się. - Próbują zarobić na życie.

- Właśnie dlatego tu jestem. Żeby pomóc - odparł Spinks.

Laurie mruknął coś pod nosem. Ujął nóż i rozciął skórę opierzonego ptaka. Po sekundzie ściągnięta jednym ruchem skóra wylądowała na dnie dołu. Przestraszona chmara much wzbijała się w powietrze. Spinks stał pośrodku kuchni, kiwając się na stopach w przód i w tył. Grace i Stella obserwowały go z miejsca przy drzwiach. Laurie przystanął za nimi, patrząc na tę scenę zza ich pleców.

- Nie mnie powiniście się obawiać - mówił Spinks -ale inspektora sanitarnego z St Louis, który zwali się wam na głowę. Weźmie waszą kuchnię pod lupę, sporządzi notatkę o powierzchniach, na których przygotowujecie jedzenie, o miejscach, gdzie może zbierać się brud, o nieosłoniętych odpływach. A im więcej nieprawidłowości znajdzie, tym bardziej będzie się czepiał szczegółów. Da wam listę zadań, którym nie podołacie.

Stella wymieniła spojrzenie z Lauriem. Widziała, że mężczyzna zgadza się z tym, co mówi policjant. Grace też kiwała głową. Wszyscy milczeli. Stella patrzyła na Spinksa z przerażeniem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego w ogóle się nie przejął wrażeniem, jakie jego słowa zrobiły na zebranych. A nawet wyglądał na zadowolonego, jakby znał jakiś sekret i jakby ten fakt sprawiał mu wręcz radość.

- Dlatego pomyślałem - ciągnął - że najpierw sam po-

winiem się wszystkiemu przyjrzeć. Dokonacie paru zmian, a potem zadzwonię do inspektora i poproszę, żeby przyjechał na kontrolę - zanim dowie się o waszych planach od kogoś innego. W ten sposób będziecie przygotowane. Upieczcie jakieś dobre ciasto - zerknął znacząco na Stellę i Grace. - Ubierzecie się czysto i schludnie.

Stella spostrzegła, że Laurie znowu potakuje głową i patrzy na policjanta z rosnącym szacunkiem.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedział. - To nie jest zły pomysł.

Spinks krążył po kuchni. Grace szła za nim z notesem w ręce. Stella i Laurie przyglądali się im od drzwi.

- Wszystkie zewnętrzne rury trzeba osłonić - polecił Spinks. - Muchy zawsze znajdą sposób, by się dostać do środka, dlatego musimy być pewni, że nie będą tu miały żadnego brudnego miejsca, na którym by chętnie siadały.

- Słusznie - stwierdziła Grace. - Co dalej?

Trzymała długopis zawieszony nad notatnikiem. Patrząc na nią, Stella dostrzegła Grace wychowaną w domu, gdzie posługiwano się sztuccami z herbem i wydawano wystawne przyjęcia na dwadzieścia osób.

- Ten zlew się nie nadaje - zauważył Spinks. - Musisz mieć zlew dwukomorowy.

Grace obrzuciła krytycznym spojrzeniem nieskazitelnie czysty zlew i ociekacz.

- Jest za mały - przyznała. - Poza tym będziemy używać dużych garnków. Trudno byłoby je myć w czymś takim.

- Zlewozmywak kosztuje fortunę - zaprotestowała Stella.

- Racja - zgodził się Spinks - ale jestem prawie pewien, że Joe nadal ma zlew, który Griggs wyrzucił z pubu. Jest całkiem w porządku. Joe na pewno podaruje go wam albo tanio sprzeda. - Po raz trzeci obrzucił pomieszczenie uważnym spojrzeniem. - Będziecie potrzebowały więcej miejsca

na przygotowywanie posiłków. Joe ma stoły z nierdzewnej stali z pubu. Zanim pub wystawiono na sprzedaż, wszystkie meble kuchenne zostały wymienione. Joe ma mnóstwo rzeczy, które możecie wykorzystać.

Stella słuchała jego słów z coraz większym niepokojem. Spinks mówił to wszystko tak zwyczajnie, jakby zainstalowanie nowego zlewu i postawienie nowych stołów było najłatwiejszą rzeczą na świecie. Bała się, że zaraz wspomni o nowych kredensach i drzwiach...

- Naturalnie, żeby to wszystko zrobić, potrzebujecie pomocy - ocenił Spinks. Podrapał się w głowę i zamyślił. Potem zwrócił się do Lauriego: - Może poprosisz swojego kumpla Zefa, żeby pomógł?

Laurie ze zdumieniem spojrzał na policjanta.

- To najlepszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłeś. On chętnie pomoże. Na pewno.

Grace przeniosła wzrok ze Spinksa na Lauriego, a potem na Stellę.

- Kto to jest ten Zef ?

Stella czuła na sobie spojrzenie Spinksa, gdy mówiła:

- Był ze mną, jak znalazłam tatę. Prowadził samochód. Grace znieruchomiała, na jej twarzy odmalował się ból.

- Nie pamiętam go. - Po krótkiej przerwie zaczęła mówić znowu, zawracając się do Spinksa. - Nie możemy go o to poprosić. Prawie go nie znamy. Trzeba mu zapłacić.

Laurie uśmiechnął się szeroko.

- Spróbujcie - rzekł.

- Możesz go poczęstować paroma posiłkami - poradził Spinks. - Samotnego faceta ucieszy ciepła kolacja pod koniec dnia, jedzonko przygotowane przez słynną w Half-moon Bay kucharkę. - Policjant mówił do Grace, ale wpatrywał się w jej córkę. - Co ty na to, Stello? Możemy go tu zaprosić, żeby przynajmniej zobaczył, co jest do zrobienia? Stella wiedziała, że to moment ważnej decyzji - wycofać się i zamknąć prawie otwarte drzwi czy zrobić krok naprzód i zacząć wszystko od nowa...

Napotkała spojrzenie Spinksa. Poza stałą dyskrecją wyczuła niepewność, jakby rozumiał skutki wynikające z odpowiedzi na to pozornie proste pytanie.

- Nie chcę was do czegokolwiek zmuszać. Możecie poszukać rzemieślnika w St Louis. Nie jest to w końcu wielka robota. Nie będzie drogo kosztować...

- Nie - powiedziała szybko Stella. - Poprośmy go.

- I słusznie - poparł ją Laurie. - Ja też przyjdę i mu pomogę. Nie jestem dobry w tych rzeczach, ale potrafię prosto wbić gwóźdź. - Niecierpliwie zatarł dłonie. Potem zasalutował policjantowi. - Wrócę do ptaków, jeśli pozwolicie. Zanim się kruki zlecą.

Spinks się uśmiechnął.

- To dobry plan - pochwalił.

Stella obrzuciła pomieszczenie pustym spojrzeniem. Czuła, że podjęła przełomową decyzję, ale nie wiedziała, co z niej wyniknie.

Ledwie Spinks i Laurie odjechali, a wszystkie ptaki znalazły się w zamrażarce, Stella wymknęła się na werandę. Usiadła na łóżku, oparła plecy o ścianę i przyciągnęła kolana do piersi. Utkwiła wzrok w stojącym na komodzie wazonie z żółtymi narcyzami i próbowała rozważyć spokojnie propozycję Spinksa.

Laurie zdawał się pewien, że Zef zechce przyjść do domu Pod Siedmioma Dębami i wyremontować kuchnię Grace. Spędzi tu długie godziny - przemyśliwała Stella. Może nawet zostanie na kolacji.

W końcu powiedziała sobie, że Zef przyjdzie tylko po to, by pomóc. Nic więcej. Tłumaczyła sobie, że ona i Zef są teraz zupełnie innymi ludźmi, że wypadki z przeszłości podzieliły ich na zawsze i że ta przepaść jest nie do pokonania.

A jednak miała nadzieję, że zdarzy się cud. Ze ich miłość odrodzi się, jasna i silna.

Odwróciła głowę na odgłos zbliżających się kroków.

W drzwiach stanęła Grace. Promienie popołudniowego słońca wpadały spoza niej do wnętrza, sprawiając, że wyglądała jak ciemny kontur. Gdy weszła do środka, Stella zobaczyła, że przyciska do piersi kilka złożonych ubrań.

- Dla ciebie - powiedziała niepewnie. - Wyjęłam je z mojego kufra. Gdy odkładałam wczoraj twoje rzeczy do prania, zdałam sobie sprawę, że prawie nie masz co nosić. - Zbliżyła ubrania do nosa. - Pachniały trochę stęchlizną, ale wywietrzyłam je i wyprałam. Teraz są w porządku.

Położyła rzeczy na łóżku. Były tam dwie koszule z jedwabiu i jedna z ciemnozielonego twillu, para sztruksowych spodni, plisowana spódnica i czarny sweter z miękkiej włóczki dobrej jakości.

- To kaszmir. - Grace dotknęła ręką swetra. - Kupiłam go w Paryżu. - Uśmiechnęła się do córki, wodząc pełnym troski spojrzeniem po jej twarzy. - Będzie idealnie pasował do twoich ciemnych włosów i jasnej cery.

- Piękny - wyszeptała Stella.

Patrząc na matkę, zapomniła na chwilę o Zefie. Poczowała przyływ wielkiej radości. Przez tyle lat, od czasu, gdy opuściła dom, marzyła o dzieleniu z matką podobnych chwil. Zwyczajny podarunek ze starych ubrań okazał się tak bardzo cenny. Nigdy nie sądziła, że coś takiego może wydarzyć się w rzeczywistości.

- Pójdę upiec ciasto - powiedziała Grace. - Pamiętaj, że jutro będziemy miały gości. Wiesz, Lauriego i jego przyjaciela. Jak on ma na imię?

- Zef.

Imię zawisło w powietrzu, brzmiąc zbyt głośno, zbyt mocno w małym pokoju.

- Właśnie. Zef. Na pewno przyjdą głodni.

Grace wyszła. Stella wstała z łóżka, otworzyła szufladę i dodała nowe ubrania do swojej skromnej garderoby. Patrząc na stare, zużyte spodnie i koszule, przypomniła sobie przygody, w których jej towarzyszyły. Każda plama, każde rozdarcie miały swoją historię. Były symbolem życia,

które wiodła. Życia osoby silnej i niezależnej, jaką się stała, bez Zefa...

Otworzyła inną szufladę i spojrzała na resztę swoich rzeczy: aparat fotograficzny, notesy, sznurowadła. Kolekcja zatyczek do wanny „na wszelki wypadek” od Daniela, spiętych jak pęk kluczy na kółku. Uśmiechnęła się na wspomnienie chwili, gdy je dostała.

- Zatyczki do wanny, moja droga. Ważna rzecz. Gdy wszystko się wokół wali, one właśnie, z niewytłumaczalnego powodu, pierwsze znikają z pokoi hotelowych. A trudno jest się umyć i uprać rzeczy, jak się nie ma zatyczki, pod strumyczkiem wody.

Stella zapragnęła porozmawiać z Danielem, poprosić go o radę. Czy to dobra pora na odwrót, na zbudowanie wokół siebie muru? Czy powinna zaryzykować kolejną bolesną ranę?

Daniel tak bardzo się starał - myślała. Przywrócił ją życiu, pokazał, jak przetrwać. Spojrzała w kąt pokoju na zniszczony przez wiele podróży plecak, który kiedyś do niego należał. Potem popatrzyła na kamiennego anioła siedzącego na stoliku obok jej łóżka. Myślała o latach, kiedy ta rzeźba była jedynym symbolem jej poczucia przynależności. Pochyliła się do przodu, by przyjrzeć się aniołkowi z bliska. Pająk snuł sieć pomiędzy skrzydłami z kamienia. Obserwując pracę pająka, Stella uświadomiła sobie, że mimo całej swej mądrości Daniel nie nauczył jej jednej ważnej rzeczy: kiedy należy zatrzymać się i poczekać, osiąść gdzieś, założyć dom.

Wtedy Stella uświadomiła sobie, że do niektórych prawd trzeba dojść samodzielnie.

21

Promienie słońca odbijały się w krągłościach łyżek do zupy, które Stella układała na wyblakłych deskach tylnej

336

werandy. Od chwili, gdy przyszła tu po śniadaniu, zdołała wyczyścić dziewięć z nich. Zostało jeszcze piętnaście. Czekwały też noże, widelce, łyżeczki do herbaty, łyżki do deserów, noże do masła i łyżki wazowe. Zadanie było niewdzięczne, ale wykonywała je z ochotą. Wielokrotne powtarzanie tych samych czynności - najpierw czyszczenie specjalnym środkiem, potem polerowanie miękką szmatką - uspokajało ją. Stopniowe pojawianie się kolejnych, lśniących czystością sztućców pomagało jej zespolicć mijające chwile ze wspinaniem się słońca po niebie.

Była prawie dziesiąta. Laurie i Zef mogli przyjechać w każdej chwili.

Stella odłożyła łyżkę i sięgnęła po następną. Włosy, niczym zasłona, opadały po obu stronach twarzy. Umyła je rano - jedwabiste kosmyki ciągle pachniały lawendowo--rozmarynowym szamponem Grace. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów użyła też tuszu, zaczerniła cieniutką, ledwie widoczną warstwą wypłowiałe od słońca końce rzęs. Ubrała się w dżinsy i zieloną koszulę, którą wczoraj dostała. Wiedziała, że dobrze w niej wygląda - głęboka barwa pasowała do koloru jej cery, a krój sprawiał, że koszula idealnie na niej leżała.

Stella spoglądała na morze. Myśli niestrudzenie krążyły jej po głowie. Próbowwała dostrzec na horyzoncie iglicę latarni morskiej. Potem przeszukiwała wzrokiem niesione przez fale wodorosty, wypatrując w nich foki albo, dalej od brzegu, płetwy rekina...

Posmarowała kolejną łyżkę czyszcidłem. Patrzyła, jak szara pasta ciemnieje po zetknięciu z powietrzem. Potem miękką szmatką usuwała powstały przez lata nalot, by wydobyć z metalu nieskazitelną blask. Trzymając łyżkę wysoko, patrzyła na swe odbicie w jej zagłębieniu. Małeńka Stella, córka wróżki... Potem zbierała z rączki ostatnie sine smugi pasty zalegające na krawędziach herbu Boydów.

Lilia. Gwiazda. Kot... Symbol odwagi.

Carla. Gdzie jesteś, kotku?

Pomyślała, że kot już pewnie nie żyje. Życie kota trwa krótko w porównaniu z życiem człowieka. Zastanawiała się, czy Carla dożyła sędziwego wieku, czy może zeszła z tego świata wskutek jakiegoś tragicznego wypadku. Przypomniała sobie pewnego żeglarza, którego przed laty spotkała na przyjęciu. Zaciekawilo ją jego wyznanie, że zwykł trzymać na pokładzie kota.

- Ostatnio właśnie go straciłem - rzekł.

- Co się stało? - spytała.

Mężczyzna opowiedział, jak to kot ułożył się do snu na zwiniętym żaglu. Gdy wiatr się zmienił i żeglarz wciągnął żagiel na maszt, kot spadł do morza.

Stella patrzyła na niego z zaciekawieniem, wyobrażając sobie desperackie próby ratowania nieszczęsnego zwierzęcia.

- I co pan zrobił?

- W następnym porcie wziąłem na pokład innego kota - odparł żeglarz. - Kot jest tylko kotem. Czymś, co można przytulić, jak człowiek czuje się samotny.

Przebiegł wzrokiem po ciele Stelli, a ona odwróciła się i odeszła.

Spotykała i innych, podobnych żeglarzy. Twardych, samotnych mężczyzn, którzy spędzili na morzu długie lata i którzy pewnie lubili mierzyć się z żywiołami. Słuchając ich opowieści, zastanawiała się, czy w młodości byli inni, czy to samotność i morze zawojowały ich dusze, by zamienić je w zimny gład.

Stella nie słyszała kroków Grace zbliżającej się do drzwi. Wysoka postać matki wyrosła nad nią i zasłoniła słońce.

- Przyjechali - powiedziała. - Podam herbatę w kuchni, zanim zaczną bałaganić.

Stella podeszła do kuchni od strony bocznych drzwi, przystanęła w miejscu, gdzie nie była widoczna, i zajrzała do środka.

Zef siedział tyłem do niej. Miał na sobie niebieską ko-

szulę, znoszoną i wyblakłą. Siedział prosto, ze ściągniętymi łopatkami, jakby czuł się skrepowany w tej kuchni. Laurie usadowił się obok niego, z wyciągniętymi nogami i rękami skrzyżowanymi na piersi.

Na środku podłogi leżał dwukomorowy zlewozmywak pokryty warstwą kurzu, a obok sterta akcesoriów hydraulicznych.

Przesunąwszy się nieco, Stella mogła dostrzec nogi Zefa pod stołem - miał na sobie dzinsy obcięte niedbale nieco powyżej kolan. Krzywiznę gołych łydek wieńczyły nad kostkami grube wełniane skarpety. Wzrok Stelli spoczął na wysłużonych butach. Były to skórkowe buty do kostek ze wstawkami z gumki po bokach, typowe buty noszone przez każdego Tasmańczyka, który ciężko pracował na ładzie lub na morzu. Na startych czubkach prześwitywały stalowe podkładki, cała powierzchnia skóry była porysowana, a gumka na bokach mocno rozciągnięta. To dobry znak - pomyślała Stella. Ojciec Jamiego zawsze mówił, że po butach można ocenić człowieka. Można się przekonać, czy to ktoś poważny - mawiał rybak - czy pozer.

- Gdzie Stella? - spytał Laurie, rozglądając się wokoło. Wreszcie zobaczył ją w drzwiach. - Nareszcie. Chodź, jesteśmy głodni.

Gdy weszła do kuchni, Zef wstał. Stella dostrzegła uznanie w oczach Grace i uniesione brwi Lauriego, gdy na jego słowa Zef gwałtownie się odwrócił.

Stella zatrzymała się w pół kroku, napotkawszy spojrzenie Zefa. Jego oczy płonęły zielonym płomieniem, szalonym płomieniem, zdolnym w ułamku sekundy ogarnąć dzielącą ich przestrzeń. Wstrzymała oddech. Przez chwilę wydawało się jej, że widzi go po raz pierwszy od czasu, gdy odpłynął. Późniejszym spotkaniom - przed jego domem, na plaży, gdzie był William, w samochodzie - towarzyszyły emocje, które rozpraszały ją na rozmaite sposoby. Teraz, tutaj, liczył się tylko on.

Nagle uświadomiła sobie, że Grace coś do niej mówi. Zobaczyła, że matka stawia parujący dzbanek z herbatą obok talerza z pokrojonym ciastem.

- Naleję herbatę.

Głos Grace brzmiał spokojnie, lekko. Stella popatrzyła na nią, a potem na myśliwego. Czy to możliwe, by niczego nie widzieli, niczego nie czuli?

Stella siadła obok Lauriego. Oblizwała wargi, chociaż nie były suche. Nie mając wcale takiego zamiaru, zaczęła mówić o ptakach, o tym, że razem z matką dokładnie je umyły, zapakowały, a potem zamroziły, że napisały daty na etykietkach, by można było wykorzystać mrożonki we właściwym czasie. Słowa padały zbyt pospiesznie. Była pewna, że mówi zbyt głośno.

Ale nie przejmowała się. Czuła, że Zef na nią patrzy - śledzi każdy ruch jej ust, każde pochylenie głowy, każde skinienie ręki, każde odsunięcie kosmyka włosów z twarzy.

Laurie kiwał głową z aprobatą.

- To dobrze - ocenił. - Wydaje mi się, że inspektor sanitarny będzie chciał zajrzeć do zamrażarki, więc jak będziecie robić spis produktów, które tam są, najlepiej nazwać wszystko indykami. Żeby było prościej. To najlepsze podejście do urzędasów.

Mówiąc to, wziął kawałek ciasta z talerza i podszedł do zlewu. Oparł rękę na nieskazitelnie czystym ociekaczu. Spojrzał na Zefa.

- To co? - spytał. - Wywalamy te starocie?

Grace przestała nalewać herbatę, spoglądając z przerażeniem na Zefa.

- Muszę się najpierw zastanowić - odparł Zef. - Przygotować plan. Zaprojektować nową szafkę.

- Cały on - powiedział Laurie do Stelli. - Wszystko musi być zrobione jak należy. - Ugryzł kawałek ciasta i przeżuwał łakomie. - Pyszne, Grace - rzekł z pełnymi ustami. - Co to za ciasto?

- Zrobione według przepisu ciotki Elizy. Nazwała je „Krój i wróc”.

Stella spojrzała na stół. Przesunęła palcem okruszynę. Czy Zef pamięta? - zastanawiała się. Takie właśnie ciasto przyniosła do zatoczki w Boże Narodzenie.

- Śmieszna nazwa - zauważył Laurie. - Co niby znaczy?

- Łatwo się domyślić - stwierdził Zef. - Musisz wrócić tam, gdzie je jadłeś.

Stella patrzyła na swoje ręce. Niewypowiedziane słowa cisnęły jej się na usta.

Ale ty nie wróciłeś. Wtedy, kiedy cię potrzebowałam.

Czuła na sobie spojrzenie Zefa. Powoli podniosła wzrok i odwzajemniła spojrzenie. Starła się ukryć wzbierający w niej smutek, ale patrząc na niego, miała wrażenie, że widzi cień tego smutku na jego twarzy. Po chwili Zef uśmiechnął się i podał jej talerz z ciastem.

- To rodzinny przepis - dodała Grace. - Nie mojej rodziny, tylko Williama. - Spojrzała taksująco na ciasto, przechylając głowę na bok. - Zawsze mi się wydawało, że jest zbyt wilgotne. I zbyt słodkie. - Popatrzyła na mężczyznę. - Weźcie jeszcze po kawałku. Będziecie potrzebowali dużo energii.

Gdy wypili herbatę, Grace umyła filiżanki i podstawki. Robiła to powoli i uważnie, jakby ostatnie zmywanie w starym zlewie było rytuałem wymagającym należytej celebracji i zapamiętania. Stella wytarła naczynia ściereczką i ustawiła w stos obok ociekacza.

Zef siedział przy stole, szkicując projekt na odwrocie zużytej koperty. Stella zerknęła na jego dłoń, na długie palce trzymające ołówek, na krótko obcięte paznokcie i skórę stwardniałą od pracy.

Zobaczyła, że jego stara niebieska koszula jest zrobiona z pięknie utkanego lnu. Domyślała się, że musiała być bardzo droga.

Stella zaczęła przenosić filiżanki i talerzyki na swoje miejsca. Poruszając się po pomieszczeniu, czuła obecność Zefa, jakby był osią, wokół której krążyła.

Zef wstał i poprosił Grace, żeby odsunęła się od zlewu. Rozwinął calówkę i dokonał pomiarów. Jego ruchy były szybkie i zdecydowane, lecz Stella wyczuwała w nich skrywane napięcie, podobne do napięcia, które tkwiło także w niej.

Gdy szkic był gotowy, Zef zaczął znosić narzędzia i rozkładać je na podłodze. Przytroczył torebkę z gwoździami do biodra i zakasał rękawy. Potem ukucnął obok Lauriego i pomógł mu rozkręcić rury pod zlewem. Grace wyszła na zewnątrz, nie chcąc patrzeć na rozbiórkę, ale Stella została w kuchni. Poprzesuwała rzeczy w jednej z szafek tak, by zmieściły się w niej przedmioty wyjęte spod zlewozmywaka. Wciąż jednak zerkała na Zefa. Gdy z syfonu zaczęła wypływać mętna woda, pochyliła się i podała mu plastikową miskę. Spojrzał na nią, jego palce dotknęły jej rąk.

Wkrótce stary zmywak został usunięty i Stella pomogła Lauriemu wynieść go na zewnątrz. Dzień stawał się coraz bardziej upalny, słońce świeciło ostro na bezchmurnym niebie.

Laurie otarł twarz dłonią. Poprosił Stellę, by przyniosła z dżipa paczkę kafelków.

Kiedy wróciła, Zef piłował deskę, przytrzymywaną przez Lauriego.

- Podejź tutaj - zaproponował Laurie - zastąp mnie. Ja zajmę się instalacją. - Wskazał na rury biegnące na zewnątrz kuchni. - Jak się zmęczysz, daj znać.

Stella mocno trzymała drewno, by się nie ruszało, gdy Zef przycinał kawałki o odpowiedniej długości. Z wierzchu drewno wyglądało szaro i zwyczajnie, w środku jednak było miodowozłote. Stella poczuła zapach żywicy drzewa *huon*.

Zef mrużył oczy z wysiłku, starał się ciąć wzdłuż narysowanych ołówkiem linii. Stojąc tak blisko niego, Stella mogła dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Krótko obcięte włosy były grube i prawie kędzierzawe. Na szczuplejszych niż dawniej policzkach zaznaczały się wyrzeźbione przez

uśmiech zmarszczki mimiczne. Nadal widoczna na brodzie blizna zbladła, stała się prawie biała. Mięśnie napinały się pod podwiniętymi rękawami koszuli, gdy przepychał piłę przez drewno, a fruujące trociny osiadały drobnym żółtym pyłem na skórze jego ramion.

Stella podniosła kolejną deskę i położyła ją na kozły. Jej powierzchnia była mocno nadwerżona przez czynniki atmosferyczne, ale najwyraźniej nie używano jej jeszcze, bo nie miała żadnych śladów po gwoździach. Stella rozpoznała wstępnie obrobione drewno, które jakiś czas dryfowało w morzu: stanowiło zapewne część źle zabezpieczonego ładunku, który statek zgubił podczas sztormu.

- Gdzie znalazłeś tę deskę? - spytała, przekrzykując odgłos piłowania.

Zef przerwał pracę.

- W zatoczkach. Mam cały ładunek. Wystarczyło na budowę mojej kuchni.

Stella przypomniała sobie dom z ramami okiennymi z desek odebranych morzu.

- Masz pewnie niezłe zbiory - powiedziała.

- Przez cały rok zbierałem materiał, gdy zdecydowałem się tu zostać.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Powietrze wokół nich ciążyło niezadanymi pytaniami. Od strony domu doszedł ich głos Lauriego:

- Mówiłem, żebyś użył właściwego drewna, Zef. Już dawno byś skończył.

Zef uśmiechnął się do Stelli.

- Niespieszno mi kończyć. - Popatrzył jej w oczy. - Nie męczycię trzymanie?

Stella pokręciła głową.

- Nie.

Znów zaczął piłować, prowadząc ramię jednostajnym ruchem w przód i w tył. Krople potu na jego ciele lśniły w słońcu.

Gdy nadeszła pora lunchu, Grace zaprosiła wszystkich na werandę.

- Tam przygotowałam posiłek - wyjaśniła. - W kuchni jest za duży bałagan.

Poprowadziła ich przez dom. Laurie i Zef szli za nią, a Stella na końcu. Gdy wyszła na otwartą werandę, zatrzymała się zaskoczona. Grace rozłożyła serwetę wprost na drewnianej podłodze - nie tanią, bawełnianą tkaninę, której używa się zwykle podczas pikników, lecz wielki kwadrat czerwonego pluszu obramowanego złotymi frędzlami. Stella nigdy go nie widziała. Na obrzeżach rozłożone były poduszki z pokoju morskiego. Pośrodku stało jedzenie. Skromne, lecz wykwintnie podane: talerze suszonych owoców i słonych orzeszków, kawałki sera, pokrojone pomidory posypane ziołami i świeżo ścięta w ogrodzie młoda sałata. Była też wielka misa moreli i brzoskwiń w syropie z ostatniej zimy. I dwa wielkie dzbany lemoniady. Na samym środku stał wazon z wiosennymi kwiatami. Stella uśmiechnęła się do Grace.

- Przepięknie.

- Przepięknie - zawtórował Zef. Oderwał wzrok od jedzenia i ogarnął spojrzeniem wspaniały widok morza. Patrzył na północ, ku zatoczkom. Po długiej chwili zwrócił się do Stelli: - Prawie możemy na siebie patrzeć.

- To dalej, niż się wydaje - stwierdziła. Chciał coś odpowiedzieć, ale Laurie go spytał:

- Przyniosłeś chleb? Zef pokręcił głową.

- Został w dziupie. Pójdę po niego.

Obszedł teren pikniku i skierował się ku schodkom. Laurie rozsiadł się na poduszce. Popatrzył na Grace.

- Następnym razem ty musisz przyjść do mnie. Upiekę... indyka.

Grace roześmiała się.

- Tego z niebieskimi piórami?

- Właśnie - rzekł Laurie.

Stella siadła przodem do morza, wsparta plecami o ścianę domu. Grace stała, jak przystało na gospodynię przyjęcia, póki nie wrócił Zef.

Trzymał w dłoniach okrągły bochenek chleba. Po drodze zabrał resztkę drewna z piłowanej deski. Położył na niej chleb i umieścił ją obok poczęstunku. W powietrzu roz-szedł się zapach drewna zmieszany z zapachem drożdży.

Grace wskazała mu poduszkę obok córki.

- Siadaj tam - powiedziała. - Będziesz miał widok na morze.

Stella i Zef siedzieli po turecku na poduszkach, jedno obok drugiego, przed wystawnym posiłkiem.

Stelli przyszło na myśl, że wyglądają jak orientalna para książęca patrząca na swoje królestwo.

Morze przypominało bezkresny woal z jedwabiu inkrustowanego brylantami. Kępki pierzastych chmur wisiały wysoko na niebieskim niebie. Ptaki uwijały się wokół pomarańczowych kwiatów wstydlinu rosnących w pobliżu granitowych skał. Motyle tańczyły obok szerokoskrzydłych ważek. Świerszcze grały w trawie.

Stella uśmiechnęła się. Piękno tego widoku wydawało się darem ofiarowanym specjalnie jej, im.

Spojrzała w bok i zobaczyła, że Zef na nią patrzy.

- Jedzmy - zaprosiła Grace.

Zaczęła podawać naczynia z jedzeniem i nalewać lemoniadę.

Jedli rękami, nie trudząc się nakładaniem na talerze. Okruszyny i krople brzoskwiniowego syropu spadały na czerwoną serwetę. Laurie pokroił chleb i wręczył po kawałku Grace i Stelli.

- Spróbujcie - zachęcał - najlepszy chleb, jaki kiedykolwiek jadłyście.

Stella żuła miękkie ciasto. Laurie nie mylił się. Chleb miał niespotykany smak i delikatny, lecz wyczuwalny aromat.

- Jak go robisz? - spytała Stella. Laurie wskazał na Zefa.

- Jego zapytaj.

- To chleb na wodzie morskiej - odparł Zef. - Drożdże, mąka, woda morska i miód. Używam miodu Joego.

Stella patrzyła mu w oczy. Ożyły wspomnienia - chłopiec i dziewczyna jedzący pachnący dymem miód, zanurzający palce w słoiku...

- Zef jest żeglarzem - powiedział Laurie do Grace. - Dlatego używa do przyrządzania potraw wody morskiej. Grace roześmiała się przyjaźnie i zwróciła się do Zefa.

- Wobec tego proszę opowiedzieć o swoich podróżach - powiedziała. - Gdzie żeglowałeś?

Zef opowiedział kilka historii z morskich wypraw na północ - aż do Grenlandii, i na południe - aż po wyspę Heard. Dodał, że nigdzie nie zatrzymywał się na dłużej do chwili, gdy przed ośmiu laty założył firmę. - Bardzo udany interes - orzekł z dumą Laurie. - Zef jest wynalazcą. Czytałem o nim w gazecie, w „The Australian”, jeszcze nim go poznałem.

Stella gromadziła strzępy nowych informacji i łączyła je jak w układance.

Na końcu sprawozdania z podróży wśród lodowych tafli Zef zwrócił się do Stelli.

- A ty? - spytał. - Gdzie byłaś?

Przyszła kolej na Stellę. Teraz ona miała opowiedzieć o swoim życiu, o swojej pracy i ustawicznych podróżach. Zef słuchał uważnie, chłonąc każde słowo. Gdy zamilkła, z wolna pokiwał głową.

- Brzmi dobrze. Interesująca praca. Ważna praca.

- Świetnie sobie radziła - zapewnił Laurie. - To na pewno. I miała dziewczyna szczęście, że mogła pojechać do szkoły do Anglii i spędzić tam aż tyle czasu. Niełatwo do czegoś dojść, jak się siedzi tutaj, na Tasmanii.

Te słowa sparaliżowały słuchaczy. Ręka Zefa podnosząca szklanekę do ust zawisła nieruchomo w powietrzu. Grace przestała jeść. Stella patrzyła na swoje dłonie, zaciśnięte na udach. Znowu poczuła wypełniający jej wnętrze

mrok, ból związany z tym, co rzeczywiście się wydarzyło przed laty. Nie wiedziała, czy Zef słyszał to po raz pierwszy, czy ktoś już mu opowiedział o jej rzekomej podróży do Anglii. Niemniej zastanawiała się, co czuł, gdy wybiegał myślą do tamtych czasów. Może świadomość, że i tak by jej nie zastał, gdyby dotrzymał obietnicy i wrócił, uspokoiła jego sumienie.

Spojrzała na Zefa. Patrzył w morze. Na jego twarzy pojawił się wyraz obcości, wydawało się, że chce uciec.

Poczucie winy robi coś takiego z ludźmi - pomyślała Stella...

Laurie jadł dalej, najwyraźniej nieświadomy wywołanego przez siebie napięcia. Ale nikt nie korzystał z podsuwanych przez niego talerzy.

Zef wstał. Podziękował Grace za posiłek i spojrzał w niebo, mrużąc oczy na słońcu.

- Jeśli mamy zdążyć z nowym zlewem - rzekł - wracajmy do pracy.

Głos Zefa brzmiał nienaturalnie. Stella spojrzała na jego twarz. Nie dostrzegła nawet śladu wcześniejszej serdeczności. Zaczęła się zastanawiać, czy ta serdeczność nie była jedynie wytworem jej wyobraźni, odbiciem własnych uczuć. Ale to, co czuła, wydawało się tak prawdziwe... Odwróciła wzrok. Ogarnięta paniką, zdała sobie sprawę, że nie może ufać swojej ocenie wydarzeń. Może w jego postawie wobec niej nic się nie zmieniło. Może tylko mrok przeszłości przesłania jej prawdziwy obraz.

Grace zaczęła zbierać talerze i salaterki. Stella pomagała matce, pochylając głowę, by ukryć twarz. Pod koniec dnia podwójny zlewozmywak był na swoim miejscu, a nowe, nierdzewne blaty wybiegały po obu stronach ociekaczy. Pod zlewem stała nowa szafka, idealnie dopasowana rozmiarami. Zamiast zwykłych uchwytów drzwiczki miały drewniane rączki zrobione z wygiętych kawałków drewna znalezione nad morzem.

Laurie otwierał je i zamykał dziesiątki razy.

- Patrzcie tylko - mówił - pasują do ręki jak rękawiczka. I ładnie wyglądają.

Zef zaczął pakować narzędzia do drewnianego pudła z pokrywą na zawiasach i dodatkowym zabezpieczeniem w postaci skórzanego rzemienia. Stella pomagała je zbierać. Podnosząc kolejne młotki i śrubokręty, wążąc ich ciężar w dłoni, czuła ogarniającą ją rozpacz. One symbolizowały Zefa. Gdy znikwały w pudle, jedno po drugim, wiedziała, że nieubłagane zbliża się czas jego odejścia. Miała wrażenie, że dano im szansę, by się spotkali, ale ona pozwoliła mrokowi przeszłości wkraść się między nich i wszystko popsuć. A teraz dzień miał się ku końcowi, okazja została stracona.

Wkrótce całą czwórką stali przy dziupie. Światło zachodzącego słońca kładło się na ich twarzach.

Grace podziękowała obu mężczyznom i wręczyła Lau-riemu ciasto.

Zef obszedł samochód i stanął przy drzwiach dla pasażera. Stella poszła za nim. Chciała go poprosić, by przyszedł znowu, ale bała się ryzyka, że usłyszy odpowiedź grzeczną, lecz niejasną.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała.

- Było mi miło - odpowiedział Zef.

Słowa przeleciały między nimi jak ważki, które muskają powierzchnię stawu, zostawiając głębiny nietknięte...

Laurie włączył silnik i stare auto odjechało, podskakując na wybojach.

22

Stella stała w drzwiach pokoju morskiego. Pomieszczenie wydawało się teraz większe i jaśniejsze. Odślonięta, świeżo wywoskowana podłoga błyszczała w świetle porannego słońca wpadającego do wnętrza przez rząd okien.

348

Większość mebli została usunięta: kanapa z poduszkami, wyściełany stołek, telewizor, lampa stojąca i biblioteczka. Wszystko to wyniosły z Grace do dawnego pokoju Stelli, który zamienił się w salonik. Stella zrobiła w nim miejsce, usuwając dziecinne sprzęty. Spakowała zabawki, książki, lalki i stare ubrania. Ostatnią rzeczą, która powędrowała do pudła, była Miranda. Stella odkurzyła nagie plastikowe ciało i nylonowe włosy, a potem ubrała lalkę w rybacki sweterek. Starannie ułożyła ją i wygładziła rude włosy na wąskich ramionach. Zamknęła wieko i okleiła je taśmą. Potem zaniósła pudło do szopy.

Pokój morski zaczynał nabierać wyglądu jadalni. Środek zajmował stół z dodatkowymi blatami. Po każdej stronie stało dziesięć krzeseł. Tylko cztery z nich - te, które wcześniej służyły rodzinie - były identyczne. Reszta przywędrowała z szopy Joego. Mężczyzna gromadził je całymi latami. Pochodziły z poczekalni lekarskich, z prywatnych kuchni, z kościoła, z pubu. Ta przypadkowa zbieranina wydawała się nawet mieć pewien sens. Krzesła mogły pasować do różnych postaci, które wkrótce będą na nich zasiadać.

Stella usłyszała zbliżające się kroki. Po chwili weszła Grace. Stała i z aprobatą patrzyła na pokój.

- Krzesła są znakomite - uznała. - Nie mam pojęcia, jak się odplacimy Joemu. Wiem, że nie weźmie pieniędzy, ale możemy mu coś dać.

- Co masz na myśli? - spytała Stella.

Wyobrażała sobie rozmaite ciasta albo zapas pasztecików, który wystarczy na miesiąc. Ale Grace ujęła ją za ramię i obróciła przodem do drugiej strony pokoju. Wskazała palcem na mebel, jedyny poza stołem i krzesłami, który nadal tam stał. Wyglądał ciężko i ponuro, dominując nad oswobodzoną przestrzenią.

Kredens ciotki Jane.

Stella spojrzała na matkę ze zdziwieniem, a potem podążyła za nią i obie stanęły przy meblu.

- Jesteś pewna? - spytała. - Może lepiej przechować go w szopie.
- Nie chcę go trzymać - padła stanowcza odpowiedź. - Joe może go sprzedać handlarzowi. Dostanie za niego dobrą cenę.

Stella powoli kiwała głową. Uświadomiła sobie, że i jej podoba się pomysł zerwania raz na zawsze wszelkich więzi z ciotką Jane. Taki ruch zdawał się pasować do nowego przedsięwzięcia.

Na lśniącym blacie kredensu wciąż jeszcze stała fotografia Williama z czasów studenckich wraz z ostatnią czytaną przez niego gazetą, kubkiem z „Victory”, świecą i resztą pamiątek rozłożonych na dużej koronkowej serwetce.

Obie patrzyły na tę wystawę w milczeniu. Potem Grace wzięła fotografię i podała ją Stelli.

- Postawimy ją na kominku - zdecydowała.

Ujęła serwetkę za rogi i wyniosła ją wraz z całą zawartością.

Gdy wróciła, kucnęły obok siebie i zaczęły opróżniać kredens. Najpierw spakowały talerze należące do rodziny Williama. Potem wzięły się za stertę haftowanych serwetek i obrusów.

- Nie będziemy ich używać - zawyrokowała Grace. - Serwetki zrobię z prześcieradła. Zwykle, białe. A stół zostawimy odkryty. Drewno jest takie piękne.

Na koniec delikatnie przenieśli dziennik pogody i wszystkie inne osobiste rzeczy Williama do tekturowego pudła.

Kredens był teraz zupełnie pusty. Z otwartymi drzwiczkami i wysuniętymi szufladami wydawał się mniejszy i jakby odarty ze swej powagi.

Stella i Grace chwyciły mebel z obu stron, dźwignęły go i spróbowały przenieść w stronę drzwi, ale prawie natychmiast musiały postawić go z powrotem i odpocząć. Stella już wcześniej usiłowała go odciążyć, wyjmując szuflady, ale okazało się, że specjalne zabezpieczenia nie pozwalają wy-

sunąć ich całkowicie. Nie miały więc innego wyjścia - musiały próbować dalej, zatrzymując się i robiąc przerwy co parę metrów.

Wyniesienie kredensu na drogę zajęło sporo czasu. Potem musiały zbudować z dwóch desek rampę i popychać ciężką bryłę ku górze krótkimi szarpnięciami. Kiedy kredens znalazł się wreszcie na platformie furgonetki, odetchnęły z ulgą.

Później Stella prowadziła ostrożnie, a Grace siedziała obok niej, spoglądając co jakiś czas przez ramię na ładunek. Stella też zerknęła w tylne lusterko. Kredens przesuwiał się nieznacznie na każdym napotkanym wyboju.

Na zwirowej drodze jazda była znacznie spokojniejsza. Zaniechały spoglądania za siebie. Można było nawet dodać trochę gazu.

Grace patrzyła na pobocze drogi. Idąc za jej wzrokiem, Stella dostrzegła znajome, puszyste kłębki pojawiające się w regularnych odstępach.

- Nie zdawałam sobie sprawy - odezwała się Grace po chwili - ile tych nieszczęsnych istot ginie na drodze. Musi tu być dużo zwierzyny.

Busz ustąpił miejsca otwartej, bagnistej przestrzeni, pełnej błotnych łąk i wysokich trzcin. Przez przednią szybę widziały przelatującego pelikana, ogromnego ptaka, który wydawał się zbyt ciężki, by unieść się w powietrze.

Na horyzoncie pojawił się hangar na łodzi Joego. Stella zwolniła, skręciła w dróżkę dojazdową i zatrzymała furgonetkę tak blisko budynku, jak się dało. Drzwi były otwarte na oścież i zaklinowane starym wiosłem. Stella wysiadła i zawołała Joego, ale odpowiedzi nie było. Domyśliła się, że jest na pirsie.

Zajrzała w mroczne wnętrze szopy, na wypadek, gdyby jednak zaszył się w środku, ale nie było po nim śladu. Powietrze pachniało olejem i dziegciem, czuło się też lekki zapach nieświeżych ryb.

Miejsce wyglądało jak labirynt pełen starych mebli, sprzętu rybackiego, narzędzi, zmywarek, ro-

werów, materiałów budowlanych i wózków dziecięcych -mieszanina barachła i prawdziwych skarbów. Z gęszcza byle jak położonych przedmiotów wyrastały drewniane szkielety na pół zbudowanych łodzi, które przypominały wystające zębra dawno zasypanego w piasku wieloryba. Stella zauważyła wysoką stertę białych talerzy i salaterek - solidnie wyglądających naczyń używanych zwykle w hotelowych jadalniach. Podeszedłszy bliżej, zobaczyła na talerzu leżącym najwyżej symbol Południowych Linii Oceanicznych. Wyobraziła sobie tę zastawę na długim stole w pokoju, z którego okien rozciąga się niczym niezakłócony widok na morze i niebo. Miałoby się wrażenie, że to posiłek na statku. Odwróciła się i zobaczyła matkę wkładającą ogrodowe rękawice.

- Zostawmy go w środku - zaproponowała jej.

Grace skinęła ręką na znak zgody i podeszła do tyłu samochodu. Gdy otworzyła klapę, Stella wskoczyła na platformę i stanęła obok kredensu. Wspólnymi siłami popchnęły mebel na skraj bagażnika.

- To nie będzie proste - powiedziała Stella. - Musimy go jakoś zsunąć. Ale nie za szybko.

Zsunięty do połowy kredens zaczął się przechylać. Szuflady wysunęły się, na ile pozwalały zabezpieczenia.

- Wepchnij go z powrotem! - krzyknęła Stella.

- Nie mogę!

Grace odskoczyła, kredens spadł i uderzył o ziemię. Rozległ się trzask łamanego drewna, szuflady rozpadły się pod ciężarem mebla.

W ciszy, która potem zaległa, słychać było tylko ćwierkanie ptaków.

Kobiety patrzyły na połamane szuflady. Widok był wstrząsający - kiedyś po odkryciu choćby niewielkiej rysy na spuściźnie po ciotce Jane Grace natychmiast pędziła po puszkę specjalnego wosku do renowacji mebli. Stella miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Widziała, że matka także, choć zaciska usta, starając się wyglądać poważnie.

Najpierw na twarzy Stelli pojawił się uśmiech, potem rozległ się gromki śmiech. Po kilku sekundach zawtórowała jej Grace. Z początku wstydlawie osłaniała usta, ale niebawem śmiała się głośno, odchyliwszy głowę do tyłu. Śmiech niósł się echem między nimi, tańcząc w cichym powietrzu, by wreszcie ścichnąć.

Stella już miała zapytać, co zrobić z meblem niemającym żadnej wartości, gdy między kawałkami drewna dostrzegła coś, co przykuło jej uwagę.

Pochyliła się, by lepiej widzieć. Z jednej z uszkodzonych szuflad wystawał róg brązowej koperty z papieru pakowego.

- Wydawało mi się, że wyjęłyśmy wszystko - powiedziała.

Stella wyciągała szufladę spod narożnika kredensu. To szuflada Williama - uświadomiła sobie, rozpoznając ślady po pogrzebaczu. Szuflada miała podwójne plecki, koperta tkwiła w skrytce między nimi.

Wyciągnęła kopertę i przyglądała się jej badawczo. Rzuciła matce pytające spojrzenie.

- Otwórz ją - poleciła Grace.

Stella rozerwała kopertę i sięgnęła do środka. Wyciągnęła plik mniejszych kopert, złączonych gumką. Jej wzrok błędził po pierwszej kopercie, po czerwono-niebieskim szlaczku poczty lotniczej na brzegach, po wielkim kolorowym znaczku pocztowym, a potem po napisanych odręcznie literach adresu.

Stella

Halfmoon Bay Tasmania, Australia

Na innych kopertach adres się powtarzał. Było pięć listów. Ostatni zaadresowany był inaczej: *Stella, córka poławiacza langust Halfmoon Bay Tasmania*

PROSZE O DORECZENIE

Grace pochyliła się ponad ramieniem Stelli.

- Do ciebie!

Stella zagryzła wargi, oglądając koperty od początku. Na wszystkich były identyczne znaczki: wizerunek ptaka kiwi, a ponad jego głową napis „Nowa Zelandia”.

- Od Zefa - powiedziała bardzo wolno.

Gdy świadomość tego faktu w pełni do niej dotarła, jej serce zabiło szybciej. Uniosła pakiecik wyżej, sprawdzając datę na znaczku pierwszej koperty. Był ostemplowany fioletowym atramentem.

25. 01. 1976

Sprawdziła daty na pozostałych kopertach: luty, luty, marzec, marzec.

- Wtedy jeszcze tu byłam! - wykrzyknęła. Dalsze słowa uwięzły jej w gardle.

Spojrzała na Grace z niedowierzaniem, oniemiała. Kobieta zmarszczyła brwi, była zakłopotana.

- Zef to Robert? To chciałaś powiedzieć? Stella chwyciła matkę za ramię.

- Wiedziałaś o nich?

Grace pokręciła głową. Walczyła z uczuciami, jej twarz mieniła się gniewem i rozpaczą.

- William musiał je przed tobą ukryć.

Patrzyła córce w oczy. Stella z trudem chwyciła powietrze, wyraziście stanęła jej przed oczami scena przy pirsie, gdy spytała Williama, czy nie przyszedł do niej jakiś list.

Gdyby przyszedł, dałbym ci go. Takich właśnie słów użył.

Przez kilka chwil stała zaszokowana i wściekła. Potem rozerwała palcem pierwszą kopertę. Rozłożyła arkusik cienkiego papieru poczty lotniczej.

Przebiegła go wzrokiem, wyłapując rzucające się w oczy pojedyncze słowa i zdania.

Sztorm za South Island... urządzenie samosterujące znowu się popsulo...

351

Omal się nie rozbiliśmy... maszt złamany, straciłem dwa żagle...

Muszę zarobić, żeby zapłacić za naprawę.

Minie co najmniej miesiąc, zanim będę mógł wrócić...

Ale wrócę, na pewno.

Zostaw wiadomość w pomniku, gdzie mam Cię szukać... Myśl o mnie. Będę pracował dzień i noc, będę odkładał każdy grosz, żeby do Ciebie wrócić... Kocham Cię. Zawsze będę Cię kochał. Zef (i Carla)

Stella patrzyła na list, powoli docierało do niej znaczenie czytanych słów. W jej sercu wzbierały fale uczuć. Zdziwienie, że odnalazła listy. Gwałtowny gniew na Williama, że ukrył je przed nią.

Ale oba te uczucia przerastało inne, znacznie silniejsze. Szalona, płomienna nadzieja.

Spojrzała na matkę.

Grace pokiwała głową, jakby rozumiejąc wszystko.

- Jedź - powiedziała. - Znajdź go.

Stella pobiegła do auta, wskoczyła do środka i uruchomiła silnik, wciskając mocno pedał gazu.

Zawróciła pojazd i ruszyła przed siebie, wyrzucając spod opon fontanny żwiru.

Postrzępiony, wypłowiały sarong łopotał na sznurze do bielizny rozwieszonym między dwoma drzewami. Obok niego wisiało kilka par skarpetek, dwa podkoszulki, nowe dżinsy - sztywne i ciemne.

Pośrodku, tam gdzie sznur zwisał najniżej, suszyła się niebieska lniana koszula, którą Zef miał na sobie w dniu, gdy remontował ich kuchnię. Stella pochyliła się i przeszła pod nią, kierując się w stronę domu. Rękaw koszuli musnął jej policzek.

Rozglądała się, sięgała wzrokiem poza granice ogrodu, szukając widoku czerwonej furgonetki. Nie było jej na za-

kolu u krańca drogi. Stella miała jednak nadzieję, że jest zaparkowana gdzie indziej. Nie widziała jej przecież ani przy przystani, ani w pobliżu pubu czy sklepu - sprawdziła te miejsca po drodze z hangaru Joego.

Stała przed rzeźbionymi drzwiami wykonanymi z fragmentu kadłuba starej drewnianej łodzi, osadzonymi w ramie z drewna *huon*. Zapukała pośpiesznie, zanim zaczęła układać słowa, planować cokolwiek...

Na pukanie odpowiedziała cisza. Wiatr osłabł - uświadomiła sobie Stella - zbierało się na deszcz.

Wszystko wokół zastygło w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Zapukała znowu. Nasłuchując odpowiedzi, zajrzała do środka przez okno. Widać było przez nie część kuchni urządzonej schludnie i wygodnie, jak kabina „Tailwind”. Surowy porządek łagodziła obecność pęku polnych kwiatów w słoju, miski włoskich orzechów, butelki czerwonego wina, wypitej do połowy i ponownie zakorkowanej. Obok zlewu suszyły się naczynia po ostatnim posiłku: talerz, kieliszek do wina, nóż, widelec, łyżka. Nadal lustrowała wzrokiem resztę pomieszczenia widoczną przez okno. Zwróciła uwagę na ciemny odcień podłogi, zrobionej ze starego drewna, wielokrotnie wykorzystywanego: z dziurami po gwoździach, śladami nadpaleń, plamami. Stella pochyliła się i osłoniła dłońmi oczy, by światło nie odbijało się w szkle. Na podłodze między dwoma krzesłami leżało coś żółtawego, pokrytego cętkami drobnych refleksów światła. Głęboko wciągnęła powietrze. Rozpoznała poduszkę z „Tailwind”.

Na jednym z brzegów dostrzegła długi, ciemny kształt -ogon.

Przekreśliła gałkę, ciężkie drzwi ustąpiły. Wślizgnęła się do środka i poszła w głąb izby ze wzrokiem utkwionym w poduszkę.

Uśmiechnęła się na widok leżącego na niej zwierzęcia, kota w rudo-czarne paski. Może to dziecko Carli...

Podeszła bliżej. Spostrzegła popielaty nalot na pręgowa-

nej sierści i rozdarte przez rybacki hak lewe ucho... Oczy Stelli rozwarły się szeroko z radości... Uklęła.

- Carla? - wyszeptała. - To ja, Stella.

Kot otworzył zielone oczy zamglone starością. Z wysiłkiem uniósł głowę. Głośny pomruk wydobył się z jego gardła.

Stella delikatnie wzięła Carlę na ręce. Pod miękkim futrem wyczuwała chude i kościste ciało.

Zamknęła oczy i dotknęła policzkiem puchatego łebka. Carla trąciła ją wilgotnym nosem.

Podniosła się, tuląc kota do piersi jak dziecko. Mruczenie grało niby silnik w słabym ciałku.

Uśmiechnęła się. Carla, mały kociak. Teraz, choć tak stary, jak tylko stary może być kot, serce miał jednak silne i odważne.

Stella obracała się drobnymi kroczkami, kołysząc kota w ramionach.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła przed sobą otwarte drzwi prowadzące do wąskich, wiszących schodów. Zanim zdążyła pomyśleć, co robi, już wchodziła na górę, delikatnie stawiając stopy na stopniach. Domyślała się, dokąd prowadzą, i pomyślała, że nie powinna naruszać prywatnej przestrzeni, mimo to szła dalej...

Na pierwszym piętrze znajdował się tylko jeden pokój -przestrzenna pracownia ze stołem kreślarskim i sztalugami ustawionymi przy oknie. Stella obrzuciła szybkim spojrzeniem książki, mapy, fotografie i weszła na schody prowadzące wyżej.

Gdy postawiła nogę na ostatnim stopniu, ujrzała nad głową krzywizną kopuły. Była pomalowana tym samym bławatkowym błękitem co na zewnątrz. Odzwierciedlenie letniego nieba - pomyślała Stella.

Zatrzymała się w progu. Wiedziała, że gdy podejdzie do podwójnego okna, zobaczy w dole zatoczki.

Przy przejrzystej wodzie mogłaby dostrzec pływające ryby...

Postanowiła tylko rzucić okiem na pokój od drzwi, na

podwójne łóżko z jedną poduszką. Odrzucona niedbale kołdra wskazywała na to, że ktoś witał poranek z wigorem. Na podłodze leżał sarong. W pokoju nic nie zasłaniało widoku morza. Znajdowało się w nim jedynie kilka niskich mebli i obraz...

Ujrzawszy ten obraz, Stella zamarła. Kot zwinął się w odruchu protestu, gdy ramiona kobiety zacisnęły się mocniej na jego ciele.

Wielki obraz, wykonany pastelami, przedstawiał dziewczynę stojącą na pokładzie łodzi. Długie, czarne włosy opadały na smukłe ramiona. Miała na sobie rozpiętą koszulę, pod którą widniał brązowy top. Postać została uchwycona przez malarza w chwili, gdy śmiałym, niedbałym gestem zakładała za ucho kosmyk włosów. A jednak z oczu dziewczyny wзираła pełna lęku bezradność. Można by pomyśleć, że ma dar przewidywania przyszłości i domyśla się czekającego ją cierpienia.

Jasne światło padające na te rysy wzmagało dramatyzm obrazu, lecz barwy użyte przez malarza były tak delikatne, że upodabniały postać do sennego marzenia.

Stella rozchyliła usta z zachwytem. Ta dziewczyna tak bardzo ją przypominała. A zarazem była tak inna. Popatrzyła na podpis - cienki zawijas w dolnym rogu: **Zef**.

Uświadomiła sobie, że taką ją zapamiętał. Taki jej wizerunek towarzyszył mu przez długie lata.

Jeszcze coś zwróciło jej uwagę: niewielki kształt na małym stoliku pod obrazem. Podeszła bliżej.

Zobaczyła bukiet sztucznych stokrotek. Kwiaty były stare i spłowiałe, płatki postrzępione, a łodyżki związane kawałkiem rybackiej liny. Pamiętała, jak okręcała łodyżki liną i jak wiązała rybacki węzeł, zwarty i mocny. Ustawione na drewnianym rusztowaniu kwiaty wyglądały radośnie i zapraszająco.

Patrzyła na stokrotki. Wiedziała, że nie przetrwałyby na otwartym powietrzu dłużej niż kilka miesięcy. Poczwała ogromną radość. To był ostateczny dowód - wrócił do niej, tak jak przyrzekł.

Stella wyjrzała przez okno na morze. Wyobraziła sobie, jak Zef wpływa do przystani w Halfmoon Bay po długiej podróży. Jak spieszy do pomnika Żeglarzy po wiadomość, lecz jej nie znajduje. Jak pyta ludzi, gdzie ma szukać Stelli. Wszyscy mówią to samo: wyjechała do Anglii, do szkoły, szczęściara... Gdy wpłynął do zatoczek i zobaczył kwiaty, liczył pewnie na ukrytą wśród nich informację. Ale same kwiaty miały być informacją. Przepraszaniem. Pożegnaniem. Zakończeniem.

Zaniosła Carlę na dół i położyła na żółtej poduszce.

- Czekać na mnie - powiedziała. - Wróć. Zmierzając do drzwi, pomyślała o innym miejscu, gdzie mogła znaleźć Zefa a. „Tailwind”. Próbowała sobie przypomnieć, co pani Barron mówiła o jachcie Zefa i o tym, gdzie był zacumowany. O jakiejś prywatnej pochylni... Joe będzie wiedział.

Gdy Stella podjechała na skraj przystani obok „Grand Lady”, stary rybak wyłonił się ze sterówki. Oparł dłoń o nowy dach. W drugiej ręce trzymał szeroki pędzel ociekający czerwoną farbą.

Stella otworzyła drzwi, by z nim porozmawiać, ale została za kierownicą i nie wyłączyła silnika.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie Zef trzyma jacht? - spytała. - Mam nadzieję, że go tam znajdę.

- Nie znajdziesz - odpowiedział Joe. - Właśnie stamtąd wróciłem, żeby wziąć farbę. - Machnął pędzlem w stronę Stelli, czerwona kropla upadła na drzwi samochodu. - Zef rzeczywiście tam był, ale pojawiła się twoja matka ze Spinksem. Przyjechali policyjnym autem. Chyba coś mu dała. Coś niewielkiego, co trzymała w ręce. Rozmawiała z nim, minutę albo dwie, nie dłużej. Potem on wszedł w samochód i odjechał. - Joe zmarszczył brwi. - Nic z tego nie rozumiem. Zef miał tu ze mną wrócić, żeby malować.

- Dokąd pojechał?

356

Joe machnął ręką w stronę nadmorskiej drogi.

- W waszą stronę.

Stella puściła sprzęgło i ruszyła ostro wzdłuż przystani. Joe zawołał za nią:

- Nie jedź za szybko! Pędzie padać!

Czerwona furgonetka była nie tyle zaparkowana, ile zostawiona na środku drogi, niedaleko szopy, z drzwiami od strony kierowcy otwartymi na oścież.

Stella zatrzymała samochód obok niej. Gdy wysiadła, zerwał się wiatr, niosąc pierwsze, ciepłe krople deszczu. Pospieszyła w stronę domu, przez ogród. Wiatr wzrastał się coraz bardziej, zimny zachodni wiatr. Szarpał jej ubranie i smagał kosmykami włosów policzki. Odwracała twarz od lodowatych podmuchów.

Rośliny w ogrodzie wyginały się w obłądnych płasach. Na ścianie morskiej luźne kawałki linek i żyłek sterczały na wszystkie strony, szarpane gwałtownymi powiewami.

Stella przystanąła w pół kroku. Wydawało się, że ogród i ściana tańczą dla niej, by przyciągnąć jej spojrzenie...

Wtedy za kratownicą z szarego drewna dostrzegła obcy kształt, zarys postaci.

Poszła wprost ku niej. Buty zapadały się w miękką ziemię ogrodowych grządek.

Nieopodal ściany zawahała się, ale wiatr wiał jej w plecy, popychał do przodu.

Gdy znalazła się po zawietrznej drewnianego ekranu, powietrze znieruchomiało.

Zef stał tyłem do niej, patrząc na mały krzyż otoczony pierwszymi, bladymi łodyżkami świeżo wyrosłych roślin. W jednej ręce trzymał plik listów, które wysłał dawno temu. Druga zwisała sztywno wzdłuż ciała.

Odwrócił się, jakby wyczuwając jej obecność. Stał bez słowa, patrzył jej w oczy, długo i przenikliwie, sięgając spojrzeniem bardzo głęboko tam, gdzie kryły się wszystkie tajemnice.

Miała wrażenie, że czuł i widział wszystko.

Dziewczynę, samotną w swoim pokoju, na której spoczywało jedynie baczne oko księżycy, której krzyk słyszało tylko morze.

Rząd maleńkich, zwiniętych paluszków naciskających na połyskliwą błonę.

Lalczyną ślubną suknię umazaną krwią.

Spokojną twarzyczkę z zamkniętymi na zawsze oczami.

Matkę pokazującą dziecko gwiazdom.

Wszystko...

Zef trwał nieruchomo przez parę chwil, a potem szeroko otworzył ramiona.

Stella zrobiła krok w jego stronę. Nagle osłabła, ledwie trzymała się na nogach. Czowała, jak kruszy się w jej wnętrzu mur i upada pod naporem nowej siły - fali łez, głębszej i wielkiej jak ocean, fali, która rośnie i przelewa się, czysta i oczyszczająca.

Niepohamowany szloch nie wyrażał cierpienia, lecz ustępowanie tłumionego od dawna bólu.

Łzy płynęły także po twarzy Zefa, po policzkach, do łuku ust.

Przyciągnął Stellę do siebie, a ona wtuliła twarz w jego pierś. Ogarnął ją ramionami i trzymał blisko, przy sercu.

Deszcz padał i mieszał się ze łzami.

Błogosławieństwo zesłane przez dalekie chmury - albo przez anioły.